

W klatce



ELIZA ORZESZKOWA

W klatce

POWIEŚĆ

„Wierzę, iż miłość mężczyzny dla kobiety nie powinna być alfą i omegą ludzkiego istnienia, że ugiąć się, złamać się pod nią może tylko człowiek słaby, albo taki, któremu ona zastąpić musiała wszystko: czyn, ideę, sławę. W klatce niéma wyboru pożywienia; zgłodniały bierze taki pokarm, jaki znajduje, a jeśli pokarm ten jest trucizną, żyje nią czas jakiś, a potem... umiera, i tém się kończy jedna z tragi-komedyi ludzkiego istnienia na świecie.”

CZĘŚĆ I. KAMELEON

„Jeden uśmiech spod małego kapelusika wprowadza duszę w świat marzeń.”

(Wiktor Hugo: Nędznicy.)

I. W PODRÓŻY

Było to w miesiącu Wrześniu, przy schyłku krótkiego jesiennego dnia.

Przed jedną z największych stacy kolei żelaznej, wiodącej z Wilna do Warszawy, stał długi szereg wagonów, a w jednym z nich, zasunięta w głąb powozu, z książką w ręku i gęstą zasłoną z czarnej koronki na twarzy, siedziała kobieta.

Zmrok zapadał coraz ciemniejszy. Pod dużym gmachem stacy błyskały latarnie, chodzili i gwarzyli ludzie, — w górze między chmurami wypływały gdzieniegdzie gwiazdy, a w dali ciemniał las, szerokim i nieruchomym pasem łącząc szare niebo z szarą ziemią.

Zadzwoniono po raz pierwszy.

Do wagonu, w którym siedziała kobieta z zasłoną, lekko i zręcznie wskoczył młody mężczyzna. Postać jego zgrabna i smukła, mimo zmroku, wdzięcznie zarysowała się na otaczającym ją ciemnym tle; błysnęły stalowe ozdoby przewieszonych przez ramię jego podróżnej torebki i widać było wymykające się z pod czapeczki gęste i bardzo jasne włosy. Wskoczył do wagonu, stanął przy drzwiczkach i obejrzał się, jakby pytając losów, jakie towarzystwo zsyłają mu na długą może podróż.

Kobieta zwróciła twarz na wchodzącego i z po-za zasłony swojej patrzyła na młodego człowieka.

I on patrzył na nią, ale, niestety! nic nie widział, oprócz niewyraźnej postaci kobiecej. Byłaż ona młoda czy stara, piękna czy brzydka? — nie mógł dojrzeć, bo siedziała w głębi powozu, a cienie były za nią, przed nią, wkoło niej.

Znowu rozległ się głos dzwonka.

Na stopniu, prowadzącym do wagonu, w którego drzwiach rysowała się postać młodego mężczyzny, ukazała się otyła kobieta, od chłodu jesienną nocy zaopatrzona w futro z ogromnym lisim kołnierzem i w kaptur watowy z czarnego atlasu, zasłaniający część jej czoła i twarzy. W ręku trzymała niemałej objętości wór podróżny, dwa dosyć spore pudełka i drugi mniejszy worek, z którego sterczały, jak się zdawało, rogi oprawnych książek. Bagaże te i niepomierna tusza utrudniały jej dźwignięcie się na wysoki stopień wagonu.

Młody człowiek nie zwracał uwagi na mozolne wspinanie się podróżnej, gdy nagle słuch jego uderzyły słowa, dość ostrym wymówione głosem:

— Mój panie kochany! a bądź-że łaskaw podać mi rękę!

Odwrócił się, spojrział, lekki, ledwie dojrzany uśmiech przebiegł mu po ustach; ale z grzecznością człowieka, należącego do oświeconych towarzystw, schylił się, jedną ręką ujął wór podróżny zakłopotanej pani, drugą jej pudła i, postawiwszy to wszystko w głębi wagonu, podał jej obie dłonie.

Podróżna dźwignęła się z ciężkim westchnieniem; po chwili cała masa podniosła się do wysokości drzwiczek, a zawsze wsparta na silnych i usłużnych dłoniach młodego człowieka, wtoczyła się do wagonu.

W czasie tej operacji, kobieta z zasłoną na twarzy siedziała ciągle nieruchoma, przez szybę powozu patrząc gdzieś daleko, może na wielką złotą gwiazdę, która sama jedna wypłynęła z pod chmury i zawisała nad pasem dalekich lasów, jakby świecić chciała ciemnym ich głębiom.

Zadzwoniono po raz trzeci.

Ze stukiem zaczęły zamykać się drzwi wagonów, rozległy się dwa ostre, przeciągłe gwizdnięcia i po chwili poważna, wspaniała, niby królowa, wojsko na bój wiodąca, ruszyła się lokomotywa i, coraz szybsza, coraz silniejsza, żelazną pierśią poczęła pruć gęste i mgliste powietrze, rzucając pod obłoki kłęby dymu, jakby ślane ku niebu potęgi ziemskiej świadectwa.

W wagonach zapalono lampy. Przy jednej z nich młody człowiek, o jasnych, kędzierzawych włosach, z ciekawością patrzył na siedzącą w głębi powozu kobietę, której twarz

kryła gęsta czarna koronka. A tak gęstą była ta zasłona, że przez nią dojrzyć mógł tylko wielką białość gładkiego, wysokiego czoła kobiety i, przeciskający się przez tkanę koronki, blask jej oczu. Ale kolor tych oczu, ich kształt, wielkość, ale reszta twarzy, usta, nos i, co ważniejsze od tego wszystkiego, wyraz fizygnomii, zostawały dla ciekawie przypatrującego się tajemnicą. Widział tylko jeszcze grube warkocze ciemno-kasztanowatych włosów, wypływające z pod czarnego kapelusika, drobną, bardzo kształtną, zamkniętą w rękawicze rękę i niedbale, a zarazem wdzięcznie, o poduszki powozu opartą postać.

Kobieta z po-za zasłony swojej patrzyła na towarzysza podróży, a ponieważ on zasłony takiej nie miał, z łatwością więc widzieć mogła świeżą, o regularnych rysach twarz jego, z pełnym młodzieńczej swobody wyrazem, mały, jasny wąsik, ocieniający łagodne usta, i duże błękitne oczy, które zdawały się patrzeć na świat z młodą, niczym niezawiedzioną jeszcze, nadzieją, i z młodą, nigdy jeszcze niezłamaną, a ufną w swoją potęgę, wolą.

Trzecia obecna w wagonie osoba, otyła pani z lisim kołnierzem, z ciekawością przyglądała się i kobiecie, i mężczyźnie, i zdawało się, że się namyślała, jak ma z nimi rozpocząć rozmowę.

Przez kilka minut w wagonie panowała cisza, przerywana tylko jednostajnym szmerem kół, uderzających o żelazne szyny...

Po chwili, kobieta z zasłoną na twarzy usiadła bliżej lampy, otworzyła książkę i zaczęła czytać; młody człowiek miał bardzo dobry wzrok i dojrzał na okładce książki tytuł: *Poezye Słowackiego*.

Otyła pani ujęła także swój mniejszy woreczek, rozsunęła zamykające go sznurki włóczkowe z ponsowemi kutasikami na końcach i wydobyła książkę. Młody człowiek dostrzegł mimowoli, że był to „*Złoty Ołtarzyk*”.

Zasłona gęsta utrudniała snąć czytanie, a może i lampa za słabe dawała światło, bo kobieta zamknęła książkę, zasunęła się znowu w swój kącik i siedziała cicha, nieruchoma.

Pani w kapturku wydobyła z worka drugą jeszcze książkę do nabożeństwa, i trzecią, i czwartą, a uszykowawszy je wszystkie na kolanach, nie zaczynała jednak się modlić. Przenosiła wzrok z kobiety na mężczyznę; widocznie trawiona była żądzą dowiedzenia się, co to za jedni. Myślała więc nad tém, jakby zaspokoić swoją ciekawość, a „*Złoty Ołtarzyk*”, „*Łza Chrześcijanina*”, „*Westchnienie Duszy*” i t. d., czekały sobie tymczasem na jej kolanach.

Młody człowiek z torebki podróżnej wyjął cygaro i, grzecznie zwracając się do otyłej pani, zapytał:

— Czy pani nie zaszkodzi dym cygara?

— A gdzie-by tam miał mi szkodzić, mój panie kochany! — odpowiedziała z widoczną radością, iż rozmowa się zaczyna. — A gdzie-by tam — powtórzyła — miały mi szkodzić cygara! Nieboszyk mąż, świeć Panie nad jego duszą (tu złożyła pobożnie ręce), codzień kilkanaście faj wypalił, to się przyzwyczaiłam do dymu tytoniu, panie mój kochany! Pal-że sobie, pal z Bogiem!

Młody człowiek zwrócił się do drugiej kobiety i powtórzył:

— A pani nie szkodzi dym cygara?

— Nie, panie — odpowiedziała krótko z po-za zasłony swojej i znowu zapadła w milczenie.

Ale tym razem pani w kapturku nie pozwoliła ciszy zakrólować w wagonie. Spojrzała bystro na młodego człowieka, potem na zaslonioną kobietę i, uznawszy ją snadź za ciekawy przedmiot badania, zwróciła się ku niej i, poprawiając kapturek, ozwała się z rodzajem przymilenia:

— A pani dobrodziejka, czy z daleka?

Kobieta powoli zwróciła ku niej głowę i, po chwilce milczenia, zawsze z po-za zasłony swojej, odrzekła:

— Z daleka, pani.

— Pewno do Warszawy? — spytała otyła pani, obydwoma już rękoma zsuwając z czoła kapturek.

— Tak, pani — była znowu odpowiedź.

— Czy pani dobrodziejka z okolic Warszawy może?

— Nie, pani.

— A z jakich? czy wolno spytać?

— Z dalekich.

Interlokutorka, widocznie zniecierpliwiona lakonicznymi odpowiedziami, poruszyła się tak żywo, że aż z kolan jęj spadł „Złoty Ołtarzyk”, a młody człowiek ze zdwojoną ciekawością wpatrywał się w zaslonioną kobietę. Uderzył go młody i świeży dźwięk jęj głosu i zaciekauiły krótkie odpowiedzi.

— Pani dobrodzięjka dawno już w podróży? — rozpoczęła się na-nowo indagacya.

— Od dnia wczorajszego.

— Pewno na zimę do miasta... dla zabawy?

— Tak, pani.

Tą razą „Łza Chrześcijanina” poszła śladem „Złotego Ołtarzyka” i w drodze rozsypała tuzin obrazków i przepisanych modlitewek.

Młody człowiek grzecznie się schylił i pomógł właścicielce w zebraniu rozspanych skarbów pobożnych.

— A, dziękuję, panie mój kochany, dziękuję ślicznie! — mówiła otyła pani — grzeczny z pana kawaler! To rychtyk jak nieboszczyk mąż, świeć Panie nad jego duszą. Bywało, jak robię pończochę, to niech mi tylko kłębek upadnie, zaraz mi go podniesie, choćby się pod samiuteńką kanapę potoczył. Pan dobrodzięj kubek w kubek będziesz taki, jak mój nieboszczyk Wicus, świeć Panie nad jego duszą. Zaraz znać po grzeczności, żeś pan dobrodzięj z Warszawy. Czy zgadłam, jeżeli wolno spytać?

— Tak, pani, jestem w Warszawy — odpowiedział młody człowiek.

— A dokąd-że to pan dobrodzięj podróżował?

— Byłem w okolicach Wilna.

— A w jakim miejscu, czy wolno spytać?

— W miasteczku N.

— Ach, panie mój kochany, toć ja ztamąd jadę i tam mieszkam; że też nie zobaczyłam tak ślicznego kawalera! A u kogoż tam był pan dobrodzięj, czy wolno spytać?

— Jeździłem do mego kolegi i przyjaciela, doktora Dolewskiego.

— Ach, panie mój kochany! znam, znam jak własne oko. No, proszę! Lucyś Dolewski, to pana dobrodzieja kolega! na rękę go nosiłam! Ależ on, panie mój kochany, sam w Warszawie jest teraz.

— Tak; to też, nie wiedząc o tém, wybrałem się do niego i rozminęliśmy się w drodze.

— Pewno pan dobrodzięj krótko bawił w N.

— Parę godzin tylko. Na stacyi pocztowej dowiedziałem się o wyjeździe Lucyana i zaraz wróciłem, aby go choć w Warszawie znaleźć.

— No, proszę! — powtórzyła raz jeszcze otyła pani — Lucyś Dolewski, to przyjaciel pana dobrodzieja, no proszę!

— Złoty to chłopiec — ciągnęła dalej — anioł-stróż wszystkich biednych ludzi w N. i całej okolicy. Bo to głowa, panie mój kochany, co się nazywa. Nieboszczyk mój mąż, świeć Panie nad jego duszą, bywało, mówi: z tego chłopca będzie *minister*, a serce u niego, to, panie mój kochany, lepsze jeszcze od głowy. Czy-by to on nie mógł, jak i drugi jaki, rozsiać się w wielkiem mieście, nie mówię już o Warszawy, ale w Wilnie naprzykład a choć-by w Grodnie, albo w Mińsku, i brać pieniądze, i królować, i hulać sobie, panie mój kochany. Ale on, biedaczysko, pracuje i haruje i tyra swoje młode lata między nami biednymi i, za pozwoleniem, głupimi ludziskami; a wszystko to dlatego, żeby stariej matki nie porzucać, bo-by umarła chyba z tęsknoty za swoim jedynakiem, któremu dała edukacyą, panie mój kochany, kawałek chleba od własnej gęby odrywając.

Ostatnie słowa wymówiła z rozrzewnieniem, wydobyła chustkę do nosa, otarła oczy i spocone pod kapturem czoło i w zapale wydobyła z worka jeszcze jedną książkę do nabożeństwa, podobno „Cichą łzę”.

— Cieszę się — po krótkiej chwili ozwał się młody człowiek — słysząc tak pochlebne słowa o moim przyjacielu.

— Ach, panie mój kochany — odpowiedziała pani — to-żem ja na rękach jego nosiła. Nieboszczyk mąż, świeć Panie nad jego duszą, był komisarzem u hrabiego S., o wiorstę od N., a nieboszczyk ojciec Lucysia był w N. aptekarzem. To, panie mój kochany, w przyjaźni żyli z sobą, jak bracia. Jestem Anna Owsicka, do usług pana dobrodzieja.

Młody człowiek skłonił się w milczeniu.

— A pana dobrodzieja godność, czy wolno spytać? — podchwyciła pani Anna.

— Cypryan Karłowski — odrzekł z lekkim ukłonem i uśmiechem mężczyzna.

Na dźwięk tego imienia, kobieta z zasłoną na twarzy poruszyła się lekko i, mimo koronki, znać było jak błyszczące oczy zwróciła na młodego człowieka. Nic jednak nie rzekła i na chwilę umilkli wszyscy.

— Która też to godzina, panie mój kochany? — spytała znowu pani Owsicka.

— Dziewiąta — odpowiedział pan Karłowski, patrząc na zegarek.

— O Chryste Panie! to-żem ja jeszcze nie zmówiła godzinek do Opatrzności Bożkiej. A jadę do Częstochowy, panie mój kochany; grzechem duszy obciążać nie można, w takie święte miejsce jadąc. Całe życie wybierałam się do Częstochowy, aż, chwała Bogu, postawili kolej żelazną i teraz człowiek jak siądzie sobie na maszynę, to tak frrrrrr... i polecą, gdzie tylko zamysli. Daj Boże zdrowie tym ludziom, co to mają rozum i takie piękne rzeczy robią, panie mój kochany!

To powiedziawszy, otworzyła Złoty Ołtarzyk, przeżegnała się i z głębokim westchnieniem poczęła się modlić półgłosem.

Znowu cisza zapanowała w wagonie. Młody człowiek spojrzął na kobietę, siedzącą w głębi i jedną tylko dostrzegł w niej zmianę: zdjęła rękawiczkę, a na kształtniej i niezmiernie białej jej ręce lśnił pierścień z wielkim brylantem. Rączkę tę podnosiła niekiedy do ust, jedząc karmelek, a rzutem tym odkrywała nieco zasłonę, tyle jednak tylko, że młody człowiek ujrzał parę razy białą, okrągłą bródkę. W myśli zlorzeczył temu, kto pierwszy fabrykować zaczął gęste zasłony dla kobiet i błagał losy, aby Poezycy Słowackiego zrzuciły z kolan nieznajomej, bo grzeczność nakazywała-by mu je podnieść, a przy tej sposobności podjęła-by się może zasłona kobiety. Niestety! książka leżała spokojnie na kolanach swej właścicielki, a zaciekawiony młodzieniec pytał myślą losów, dla czego przed chwilą z kolan pani Owsickiej spadł „Złoty Ołtarzyk”, a Poezycy Słowackiego leżały spokojnie? Ale los nie uznaje nigdy potrzeby tłumaczenia się z niesprawiedliwości i nielogiczności swoich.

Błada lampa drżała, niepewne światło rzucając w kąty wagonu, a milczenie przerywane było tylko pobożnymi westchnieniami pani Owsickiej i chrzęstem karmelka, odzywającym się niekiedy w ząbkach nieznajomej.

O prozo XIX wieku! Kobieta ubrana w czerni, z zasłoną na twarzy, milcząca, zamysłona, zamiast wdychać, je karmelki. Niegdyś tak wyglądająca kobieta bywała istotą z mgły i zefiru, za pokarm jej służyły marzenia, a ziemskie jadło odtrącała drżącą dłonią, gwiazdom się skarżąc na prozę żywota. Dziś je ona karmelki! Gdzież poezya? gdzie tajemniczość? gdzie tragiczność awantury? gdzie czysty, brzydzący się materyą idealizm?! Młody podróżnik wszakże nie żałował tajemnicą owianych zjawisk dawnych czasów i z miłym wrażeniem słuchał chrzęstu karmelków w ustach nieznajomej, bo był mu on świadectwem jej młodych i zdrowych ząbków, które, sądząc podług przedziwnie białej rączki, jaką widział, przedziwnie też białymi być musiały.

Pani Owsicka skończyła godzinki do Opatrzności Bożkiej, wycalowała wszystkie obrazki, przeżegnała się krzyżem różańca i, na worku podróżnym złożywszy głowę, głęboko usnęła.

W ustach nieznajomej kobiety ustał po chwili chrzęst karmelków, ale znać było, że nie spała, bo niekiedy białymi paluszkami machinalnie przewracała karty książki.

I pan Karłowski też nie spał, czoło oparł na dłoni i myślał.

I pogrążeni w milczeniu, kołysani jednostajnym ruchem wagonu, oboje młodzi ludzie utonęli w zamysleniu. O czym oni myśleli? Niech odpowiedzi na to będzie wyraz: byli młodzi! A młode myśli, to orły szerokoskrzydłe, co lecą nad ziemią i orlim wzrokiem szukają kwiatu wesela i owocu szczęścia. I któż je zliczy, i któż je opowie, gdy rojami wylatują z głowy młodością wrzącej, gdy jednym ich skrzydłem wiara, drugim nadzieja, a atmosferą, w której się unoszą... miłość. Z ognia stworzone, w pragnieniu skąpane, wiarą w przyszłość strojne, gdzie-żeście wtedy, o myśli młode, kiedy czoło człowieka pochyli się smutne pod wspomnieniami doznanych zawodów? gdzie-żeście wtedy, gdy w sercu jego tchnienie życia zmrozi młodzieńcze zapaly i porywy, gdy, po dniach minionych chodząc, jak po grobach, i myśl swą, i czoło chyli on ku ziemi?...

Ale, jadący z Wilna do Warszawy, młodzi ludzie nie mieli skroni smutnie schylonych pod ciężarem dni już przebytych i nie chodzili jeszcze po wspomnieniach, jak po grobach.

To też młodzi oboje, piękni pewno oboje, myślami pobiegli w świat szeroki, a oczyma często spoglądali z zajęciem na siebie, dopóki... dopóki... nie usnęli.

Usnęli? i któż odważy się twierdzić, że oni spali? Młody człowiek siedział wprawdzie nieruchomy, ale czy spał, czy snuł wątek różanych myśli, nie wiadomo; a młoda kobieta bodaj mało też spała, bo z poza czarnej koronki często błyskały wyraźnie otwarte jej oczy. Trudno też ręczyć, czy pan Karłowski nie zapytywał sam siebie, co bardziej silnym lśniło blaskiem, czy przysłonięte, a jednak tak błyszczące oczy, kobiety, czy wielki na jej palcu brylant.

Na świecie zaczęło szarzyć, cienie nocy zwolna ustępowały przed wschodzącym dniem. Na bladobłękitnym niebie gasły jedna po drugiej gwiazdy, i w wagonie zgasła blada lampa. Parę razy gwizdnęła lokomotywa i pociąg stanął.

— Stacya Thuszcz! pięć minut! — wołał posługujący, otwierając drzwi wagonów.

Pani Owsicka ocknęła się i zaczęła prędko mówić:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Ojciec nasz, któryś jest w niebiesiech... czy daleko jeszcze do Warszawy, panie mój kochany?

— Jedną już tylko stacyą przebyć mamy — odpowiedział pan Karłowski.

— Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja... — szeptała znowu pani Owsicka i, otworzywszy jedno z pudełek, zaczęła, modląc się i wzdychając ciągle, przekładać w niem i układać różne drobiazgi, wypłowiałe wstążeczki, pomięte koronki, nici, szpilki i t. d.

Nieznamąta kobieta ujęła też niewielki i piękny woreczek podróżny, otworzyła go kluczykiem, wyjętym z kieszeni okrycia, i zaczęła czegoś szukać, lub coś układać. Młody człowiek zauważył, że ruchy jej były bardzo wdzięczne i harmonijne.

— Prześliczna być musi! — pomyślał — bodaj tę zasłonę! Byłaż-by Turczynką? — I uśmiechnął się sam z przypuszczenia swojego a uśmiech jego był taki swobodny, taki młodzieńczy, tak mu twarz rozświetlił, błysnął w oczach i na białym czole zajaśniał, że aż pani Owsicka, mówiąc litaniją, zamiast: „zmiłuj się nad nami”, dwa razy powtórzyła: panie mój kochany! a gdyby jaki drobny sylf zakradł się był pod koronkową zasłonę milczącej kobiety, ujrzał-by i na jej ustach rozkwitający uśmiech. O uśmiechy młode! wy, akordy wtórujące pieśniom młodych myśli! rozkwitajcie i ulatujcie w świat, póki wam pora nie minie; bo życie wasze, to żywot motylka... radosny, ale krótki!

Długo nieznamąta układała w woreczku jakieś małe pudełka, papiery i książki, a gdy nakoniec zamknęła go i kluczyk do kieszonki schowała, młody człowiek spostrzegł, że na palcu nie miała brylantowego pierścienia.

— Musiała go schować — pomyślał — i w istocie nie potrzebuje ona brylantów na palcach, mając dwa, przez naturę dane, a tak, przez gęstą nawet koronkę, żywo błyszczące brylanty oczu.

I znowu się uśmiechnął i, uśmiechając się, dostrzegł, że blaski tych dwóch brylantów, o których myślał, wyraźnie skierowane były ku jego twarzy.

Znowu gwizdnęła lokomotywa, znowu pociąg stanął.

— Warszawa! — ozwał się głos donośny, i ze stukiem poczęły otwierać się drzwi wagonów.

Pani Owsicka wstała najpierwsza, choć nieco z trudnością, i jęła zabierać swoje wory i pudła.

— Niech pani wysiada — grzecznie rzekł pan Karłowski, — ja pani podam wszystkie te rzeczy.

— Dziękuję, dziękuję ślicznie, panie mój kochany — mówiła, sapiąc i wysiadając, pani Anna. — Grzeczny, bardzo grzeczny z pana kawaler. Powiem Lucysiowi Dolewskiemu, że grzecznego ma kolegę, panie mój kochany.

To mówiąc, wygramoliła się z trudnością z wagonu, wzięła z rąk „grzecznego kawalera” swoje manatki i, obciążona niemi, powoli zmieszła się z tłumem ludzi, zalegających platformę.

Ujrawszy przejście już wolne, nieznamąta kobieta powstała, owinęła się okryciem i, ująwszy swój woreczek, zręcznie zeskoczyła na ziemię.

Młody człowiek, rozciekawiony, zachwycony jej ruchami, patrzył na nią i, gdy zstępowała ze stopnia, wiódł oczyma za długimi i ciężkimi fałdami jej sukni ciemno-brunatnego koloru. I ujrzał, jak fałdami temi pociągnięty, ze stopnia wagonu na ziemię zsunął

się brylantowy pierścionek, przed chwilą błyszczący na ręku kobiety, a ona poszła dalej, nie wiedząc, że go zgubiła.

Karłowski w jednym mgnieniu oka wyskoczył z wagonu, podjął pierścień i w kilku skokach dobiegł do pierwszej sali dworca. Niedaleko drzwi stała nieznajoma kobieta i podawała urzędnikowi jakąś kartkę.

— Przepraszam panią! — rzekł młody człowiek, obok niej stojąc.

Z lekkim zdziwieniem i jakby pytająco, zwróciła ku niemu warkoczami obciążoną głowę.

— Zdaje mi się, że ten pierścionek do pani należy. Znalazłem go u stopni wagonu.

Lekki wykrzyk wydobył się z ust kobiety; końcem paluszków wzięła z ręki młodego człowieka pierścionek i rzekła:

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję! Tak jest, to mój pierścionek. Musiał mi spaść z palca wtedy, gdy układała rzeczy w woreczku. Bardzo dziękuję!

Mówiąc to, parę razy wdzięcznie skinęła głową, a zarazem podniosła rękę i odrzuciła z twarzy zasłonę.

Młody człowiek stanął olśniony, urokiem do miejsca przykuty.

Piękna też była ta twarz, która nagle zajaśniała przed nim, a piękna nie posagową pięknnością klasycznych, regularnych rysów, ale ogniem, który z niej tryskał, ale życiem na niej rozlanym. Czoło miała gładkie i białe, jak marmur greckich posągów; po skroni jej wiła się siatka żyłek i znać było, jak te błękitne niteczki pulsowały szybko, poruszane wrzącym tętnem młodego życia. Usta jej, dość duże i wydatne, ponsowe, wilgotne, były nieco otwarte, jakby im ciągle braknęło powietrza; pod ciemnymi, w regularny łuk zagiętymi brwiami, blaskiem żaru płonęły wielkie oczy a takie dziwne były to oczy, że w jednej chwili zmieniały wyraz i barwę, ale jakkolwiek się ukazywały, płonęły ciągle wewnętrznym ogniem niezmordowanego, pełnego sił, życia.

Młody człowiek stał i patrzył, i kobieta patrzyła na niego przez chwilę.

— Niech-że wiem — ozwała się w końcu, swoim srebrnym, miękkim głosem — komu jestem winna znalezienie mojego pierścionka.

I dodała szybko:

— Słyszałam już pana nazwisko, ale radabym wiedzieć, czy jesteś pan synem pana Michała Karłowskiego, właściciela ziemskiego z okolic Warszawy, który tak zaszczytnie dał się poznać na polu przemysłu naszego.

— Tak pani — odpowiedział młody człowiek; — jestem synem Michała Karłowskiego. Ale pozwoli pani zapytać siebie... — i zawahał się z dokończeniem swojej myśli.

— Pan chcesz pewnie dowiedzieć się o moim nazwisku — z uśmiechem rzekła kobieta.

— Tak pani — odpowiedział pan Karłowski — byłbym bardzo szczęśliwy...

Po twarzy kobiety przemknął się dziwny wyraz, a raczej zaigrały tysiące odcieni, wśród których wprawne oko mogło-by dostrzedz i figlarność młodzieńczą, i smutek jakiś, i nieco szyderstwa. Tak stała przez chwilę, jedną ręką podtrzymując opadającą jej na twarz zasłonę, drugą z wdziękiem podnosząc fałdy ciężkiej sukni; aż wreszcie spojrzała w twarz młodego człowieka i rzekła:

— Nazywam się... nazywam... *Kameleon*.

Potem ukloniła się lekko i, zostawiając pana Karłowskiego w osłupieniu, oddaliła się szybkim krokiem.

Młody człowiek, jakby magnetycznym wiedziony pociągiem, bezwiednie poszedł za nią, wyszedł na wschody, wznoszące się nad szerokim podwórzem stacyi, stanął wśród tłumu i obejrzał się. Na najniższym stopniu stała piękna towarzysza jego podróży, a przed nią z kapeluszem w ręku, w pełnej uszanowania postawie, wysoki, w bogatą liberyą ubrany lokaj. Po chwili podjechała mała, zaprzężona dwoma siwymi końmi karetka, lokaj otworzył drzwiczki powozu, kobieta doń wskoczyła, powóz potoczył się szybko i... wszystko zniknęło.

II. DOKTOR

W popołudniowych godzinach, tego samego dnia, w którym pan Karłowski wrócił z wycieczki swojej w wileńskie okolice, w niewielkim pokoju jednego z warszawskich hotelów,

stał przed oknem młody mężczyzna. Wyglądał na lat dwadzieścia siedm, wzrost miał dość wysoki, pierś szeroką, a cała jego postać, choć nie nacechowana wytworną elegancją, jaką nadaje ciągle pobyt w wielkiem mieście, miała przecież pełne męskiej piękności kształty. Twarz jego, o ściągłych i regularnych rysach, bladą była tą gorącą, namiętą bladością, jaka pokrywa zwykle ogniste, a ciągle zwalczane uczucie. Gęste, czarne włosy opadały nieco na gładkie czoło, a z pod brwi, gęstych także i czarnych, duże, ale głęboko osadzone, ciemno-szafirowe oczy myślącym i łagodnym spojrzeniem zgadzały się z wyrazem kształtnie zarysowanych ust. Niewielki czarny zarost otaczał to męskie i piękne oblicze.

Po-za oknem, na szerokiej ulicy wielkiego miasta, wrzał tłum różnorodny; z głuchym turkotem przesuwały się powozy, pełne niekiedy pięknych twarzy kobiecych. Nagle, napół stłumiona ulicznym gwarem, ale niedaleka, zabrzmiała muzyka ulicznego instrumentu, grająca arya z opery. Na odgłos ten, patrzący oknem mężczyzna, jakby się ze snu obudził; brwi lekko mu drgnęły, a w miarę jak instrument śpiewał coraz boleśniej, z pod powiek jego i długich rzęs coraz żywsze i gorętsze błyskały promienie. W chwili owiej twarz jego nabrała wyrazu namiętnej wrażliwości, i kto-by nań wówczas spojrział, bardziej niż kiedy musiał-by się w nim domyślić natury gwałtownej, tłumionej wprawdzie wołą, ale za lada dźwiękiem, za lada dotknięciem wybuchnąć gotowej pożarem pragnień i porywów. Widząc go tak bladym, wsłuchanym w muzykę, ze ściągniętymi brwiami i oczyma palającymi w głębi, można było odgadnąć, że jest to jeden z ludzi, co we własnej pierśi noszą zarody fatalizmu, dla których w życiu niema środka między rajem i piekłem, i którzy, ulegając prądowi namiętności, znajdują śmierć tam, z kąd inni czerpią zaledwie drobną, przelotną lezkę.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich, z wytworną miejską elegancją ubrany, Cypryan Karłowski.

Odwrócił się od okna zamyślony mężczyzna i, postępując kilka kroków, zawołał:

— Cypryan!

— A! nareszcie znalazłem cię, Lucyanie, — wołał Karłowski — z otwartymi rękoma idąc do przyjaciela.

— Wracam z N., — mówił dalej Cypryan, po przywitaniu. — Chciałem skorzystać z niedawno w tych stronach ułatwionego podróżowania i odwiedzić cię. Ale powiedz, jak mogliśmy tak nieszczęśliwie się rozminąć?

— Nie byłem uwiadomiony o twoich dobrych chęciach — odpowiedział Lucyan Dolewski — i przyjechałem tu w sprawie mojej matki, która poleciła mi odebrać od jednego z tutejszych mieszkańców, pożyczoną mu przez ojca mego, sumę pieniężną. Serdecznie żałuję, że nie mógł przyjąć cię, ale rad jestem, że się choć tutaj spotykamy nareszcie.

Dwaj młodzi ludzie usiedli obok siebie. Sprzeczność między nimi zachodziła wielka. Młody syn bogatego właściciela i przemysłowca był obrazem swobodnej, pełnej wiary w przyszłość i w siebie, niczym jeszcze nie zawiedzionej młodości. Znać było, że życie słało mu dotąd drogę kwiatami tylko, że patrzył na świat okiem Cezara, biorąc za dewizę przyszłości swojej: *veni, vidi, vici*. Młody doktor, zaledwie może o rok starszy od kolegi i przyjaciela swojego, miał na sobie cechę przebytych walk i zapowiedź przyszłych burz. On także czuł się silnym; ale gdy w samego siebie spojrział, zdawało mu się, że w pierśi własnej czyta ręką ciemnego anioła kreślone wyrazy: *Mane, Tekel, Phares*. Mimo tej sprzeczności jednak, wiązała ich ścisła przyjaźń, oparta na wspólnej miłości dla piękna i światła, na wspólnych wspomnieniach dziecięcych i młodzieńczych zabaw i prac. Połączeni byli ze sobą braterstwem przeszłości i wyrazem: czy pamiętasz? którym wzajemnie tę przeszłość wywoływać mogli.

— No, mój pocziwy Lucyanie — mówił Cypryan — powiedz mi, jak ty żyć możesz w tej mieścinie N.? Nigdy nie wyobrażał podobnie szkaradnego miejsca. Samo żydostwo włóczy się po błotnistych ulicach. Nie macie tam chyba ani koncertów, ani teatru, ani księgarni, ani żadnych zebrań publicznych, bo nie widziałem nawet budynków, które-by mogły ku tym celom służyć. Jak ty tam żyć możesz, biedny mój Lucyanie?

Uśmiechnął się Lucyan swoim łagodnym, poważnym uśmiechem.

— Nie jestem ja tak biedny, jak ci się zdaje — odpowiedział zwolna. — Prawda, że N. jest bardzo nędzną mieściną, że o koncertach i teatrze nikomu się tam nie śni, że założenia księgarni spodziewać się możemy, chyba za lat sto; ale czyż nie przypuszczasz,

nawet śród pustyni takiej, spokojnego i użytecznego życia, dla ludzi, którzy mają tam do spełnienia jakieś zadanie?

— Zapewne, zapewne — żywo przerwał Cypryan — przypuszczam, że niejeden Lejba lub Szymel prowadzić może w tej błotnistej dziurze byt spokojny i po swojemu użyteczny; że niejedna Sura lub Leja, świętobliwie i ku zadowoleniu swemu, przepędza tam życie, robiąc czarne pończochy z szafirowymi klinami i hodując izraelską progeniturę; stara nawet dewotka jaka może tam przebyć długie lata, klepiąc pacierze i nie jedząc mięsa przez trzy czwarte części roku, bo ryby na ulicach musicie tam poławiać. To wszystko przypuszczam; ale ty, mój Lucyanie, ty, rozkochany zawsze we wszelkich objawach piękności ducha i formy, ty, oświecony, ze smakiem wykształconym, jak ty tam żyć możesz?

Wesołość zniknęła na chwilę z twarzy Cypryana.

— Pisałeś mi wprawdzie o tém — mówił dalej Lucyan — że mieszkasz w małym i biednym miasteczku: ale rzeczywistości nigdy sobie wyobrazić nie mógł. Dziecię okolic Warszawy, tu wzrosłem, tu żyłem i nigdy nie widziałem nic podobnego; a nie widząc, trzeba mieć chyba wyobraźnię romansopisarzy francuzkich, aby stworzyć sobie obraz twego siedliska. Powiadam ci, Lucyanie, że gdybym tam rok przemieszkał, albo-bym umarł, albo z rozpaczy przyjął żydowską wiarę i pojął za małżonkę najpiękniejszą z całego miasta Surę.

— Otóż widzisz — śmiejąc się, odpowiedział Lucyan — że, choć mieszkam w N. od lat trzech, anim umarł, anim się zapisał pod izraelski sztandar. Nie powiem zapewne, że mi tam jest jak w raju, i nie uwierzył-byś nawet, gdybym ci mówił, że nie mam pragnień, przekraczających ciasny zakres, w którym się zamknąłem. Wszakże zostanę w N., długo może, bo mam do spłacenia dług serca, w przekonaniu mojem święty.

— Chcesz mówić pewnie o twojej matce?

— Tak, Cypryanie. W dzieciństwie nieraz mawiałem tobie o tej mężnej, z mało oświeconym umysłem, ale bohaterkiem sercem, kobiecie; nie potrzebuję ci więc wszystkiego, co wiesz, powtarzać. Powiem ci tylko, że jeżeli dziś w hierarchii społecznej należę do rzędu stojących na wyższym szczeblu oświaty, jój to winieniem; rozum mój — jój łzami zdobyty, moja wiedza — okupiona jój pracą. Kiedy ojciec mój umarł i zostawił mnie kilkoletnim dzieckiem, matka stała się silną swoim macierzyńskim uczuciem. Jak pracowała? co robiła? nie wiem i niepodobna zapewne zliczyć wszystkich jój nocy, bez snu, i dni, bez wythnienia spędzonych. Aż wreszcie miłość matki dokonała cudu: jak Chrystus chleb na pustyni, tak ona tysiącrotnie pomnożyła pracę swoją i wychowała mnie takim, jakim jestem. Dziś na mnie przyszła kolej...

— Ależ, mój drogi — przerwał Cypryan — nie widzę w tém wszystkiem powodzie, dla czego-byś z nią razem nie miał opuścić N., i posiąść w świecie stanowiska właściwszego dla twych usposobień i zdolności.

— Ha, kochany mój — odparł doktor — próbowałem już parę razy myśl podobną nasuwać mojej matce. Raz nawet, — było to w rok po przyjeździe moim z uniwersytetu, — matka sama mi powiedziała, że pragnie, abym, dla dalszych studyów nad medycyną i dla otrzymania szerszej drogi, na której mógłbym postępować z większym pożytkiem dla innych i dla siebie, wyjechał gdzie w świat dalszy. Przytém powiedziała mi także, iż nie chce rozłączać się ze mną i będzie mi towarzyszyła. Mówiąc to, wydawała się zupełnie spokojną i tak zawładnęła sobą, że zdołała wprowadzić w błąd moje synowskie oko. Cieszyłem się z tego jój usposobienia, myśl moja rwała się z całym popędem piérwszej młodości w sferę światła, szerszego czynu. Wszakże okoliczności materialne, w których zostawaliśmy, wymagały kilkunastu dni zwłoki, a w przeciągu ich, kilka razy zwrócił uwagę moję dziwny jakiś wyraz twarzy mojej matki, jakiś żal tajony, nie mogący jednak ukryć się całkiem przede mną, przywykłym do jój jednostajnej, spokojnej dobroci. Stawałem się niespokojny, ale zmianę jój twarzy przypisywałem jeszcze przez chwilę trudom, towarzyszącym wybieraniu się w daleką podróż. Aż pewnego dnia zobaczyłem scenę, która nigdy nie zatrze się w pamięci mojej. Było to w lecie: jechałem do jednego z pacjentów konno i sam jeden obok cmentarza, leżącego w oddaleniu wiorsty od miasteczka. Na godzinę przed moim wyjazdem, matka opuściła mieszkanie. Dokąd poszła, nie wiedziałem. Gdy mijał cmentarz, przyszło mi na myśl wejść tam na chwilę. Lubię niekiedy rozmawiać z umarłymi. Tam zresztą jest mogiła mojego ojca: chciałem ją zobaczyć. Zsiadłszy z konia, przeszedłem niską furtkę, zamykającą ogrodzenie, i w pobliżu

grobu mego ojca posłyszałem tłumione łkanie. Zbliżyłem się śpiesznie i ujrzałem matkę moją, stojącą obok krzyża i obejmującą go ramionami. Była tak pogrążona w rozmyślaniu i łzach, że nie usłyszała szelestu moich kroków. Po bladej jej twarzy toczyły się dwa strumienie łez, wzrok miała utkwiony w murawę mogiły, ramiona z całym wytężeniem obejmowały drzewo krzyża, a usta poruszały się szeptem. Stałem za nią niepostrzeżony, przerażony. Patrzyłem i słuchałem, i posłyszałem — cóż? posłyszałem, że się żegnała z ukochnym grobem. Matka moja kochała mego ojca jedyną miłością swego życia. Byli oni jednym z tych małżeństw o cichej pracy i cichym szczęściu, których miłości nie tłum i związku nie rozrywa żaden hałas, żaden gorączkowy zachód życia. Po śmierci mego ojca, matka posłubiła grób jego; i miałe-bym od niego ją oderwać?!... Nigdy! — odrzekłem sam sobie i wróciłem do domu niepostrzeżony, z sercem pełnym uroczystego wzruszenia. Wieczorem ukląknłem u stóp jej i powiedziałem: Matko! ja ztąd nie wyjadę, mnie tu dobrze, zostanęmy!... I zostaliśmy, i nie żałuję tego, i próby nie powtórzę nigdy.

— Dziwna rzecz... — zaczął Cypryan.

— O, nie tak dziwna, jak się zdawać może — przerwał Lucyan. — Dla starych, mój drogi, wspomnienia są całą treścią życia; niemi karmią się oni wtedy, gdy wszelkie ziemskie nadzieje przyświecać im przestają. A matka moja jest już starą; do miejsca, w którym urodziła się, żyła, kochała i cierpiała, przyrosła, jak kamień do gruntu, w którym mchem się okryje. W N. stoi dom, do którego po raz pierwszy weszła, jako młoda i szczęśliwa żona mego ojca; w domu tym jest kącik, w którym długie godziny przesiadywała nad kołyską moją. Tuż za miasteczkiem jest mogiła mego ojca, a w kościele ołtarz, przed którym modliła się całe życie. Ma ona tam dawnych znajomych swoich, którzy znali ją młodą i z którymi przez długie lata dolę i niedolę dzieliła; słowem, po-za tém nieznośnym dla innych miasteczkiem dla niej niema życia. A gdybym ja ruszył w świat, ona-by nie została, bo bardziej, niż do wszystkiego na ziemi, sercem przykuta jest do mnie. Osądź więc sam, Cypryanie, czy mnie należy niepokojem zatruwać ostatnie dni matki, której tyle wienieniem? Czy nie powinieniem raczej zwyciężyć i stłumić własnych porywów, zwalczyć własnych bólów, aby ją spokojną i ufną we mnie doprowadzić do mogiły?

W jasnym oku Cypryana błysnęła szybko powściągnięta łza; wyciągnął rękę do przyjaciela i rzekł:

— Jesteś najpocziwszy z ludzi, Lucyane. Ale żebyś się tam dla rozrywki choć zakochał w kimkolwiek — dodał — wracając do dawnej wesołości.

— Jestem już zakochany — z uśmiechem odpowiedział Lucyan.

— W kimże? w kim? mów prędzej, mój drogi.

— W pracy — odpowiedział doktor.

— Hm! poważną masz kochankę! Ale wiesz, spróbuj wielożeństwa, pozostań wierny pracy, a *par dessus le marché*, zakochaj się w jakim ładnym buziaczk. Ale à propos zakochania i buziaczków — zawołał nagle, zrywając się z krzesła — mam zapytać cię o rzecz wielkiej wagi. Bywają u was niekiedy dziwne nazwiska. Macie na przykład Komara, Mola, Żabę, Koziełła. Czyś nie słyszał kiedy o nazwisku: Kameleon?

— Nie, o takim nazwisku nigdy jeszcze nie słyszał — śmiejąc się, odpowiedział Lucyan.

— Mój Boże! jedna już tylko zostaje rada. Ztąd prosto idę do księgarni i kupuję herbarz Niesieckiego. Jeżeli w nim nie znajdę tego nazwiska, to chyba ona jest cudzoziemką.

— I któż-to, ta *ona*? — poważnie spytał Lucyan, zapalając cygaro, i dodał: — a raczej powinieniem-bym powiedzieć, ta dziesiąta, czy dwudziesta twoja *ona*?

— Piérwsza w życiu, tak powabna! — zawołał Cypryan, cały rozpromieniony wspomnieniem porannego zjawiska. — Wiesz co, Lucyane, ani w Paryżu tak zgrabnej, ani we Włoszech tak ognistej nie widziałem kobiety. Nie nazwę jej piękną, bo to wyraz oklepany, przedstawiający głównie regularność rysów, a u niej rysy spostrzegają się ostatnie, znikają przed dziwnym wyrazem twarzy. Tę kobietę nie z gliny, ale z płomieni, Bóg utworzył; to téż zwyczajnego glinianego człowieka pali, jak istny płomień.

— Ale w każdym razie — odezwał się znowu Lucyan — powiedz-że mi nareszcie, kto to ta *ona*?

— Ba! gdybym sam wiedział! Wczoraj wieczorem o kilka stacy od Warszawy, przesiadając się dla rozmaitości z jednego wagonu do drugiego, znalazłem ją w głębi powozu,

zamysloną, z zasloną na twarzy, nie tak jednak gęstą, abym nie mógł dojrzyć, że jest prześliczna. Przez całą drogę nie mówiliśmy do siebie ani słowa i skończyło-by się może na milczącej mojej admiracji, gdyby nie karmelki, tak, mówię wyraźnie: gdyby nie karmelki! Nie darmo ktoś mądry powiedział, że małe przyczyny rodzą często wielkie skutki; bo i tą razą jadła ona karmelki i dla tej czynności uznała widać za potrzebne zdjąć rękawiczkę; potem układała sobie różne graciki i przy tym zajęciu musiał zsunąć się z jej palca piękny brylantowy pierścionek. Wysiadając, pociągnęła go faldami sukni: ja zobaczyłem, podniosłem, oddałem i fakt ten doprowadził moje interesa do tego pomyślnego stanu, że raczyła mnie zapytać, czy jestem synem mojego ojca, to jest Michała Karłowskiego, o którym musiała słyszeć. Pytanie to ośmieliło mnie zapytać o jej nazwisko. Pomyślała chwilkę, i odpowiedziała: nazywam się Kameleon! Sądzę, że gdy odeszła, zostałem nie-mniej zgłupiał i zdumiony, jak nieszczęsny Papkin, skazany na wyszukanie krokodyla. Gdybym wierzył w metempsychozę, a raczej w migracją dusz zwierzęcych w ludzkie ciała, mógłbym zaprawdę uwierzyć, że Kameleon obłócił się w formy tej kobiety; bo wyraz jej twarzy mieni się, jak barwy tego zwierzęcia. Zdaje mi się, że oczy jej w mgnieniu oka kilka razy zmieniły kolor: były i piwne, i ciemno-zielone, i czarne jak węgiel. Kameleon! Kameleon! czy słyszałeś kiedy, aby się tak kto nazywał? Przecież myślałem sobie: jeżeli można nazywać się Żabą, dla czegoż-by nie można nazywać się Kameleonem? Miałem więc nadzieję, że dowiem się czego od ciebie.

— Nigdy nie słyszał o tym nazwisku — odrzekł Lucyan — i wątpię, czy ktokolwiek w świecie mógł o nim słyszeć, bo myślę, że musi w tym być jakaś mistyfikacja. Ale powiedz mi, mój drogi, jak możesz zaprzętać sobie głowę kobietą, którą raz tylko widziałeś i z którą ledwie kilka słów zamieniłeś?

— O, poważny medyku! — odparł patetycznie, stając przed Lucyanem, Cypryan; — alboż dla ciebie niezrozumiałe są takie wrażenia, co to uderzają jak gromy, jak błyskawice wdzierają się w samą głęb' istoty człowieczej? Spojrzysz w białą twarz, wpatrzysz się w błyszczące oczy, dotkniesz drobnych paluszków i, ani się spostrzeżesz, jak w tym jednym mgnieniu oka wkradnie się do serca twego miłość.

— Miłostka, Cypryanie — zarzucił Lucyan.

— Czemuż nie miłość?

— Tak, miłostka tylko: bo miłość ma szersze podstawy, niż rzut oka na białą twarzyczkę i błyszczące oczy, niż dotknięcie drobnych paluszków. Za piękną twarz i białą rączkę kochać możesz dziś pannę Helenę, jutro pannę Klarę, pojutrze panią Zofią, Marylą lub Adele; a jeśli każde z tych uczuć o motylowym żywocie zwać będziesz miłością, cóż będzie miłostką?...

— Surowo sądzisz młode i tak zwyczajne u ludzi porywy, mój Lucyanie. Ale, mówiąc na seryo, wyznaję, że, i według mojego zdania, niegodną człowieka jest rzeczą robić ciągłą zabawę z tego, co ma być jedną ze składowych części poważnej treści całego życia. Nie sądzę, aby dobrze było rzucać serce na wszystkie wichry i, w tej kosztownej igraszce, tracić fizyczne i moralne siły. Lecz, mój Lucyanie, grzechy i wady pojedynczych ludzi biorą źródło z ogólnego ustroju społeczeństwa. I czyż nie widzisz, że wielu z nas pije ambrozyą łatwych miłostek, jako antydot przeciw poczuciu wielkich bólów, którym zapobiedz nie jesteśmy w mocy? że gdy przed nami zamykają się szranki, w których moglibyśmy w ruch i czynność wprawić żywotne siły nasze, składamy skarby myśli i serca na bank pięknych oczu i drażniących wrażeń, aby nie udusić się własnym wewnętrznym bogactwem i nie zmartwić całkiem przy jedzeniu obiadów i paleniu cygar, dwóch działaniach, jakie ze wszelką swobodą wykonywać możemy?

— To jest — odpowiedział Lucyan — aby rozerwać próżnowanie i zapomnieć o rzeczywistości, upajacie się miłością, jak, wśród próżniactwa haremu i pod groźbą jedwabnego stryczka, Turek upaja się narkotykiem. Ale strzeżcie się! bo jak Turcy po zażyciu opium usypiają ze skrzyżowanymi nogami, tak wy, pijąc ciągle słodką truciznę, możecie usnąć z założonymi rękoma, a wtedy biada wam, bo na długo zamienicie się w Turków, i jedynym szczęściem, jedyną nagrodą, o jakiej wam marzyć będzie wolno, będą czarne oczy huryszek.

— O mój ty filozofie, czyżes nigdy nie kochał? — śmiejąc się, zapytał Cypryan.

— Dotąd nie miałem na to czasu ani sposobności.

— Tém gorzej dla ciebie. Przyjdzie kréska na Matyska. Rozkochasz się kiedy okropnie.

— Więc czemuż tém gorzej?...

— Ha! bo to widzisz, mój drogi, naleźymy podobno w tym względie do dwóch przeciwnych biegunów świata. Ja, w mojem swobodném i hulaszczém życiu, niejednę już ogniową przebyłem próbę i żadna jakoś nie oparzyła mnie bardzo. Kochałem, szalałem, zalecałem się, porzucałem, mnie porzucano, a z tego wszystkiego wyszedłem, jak widzisz, zdrów i cały, i gotów znowu jak motyl lecieć w płomień. Ale z tobą inaczej być musi.

— Zkąd to wnosisz?...

— *Primo* ztąd, żeś dotąd nigdy nie kochał, a wybuch materyi palnych, im dłużej wstrzymywany, tém silniejszy; *secundo*, że ci z oczu Werter patrzy; *tertio*, że, siedząc tam w swojej mieście, zakochasz się z rozpaczy, a wierz mi, że niema straszniejszej miłości, jak ta, której się człowiek uchwyci, wedle poetów, jak deski zbawienia, a według energicznego wyrażenia ludu, jak pijany płotu.

— A wola i rozum od czego?

— A namiętności i młodość od czego?

— W imię zdrowego rozsądku, odejdz ode mnie, szatanie, z dyabelską mową twoich przepowiedni! — zaśmiał się wesoło Lucyan. — Szkoda, że niema tu wody święconej, abym cię mógł odzégnać.

— A może jeszcze i wierzy święconej, co? to śliczna perspektywa. Ale wolę nie czekać, abyś mię jak złego ducha ztąd wypędził i sam umknę. Mam wiele do załatwienia na mieście, a około wieczoru przyjdę po ciebie i pójdziemy razem do Teatru Wielkiego; dają dziś Trubadura. Do zobaczenia, stoiku, medyku, filozofie, a nadewszystko przyjacielu!...

Kiedy zamknęły się drzwi za Cypryanem, Lucyan usiadł przy stole i zaczął pisać list, na którego początku były słowa: „Moja droga matko!”

Skończył, ale nie wypuszczał z ręki pióra; przez chwilę bawił się niém machinalnie, pogrążony w myślach, aż nakoniec z kieszeni surduta wydobyl czarno oprawną, wpół zapisaną księżeczkę i począł w nię pisać drobném i szybkim pismem, te słowa:

„Cypryan mówił, że ludzie, mający dla władz swoich zbyt ciasny zakres działania, umieszczają żywotne siły swoje na banku łatwych miłostek, dla tego, aby uzewnętrznić cośkolwiek ze swęj treści wewnętrznej, aby się nie udusić wewnętrzném, własném bogactwem. Nie, on nie ma słuszności, w ten sposób usprawiedliwiając to trucie się powolne i bezużyteczne. Z wolą i wytrwalością każdy pole działania wynaléźć sobie może i powinien. Tak, powinien; ale znowu z drugiej strony, czyż może być sroźsza męczarnia, jak żyć w sferze za ciasnej dla myśli swojej i siły, jak widziéć marnujące się bez użytku skarby działalności swojej? I czy wówczas, gdy zewnętrzne okoliczności krepują rozwój człowieka ducha, niby w żelazną klatkę okuwając lot jego, czy wówczas duch ten nie zawrze zgubnymi namiętnościami i nie zbuntuje się przeciw woli, która zechce go poddać spokojnym warunkom codziennych spraw i tak zwanych codziennych cnót? Bodaj i tą razą, jak zawsze, potępić należy tylko źródło, z którego grzech płynie, a o grzesznikach rzecz słowa Chrystusa: «kto z was bez grzechu, niechaj rzuci kamieniem». Bo któż, niewinny i silny wczoraj i dziś, zaręczyć może w sumieniu własném, że takim zostanie jutro, jeśli go zgubne okoliczności ku téj samęj, co innych, otchłani pociągają będą?

Ileż razy w bezbarwném, ciemném, gorzej niż to, bo w brudném otoczeniu, w jakim postawiła mnie powinność, ileż razy, wśród odgłosów i widoków tak bardzo rażących wszystkie sympatyje i pragnienia moje, czulem wrzącą w piersi głuchą niecierpliwość. Ileż razy myślą wychodziłem po-za ciasny obręb mojego działania i w marzeniu widziałem otwierające się przede mną pole szerokiego czynu, pole działania, pełne zapór i trudów, ale w których końcu był cel, zrodzony z wielkiej jakiejś idei. Ileż razy, w długich marzeniach takich, podnosiłem myślą zaslonę przeszłości i widziałem, jak na krańcu widnokregu każdego dziesiątka lat niebo coraz bliżej było ziemi, dobro i prawda coraz bliższe ludzi. I drżałem cały żądzą oddania sił moich wszystkich dla zbliżenia błogosławionej chwili, którą widziałem oczyma proroczego ducha, i obejmowało mnie pragnienie pójścia w świat, wzmożenia się wolą i wiedzą i torowania sobie drogi wśród tłumów. I pragnąłem wówczas walczyć i cierpieć, choćby wszystkimi mękami potępieńca, byle żyć całą pełnią myśli i czynu, byle działać! działać!...

Pytałem nieraz samego siebie, dla czego inni spokojnie, szczęśliwie nawet żyją, w tych samych warunkach, w których mnie tak duszno i ciasno? Wszak i tam, gdzie jestem, czuję się użytecznym i potrzebnym, czas mój nie mija marnie w próżniactwie, bieda materyalna mnie nie dotyka. Połowa tego, co posiadam, moralnie i materyalnie, zadowolili-by wielu ludzi; czemuż więc mnie dziwna jakaś siła gna w szersze przestrzenie? Niejeden gdyby znał moje myśli i targania się wewnętrzne, nazwał-by mnie szaleńcem, marzycielem. A jednak, nie jestem ani jednym, ani drugim; wiem, czego pragnę, znam właściwe dla siebie drogi, i dla tego, że te drogi zamknięte są przede mną, duszę się, jak w klatce. Każdy, kto badał otchłanie, jakie natura ludzka zawiera w sobie, pojmie, co to jest męka skrępowanego ducha, męka energii, która, nie znajdując pola dla siebie, jak rdza żelazo, najhartowniejsze nawet serce przejada.

Niekiedy czuję, jak mi w piersi rwie się coś i jęczy, jak niezaspokojone pragnienia obejmują mi szyję krogulczemi szpony, jak cała moc mojej istoty domaga się jakiegoś wielkiego czynu, albo jakiejś wielkiej miłości.

I w chwilach owych, opanowany szałem, z głową rozsadzoną płomieńmi, z piersią pełną burz, pragnąłem znaleźć antydot przeciw truciznie własnych myśli i ponieść do ust czarę choć-by z mętem i żółcią, aby tylko uciec od straszniejszej nad wszelkie inne żądze, żądzę czynu i światła.

Wtedy tyś przechodziła koło mnie, matko moja, poważna twemi srebrnymi włosy, święta cierpieniem dla mnie poniesioném; patrzyłem na ciebie i nakazywałem milczenie burzom moim, i stawałem się znowu silnym i mężnym.

Tak dotąd bywało; ale czy zawsze tak będzie? czy, na synowskiej miłości wsparty, zawsze zwyciężać będę?

Patrzę w siebie! Tam, w samej głębi piersi, czuję ciągle nieużyty jakąś siłę. Zgaśnież ta siła, czy pierś mi rozsadzi i serce mi pęknie?...

O, matko moja!"

III. W TEATRZE

W sali Wielkiego Teatru Warszawy, wśród ciszy wsłuchanych w melodię tłumów, rozległ się śpiew ulubionej śpiewaczki. Na scenie Cyganka, matka, z rozwianym włosom, z oczyma palającymi rozpaczą i żądzą zemsty, opiewała nieprzebolełą stratę ukochanego dziecięcia. Pomiedzy tłumem słuchaczów i widzów, ze skronią opartą na dłoni, z oczyma utkwionemi w przestrzeń, siedział Lucyan Dolewski. Nie patrzył on, ale słuchał, słuchał i znać było, że śpiew przenikał go do głębi, tysięcznym uściskiem owijając mu serce. Z pod czarnych jego włosów na czoło mu wystąpiły silnie pulsujące żyły; z głębokich oczu, z pod wpeł przymkniętych powiek, wymykał się niekiedy tłumiony ogień; pierś mu się podnosiła szybkim i nierównym oddechem. Bolesnie snąć wstrząsnęły nim namiętne tony śpiewu, ale snąć też lubował się on tym bólem, jak cierpką, gorączkową rozkoszą.

Obok niego Cypryan, odwrócony od sceny, nie słuchał, nie patrzył, zachwyconém okiem spoglądając w lożę, w której siedziały trzy kobiety. Dwie z nich, młode dziewczeczki, w białych sukniach i z kwiatami w jasnych włosach, wyglądały jak Rafaelowskie ideały, obok siedzącej między niemi kobiety. Ta ostatnia ubrana była w suknię z ciemnego aksamitu, odkrywającą ramiona jęj i szyję, zdobną w dwa sznury, wielkim brylantem zamkniętych, pereł. Na obnażonych jęj rękach, godnych Fidyaszowego dłuta, niby na karyjskim marmurze wschodnie arabeski, wiły się węże złotych bransolet. Niedbale wsparta o poręcz krzesła, głowę, obciążoną warkoczami ciemno-kasztanowatych włosów, nieco w tył odrzuciła i wielkimi błyszczącemi oczyma patrzyła na Cypryana. W ręku trzymała bukiet białych róż i takiż kwiat błyszczał nad jęj czołem, migocąc, przytrzymującym go we włosach, szmaragdem. Cała postać téj kobiety wyrażała świetną, pewną siebie piękność; bogactwo form i bogactwo brylantów wiązało się w nięj w całość, z której wiało rozkoszne jakieś, drażniące i wabne tchnienie.

Przebrzmiały śpiewy; skończył się akt przedostatni. Lucyan obudził się z zamyślenia i rozglądał po teatralnej sali. Cypryan dotknął jego ręki i rzekł z cicha:

— Lucyanie, spójrz w lożę piątą od sceny na prawo: kobieta w aksamitnej sukni — to ona.

— Kto? — spytał roztargniony jeszcze doktor.

— Kameleon — odpowiedział Cypryan.

I obadwaj zwrócili się ku piątą łóż od sceny. Ale, niestety! w chwili, gdy zamieniali ze sobą powyższe wyrazy, piękna kobieta wstała i, owinięta już szalem, opuściła łożę. Za nią wyszły dwie towarzyszące jej panienki i Lucyan nie zobaczył nic więcej, prócz trzech białych szalów. Cypryan jednak spostrzegł, że siedzący obok niego, nieznajomy mu młodzieniec, przesłał ukłon ku ową łóż i tak był pogrążony w zachwycie, że kłaniał się i wtedy jeszcze, gdy łoża była już pustą. Cypryan patrzył na niego, parę razy otworzył usta i wahał się, aż wreszcie, z grzecznością zwracając się ku niemu, rzekł:

— Przepraszam pana, że nieznajomy przemawiam do niego; ale czy nie chciałbyś mi pan powiedzieć, kto jest ta pani, której się przed chwilą kłaniałeś, a która opuściła łożę?

Nieznajomy młodzieniec zwrócił ku mówiącemu łzawe spojrzenie, przetarł ręką czoło, wstrząsnął długimi włosami i odpowiedział głosem, w którym drgało najwyższe politowanie:

— Jak-to! pan jój nie znasz?!

— Właśnie... — zaczął Cypryan.

Ale nieznajomy przerwał mu, wznosząc oczy ku płonącemu w górze świecznikowi:

— Jak-to? pan jój nie znasz? — powtórzył. — I na jakież pustkowie, nierozświecone jój bożkiem obliczem, rzuciły pana zawistne losy?

— Nie znam tej pani z prostą przyczyną — odparł Cypryan — żem rok prawie cały przebył za granicą, a przed wyjazdem moim nie mieszkała tu ona zapewne.

Młodzieniec słuchał go, zawsze z wyrazem najwyższego zdumienia, a gdy skończył mówić, pochylił się ku niemu i rzekł z tajemniczą miną:

— Wiész pan, kto ona jest?

— Jest to właśnie wszystko, czego dowiedzieć się pragnę.

— Sfinx — szeptał nieznajomy — tajemnica.... anioł i szatan...

— Ale chciałbym się dowiedzieć, jak się nazywa.

— Ułożyłem na cześć jój trzy tysiące wierszy; ona mnie podniosła na sam szczyt Parnasu.

— Niczego się nie dowiem — szepnął Cypryan do Lucyana.

— Wiek nasz — rozpoczął znowu poeta — przeznaczony jest dla szczytnych polotów ducha...

— Ależ panie, chciój mi powiedzieć nazwisko tej pani, bo wnet rozpocznie się akt ostatni.

— Tłum zwie ją Kameleonem, ja nazywam ją bóztwem.

I uderzył się wskazującym palcem w piersi, jakby chciał tym gestem uwydatnić to swoje poetyckie *ja*.

— Czy słyszysz — szepnął Cypryan do Lucyana — wyraźnie nazywa się Kameleon.

Po skończeniu ostatniego aktu opery, dwaj przyjaciele mieli się ku wyjściu, gdy poeta zagroził im drogą wysoką, cienką i długo-włosą swoją postacią.

— Panie — rzekł, zwracając się do Cypryana — z oblicza twego czytam, że jesteś zwolennikiem muz, że nie należysz do synów ciemności i materyi, którzy świętokradzką nogą odpychają perły poezyi.

— Panie... — zaczął Cypryan.

— Tak — mówił dalej poeta, podnosząc głos i nie zważając, iż potrącał go wychodzący z teatru ludzie — tak, przeczuwam w panu mojego duchowego brata i dla tego nie chcę, abyś pozostał w niewiadomości co do mojego nazwiska. Jestem Pantaleon Kwiatkowski, poeta.

Cypryan uklonił się lekko.

— A idąc za przykładem dawnego wieszczu naszego, Acerna, który nieśmiertelne imię swoje wziął z państwa roślinnego, nazwałem siebie: *Convalius Convaliorum*.

— *Asinus Asinorum* — szepnął Cypryan do Lucyana.

— To imię znajdziesz, bracie duchowy, na piérwszój karcie każdego z utworów moich. Mieszkam przy ulicy Ptasiój, w domu N.

Cypryan uklonił się znowu w milczeniu.

— Teraz ty, bracie duchowy, powiedz mi swoje doczesne zwanie i kędy obrałeś sobie siedlisko, abym mógł przybywać niekiedy w progi twoje i zasilać cię owocami swojego ducha.

— A to plaga! — szepnął znowu Cyprian do przyjaciela i głośno dodał: — Jestem Karłowski, mieszkania stałego nie mam, bom przed chwilą dopiero przyjechał do Warszawy.

— A więc nawiedz kiedy moje progi, abym ci mógł ukazać wszystkie moje skarby.

— Nie zaniedbam tego uczynić. Tymczasem żegnam pana, bo zaczynają gasić światło w teatrze.

Przemocą prawie usunąwszy barykadę, złożoną z ciała poety, żywo postąpił ku drzwiom.

— Dyabli rzucili na moją drogę tego poetę! — rzekł, uszedłszy kilka kroków — niczego się porządnie dowiedzieć nie mogłem, oprócz, że istotnie nazywa się ona Kameleonem.

— Dziwaczne nazwisko — rzekł Lucyan.

— Niezmiernie dziwne, ależ dziwna też to być musi kobieta! Co za wyraz twarzy, jakie oczy! Dziwi mię, żeś nie zwrócił na nią uwagi.

— Nie patrzyłem dziś na kobiety; śpiew pochłonął mnie zupełnie.

— Zimny jesteś, Lucykanie.

— Tak, zimny jestem — krótko odpowiedział Lucyan.

Ale światło latarni, spływające nań w chwili, gdy to mówił, zadało fałsz jego słowom, bo odkryło twarz, zalaną rumieńcem wzruszenia i oko, płonące ogniem rozkołysanej muzyką wyobraźni. Szli w milczeniu, tylko niekiedy Cyprian nucił pół-głosem francuską piosenkę:

*Mon Dieu, mon Dieu,
Comme elle est belle!
Avec ses yeux
Noirs si doux.*

IV. Z DZIENNIKA KOBIEТЫ

Lata już minęły, jak po rozlicznych drogach blasku i rozkoszy unoszę się niby motyl, wysysając miód ze wszystkich kwiatów życia, a jednak... jednak... o! jak samotną, jak nieszczęśliwą jestem niekiedy!

Nie pierwszy to już raz, gdy zrzucam z siebie bogate suknie a z włosów wyjmuję kwiaty i brylanty, gdy zostaję sam na sam z sobą, pytam siebie zdziwioną myślą: kim jestem? jakimi chodzę drogami i dokąd wiodą mię one? I według słów poety: na płacz mi się zbiera, gdy snuję nitki mojego żywota!

Dziwię się samej sobie, dla czego mi tak smutno i źle? Natura moja dwoista jest jakaś: anioły i szatany klócą się w mojej piersi; miewam chwile szału i upojenia, w których zapominam o wszystkim, a jednak najczęściej jestem w niezgodzie z samą sobą. Kiedy wrażenie jakie mnie ogarnia, lecę za jego popędem na oślep; kiedy znowu potem myślę o tém, co uczyniłam, płacząc i czołem w proch uderzam. Wiem, że drogi moje są złe, a zejść z nich nie mogę, bo w piersi méj płoną ognie namiętności zgubnych, a w oczach mam iskry wiodącej ku mnie pokusy.

I nie dziw, że ludzie nazwali mnie Kameleonem, bo to imię zwierzęcia, coraz inną migocącego barwą, jest w istocie najlepszym określeniem kobiety, której każda chwila inne przynosi wrażenie, której miłości mają trwałość motylowego życia, której łzy, spędzając z ust uśmiech, gotowe są natychmiast przed uśmiechem znów ustąpić.

Niegdyś matka moja, oblekając mię białą chrztu sukienką, inném mnie nazwała imieniem; dziś od świata i ludzi otrzymałam nową nazwę, jako wyraz zmienności i zepsucia.

Dziwna, straszna jestem! Rozdzieliłam się na dwie istoty, z których jedna usuwa się z pod panowania drugiej; jedna szaleje, druga, walcząc z nią, kaleczy się, upada i płacze. Z całą piekielną mocą swoją wcieliło się we mnie odwieczne pojęcie walki żywiołu złego z dobrym żywiołem. Anioł przed szatanem ulatuje wciąż ze mnie i powraca, aby znowu zajęć w piersi mojej i znowu odlecieć.

Pamiętam, że kiedy byłam bardzo jeszcze młoda, złe głosy ciche we mnie były i słabe. Potém, niestłumione pracą ni wolą, potężniały, moc ich porywała mnie gwałtowniej coraz, aż porwała wreszcie w uścisk szatańskiego wiru i, upojoną, ogarniętą płomieniami, położyła na posłaniu z róż.

Lata płynęły... i milczały we mnie wszystkie wspomnienia i natchnienia dobre... gdy raz, było to na wsi, wśród pól szerokich, wśród pól moich rodzinnych, po długiej, burzliwej podróży, ujrzałam znowu miejsce, w którym się urodziłam, w którym byłam niegdyś młoda sercem i nieskalana. Zmrok zapadł, niebo pogodne było, choć blade, a ja sama jedna szłam drogą, wiodącą wśród zboża i kwiatów polnych, ku wzgórzom i lasom. Szłam bez celu; pełną piersią oddychałam wiejskim, rodzinnym powietrzem, okiem błędziłam po szerokiej przestrzeni pól, a uchem ściagałam dalekie, przeciągłe echa pastuszych pieśni.

Smutna byłam, nie wiedząc sama czego: tęskniłam za czémś, ale nie za gwarem, którego-bym w owej chwili znieść nie mogła; pragnęłam czegoś, ale nie owych wrażeń, od których do ciszy wiejskiej uciekłam. Idąc, myślałam, że chciała-bym jeszcze być dzieckiem małym, albo stracić pamięć przeszłości, albo zamienić się w ptaszynę, która się obok mnie w zbożu poruszała. I myślałam jeszcze: dla czego tak wcześnie umarła matka moja? dla czego nie mam siostry? i myśląc o tém wszystkiém, szłam długo, powoli, aż stanęłam przy wzgórzu, u którego stóp była chatka jednego z moich sług. Cicho było wkoło niej; pod otwartymi oknami kwitły na grządkach nagietki i maki, a w ogródku brzmiało buczenie chrząszczów i świerkanie koników polnych. Nagle, z wnętrza chaty doleciał uszu moich śpiew cichy, monotony, taki, jakim matki usypiają dzieci w kołysce. „Luli dziecię, luli, śpij dziecinko moja, luli, luli!” śpiewał głos kobiecy, płynął przez otwarte okna, drżał w cichém powietrzu, a z pod krawca widnokregu odpowiadać mu się zdawały smętne, dalekie akordy surm.

Stałam, słuchałam i budziły się we mnie odległe, odległe jakieś wspomnienia... Wbiegłam na wzgórze, na którym, między płaczącymi brzożami, stał krzyż wysoki, i obejrzałam się wkoło. Przede mną, za szeroką przestrzenią pól i łąk, pomiędzy gęstą zielenią ogrodów, stał cichy dom mój rodzinny. Otaczały go ciemne, wysokie jodły i jedna wielka gwiazda zawisła nad nim na niebie. Za mną milcząca i nieruchoma stała ściana lasów, a z innej jeszcze strony, daleko, daleko, na tle mroku, błyszczwały srebrzyste krzyże cmentarza i białął pomnik mojej matki. Patrzyłam... i coraz bardziej budziły się we mnie wspomnienia; żał mi jakiś ogarniał. Zapragnęłam wtedy przytulić się do kogoś, wypowiedzieć komuś najskrytsze głębie ducha, wesprzeć się na kimś; ale, niestety! wielu na świecie ludzi mnie wielbiło, wielu mi pochlebiało, ale nikt mnie wyłącznie, serdecznie nie kochał. I robiło mi się coraz rzewniej i smutniej; nogi pode mną drżały, łzy napływały do oczu; osunęłam się na murawę, ramionami objęłam drzewo krzyża i czołem uderzyłam o ziemię, a śpiew z chaty dochodził mnie ciągle, cichy i jednostajny, aż póki nie zagłuszyły go łkania moje.

W owej chwili zbudziłam się, spojrzałam w przeszłość moją, w terażniejszość i w przyszłość, i zadrżałam zgryzotą i obawą. Od owej chwili poczęły się dla mnie walki; chcę powstać i ciągle upadam; ścigam ideał dobra, a jednak, jak z otchłani w otchłań, z grzechu w grzech leczę; zawsze szczęśliwa na pozór, a w duszy rozżalona, świetna na zewnątrz, wewnątrznie posępna, drżąca rozkoszą niby, a w istocie niezaspokojona nigdy, nigdy nie nasycona, jak pokutnica dantejskiego piekła, ze skały na skałę wściekłym miotana wichrem.

Dla czego dziś głośnieję, niż kiedy, sumienie woła na mnie, abym zdała mu sprawę z mojego życia? Może dla tego, że dziś właśnie skończyła lat dwadzieścia pięć, że więc znowu jeden rok młodości mojej przeminął. Zdaje się, że nadchodzi już dla mnie ta pora zmęczenia, w której człowiek, długo za rozkoszą i wrażeniami goniący, spostrzeże, iż one otoczyły go pustką tylko i poczyna szukać cienia, który-by ochłodził jego, spalone gorącą kąpielą życia, czoło.

Skończyłam dziś lat dwadzieścia pięć. Jakże czas szybko leci! a podobno każdy rok upłyniony zbliża człowieka ku starości. Starość! o, straszna to rzecz! Mieć pomarszczoną twarz, siwe włosy, zagasłe oczy, to coś przerażającego! A jednak, dziś jeszcze widziałam starą kobietę, wspierającą się na ramieniu syna swojego, i widziałam szczęście na jej twarzy, i niezawodnie piękna była powagą macierzyństwa i zasług swoich. Ale mnie każdy rok upłyniony nie do takiej spokojnej i poważnej zbliża starości. Kiedy czoło moje straci białość, usta zbledną, oczy zagasną, wtedy odstąpią mnie wszyscy, dla których dziś jestem cackiem, albo przyjemnym przepędzeniem czasu, i zostanę na świecie, jak wśród pustyni... żadnym sercem nie kochana, nie czczona przez nikogo, bez zasługi, bez pracy dokonanej, z pustą piersią i pustymi dłońmi. I cóż mi zostanie na te długie lata, dzielące młodość od grobu, na tę szarą godzinę życia? Może ukocham papugę jaką i nauczę ją, aby mówiła

mi: „piękna jesteś!” gdy ludzie mówić mi to już przestaną; albo na kolanach piastować będę parę wiernych piesków, pudelków długouchych; albo pójdę przed ołtarze skarżyć się Bogu, żółci pełnemi usty, na świat, który mię odstąpił.

Ha, dziwne myśli! zkąd mi one przychodzą? Wszak tylu ludzi mówiło mi dziś, że jestem piękna, coraz piękniejsza... a jednak nudzi mnie już to wszystko.

Przyjechałam tutaj, sądząc, że się będę jak dawniej bawiła, a dwóch dni dosyć było, abym się znudziła śmiertelnie. Im więcej wpatruję się w świat, im starsza jestem, tym wyraźniej widzę, że to, za czém gonię, jest śmieszne i głupie. Poklask ludzi, zdobyty blaskiem piękności zewnętrznej i bogactwa, owe hołdy salonów, słowa najwyszukańszej grzeczności, to są niby podeszłe w latach zalotnice, u których, pod świetnym strojem, szpetność i próżnia znajdziesz. Zaczynam postrzegać, że ludzie wyrazy uwielbienia i miłości, jak tuzinkowe towary, bez myśli rzucają na woskowane posadzki salonów, że mówią oni o miłości, gdy za chwilę zapomnieć mają, o uwielbieniu, gdy za chwilę błotem obrzucają.

Widzę to wszystko i dla tego świat błyszczący, gwarny, traci dla mnie powab, dla tego coraz bardziej zasłona opada mi z oczu. Nieraz, gdy patrzę na otaczających mnie ludzi, wydaje mi się, że jestem na maskaradzie: pod maskami dopatruję rzeczywistych twarzy i często przed badawczym moim wzrokiem dzwonki brzęmiących wyrazów i błyskotki pożyczanych blasków opadają z arlekinów i ukazują mi nagie szkielety głupstwa i nicości.

Widzę więc jasno ten świat, który mię otacza, a jednak oderwać się odeń nie mogę. W latach szału i swawoli rozkołysała się wola moja i nie może teraz odnaleźć swego punktu ciężenia, aby się na nim, jak na kotwicy, raz już zatrzymać.

Zmęczoną się czuję, smutną a bezsilną. Powiadają, że nieraz miłość prawdziwa podnosi z upadku. O, gdyby miłość taka przyszła ku mnie!

Nieraz już w życiu, pod wpływem wrażeń, którym, jak wiotka trzcina, poddawać się zwykłam, gorącą rękę składałam w rękę mężczyzny i drżącemi usty szeptałam wyraz: „kocham!” Ale czym istotnie kochała? Sądzę, że wyobraźnią tylko i krwią, nigdy sercem; bo jeden podmuch wiatru, jedno nic, dostateczne było, aby myśli moje, wrażenia i pragnienia w inną stronę zwrócić a po tém, co minęło, zostawał mi albo niesmak głęboki, albo przelotne zaledwie wspomnienie. Ale poddając się tak uniesieniom chwilowym, oblekając w formy uczucia to, co wrażeniem tylko było, musiałam zapewne wiele serc skaleczyć, wiele bólów sprawić. Chociaż znowu z drugiej strony wiem najpewniej, że nikt z mojego powodu nie zastrzelił się i nie zwaryował. Alboż ludzie umierają dziś z miłości, a nawet alboż umierali z niej kiedykolwiek?!...

Możem już tak rozproszyła wszystkie siły mojego serca, że inaczej niż dotąd kochać nie potrafię. Alboż ja wiem?... O mój Boże, tak źle chyba nie będzie! czuję, że mam jeszcze gorące, bardzo gorące pragnienie dobra; a jeśli nie omyje mię chrzest miłości, nigdy dosięgnąć tego dobra siły mi nie stanie!

V. W KOŚCIELE

Lucyan Dolewski siedział w swoim hotelowym pokoju, przeglądając nabyte przed chwilą książki, gdy we drzwiach ukazał się Cypryan Karłowski.

— Cypryanie! — wpół żartem, wpół seryo powitał go Lucyan — zdaje mi się, żeś zmizerniał od dnia wczorajszego. Byłżebyś już naprawdę zakochany?...

— No, zakochany jeszcze niezupełnie, ale widzisz, Lucykanie, ciekawość mię dręczy. W całym spotkaniu moim z tą kobietą jest coś niezwyklego, coś, co zakrawa na awanturę; a może być rzecz bardziej drażniąca i powabna nad awanturę i tajemnicę w naszym wieku, którego realizm ze wszystkiego uroku dawniej romantyczności odarł towarzyskie stosunki ludzi?

— Może żałujesz, żeś się nie urodził w średnich wiekach? — zaśmiał się Lucyan — dzielnie-byś kruszył, zaprawdę, kopie za damę swoich myśli... ach, omyliłem się, swoich marzeń!...

— Mów, co chcesz, a ja wiem, że dałbym kilka lat życia, aby się dowiedzieć szczegółów o téj kobiecie, aby mózż ją poznać.

Po półgodzinnej rozmowie, Cypryan oddalił się niespokojny, rozdrażniony spotkaniem niepowodzeniem, a Lucyan bez celu wyszedł na ulicę. Mijając jeden z wielkich

i pięknych kościołów, przypomniał sobie, że, jako o arcydziele sztuki rzeźbiarskiej, słyszał i czytał o złożonym tam, a wysłym z pod dłuta znakomitego artysty, posągu Chrystusa. Rozmówiony w pięknie, młody doktor kochał sztukę i lubił ją badać w różnych jej przejawach. Wszedł więc do kościoła. Świątynia, w godzinach owych otwarta dla pobożnych, chcących odmawiać wieczorne modlitwy, pustą jednak była; głąb' jój cicha, wspaniała, tonęła w mroku, na którego tle lśniły tylko białe u ołtarzy posągi i złociste skrzydła zawieszonych nad niemi aniołów

Lucyan wiedział, że posąg, który go tam sprowadzał, znajdował się w jednej z bocznych kaplic; dążąc więc ku niéj, szedł zwolna przez kościół, a kroki jego, uderzając o kamienną posadzkę, głuchém i przeciąglém echem rozlegały się śród milczenia wysokich sklepień. Ta cisza głęboka, po gwarze, jakim przed chwilą otoczony był na ulicy, uderzając go swą sprzecznością, uroczyście nastroiła poetyczną i wrażliwą myśl młodego człowieka. Wszedł do kaplicy.

Światło kończącego się dnia padało słabo przez wysokie i wąskie okna; u stropu drżała lampa, jakby lecący ku niebu płomyk ofiarny. Powietrze pełne jeszcze było woni palonych tam zrana kościelnych kadzideł, owéj woni, która nasuwa myśl o jakiejś bladéj, leżącój w trumnie twarzy umarléj. W głébi kaplicy, w pół-mroku, na szaréj kamiennéj posadzce, białą marmur posągu; między nizkiém żelazném otoczeniem, biała i nieruchoma, dłutem mistrza urobiona, leżała postać złożonego w grobie Chrystusa. Nad głową posągu, szczytami tonąc w ciemnéj głébi sklepienia, stały dwa białe filary, jak-by skamienieli stróżowie, strzegący niegdyś świętój mogiły.

Lucyan stanął nad posągiem, wpatrzył się w doskonale wyrobione kształty i w twarz Chrystusa, z którój śmierć nie zdjęła wyrazu boleści konania i świętości Bożkiéj natury. Powoli z posągu oczy jego przeniosły się w górę, utonęły w mrocznéj głébi sklepienia i spoczęły na lampie, drżącój gdzieś wysoko światłem białawém.

Tak stał dość długo, objęty uroczystością ciszy i cieniów kościelnych, gdy nagle o słuch jego uderzył jakiś odgłos, którego z razu nie zrozumiał dobrze: było jakby jęk, wychodzący z za jednego ze stojących nad głową posągu filarów. Lucyan wsłuchał się pilnie i po chwili rozpoznał wyraźnie, iż było to łkanie.

Stał, słuchał i nie wiedział sam, co ma uczynić: odejść, lub zobaczyć, czy kto nie potrzebuje pomocy? Gdy tak się namyślał, z za filaru wyszła kobieta; czarna jój suknia długa i ciężka, z szelestem sunęła się po posadzce. Smukła i ze schyloną głową, postąpiła kilka kroków, profilem zwrócona do młodego człowieka, stanęła obok jednego z filarów, załamała białe, obnażone z rękawiczek ręce i nad posągiem, śmierć przedstawiającym, stała jak posąg smutku, pogrążona w zamyśleniu i łzach, nie widząc stojącego o kilka kroków od niéj mężczyzny. Czarna koronkowa zasłona spadała tylko na jój czoło, nie zasłaniając dużych, w posąg wpatrzonych oczu i łez, które po białéj twarzy staczały się w napół otwarte, lekko drżące usta. Stała tak rozplakana, lecz cicha, i tylko niekiedy tłumione łkanie piersi jój podnosiło. Lucyan patrzył... i przejmowało go dziwne uczucie litości, sympatii, gdy nagłym ruchem kobieta osunęła się na kolana, objęła ramionami filar, pochyliła się aż ku jego podstawie, czołem uderzyła o kamień posadzki i znów zapłakała gwałtowném, ale cichém, łkaniem.

Lucyan czuł ogarniające go dziwne wzruszenie. Ta postać kobiety, ugięta pod ciężarem wielkiéj jakiejś boleści, to uderzenie białego czoła o kamienną posadzkę, ten cichy jęk, śród ciszy otaczającój białą i nieruchomą postać Chrystusa, — wszystko to rozpalalo mu wyobraźnię i napełniało głowę dziwaczniemi obrazami. Przypomniał sobie, płaczące niegdyś u grobu Chrystusa, czystą Maryą i grzeszną Magdalenę, i zapytywał myślą, czy kobieta, którą widział przed sobą, do piérwszój podobna jest, czy do drugiéj?

Chciał odejść, ale nie podobném mu się wydało zostawienie téj kobiety saméj jednéj, w stanie, w jakim ją widział. Stał więc i patrzył na nią ciągle i po chwili zobaczył, że postać jój stała się całkiem już nieruchomą i niemą. Może zemdlala, myślał, i po niejakiém wahaniu się postąpił i schylił się nad nią. Kobieta nie słyszała jego kroków.

— Może pani potrzebuje pomocy? — rzekł z cicha, a w słowie jego drżało łagodne spólcucie.

Kobieta drgnęła, ręce jój rozplotły się i od filaru odpadły, jakby bezwładne; podniosła zwolna głowę i utkwiała spojrzenie w pytającego.

— Co pan mówi? — spytała, a słowa te wypłynęły z jój ust bladych, ledwie dosłyszonym szeptem.

— Pytałem — odrzekł Lucyan — czy nie potrzebuje pani pomocy. Widząc panią schyloną i nieruchomą, myślałem, że pani może zemdlą.

— O! nie, mam się zupełnie dobrze — głośnieję już odpowiedziała kobieta. — Dziękuję panu, bardzo dziękuję!

I mówiąc to, utkwiała w twarzy młodego człowieka łzą zasłone spojrzenie dwojga wielkich, ciemnych oczu. Po twarzy jój biegły dwa wilgotne ślady świeżych łez; z czoła zsunęła się zasłona i spadała z tyłu głowy, jak przezroczysta tkanka, jaką malarze zdobią głowę Madonny; skronie ocieniały rozwiane, ciemno-kasztanowate włosy. Klęcząca i cała jeszcze drżąca, niewypowiedzianie była piękną, jakąś smutną a magnetyczną pięknnością. Lucyan patrzył na nią, serce mu biło gwałtownie i nie miał siły odstać od niej. Ona sama powstała z wolna, raz jeszcze, patrząc na niego, powiedziała: — dziękuję! — i, zarzuciwszy zasłonę na twarz, wyszła z kaplicy.

I Lucyan wyszedł za nią i patrzył, jak powoli przechodziła przez kościół. Smukła jój postać lekkim cieniem przesuwała się pomiędzy białymi filarami, a ciężka suknia szelestem wtórowała cichym i jednostajnym odgłosom jój stąpań.

Zniknęła za szerokimi, na ulicę wiodącymi, drzwiami kościoła, a Lucyan stał jeszcze długo, zasunięty we framugę od drzwi kaplicznych, wzruszony, bezwiednie ścigając okiem łamanie się światła i cieni pod stropem sklepienia.

Wyszedł w końcu na ulicę, znalazł się znowu wśród gwaru i tłumy, i szedł jak senny, mimowoli, przy świetle zapalających się latarni, szukając między mijającymi go kobietami tój, którą przed chwilą widział w kościele.

VI. NIE MÓW HOC, PÓKI NIE PRZESKOCZYSZ

— Co ci jest, Cypryanie? — pytał Lucyan Dolewski, przygotowując się do bliźkiej podróży i spoglądając na przyjaciela swego, który siedział przy oknie z głową na ręku wspartą i patrzył na ulicę oczyma, które wyraźnie patrzyły na daleki jakiś a nieobecny w tój chwili przedmiot.

— Co mi jest? — odparł Cypryan. — Nic, nic — a po chwili dodał: — ot wiész, dręczy mię to, że nie mogę dowiedzieć się, kto jest ta kobieta?

— Cierpliwości trochę, mój drogi — mówił Lucyan, zajęty starannem obwiązywaniem paki z książkami; — Warszawa nie jest przecie tak wielkim miastem, aby nie można było w niej dowiedzieć się o mieszkaniu osoby, którą się spotyka. A gdy będziesz wiedział, gdzie ona mieszka, łatwo ci już przyjdzie zabrać z nią znajomość. I jam ciekawy bardzo, kto jest ta pani.

Wymawiając ostatnie słowa, Lucyan, nie myśląc o tём, użył jezuickiego wybiegu, bo mniej daleko stosowały się one do damy myśli Cypryana, niż do kobiety, którą on sam widział płaczącą w kościele.

— Bo gdybym ja tę kobietę — mówił dalej Cypryan, po dość długiej chwili milczenia — gdybym tę kobietę spotkał poprostu w jakim salonie, został jój przedstawiony według wszelkich prawideł konwenansowego kodeksu i nawzajem dowiedział się o jój nazwisku, położeniu, miejscu urodzenia, zamieszkania i t. d., możebym się tak żywo nią i nie zajął. Ale tajemnica, która ją otacza, która dla mnie tylko może jest tajemnicą, to dziwne nazwisko, to pojawienie się jój i znikanie, drażni mię i pociąga ku niej siłą nowości, a szczególnieję jakiś sympaty. Czuję, że nie będę spokojny, aż ją znaję i poznam, aż się przekonam, czy odpowiada wyobrażeniom, jakie sobie o niej stworzyłem.

— Zepsute jesteś dziecko, Cypryanie — z uśmiechem rzekł doktor.

— Tak, to prawda — odparł Karłowski, białą swą rękę topiąc w gęstych, wijących się w pierścienie, jasnych włosach, — tak, jestem rozpieszczony przez los, to prawda. Syn najlepszego ojca i namiętnie mię kochającęj matki, od dzieciństwa bogaty, kochany przez jedyną siostrę, kochany przez krewnych i przyjaciół domu, wzrosłem wśród dostatku i miłości. Wszystko mi przyszło łatwo: nauka, stanowisko w świecie, wszystko zawsze uśmiechało się do mnie: przyszłość, przyjaciele, kobiety. Byłem w główniejszych stolicach Europy, bawiłem się, uczyłem, używałem. Jestem więc rzeczywiście dzieckiem szczęścia, Lucyanie. Ale ty, mój najdawniejszy i najlepszy przyjacielu, zanadto mnie znasz, abyś

sądził, że, pod lekką powierzchownością, niema we mnie myśli i pragnień, przekraczających granice łatwego użycia. Nad wielu rzeczami boleję nieraz szczerze, może trochę i nad sobą... mimo całego mojego szczęścia. *Mais il faut faire bonne mine au mauvais jeu*; w braku więc czego innego, zalecam się do panny Heleny, panny Julii, panny Klary i t. d. Powiem ci jednak, mój drogi, że od pewnego czasu przestają mnie już bawić te łatwo zrywane kwiatki, i niekiedy, gdy przyjeżdżam do rodziców i widzę ich święte, zgodne, zacne życie domowe, bierze mię chęć wstąpienia w ślady praojców i, ni mniej ni więcej, poprowadzenia do stopni ołtarza jakiej pięknej osóбки, z serduszkim mnie wyłącznie oddaném. Lucyanie, i cóż ty myślisz o tych moich matrymonialnych zapędach?

— Myślę, żeś do nich wcale niestosownie przygotowany, ze swoim amatorkstwem wszystkich na świecie czarnych i błękitnych oczu.

— Do licha, nudzi mnie już ta mieszanina czarnych i błękitnych oczu! — zawołał Cyprian. — Powiadam ci, że nie na żart przychodzi mi często zachcianka, żeby mieć jedną tylko parę oczu, ale wyłącznie moich; jedno tylko dobre kobiece serduszko, ale wyłącznie moje; a wyobraźnią widzę już siebie szanownym patryarchą, otoczonym rodzinnym gromem, palącym popołudniową fajkę i słuchającym czytania żony o sprzeczkach lorda Palmerstona z lordem Russelem i o owym nieodgadniętym Sfinksie (jak go dzienniki nazywają), cesarzu Napoleonie.

— A jednak, mimo tych patryarchalnych marzeń, z młodzieńczym zapałem i swawolą nieledwie, gonisz kobietę nieznaną... i kto wie, jaką? — zarzucił Lucyan, który końca mowy swego przyjaciela słuchał z pełnym niedowierzania uśmiechem.

— I cóż ztąd? — zawołał Cyprian. — Podobała mi się bardzo, i dla tego chcę ją poznać. Nie jesteś tak naiwnym, przypuszczam, abyś myślał, że podobała mi się tylko z piękności, bo napatrzyłem się już niemało na piękne kobiety; ale uderzył mnie wyraz jój twarzy, kameleonowa gra jój oczu, ogień, który zda się tryskać z całej jój osoby, to coś, jedném słowem, nieokreślone, które przemawia niekiedy i do zmysłów, i do myśli naszej zarazem, harmonią jakąś nieujętą, a jednak magnetycznie pociągającą. Przypatrywałem się jój tak w teatrze, że gdybym nie znał opery Trubadura, nie mógłbym powiedzieć, czy miserere, owę według mnie pieśń nad pieśniami, na początku przedstawienia, czy przy końcu śpiewają. Przypatrywałem się jój i dojrzałem, iż jest ona jedną z tych istot, u których więcej się jeszcze domyślać można, niż widzieć. Ile tam ognia w oczach, gry w fizyognomi! Kto wie, może ona będzie właśnie tą, o której mówi przysłowie: śmierć i żona od Boga przeznaczona.

— Więc czém-że ma być ona? śmiercią, czy żoną?

— No, już, że nie śmiercią, to pewno, bo z miłości nie umrę; podobniejsze to do ciebie, stoiku o werterowskich oczach.

— A więc żoną — najspokojniej ciągnął dalej Lucyan. — Zaczynam doprawdy spozstrzegać, że gotów jesteś choćby dziś przed ołtarzem stanąć. Ale jeżeli kobieta, która cię tak żywo zajęła, jest lekka, zalotna, rzucająca serce na wszystkie wichry?

— A gdyby i tak było — odpowiedział Cyprian. — Jeśli tylko znajdę w niej umysł jasny i zdrowy, jeśli rozbudzę w niej przywiązanie ku sobie, czyż nie przypuszczasz, że własnym rozumem i miłością będę mógł ją uzacnić, wzmocnić jój wolę, wyrwać z koła złych uniesień lub próżności? A sam czy nie rzucałem także serca mego na wszystkie wichry i gdy, miłostkami znudzony, zapragnąłem nareszcie miłości, mamże prawo za nieodzowny warunek wymagać od kobiety niepokalanéj czystości serca i myśli, której sam już nie posiadam? Wierzysz-że ty w to, że mężczyzna może podnieść się i spoważnić w uczuciach swoich, a kobieta nie może? że mężczyźni wolno rozrzucić po świecie najświętsze uczucia i najświętsze myśli, a potem śmiało sięgać po pocziwe szczęście; lecz gdy kobieta uczyni to samo, już ją tylko zdeptać należy i odepchnąć na zawsze od rodzinnego życia, albo pobawić się z nią i wyrzucić, jak cacko zepsute? Ja myślę, Lucyanie, że zło dla kobiety jest również złem dla mężczyzny, i że w piérszój jak w drugim, mimo zbroczeń i błędów, może być jeszcze wiele dobrego, które, poruszone żywem i pocziwem uczuciem, wypłynie w życiu ponad wszelkie skazy, rozbudzi i w ruch wprawi wszystkie dobre sprężyny natury. Jeżeli oboje zło popełnili, dla obojga równie winna być otwartą droga pokuty i przebaczenia, a że droga ta trudna, zamiast pogardzać sobą, powinni sobie wzajem przebaczać i pomagać.

Cypryan był pięknym, gdy to mówił; w owej chwili przestał być wesołym motylem i eleganckim salonowcem; oczy błysnęły mu zapalem poważnej i znacznej myśli.

Lucyan nic nie odpowiedział i zamyślił się; przed wyobraźnią stanęła mu znowu kobieta płacząca w kościele. Zdało mu się, że usłyszał uderzenie pięknego czoła o kamienną posadzkę, że zobaczył duże, zalawione oczy, wpatrzone w niego z wyrazem bóleści i słodyczy. I pomyślał, że może kobieta owa była właśnie jedną z tych istot, które płaczą nad własnym upadkiem i powstać zeń pragną, które, uniesione na rozdroża szaleń i burzami życia, potrzebują tylko dłoni opiekuńczej i silnej, aby wejść na takie wyżyny, jakich dosięgnąć często nie mogą najczystsze nawet, ale mniej żywotną i bogatą naturą obdarzone istoty.

I myślał, coby było, jeśliby on pokochał tę rozplakaną kobietę, którą widział w kościele, i gdyby w jej przeszłości zobaczył skazy i plamy. Myślał o tém dość długo, aż spostrzegł, że szczególniej jakoś zajmuje się kobietą, raz tylko widzianą i, zapomniawszy o obecności Cypryana, zaśmiał się głośno z samego siebie. W śmiechu tym była ostra nuta: poznał, że w namiętny uścisk pochwycić może widmo, i zaśmiał się ostrym dźwiękiem rozdrażnionego serca.

— Co to jest? — zawołał Cypryan. — Lucyanie, czego się śmiejesz?

— Myślałem o tém, co mówiłeś — odpowiedział doktor — i choć przyznaję ci zupełną słuszność, jednak, co do siebie, jestem pewny, że byłbym szalenie zazdrośny o przeszłość kobiety, którą-bym kochał.

— Ba, mój drogi, z tobą rzecz inna, a ze mną inna; tyś nigdy nie kochał jeszcze, siły twoich uczuć dziewicze są świeże zupełnie, naturę masz nierównie wrażliwszą i namiętniejszą od mojej. Dla ciebie potrzeba jakiegoś szerokiego pola działania, na którym mógłbyś w ruch wprawiać i zużywać całą energią, której jesteś pełen, inaczej wszystkie te siły swoje włożysz kiedyś w miłość dla kobiety i zobaczysz, przepowiadam ci to, że rozkochasz się szalenie, strasznie!

Lucyan, w miejsce odpowiedzi, wydobyl zegarek i rzekł:

— Komu w drogę, temu czas.

— Prawda — odpowiedział Karłowski — lokomotywa nie czeka nawet na doktorów medycyny. Siadaj do mego powoziku, który stoi przed bramą, odwiozę cię na stacyą kolei.

W niespełną godzinę po tej rozmowie, pociąg kolei żelaznej uwoził Lucyana Dolewskiego z Warszawy ku wileńskim stronom. Ale losy nie dały mu tak miłej towarzyszki podróży, jaką w ostatniej wycieczce swojej miał pan Karłowski. W wagonie, w którym jechał, siedziały same zaspane i bezbarwne fizyognomie; miał więc możność oddania się swobodnie swoim myślom. Myśli te przywodziły mu często na pamięć słowa przyjaciela: — zakochasz się kiedyś szalenie, strasznie, — i uśmiechał się, odpowiadając sam sobie: — alboż nie mam silnej woli, zdrowego rozsądku? — Ale wówczas koła wagonów, tocząc się po żelaznych szynach, jednostajnym swoim turkotem zdawały się powtarzać: nie mów hoc, póki nie przeskoczysz! nie mów hoc, póki nie przeskoczysz!...

VII. W MIASTECZKU

Jak o wszystkiém na świecie, tak i o wielkości miast, różne bywają pojęcia. Dumny syn mglistego Albionu, wjeżdżając do Paryża, z lekceważeniem prawie spogląda na wspaniałą stolicę Francuzów i, porównując ją ze swym olbrzymim Londynem, rodzinną mową swoją, jakby stworzoną do wygwizdywania wszystkiego na ziemi, mówi: miasteczko! Paryżanin zwie może tak naszą Warszawę, a Warszawianin wszelkie prowincyjne miasta. Lecz są to tylko zachcianki i wybrédzania przywykłych do blasku mieszkańców stolic. Istotnego prototypu małych miasteczek szukać należy między tym rojem pół-żydowskich, pół-chłopskich osad, których pełno jest w naszym kraju, a które dla czego noszą nazwę miasteczek, trudno odgadnąć. Są karczmy i sklepy — odpowiada żyd; — jest kościół i co niedziela bywają targi — odpowiadają chłopci. I oto cała kwalifikacya miejscowych na dostojęństwo miasteczek, bo w gruncie nie są ani miastem, ani wsią, ale gromadą nędznych mieszkań i nędzniejszej jeszcze ludności, zakopanęj w błocie, w drobnym i brudnym handlu i w najzupełniejszej umysłowej ciemności.

Jednym z miejsc takich było miasteczko N., leżące na szerokiej pocztowej drodze. Miało ono jedną tylko ulicę, szeroką wprawdzie, ale wiekuiście błotnistą. Z obu jej stron

stały domki szare i białawe, nierówne, z małemi okienkami, gdzieniegdzie z gankami, wspartemi na pochyłych słupach. W środku miasteczka był plac, zarzucony słomą, sianem i różnym śmieciem, przeznaczony na coniedzielne targowisko. Dwie strony placu tego otaczały małe sklepiki, w których sprzedawały się świece łojowe, mydło, paciorki dla kobiet wiejskich, perkale dla żydówek i t. p. piękne rzeczy. Z trzeciej strony stała długa biała karczma, z krytym, na słupach opartym, podjazdem, wspianą swoją budową królując domkom „na kurzój łapie”, które, jakby przejęte pokorą, chyliły się pokłonami każdy w swoją stronę. Naprzeciw karczmy, z za żółtego ogrodzenia, żółtej dzwonnicy i grupy dzikich grusz, wyglądał nie wielki, szary, o jednej wieżycze kościółek. Na ulicy i placu, w rozkosznym, nigdy nie wysychającym błocie, w niebogłose krzycząc, bawiły się pół nagie żydzięta; na progu każdego niemal domku siedziały żydówki, w lecie robiąc pończochy, zimą grzejąc ręce nad garnkami, napełnionymi gorącym popiołem. Przed karczmą od rana do wieczora snuły się wozy i gwarzyli ludzie, ku wielkiej radości arendarza, który częstował chłopów tabaką i gorzałką, a ku większemu jeszcze osłupieniu kilku nieustannie we wrotach karczmy z otwartymi gębami stojących żydów, którzy, bezmyślni oczyma wodząc wkoło siebie, zdawali się, według słów jednego ze swych rabinów, rozmyślać nad tém, gdzie się podzieją te wróble, co na dachu siedzą, jak się ten dach spali?

Kiedy podróżny, przywykły do widoku względnej przynajmniej cywilizacji, przejeżdżał przez N., odwracał spojrzenie od kąpiących się w błocie żydziaków i zapytywał siebie: jak na podobne widoki codziennie patrzeć można? Niekiedy elegancka jaka pani, której droga szła tamtędy, wyglądała przez okna karety, ale wnet zasuwiała się w głąb powozu, szeptała *quelle horreur!* i podnosząc do twarzy flakonik z perfumą. A jeżeli czasem poeta, lub artysta jaki, wypadkiem wjechał do tego nieznanego Dantemu piekielnego kręgu, wołał na furmana: na Boga! jedź prędzej! a zmysł jego artystyczny wzdrygał się, przejęty wstrętem. I wszyscy ci ludzie zapytywali, jak tu żyć można?

A jednak w miejscach podobnych żyją ludzie i nietylko tacy, których umysł nigdy nie otworzył się na światło Boże, ale, dziwną ironią losu, żyją tam niekiedy i tacy, których myśl żądną jest wiedzy, a serce rozkochane w pięknie.

Bo alboż każdy według wartości swojej wyznaczone ma miejsce na ziemi? Wszak nieprzeparte potęgi porywają często jednostkę w żelazne objęcia konieczności, ustawiając ją tak dowolnie na pozór, jak mechanik umieszcza kółko, mające dopomóc ruchowi jego maszyny. Daremnie przeciwko losowi buntuje się myśl i serce człowieka; to, co nim rządzi, mówi mu: będziesz tu stał, dumny Prometeuszu, do skały przeznaczeń swoich przykuty! poczujesz się wielkim, a na zawsze zostaniesz małym; zechcesz być silnym, a będziesz musiał być słabym; zerwiesz się do walki jak olbrzym, a upadniesz pokonany jak dziecko; bo władza tobą owo społeczne fatum, przykuwające cię do miejsca, na którym się rzucasz, jak na łożu tortur!

I ileż razy się zdarza, że człowiek tłumi w sobie poczucie wielkości i siły, a nie może ich wydać na świat w słowie lub czynie; ileż razy widzi, jak godzina po godzinie, dzień po dniu, marnują się bez użytku zasoby jego energii i ducha, a on, skrępowany tém, czego skruszyć nie może, na życie całe staje się conajwięcej... wielkim człowiekiem miasteczka lub parafii.

Było to w zimie, w jednym z ostatnich dni Grudnia. Miasteczko N. pokryło się szarawym, w pół na błoto przemienionym śniegiem; na ulicy i placu skakały wrony, kracząc i podlatując, i bawiły się krzykliwie, nie lękające się chłodu żydziaki. W popołudniowych godzinach otworzyły się na ulicę drzwi nędznego domku i, schylając się, aby przejść niską sień, stąpił na próg Lucyan Dolewski. Wyszedł na ulicę, odwrócił się i rzekł, jakby do kogoś stojącego po-za nim w sieni:

— Pamiętajcie tylko, pani Chaimowo, ażeby, jak przyjdę jutro, czyścić było w domu, niż dzisiaj. Inaczej matka twoja nie wyzdrowieje. Ja nic nie pomogę, jeśli nie postaracie się dla niej o czyste i zdrowe powietrze.

Gdy wymawiał te wyrazy, przed sienią domu wyszła żydówka. Postać jej okrywała krótka suknia bez barwy i kroju, a raczej zszyty, poplamiony i połatany lachman; na głowie miała perukę z niegdyś brunatnej, zasmolonej materyi, a na nogach szafrowe pończochy i przydeptane a zabłocone trzewiki. Twarz jej pokryta była taką warstwą brudu, że

zniknął z niej wszelki wyraz ludzki. Stała o parę kroków od doktora i patrzyła na niego osłupiałym wzrokiem.

— Jeżeli nie wymieciesz izb i nie odmienisz bielizny chorój — mówił dalej Lucyan — ja nic nie poradzę i matka twoja niezawodnie umrze.

— Ny, wielmożny panie — odezwała się żydówka — ja wczoraj wymiatała stancye.

— Nie prawda! — odrzekł doktor z pewną surowością — dla czego kłamiesz? Byłem u ciebie wczoraj i zastałem brudy, jak zwykle. Matka twoja z tego właśnie powodu gorzej się ma i coraz będzie gorzej, jeżeli nie uczynisz tego, co ci zalecam. Ileż razy mówię wam o tém, że czystość potrzebna jest koniecznie do zdrowia i że właśnie dla tego tak często chorujecie i umieracie, że nie chcecie jój utrzymywać w waszych domach.

Żydówka uważnie słuchała mowy doktora i, przy ostatnich jego wyrazach, zaczęła żałośnie kiwać głową, jakby potwierdzając tę smutną, o częstych między niemi chorobach, prawdę.

— Widzisz — mówił dalej młody apostoł sanitarnych idei — sama czujesz słuszność słów moich, a nie chcesz zastosować się do nich.

— To prawda, wielmożny panie, ny, ale cóż robić! u nas biędnych gospodarka, a tyle dzieciów!

— Alboż Lejba, krawiec, nie ma dzieci? a jednak u niego w izbach czysto, i dla tego już rok minął, jak nikt z jego rodziny nie chorował.

— Dziękować wielmożnemu panu, co ich nauczył tego, żeby u nich czysto było — ozwał się stojący we drzwiach domu i słuchający rozmowy nizki, ryży, w długim surducie żyd.

— Otóż, bardzo mię martwi — odpowiedział Lucyan — że was tego samego nauczyć nie mogę. Jesteś porządnym rzemieślnikiem, Chaimie; najlepszy z ciebie stolarz w N. i w okolicy całej, a nie możesz nakłonić do tego żony, żeby codzień izby wymiatała, otwierała okna na kilka minut i zmieniała ubranie chorój matce i małym dzieciom.

— Ny, Sure! Czy słyszysz, co wielmożny pan doktor gada? — odezwał się ryży żydek, patrząc na żonę. — Idź wymiatać stancją, zaraz!

— Bądźcie zdrowi, moi kochani — z łagodną życzliwością rzekł Lucyan, podnosząc rękę do futrzanej czapki. — Nie gniewajcie się na mnie za moje przestrogi, ale widzicie, ja wam dla waszego dobra radzę.

— Aj waj! co to wielmożny pan doktor gada — zawołał żyd, chwytając się za ryże pejsy — my za pana doktora co Sobota modlim się w szkole, za to, że od tego czasu, jak pan doktor przyjechał, połowa ludzi choruje co dawniej. Daj Boże panu sto lat życia!

— Dziękuję, dziękuję — z uśmiechem odrzekł Lucyan. — Jutro znowu do was przyjdę.

Żyd pokłonił się i zniknął w niskiem wnętrzu chaty, a po chwili z mieszkania Chaima wyjeżdżała kupa wymiecionego śmiecia i rozlegał się krzyk broniących się od czesania i mycia żydziaków.

Lucyan przebył wszcz szeroką ulicę, w środku której stały mętne kałuże roztopionego śniegu, i wszedł do innego domku. Po chwili wychodził zeń w towarzystwie jakiejś mieszcanki, która z czerwoną chustką na głowie, z wrzecionem w ogorzałej ręce, żegnała „wielmożnego doktora“ niskimi pokłonami i prosiła, aby jutro przyszedł znowu do jój chorego męża.

— Nie dawaj wódki mężowi — odpowiedział doktor — inaczej nigdy nie wyzdrowieje.

— A cóż robić, kiedy pije i pije! — zajęczała kobieta.

— Narzekaj na samę siebie, Jakubowo — z lekkim napomnieniem odezwał się Lucyan — bo ile razy lepiej już było mężowi twemu, tyleś razy przyniosła mu z karczmy wódki. Cud to prawdziwy, że jeszcze żyje dotąd; ale jeżeli będziesz dalej robiła to samo, przestanę przychodzić do was, bo widzę, że nic nie poradzę.

— Ach panoczku, gołąbku! — zawołała kobieta, plaskając rękoma — nie opuszczaj-że nas biędnych ludzi! Toć mój stary dawno-by umarł, żeby nie ty, panoczku.

I odrzuciła baba wrzeciono w sień, a obydwoma rękoma pochwyciła rękę Lucyana i ustami przyłgnęła do niej.

Doktor łagodnie usunął rękę z energicznego uścisku mieszcanki i rzekł:

— No, któżby chciał was w biędzie opuszczać, moja Jakubowo. Tylko widzicie — dodał surowiej — kiedy nie spełniacie moich zaleceń, to nie widzę potrzeby przychodzić do was.

— Panoczku, rybko! już ani kropelki nie dam staremu!

Uśmiechnął się Lucyan.

— No, pamiętajcie — odpowiedział — a tymczasem bądźcie zdrowi.

Znowu podniósł rękę do czapki, która mu piękne czoło ocieniała i odszedł, a baba podniosła wrzeczono i przez chwilę jeszcze stała we drzwiach domu, patrząc za odchodzącym i kiwając głową. Poczém westchnęła, przełożyła wrzeczono w lewą rękę, a prawą zakreśliła w powietrzu wielki krzyż za Lucyanem, szepcząc:

— Daj jemu, Boże, zdrowie i Najświętsza Panno! taki rozumny, a rozmawia z każdym, niby to z równym sobie.

Tak mruczając, weszła do chaty, a Lucyan znikł znowu we drzwiach innego domu.

Ale dom, do którego wszedł tą razą, znacznie porządniejszą miał powierzchowność, niż dwa poprzednie. Mały on był, o czterech tylko, ale czysto wymytych okienkach; ganeczek miał oparty o dwa białe i prosto stojące słupy, z dwoma wschodkami i z dwiema drewnianymi ławeczkami bez poręczy.

Lucyan wszedł najprzód do dość obszernej sieni, w której stały różne gospodarskie naczynia. Zdjął futro, położył je na przewróconych dnem do góry nieckach i z zapieczką w rękę wszedł do pokoiku na prawo. W pokoiku tym smutno było i ubogo, ale chędogo i porządnie. Stało tam łóżko czysto zasłane, za wykrzywionym trochę parawanikiem; parę starych, jak świat, komódek, duży, czerwono malowany stół pod oknem i kilka podobnych-że stołków pod ścianami. Na ścianach wisiało kilka lichych sztychów, także w czerwonych, drewnianych ramach.

Na widok wchodzącego Lucyana, powstała siedząca przy stole kobieta i śpiesznie złożyła z kolan kilka sztuk grubiej bielizny, której cerowaniem była zajęta. Kobieta ta wyglądała na lat czterdzieści; słuszną była i chuda, z żółtą twarzą i małymi oczkami. Miała na sobie wążką czarną spodnicę i takiż kaftan, oszyty starym wytartym aksamitem; na głowie jej z pod czarnego czepek, który wyglądał już na ciemno-szary, wychodziły dwa pasma siwiejących, gładko przyczesanych włosów, które na skroniach tworzyły dwa esy, zwane niegdyś filutkami. Była to pani Grodzicka, bardzo przez tameczną publiczność poważana mieszkanka N., a poważana głównie dla tego, iż była niegdyś obywatelką, a nawet nieboszczyk mąż jej piastował w mieście powiatowém urząd sędziego, z kąd też i jego podupadłą wdowę nazywano ogólnie sędziną. Pani sędzina atoli w smutnym znalazła się położeniu po śmierci pana sędziego, który, jak ludzie mówili, lubił z buteleczki pociągnąć i dla tego zrujnował swoje gospodarstwo i interesa. To-tę po jego śmierci, wierzyciele sprzedali majątek, a wdowie, pozostałej z dwojgiem dzieci, zaledwie okroiła się sumka na kupienie małego domku w N. Osiedla też stała w miasteczku i częścią pracą rąk, częścią z darów zamożniejszych sąsiadów w okolicy, utrzymywała siebie i dzieci. Ale Napoleon I-szy na wyspie świętej Heleny nie tyle pamiętał świetną przeszłość swoją i nie tyle bolał nad jej utratą, co pani sędzina Grodzicka. Podobnie, jak ów sławny monarcha na odludnej wyspie chorował na Waterloo, tak ona chorowała na swoją utraconą Wólkę; a że wszystko, co się utraciło, wydaje się zwykle stokroć droższém i piękniejszém, niż było w istocie, więc i pani Grodzicka wyobrażała sobie, iż była niegdyś bardzo, bardzo bogatą. Skromny, choć wygodny dom w Wólce, zamienił się w jej wyobraźni w pałac, nejtyczanka w karetę, chłopak, wyrostek z przedpokoju, w kamerdynera, a sypialny pokój, w którym niekiedy uprzedzione motki wisiały na ścianach, w budoar. To samo stało się z jej minioną pięknnością, która, obok pałacu i karety, stanęła w jej wyobraźni, otoczona aureolą jakiegoś czarodziejskiego uroku i ukazywała jej w przeszłości mnóstwo rycerzy, podbitych jej wdziekami.

Stosunki rodzinne nie mniej olbrzymie przybrały rozmiary i mało brakło, aby z którejkolwiek strony nie zaczęły Burbonów lub Habsburgów. Wielka to podobno prawda, że każdy prawie człowiek ma swego konika, na którym jeździ; ale pani Grodzicka miała aż trzy koniki, na których tak galopowała, że nikt inny dopędzić-by jej nie mógł i w każdej rozmowie umieszczała niezawodnie swój budoar, swoją pleć alabastrową i siostrzenicę, marszałkową X. Mimo to wszystko, była to sobie kobiecina poczciwa, kochająca swoje biedne dzieci nad życie. Miała też i tę zaletę, że, mimo ogólnego współczucia, jakie

wzbudzała, udawała się do jałmużny tylko w ostateczności i wyszukiwała wszelkich środków zapracowania sobie jakiego grosza praniem, szyciem, cerowaniem; ale, że potrzeby miasteczka były małe, nie zawsze dostawała robotę i nieraz była zmuszoną do przyjęcia drobnych darów, smutnie nad tém rozmyślając, że gdy miała budoar, pleć alabastrową i siostrzenicę marszałkową, sama innym podobnych udzielała darów.

Na widok wchodzącego Lucyana, szybko położyła na stole swoją grubą robotę, nieznacznie poprawiła na skroniach filutki, ociągnęła starym aksamitem oszyty kaftan i bardzo uprzejmym dygiem powitała doktora.

— Jakże się ma chora? — spytał Lucyana, po wzajemnie wymienionych wyrazach powitania.

— Już odra przechodzi — odpowiedziała pani Grodzicka — ale gorączkę biedne dziecko ma jeszcze silną. Niech pan Lucyana zobaczy.

I przez wązkie, niskie drzwiczki wprowadziła doktora do małego pokoiku, w którym leżała chora na odrę dwunastoletnia dziewczynka.

— Jakże się dzisiaj czuje moja mała pacjentka? — z uśmiechem spytał Lucyana, siadając przy łóżku chorej i borąc jej rozpaloną rękę.

Ładne, nawet odrę nieoszczędzone dziecię, z pełnym zaufaniem spojrzeniem, zwróciło ku niemu twarzyczkę i odrzekło:

— O, daleko mi już lepiej.

— To dobrze, to dobrze — mówił młody doktor — bo też musimy się bardzo nudzić, leżąc w łóżeczku. Jesteśmy zwykle tak czynni. A co tam bez nas nasze kurki porabiają? — dodał.

— Czubata przychodzi do mnie — odrzekła dziewczynka takim tonem, jakby rozmawiała ze swoim małym braciszkiem — a i Burek zawsze przy mnie.

— A kotek znakomity — rzekł żartobliwie Lucyana, biorąc z ziemi małego szarego kotka i podając go dziewczynce — on kocha swoją panią. A lekarstwo czy bardzo niesmaczne?

— Wszystko, co tylko pan zapisze, to już smaczne — odpowiedziało dziecię, ciągle tém samém, pełnym zaufaniem spojrzeniem, patrząc w twarz doktora.

— Cieszę się, że tak znam smak Walerki — mówił znowu Lucyana, gładząc kotka — ale teraz, gdy już gorączka mniejsza, będziemy pili tylko orszadę.

I przez kilka chwil jeszcze, w taki pełen łagodności sposób, porozmawiawszy z chorém dzieckiem, wychodził z pokoju.

— Mamo! mammo! — zawołała dziewczynka do towarzyszącej doktorowi matki, a gdy pani Grodzicka zbliżyła się do niej, rzekła:

— Niech się mama nachyli, coś powiem do uszka.

Nachyliła się pani Grodzicka, a dziecię szepnęło:

— Wié mama, że jak pan Lucyana przyjdzie do mnie, to mi zaraz i bez lekarstwa nawet lepiej.

— Niech mu Pan Bóg błogosławi, moje dziecko — odrzekła matka. — Biedna dziewczyna, wygod nie ma takich, jakich potrzeba — smutnie, kiwając głową, mówiła dalej do doktora pani Grodzicka. — Kiedyś bywało inaczej: żeby tak na przykład w Wólce zachorowała, zaraz-bym ją do mego budoaru przeniosła, a tam, mój panie Lucyanie, i sufit był wysoki, i okna duże, światło, to zaraz-by dziecku zdrowiej było, niż w téj ciupie. Ach, biéda, mój panie Lucyanie, biéda!...

Jakby w odpowiedź na to westchnienie podupadłej sędziny, w sieniach zabrzmiał stentorowy śmiech mężki, od którego aż zatrzęsły się szyby w oknach i wnet ukazała się ogromna postać mężczyzny o szerokich barkach, siwych włosach, zawieszonych, białych wąsach i czerstwej, rumianej, rozjaśnionej pocziwemi oczyma twarzy. Wchodzący miał na sobie surdut i spodnie z grubego szarego sukna, a w rękę trzymał czapkę z popielatych baranków.

— Ho, ho, ho! — zaśmiał się we drzwiach powtórnie i grubym głosem mówił, zbliżając się ku gospodyni domu: — Jak się ma pani sędzina? jak zdrowieczko? jak się powodzi? — A spostrzegłszy Lucyana, otworzył ku niemu ramiona i jeszcze głośniej zawołał: — Ho, ho, ho, ho! mosanie tego, a kogoż ja tu widzę? nasz konsyliarz, mosanie tego, ho, ho, ho!...

— Jak się ma pan Dembowski — odpowiedziała pani Grodzicka, witając rubasznego szlachcica z godnością, stosowną do jej przeszłej wielkości — kopę lat nie widziałam pana.

— A kopę, kopę — mówił pan Dembowski, siadając na stolku, który się o mało nie złamał pod jego ciężarem — dobrze pani sędzina mówisz o kopie, bo właśnie moja jejmość przysłała pani kopę jaj od swoich czubatych, a ja przyjechałem na ośmince kartofli, ho, ho, ho!...

— Bóg zapłać państwu — odpowiedziała pani sędzina. — To w samą porę, bo już nic kartofli nie mam, a w tym roku taka drożyzna. W Wólce to bywało nieboszczyk mąż takie łany kartofli sadił, że jak okiem zajrzeć, a teraz...

— Każ-że pani sędzina znieść to wszystko do siebie, bo ot mój wózek pod samym gankiem stoi.

Pani Grodzicka westchnęła i po chwili odrzekła:

— Żeby tak w Wólce, tobym kazała memu kamerdynerowi zdjąć te rzeczy z wózka, ale tutaj... chyba jak Mieczek przyjdzie.

Jakby na zawołanie, wpadł do pokoju trzynastoletni Mieczek, syn pani Grodzickiej, żwawy i tęgi chłopak, z pojętną miną i bystreimi oczyma.

— Gdzież to mój uczeń przebywał? — spytał Lucyan, biorąc za rękę zasapanego i spotniałego od zmęczenia chłopca.

— W śnieżki grałem z Adasiem i Tomkiem — odpowiedział rażno.

— Jakto w śnieżki? człowieku, toż na świecie błoto, nie śnieg! — rzekł łagodnie Lucyan.

— Ej, tam pod płotem księdza proboszcza, taki jeszcze śnieg czysty i twardy, niby kamień — odrzekł Mieczek, bawiąc się guzikami od surduta doktora.

— A lekcję na jutro umiesz? — spytał Lucyan.

— Jakżeby nie! albom to ja kiedy lekcyi nie umiał?

— I to prawda; ale to mnożenie...

— Ej już nauczyłem się: sześć razy siedm czterdzieści dwa, trzy razy ośm dwadzieścia cztery, widzi pan Lucyan.

W czasie tej rozmowy, pani Grodzicka cicho rzekła do pana Dembowskiego:

— Czy wiesz, panie Dembowski, pan Lucyan taki dobry, że już blisko od roku uczy mego chłopca.

— Pocziwy z kośćmi człowiek, mosanie tego — odszepnął szlachcic tak cicho, że aż się okna zatrzęsły.

— Mieczku, idź weź z woza pana Dembowskiego worek z kartoflami i kosz z jajami i wnieś do szpizarni.

— A niech ci tam mój Janek pomoże — rzekł pan Dembowski.

— Dobrze, matko, pójdę! Ej, ja i bez Janka zaniosę, ale co za to będzie?...

I, zatrzymawszy się na środku pokoju, figlarnie patrzył na obecnych.

— Ot, co będzie za to, chłopcze — rzekł Dembowski, dobywając z kieszeni duże czerwone jabłko.

— Dziękuję panu — odrzekł chłopak — ale ja chcę czegoś od pana Lucyana.

— Czegoż ty ode mnie chcesz, Mieczku?

Chłopak podskoczył, objął go za szyję obu rękoma i głośno pocałował.

— Ot, tego! — zawołał — całusa!... — i wybiegł z pokoju.

— Ale niech ci tam Janek pomoże! — wołał za nim Dembowski.

Mieczek wychylił swoją figlarną twarzyczkę przez drzwi i, podnosząc palec do ust, poważnym głosem powiedział:

— Nie chcę, żeby mi Janek pomagał, bo pan Lucyan mówił, żebym, co tylko mogę, zawsze sam robił i nikogo o pomoc nie prosił.

— Sprytny chłopak, mosanie tego — rzekł Dembowski, gdy Mieczek wybiegł z sieni, z trzaskiem zamykając drzwi za sobą.

— Żeby tak za dobrych czasów — odpowiedziała pani sędzina — tobym do niego wzięła guwenera; a teraz, to gdyby nie pan Lucyan, zmarnowało-by się dziecko.

— Jakże gospodarstwo pana idzie? — zapytał doktor, nie chcąc odpowiadać na słowa pani Grodzickiej.

— Dobrze, dobrze, mosanie tego. Urodzaj był piękny, chwała Bogu, i gorzelnia dobry wypęd daje w tym roku. Teraz młóczę, mosanie tego, na gwałt, bo pszenicę do Wilna trzeba posyłać.

— A gdzie dziedziczka Jodłowej? — spytała pani Grodzicka.

— A swoim zwyczajem w Warszawie, gdzie-by ona tam długo na wsi usiedziała. Ale dobra kobieta, mosanie tego, już ośm lat trzymam od niej w dzierżawie Jodłową i nigdy, mosanie tego, na główkę szpilki przykrości mi nie zrobiła. A pan czy znasz moją dziedziczkę? — zapytał, zwracając się do Lucjana.

— Nie znam pani Warskiej — odpowiedział Lucjan — tylko wiele o niej słyszałem; mówią, że bardzo piękna.

— Ach, że piękna, to piękna! — zawołała pani Grodzicka. — Byłam u niej latem, jak przyjechała do Jodłowej, bo to jakoś w czasie żniwa zabrakło nam chleba, a grosza przy duszy nie miałam. Pani Dembowska poradziła mi, żebym się udała do dziedziczki Jodłowej. Z początku przykro mi to było; myślę sobie: ona wielka pani, a ja, choć kiedyś miałam jeszcze piękniejszy pałac, niż dom w Jodłowej, i taką samą karetę i kamerdynera, ale teraz biedna jestem; może mnie z impozycją przyjmie! Ale gdzie tam, taka grzeczna! Jadła śniadanie, jak przyszedłam, i zaraz mnie prosiła do stołu; pytała się o dzieci, rozmawiała długo, potem dała dwadzieścia pięć rubli. A ja nie mogłam napatrzeć się na nią, taka piękna, a żywa jak skra, a biała... już to co prawda, kiedyś ja piękniejszą pleć miałam, ale za to nie miałam nigdy takich oczu. Moje były melancholiczne, a jęj to błyszczące. A jak to jęj na imię, panie Dembowski.

— Klotylda, mosanie tego, Klotylda Warska. Ojciec jęj, to at, hulaka był, nic szczególnego; ale matka — anioł dobroci. Tylko że wcześniej odumarła biedaczkę. Nieboszczyk Warski jeszcze oddał mi w dzierżawę Jodłową, a potem pani Klotylda, jak owdowiała, to znów kontrakt ze mną zrobiła na dwanaście lat. Siedm tysięcy rubli płacę rocznie, ale niema czego narzekać, źle nie wychodzę.

— Czy pani Warska często bywa w Jodłowej? — spytał Lucjan.

— Jak owdowiała, mosanie tego, to coś lat z pięć nie była zupełnie, tylko posyłałem jęj pieniądze to do Paryża, to do Włoch, to do Warszawy. Potem przyjechała na dwa miesiące i znowu rok nie była; aż przeszłego lata zabawiła z pięć tygodni i pojechała do Warszawy. W Kwietniu, mosanie tego, ma znowu przyjechać; pisała, że może na długo.

— Czemu też to ona zamaż nie idzie? — zagadnęła pani Grodzicka. — Taka piękna i bogata, a już lat siedm podobno, jak owdowiała.

— A siedm, mosanie tego, i z górą. Pani Klotylda ma teraz już dwadzieścia kilka lat. Mówią ludzie, at, jak zwyczajnie ludzie, różnie mówią, że trochę.... jak to powiedzieć.... ot, że tam na swoim wielkim świecie trochę bałamutka; to może dlatego jeszcze sobie dozgonnego towarzysza nie wybrała.

— Ej, alboż to ludziom warto wierzyć? — odparła pani sędzina. — Już to, jak tylko kobieta piękna, a ludzie za nią patrzą, to zaraz i bałamutka. Rychtyk tak samo było i ze mną; dla tego że miałam twarz nieszpętną, wszyscy krzydzeli na mnie: bałamutka, bałamutka! i choć, co prawda, niejeden za mną głowę tracił, to przecież nie moja w tém była wina.

— Ale że też to, mosanie tego, pan, panie Lucjanie, nie znasz pani Klotyldy. A piękna z was była-by para, mosanie tego, ha, ha, ha!

— Dziękuję panu za komplement — odparł Lucjan.

— A jużci sam musisz wiedzieć, mosanie tego, że jesteś chłopiec, jak malowanie, a mądry, jak cała synagoga, a dobry choć do rany przyłoż. Ej, muszę ja ciebie, panie Lucjanie, poznać z panią Klotyldą; niech-no tylko, mosanie tego, przyjedzie.

— A jak się mają córeczki pana? — spytała pani Grodzicka dzierżawcę Jodłowej.

Gdy pan Dembowski opowiadał Grodzickiej o swoich córkach, Lucjan wszedł do pokoiku, gdzie leżała chora dziewczynka i siadł przy jęj łóżku.

— Czy Walerka ma dla mnie choć trochę przyjaźni? — zapytał, biorąc rękę dziecka.

— Jąbym dla pana Lucjana wszystko na świecie zrobiła. Pan taki dobry dla mnie, dla mamy, dla Mieczka — odpowiedziała Walerka, patrząc na doktora swemi dużemi, błękitnymi oczyma.

— To proszę mi szczerze powiedzieć — mówił znów Lucjan — czy mama potrzebuje teraz pieniędzy?

Dziecko namyślało się przez chwilę.

— Nie wiem dobrze — odpowiedziała w końcu — ale pewnie potrzebuje, bo wczoraj, jak posyłała po lekarstwo, które mi pan zapisał, to mówiła Mieczkowi, żeby prosił aptekarza o kredyt, a już herbaty mama cały tydzień nie pije. Ale dla czego pan się pyta?

— Tak, mam powód; dziękuję ci, Walerciu.

Wstał i podszedł do okna, przy którym stał stolicek. Na stoliczku były flaszeczki z lekarstwami i między nimi leżała książka do nabożeństwa. Lucyan, odwrócony od chorój, niby patrząc przez okno wyjął asygnetę z pugilaresu i włożył ją w „Złoty Ołtarzyk”, poczem odwrócił się szybko, pochwyił kotka, biegającego po izdebce, i oddał go Walerce, mówiąc:

— Niechże Burek bawi Walerkę, a ja tu jutro znowu przyjdę.

W kilka chwil potem Lucyan zdejmował z niecek swoje futro i, włożywszy je, wychodził z domu pani Grodzickiej, a na drodze do Jodłowej turkotał wózek pana Dembowskiego, który, siedząc na worku od kartofli, wołał na Janka:

— Kasztanek zacinaj, bo leniwa bestya! gniadosza, mosanie tego, wstrzymuj, bo za gorący!...

A pani Grodzicka, cerując grubą bieliznę przy łóżku Walerki, rozmyślała nad swoją zgasłą wielkością i ani się spodziewała, że, gdy przy wieczornych modlitwach otworzy swój „Złoty Ołtarzyk”, znajdzie w nim zacną ręką położony pieniądz, za który kupi lekarstwo dla chorój córki i buciki dla Mieczka.

Młody doktor, wyszedłszy od pani Grodzickiej, zaszedł jeszcze do dwóch czy trzech domów, zatrzymywany był na ulicy przez dwóch czy trzech żydów, którzy, kłaniając się „wielmożnemu panu doktoru”, prosili go o radę, nie tylko w fizycznych dolegliwościach swoich, ale i w finansowych spekulacjach. Raz także stanął na jego widok dworski jakiś, jadący parokonnym wózkiem, chłopak, i powiedział mu, że pan jego prosi wielmożnego doktora, iżby jutro rano przyjechał, bo febra nie ustępuje.

Zmierzch krótkiego zimowego dnia zaczął już zapadać, gdy przeszedł plac, minął kościółek i znalazł się przed niewielkim, ale białym i stojącym na czyściutkiem podwórku, domem. Dach domu tego, nowy, słomiany, lśnił żółtawo z po-za lékkiej warstwy gdzieś niedzie leżącego na nim śniegu. Kilka okien, mających każde po cztery spore i czyste szyby, patrzyło na podwórko, na którym gęsto sterczały skielety odartych z liści różanych i bzowych krzewów; mały ganeczek z dwoma słupami i ławeczkami otoczony był drewnianą, zielono malowaną kratą, po której latem pięły się śnać powoje. Naokoło podwórka biegło ogrodzenie z niskich, gładko ciosanych sztachet, otwierających się niewielką furtką na dość szeroką przestrzeń, za którą żółciało znowu ogrodzenie kościółka i, między grupą bezlistnych drzew, strzelała wieżyczka dzwonnicy. Z drugiej strony domu był ogródek niewielki bez drzew, kwiatami śnać i warzywem zasiewany zwykle, a za nim jeszcze oko biedz mogło po szerokich, za miasteczkiem leżących polach, i zatrzymywało się na wązkim pasie lasu, który w owej okolicy zaokrągla każdy widnokrag. Cisza wkoło domku tego była zupełna, gwar miasteczka tam nie dochodził, i tylko niekiedy przyplływały z kościółka przeciągłe odgłosy pieśni nieszpornych, lub jęczące akordy organów wiejskich, skrzypiących wprawdzie i fałszywych, ale których dźwięk, oczyszczony przestrzenią, płynął ku cichemu domkowi, poważny, modlitewny.

Kiedy Lucyan Dolewski stanął w bramie podwórka, zmrok i milczenie otaczało domek, powietrze było ciche, ciepłe; blado-błękitne obłoki szarzały gdzieś niedzie małemi chmurami, z pod których zaczynały już wypływać gwiazdy. Wrzask i gwar miasteczka pozostały za nim i umilkły.

Młody człowiek znalazł się sam na sam z sobą i z pięknym, cichym wieczorem. Stanął w furtce, ale nie przestąpił jój progu; patrzył na dom i na kościół zamyślony. Po chwili z dzwonnicy kościoła, cichy ale czysty głos dzwonu, przypominający wiernym wieczorne pozdrowienie anielskie, zabrzmiał nad szczytami drzew i rozległ się w powietrzu. Głos ten był starym znajomym Lucyana; słuchał on go wtedy jeszcze, gdy mu matka drobne dłonie do pacierza składała, i wtedy, gdy, ze szkolnych nauk co roku wracając do N., wrzał dziecięcą swawolą, lub młodzieńczą, nie znającą jeszcze ciemnych stron życia, wyobraźnią. Słuchał go téż co wieczór i co rano, od czasu, gdy stale zamieszkał w miasteczku, to jest od lat trzech. A gdy z życia człowieka dźwięk jaki powtarza się tak co chwila we wszystkich epokach istnienia, wywołuje on tłumy wspomnień i myśli. Słusznie napi-

sał Chateaubriand: „Ktoregoż człowieka serce nie zadrży na odgłos dzwonów rodzinnego miejsca, tych dzwonów, które rozlegały się radośnie nad kolebką jego, ogłaszając świętą radość jego ojca, boleść i niewysłowioną rozkosz jego matki? W zadumie, w jaką pograża człowieka odgłos rodzinnych dzwonów, wszystkie pojęcia się wiążą: wiara, ojczyzna, kolebka i mogiła.”

To też i do wrażliwej duszy młodego doktora odgłos rodzinnych dzwonów wiele mówić musiał, bo twarz jego straciła wyraz surowego zamyślenia, jaki miała przed chwilą, i stała się łagodną tą mężką słodyczą, która, z po-za hartu i surowej myśli, błyska na świadectwo istnienia tego niespożytego tła człowieczej istoty — miłości. Z tym wyrazem na twarzy, Lucyan szybko przeszedł podwórko i otworzył drzwi domu. W sieni, do której wszedł, oprócz drzwi na podwórze, były jeszcze dwa wyjścia; jedno na lewo prowadziło śnać do paradnych pokoiów, drugie na prawo do gospodarskich. Zaledwie Lucyan przestąpił próg sieni, gdy, z za wpół otwartych drzwi na prawo, ozwał się głos kobiety:

— Marysiu, Marysiu! a prędjéj-że nieś kawę! Czego tam siedzisz tak długo?

— Śmietanka skipiała, proszę pani — odpowiedział z dalszego pokoju piskliwy głos Marysi.

— Ach, Boże wszechmogący! — zawołał znowu głos piérwszy — co téj za niezdara z ciebie! nigdy niczego nie dopilnujesz, jak trzeba. I gdzieżes to latała, żeś nie mogła śmietanki dopilnować?

— Tylko, proszę pani, pobiegłam do Janklowej po bułki — zawsze z oddali dochodził podniesiony głos Marysi.

— Oj, biegasz ty, jak żółw rychtyk — zabrzmiał zniżony już głos gderający.

W czasie téj rozmowy Lucyan, zdjawszy futro, wszedł do pokoju na lewo. Pokój ten był niewielki, o dwóch oknach, zdobnych w białe firanki z gładkiego muślinu i w kilka doniczek z kolczastym kaktusem i wonném geranium. Na biało tynkowanych ścianach, w żółtych drewnianych ramach, wisiało kilka miernych litografii, przedstawiających Napoleona piérwszego, jakieś nadmorskie miasto i wydobycie Mojżesza z wody. Naprzeciw drzwi stała starożytnych kształtów, szeroka i długa kanapa, o wysokich z żółtego drzewa poręczach, przed nią, białą siatkową serwetą nakryty, duży czworograniasty stół, a nad nią wisiało spore lustro, oprawne w złoczone niegdyś, dziś zczerniałe ramy. Ścianę przeciwległą oknom zajmował prawie całkowicie ogromny piec z zielonych kafli, zostawiając tylko miejsce na wązkie drzwi, do innego pokoju prowadzące, i na wiszący za niemi wielki zegar, z ciężkimi miedzianymi wagami, z bukietem malowanych róż nad cyferblatem i z głosem kukułki, oznajmującym każdą godzinę. Między oknami na stoliku stał pod szklanym pękatem kloszem bukiet kwiatów, robionych z różowej i zielonej włóczki; kilka żółtych wyplatanych krzesel i wązka a długa szafka z czarnego drzewa w kącie, dopełniały umeblowania pokoju, z którego wiało tchnienie starych zwyczajów, mierności i zacieśnionego parafialnego smaku.

Do pokoju tego, zaraz za Lucyanem, weszła niemłoda kobieta, małego wzrostu, szczupła, w czarnej wełnianej sukni i białym czystym czepku, nie pokrywającym zupełnie mocno posrebrzonych włosów. Twarz miała żółtą i pomarszczoną, usta blade i nieco surowe, ale duże, błękitne i bardzo łagodne oczy.

Lucyan wziął jéj rękę i podniósł do ust.

— Dobry wieczór ci, moja matko — rzekł.

— Dobry wieczór, moje dziecko — odpowiedziała pani Dolewska, całując syna w czoło. — Takem się w téj chwili zagniewała na Marysię, że nie uwierzysz. Wyobraź sobie, ta nieznośna dziewczyna...

— Moja matko droga — przerwał łagodnie Lucyan, trzymając jéj rękę w obu dłoniach — czy warto, abyś się tak gniewała i martwiła o drobiazgi?...

— Ależ, mój Lucysiu — żywo przerwała pani Dolewska — jakże się nie mam gniewać? Poleciała gdzieś nic dobrego, śmietanka wykipiała i teraz ty nie będziesz miał kawy.

— Mateczko — odpowiedział Lucyan — dziękuję, że się tak o mnie troszczysz, ale proszę, nie martw się z powodu mojej kawy i każ mi tylko przyrządzić herbatę; mnie to wszystko jedno.

— Ależ gdzież tam, wszystko jedno; alboż ja nie wiem, że kawa posilniejsza, a tyś się napracował dzisiaj, mój ty biedaku drogi! Marysiu, Marysiu! — wołała przeze drzwi —

nastawiaj samowar! A gdzie to moje klucze? — mówiła dalej, szukając ich w kieszeniach swojej sukni. — Lucysiu, poszukaj mi, moje dziecko, kluczy.

— Są tu, moja matko — rzekł Lucyan, podając staruszce pęk kluczy, które leżały na oknie przy doniczce z kaktusem.

W téj chwili we drzwiach pokoju ozwał się głos kobiety:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen! — odpowiedziała pani Dolewska.

— Pokój temu domowi!

— I temu, kto to mówi!

Z temi pobożnymi pozdrowieniami, weszła do pokoju kobieta w czarnym atlasowym kapturze, w futrze z wielkim lisim kołnierzem i z dwoma podługowatymi, pełnymi książek, workami.

— No, zapomniałaś już o mnie, moja pani Owsicka — rzekła, witając ją, matka Lucyana — zdejmże futro i kaptur, napijesz się z nami herbaty.

— Dziękuję, pani Józefowo, dziękuję, pewnie, że się napiję, nie można odmawiać darów Bożych. Panu Lucyanowi moje uszanowanie! Ciemno w pokoju, to i nie zobaczyłam pana staremi oczyma, panie mój kochany!

— Dobry wieczór pani — odrzekł Lucyan, z grzecznością pomagając pani Owsickiej w zdejmowaniu futra i kaptura.

— Pewno z kościoła pani idziesz? — spytała pani Dolewska, patrząc na worki z książkami do nabożeństwa.

— A z kąd-że miała-bym iść, jeśli nie z domu Bożego? Toć byłam na nieszpórach, które ksiądz Stanisław tak pięknie odprawił, aż dusza się rozradowała. A czemu to pani Józefowa na nieszpórach nie była?

— Alboż ja mogę gdzie odejść, mając taką sługę? Z takimi sługami to istne skaranie Boże. Mój Lucyś dziś kawy nie ma przez tego nicponia, Marysię.

— Wiem ja o tém, wiem! Wszystkie one takie hultajki — kiwając głową i siadając na kanapie, mówiła pani Owsicka.

— Ot i teraz — rzekła żywo pani Dolewska, brząkając kluczami — świecy nie niesie! A to skaranie Boże z tą dziewczyną.

Zaledwie to powiedziała, w sieni błysnęło światło i do pokoju weszła wysoka i barczysta dziewczyna, w płóciennéj spódnicy, z dużą chustą na krzyż przewiazaną na grubéj koszuli, z bosemi nogami i fartuchem, niosąc świecę w wysokim lichtarzu. Skoro ją postawiła, pani Owsicka odezwała się, kiwając głową:

— Ej zbytki, pani Józefowo, zbytki! toż, jak widzę, codzien stearynowe świece palicie.

— At, moja pani Owsicka; Lucyś chce tego, to niech już sobie tak i będzie.

— Aj, panie Lucyanie, panie Lucyanie, na co te zbytki? — prawiała pani Anna. — Dobrze mój nieboszczyk mąż mówił, świeć Panie nad jego duszą...

Nie dokończyła pani Owsicka wspomnień o nieboszczyku mężu, bo we drzwiach ozwał się znowu głos:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen — chórem odpowiedziały dwie kobiety.

I do pokoju weszła znowu postać niewieścia, ale całkiem już różna od okazałej pani Owsickiej, która mieszańcom N. imponowała swoją tuszą i swoim lisim kołnierzem.

Wchodząca tą razą kobiecina była niska i chuda, w czarnej, wązkiej sukni i watowanej salopie, z włóczkową chustką niepewnego koloru na głowie. Z pod owéj chustki ukazywała się marszczona szlarka białego czepka, otaczająca okrągłą, żółtą twarzyczkę z małemi oczkami i wązkiemi usty.

— Jak się ma panna Zuzanna? — rzekła pani Dolewska.

— Jak się ma nasza Szeherazada? — jak mówi ksiądz Stanisław — przemówiła z uśmiechem pani Owsicka.

— Moje uszanowanie pani aptekarzowej dobrodziejce! moje uszanowanie pani komisarzowej! do nówek upadam panu konsyliarzowi! — mówiła panna Zuzanna, dygając i zdejmując swoją watowaną salopę.

— Chodź-że, chodź, panno Zuzanno, siadaj tu z nami, będziemy zaraz pili herbatę — zapraszała pani Dolewska.

— Dziękuję za łaskawe względy pani aptekarzowej, niech Bóg wszechmogący wynagrodzi, bardzo jestem wdzięczna — odpowiedziała nowoprzybyła, składając ręce na piersi i w dygach podchodząc do stołu.

— Lucysiu! pójdź tu, moje dziecko, i usiądź przy mnie — ozwała się pani Dolewska do syna, który stał zamyślony przy oknie i, jakby obcy temu, co się koło niego działo i mówiło, machinalnie obrywał listki geranium. — Biedny mój Lucys jakoś nie swój dzisiaj. Czyś ty nie chory, broń Boże, dziecko ty moje?

I mówiąc to, przesuwiała rękę po gęstych, czarnych włosach Lucyana.

— O nie, moja matko — odrzekł Lucyana — zdrow jestem zupełnie.

— Ale gdzie tam, pani aptekarzowo dobrodziejko, ozwała się panna Zuzanna — pan konsyliarz dobrodziej nie może być chory: śnił mi się dziś tak pięknie, a jak ja co wyśnię, to już tak i będzie, jak amen w pacierzu.

— A jakże mój Lucys śnił się pannie Zuzannie? — spytała matka.

Panna Zuzanna westchnęła, złożywszy znowu ręce, wzniosła oczy w górę i mówiła:

— Och, pani aptekarzowo dobrodziejko, śnił mi się taki cudny ogród, taki cudny, niby to raj niebieski; a w tym ogrodzie był wielki pałac biały, niby to śnieg, a szyby, to jakby brylanty błyszczwały, i niby to pan konsyliarz dobrodziej chodził po tym ogrodzie z jakąś taką śliczną panią, że oczy było mrużyć, patrząc na jęj oblicze; i tak szli sobie, wzięwszy się pod rączki i patrząc na siebie, jak dwa aniołki. A ja niby to byłam ptaszka i siedziałam na najwyższym drzewie z całego ogrodu i myślałam sobie: ot, żeby pani aptekarzowa widziała swego jedynaka w takich zbytkach i z taką piękną panią, toby się ucieszyła, że Pan Bóg najwyższy dał jęj wychować takiego syna, jak pan konsyliarz dobrodziej. I tak niby to ja patrzę i myślę, aż tu, Chryste Panie! jak wyskoczy z za drzewa poczwara jakaś straszliwa, jak rzuci się na pana konsyliarza i na tę piękną panią, aż we mnie dech zamarł. I myślę sobie: święty Antoni Padewski i Najświętsza Panno Ostrobramska, ratujcie tych dwóch aniołków! Aż niby to ja patrzę, a pan konsyliarz jak porwie poczwarę jedną ręką za głowę, drugą za nogi, tak i rozdarł na dwie połowy, aż ja, niby z wielkiego uradowania, krzyknęłam i obudziłam się. Ale chwala Bogu, że pan konsyliarz poczwarę rozdarł. Patrzyłam w senniku, to tam tak stoi: kto poczwarę we śnie rozedrze, tego żadne zle nie spotka; a że pan konsyliarz ją rozdarł, to znaczy, że tak każde nieszczęście rozedrze. Przecież tak i w modlitwie stoi:

Na lwa srogięgo bez obawy wsiedzisz

I na ogromnym smoku jeździć będziesz.

— Dobrze, dobrze, Szeherazado — zabrzmiał we drzwiach głos mężki. — Uważam, Lucyanie, że jesteś w snach panny Zuzanny Samsonem, lwa rozdzierającym.

Na głos ten trzy kobiety śpiesznie powstały, a Lucyana z wyciągniętą dłonią postąpił ku drzwiom.

Z cieniu, na słabo oświetlony środek pokoju, wyszedł mężczyzna, ubrany w długi, czarny surdut, z futrzanym kołnierzem. Nie był on bardzo wysoki, ale w postawie miał pewną godność i powagę, które go wyższym, niż był, okazywały. Twarz jego była ściągła, blada, o dużych, wydatnych rysach; na szerokim czole rysowały się liczne zmarszczki, oczy duże, szaro-błękitne, podkrążone, miały wyraz cichego cierpienia, słodczy i miłości. Usta jego były blade, włosy jasne, silnie siwiejące, w całej osobie wyraz dobroci, myśli i siły moralnej.

Pani Dolewska z uszanowaniem pocałowała przybyłego w ramię, mówiąc:

— Ksiądz proboszcz w naszej chatce, więc i błogosławieństwo Bożkie tu z nim wstępuje.

Lucyana w obu dłoniach ścisnął rękę księdza, witając go uprzejmymi słowy; ale panna Zuzanna przemocą odebrała tę rękę i ustami zawiesiła się na nięj. Pani Owsicka pochwyciła drugą rękę księdza i podobnie składała na nięj głośnie całusy.

— Dobry wieczór, dobry wieczór — mówił ksiądz, uśmiechając się i usiłując wydobyć rękę z uścisków pobożnych niewiast. Ale nie było to rzeczą łatwą.

— Ojcie Stanisławie! proboszczuniu! święty, kochany ojczulku! — szeptały one i całowały w najlepsze.

I Bóg sam wie tylko, jak długo trwała-by ta scena, wśród której Lucyan patrzył na proboszcza, jak na rozkrzyżowanego męczennika, gdyby nie tryumfalny wjazd Marysi z samowarem, wjazd na ogromnym kocie, który we drzwiach samych wymknął się z piskiem i burzeniem z pomiędzy bosych nóg dziewczyny.

— Psik Burczyk! — wołała pani Dolewska, starając się wypędzić kota. — Pocoś go tu wpuściła, Marysiu? A mówiłam ci już sto razy, żebyś kota nie wpuszczała! psik Burczyk!

Ale z Burczykiem niełatwa była sprawa, wiedział on bowiem z wielokrotnego doświadczenia, co znaczy wniesienie samowara do pokoju, wiedział, że za nim przybędą bułki i śmietanka, z których mu zawsze, po długim gderaniu i wypędzaniu, dostawała się jakaś cząstka. Nastąpiło więc w pokoju ogólne zamieszanie. Marysia, postawiwszy samowar na stole, wspólnie z panią Dolewską wypędzała Burczyka; pstrokaty kot przebiegał z pod kanapy pod krzesło, z pod krzesła pod stół, unikając wedle możliwości zbliżenia się ku drzwiom od sieni; samowar na stole piszczał i szumiał, a pani Owsicka i panna Zuzanna ze zdwojonym zapalem całowały ręce księdza proboszcza. W końcu jednak te wszystkie komplikacje tém się skończyły, że Burczyk został w pokoju i tryumfująco usiadł na oknie. Marysia nakryła stół przed kanapą, ponsową, w wielkie czarne kwiaty, serwetą, postawiła na nim samowar, imbryk z białego fajansu, zdobny w girlandę róż, tacę ze szklankami, nalewkę ze śmietanką i talerz z bułkami; panna Zuzanna i pani Owsicka, na widok tych przygotowań, uwolniły z uścisków ręce księdza proboszcza, i całe towarzystwo zasiadło wkoło szumiącego samowara. Pani Dolewska otworzyła wtedy czarną szafkę, stojącą w rogu pokoju, wyjęła z niej herbatnicę ze szkła zielonego i cukiernicę ze szkła białego i rozpoczęła nalewanie herbaty.

— Przerwałem pannie Zuzannie — z uśmiechem ozwał się proboszcz — opowiadanie jakiegóż nowej historii.

— Panna Zuzanna opowiadała nam swój sen o Lucysiu — rzekła pani Dolewska, podając proboszczowi szklankę z herbatą.

— A słyszałem, że uczyniła go Samsonem, lwa rozdzierającym. No, panie Lucyanie, strzeż się teraz zdradzieckiej Dalili.

— Sądzę, księżę Stanisławie — odpowiedział doktor — że w N. i z latarnią Dyogenesa Dalili-bym nie znalazł.

I, usiadłszy obok księdza, zaczął z nim rozmawiać o bieżących sprawach miasteczka.

Trzy kobiety, nie chcąc przeszkadzać rozmowie dwóch ludzi, których uważały za nieskończenie wyższe od siebie istoty, zbliżyły się do siebie i, pijąc herbatę, rozmawiały półgłosem.

— A już to nie darmo nieboszczyk mój mąż, świeć Panie nad jego duszą, mówił — ozwała się, dolewając śmietanki do herbaty, pani Owsicka — że z pana Lucyana będzie człowiek całą gębą. Bywało, dzieciak taki, że patrzeć nie było na co, a już gadał mądrze, jak stary. To mój nieboszczyk, bywało, mówił: Ej, panie mój kochany, zuch będzie z tego chłopca, i do tańca, i do różańca; bo to żwawy, jak skra, a mądry, jak Salomon. Czemu też to pani Józefowa nie żeni swego jedynaka?

— A z kimże on ma się żenić tutaj? — odrzekła, wzruszając ramionami, matka Lucyana — czy nie z panną Dembowską którą, albo z panną Jęczmionkowską?

— A już to prawda, gdzie im tam do Lucysia! One to, at sobie, pocziwe dziewczęta i nic więcej, a jemu to mądrzej żony trzeba, bo dobrze mówił mój nieboszczyk mąż, świeć Panie nad jego duszą, że mądry z głupim to, panie mój kochany, taka para, jak woda z ogniem; jedno będzie szumić, a drugie piszczyć, aż i ogień zgaśnie, i woda wyschnie. A u nas niema takiej, jakiej panu Lucyanowi trzeba.

— A jużci niema takiej — odrzekła pani Dolewska, i oko matki z dumą spoczęło na głowie jedynaka. — Ot, moja pani Owsicka, mówiła dalej — pracowałam, pracowałam całe życie, ale Pan Bóg dał mi doczekać tego, że syna wykierowałam na człowieka. Żeby mój nieboszczyk Józef widział jego teraz, toby-to był szczęśliwy! Ale jemu Pan Bóg nie dał doczekać tej pociechy.

I spojrzenie bladych oczu kobiety pobiegło w przestrzeń, jakby przebić chciało ściany domu i ujrzeć wśród cieniów nocy grób człowieka, który dał jej całe szczęście, jakiego doznała w młodości, a umierając, na łzy i pociechy, na troski, dumę i nadzieję, zostawił jej syna.

— Tak, tak, pocziwe dziecko — ciągnęła dalej pani Dolewska, sprowadzając znowu spojrzenie na piękną głowę jedynaka; — albo ja nie wiem tego, że on dla mnie zakopał się tutaj, bo nie chce mnie staręj porzucić, albo wlec gdzie w świat z sobą? Ot, gdzieindziej byłby pewno bogatszy i szczęśliwszy, ludzie-by się poznali na nim i żonę-by pewno znalazł sobie po sercu. Ale już ja stara i Pan Bóg mię może prędko do swojej chwały zabierze, a wtedy i memu Lucyanowi droga się otworzy; tymczasem jest mi pociechą na starość, i jaką jeszcze pociechą!

I w pracy zgrubiałą ręką otarła oczy, bo w bladych jęj źrenicach zaświeciły łzy.

Dwie słuchające kobiety wzdychały i kiwały głowami, łykając ze smakiem herbatę.

— Doskonała herbata u pani aptekarzowej dobrodziejki — ozwała się po chwili panna Zuzanna. — Jak człowiek zziębnie, modląc się długo w domu Bożym, to taki napój na zdrowie służy.

— A czy nie masz teraz u siebie herbaty, panno Zuzanno? — spytała pani Dolewska.

— A gdzieby tam u mnie była — smutnie odpowiedziała, źle stojąca w finansach, Szeherezada.

Pani Dolewska nic nie odpowiedziała, ale, przeszedłszy pokój, wyjęła z szuflady szafki starą jakąś gazetę i po chwili część herbaty, znajdującej się w zielonej herbatnicy, została w nią zawinięta i zniknęła w kieszeni czarnej sukni panny Zuzanny.

— Bóg zapłać pani aptekarzowej dobrodziejce — rzekła z wdzięcznością Szeherezada — otóż to, jaka matka, taki syn, jaki syn, taka matka.

— To wszystko jego praca, moja panno Zuzanno — odpowiedziała pani Dolewska. — Od tego czasu, jak on tu przyjechał, niczego mi nie braknie, wszystkiego jest dostatek, i pocziwe dziecko pozwala mi robić, co mi się podoba. A czemuż nie mam podzielić się z dobrymi ludźmi, kiedy Bóg tak każe i Lucyś chce tego. Przecież beczkę soli zjadłyśmy z sobą, przez kopę lat się znamy.

— Oj kopę lat, kopę lat, pani aptekarzowo dobrodziejko! Dawniej lepsze czasy były.

— Dla mnie teraz najlepsze czasy, kiedy mój Lucyś wyszedł na człowieka i ciągle jest ze mną.

I długo jeszcze w podobny sposób trzy kobiety mówiły do siebie półgłosem, a cała rozmowa ich, jak ziemia około swęj osi, obracała się około myśli o młodym człowieku, który siedział naprzeciw nich, z czołem na dłoni wspartém. Imię jego nieustannie wracało na ich usta, bo jednej z nich był synem jedynym, a dwie inne kochały go, jak dziecię, obok nich na człowieka wzrosłe, czciły jak wyższą, doskonalszą istotę.

Zakukał donośnie wielki zegar na ścianie. Pani Owsicka podniosła do góry wskazujący palec prawęj ręki i zaczęła liczyć: raz, dwa, trzy i t. d. Po dziesiątém uderzeniu umilkł głos i zarazem palec pani Owsickiej dobitnie uderzył w stół, a z ust jęj, równie dobitnie powiedziany, wypadł wyraz:

— Dziesięć!

— Najświętsza Panno Ostrobramska! — zawołała, zrywając się z siedzenia, panna Zuzanna — a toż się zagadałam! Dziesiąta godzina! Moje uszanowanie pani aptekarzowej dobrodziejce — mówiła, dygając — dziękuję za herbatę i łaskawe względy; pora już do domu, wielka pora.

— A że pora, to pora — potwierdziła, wstając, pani Owsicka. — Adiu, moja pani Józefowo, a zajrzyj też pani kiedy do mnie. To niedaleki świat, przez ulicę.

Mężczyźni przestali rozmawiać i patrzyli na żegnające się kobiety.

— Dobranoc, ojczy Stanisławie, dobranoc proboszczuniu! — pobożnie szepnęły dwie odchodzące, i znowu dłonie księdza znalazły się w ich gorliwych uściskach.

— Moje uszanowanie, panu konsyliarzowi dobrodziejowi — dygając przed Lucyanem, rzekła panna Zuzanna.

— Żegnam pana Lucyana — zawtórowała pani Owsicka. — A czy nie pisał do pana pański kolega, pan Karłowski?

— Nie, pani — odpowiedział Lucyan — nie mamy zwyczaju pisywania do siebie.

— A grzeczny, bardzo grzeczny z niego kawaler, pani mój łaskawy; zaraz znać, że z Warszawy — mówiła pani Anna, a po chwili pani Dolewska wyprowadziła swoich gości do sieni.

Skrzypnęły drzwi od podwórza, ozwały się jeszcze kilkakrotne „dobranoc” i wkrótce kołnierz lisi pani Owsickiej sunął wspaniale około kościelnego ogrodzenia, a przy nim

dreptała po błocie panna Zuzanna, półgłosem opowiadając pani Owsickiej, że jako żywo widziała nie dawniej, jak wczorajszej nocy anioła Gabriela, stojącego w powietrzu nad samym domem księdza Stanisława.

Tymczasem pani Dolewska wołała w sieni:

— Marysiu! zabieraj samowar! — ale widząc, że głos jej jest wołaniem na puszczy, sama weszła do pokoju na prawo.

Pokój ten był dość duży, czysto wybielony, miał dwa okna, ozdobione firankami i wazonikami z mirtem; w jednym z nich, niedawno snąc zasadzona i przykryta szklanką, rosła gałązka rozmarynu. Przy ścianie naprzeciw drzwi, zasłane kołdrą włóczkową w wypłowiałe pasy, stało łóżko z wysokim stosem białych poduszek, a obok łóżka stoliczek z wielkim czarnym krucyfiksem, nad którym, w ramach oklejonych złożonym papierem, wisiał wizerunek Matki Bożkiej Ostrobramskiej. Dalej wkoło ścian stały komódki, szafeczki, szafy, skromne stolki i drewniane, ponsowo malowane ławeczki; na ścianie, w jednym kącie, wisiało dużo szarych uprzedzonych motków, w drugim pęk święconej, kolorowemi wstążkami upstrzonej wierzby. Między oknami na komodzie, w czarnych ramach, oparty był dość duży, bardzo źle malowany obraz zdjęcia z krzyża Chrystusa i leżała czarno oprawna księga Nowego Testamentu. Piec był ogromny, z zielonych kafli, z szerokim przypieckiem, a przed przypieckiem stał stolik z niemalowanego drzewa i paliła się na nim łojowa świeca, zaciemniona nieobciętym knotem. Na przypiecku siedziała Marysia, z pończochą naciągniętą do cerowania na rękę i ze sterczącą w nią ostrą igłą. Rozczochrane włosy dziewczyny rysowały za nią na piecu dziwaczne rogi i rożki, głowa jej co chwila opadała na dłoń, ociągniętą pończochą, a zakłuta igłą, podnosiła się, uderzała o piec i znowu opadała.

— A co — wchodząc, rzekła do siebie pani Dolewska. — Jakbym zgadła, już spi hultajka, jak zabita. Marysiu! Marysiu!

I podchodząc, dotknęła ramienia służącej. Głowa dziewczyny podskoczyła, aby z całą mocą uderzyć o piec, poczem nastąpił balans na lewo i prawo, nareszcie z trudnością odzyskana równowaga głowy, szerokie otworzenie oczu i zerwanie się na równe nogi.

— Idź śpiochu, zabieraj samowar — rzekła pani Dolewska, szcypcami zdjętemi z wążkiej, zielonej tacki objaśniając świecę.

Dziewczyna, sapiąc i ciężko stąpając bosemi nogami, poczęła się krzątać około herbacianych przyborów, a pani Dolewska weszła do bawialnego pokoju.

— Późno już jest, moja droga matko — rzekł Lucyan, zbliżając się do niej i biorąc jej rękę — czas, abyś poszła na spoczynek. Tyle się zawsze przez cały dzień natrudziła!

— A ksiądz proboszcz, czy już nas opuszcza?

— Nie — odrzekł ksiądz — my z Lucyanem pogwarzyśmy jeszcze trochę w jego pokoju.

— A no, to już ja pójdę sobie, dziecko moje kochane — rzekła, obejmując jedną ręką szyję pochylonego przed nią syna, a drugą przesuwając po jego czarnych włosach, którymi się snąc szczególniej lubowała.

— Czy uwierzy ksiądz proboszcz — mówiła dalej — że Lucyś, kiedy był mały, miał włosy jasne jak len, potem zaczęły robić się coraz ciemniejsze, a teraz takie czarne, jak krucze pióra.

Proboszcz stał o parę kroków i w milczeniu patrzył na grupę, złożoną z młodego człowieka o pięknej i bladej twarzy, pochylonego pod dłońią matki i ze stariej kobiety, pieszczącej się z włosami swego jedynaka.

— No, dobranoc ci, moje dziecko — rzekła wreszcie pani Dolewska, całując syna w czoło. — Bóg z tobą; dobranoc księdzu proboszczowi, dziękuję za odwiedzenie i za łaskawą przyjaźń dla mego Lucjana.

Gdy pani Dolewska wyszła do swojej sypialni, Lucyan, wzięwszy świecę, otworzył wążkie drzwiczki, znajdujące się między piecem i zegarem i uczyniwszy ręką gest, zapraszający księdza, wszedł tam za nim i zamknął drzwi za sobą.

Pokój, w którym się znaleźli, był wążki a długi, o jedném szerokiem, zasłoniętém sztorą i wychodzącém na ogródek, oknie. Na oknie tém nie było już wazoników z kaktusem i geranium, ale pod niem stało pięknie rzeźbione biurko, na którym leżały rozrzucone papiery, jedna książka otwarta i wszystkie do pisania przyrządy. Przed biurkiem był wygodny, zieloną skórą obity fotel, a ziemię pokrywał niewielki, ale gustowny kobierzec.

Naprzeciw drzwi, pod ścianą, stała ładna kozetka, za stoliczkiem zarzuconym dziennikami i z dwoma fotelami, a nad nią wisiała piękna kopia z obrazu Verneta, przedstawiająca noc księżycową na morskim wybrzeżu. Ściana przeciwległa oknu, zakryta była szafą o dużych szklanych szybach, zapełnioną kilku rzędami oprawnych i nieoprawnych książek, między którymi wpadały najprzód wkoło grube tomy z łacińskimi, angielskimi i niemieckimi napisami medycznych tytułów. Parę zgrabnych, rzeźbionych, jak biurko, komód, uzupełniało umeblowanie. Pomiedzy szafą z książkami i boczną ścianą, były wązkie drzwiczki, prowadzące do sypialni Lucyana. Wniesiona świeca słabo rozświecała głab' tego pełnego smaku pokoju i blade rzuciła promienie na ciemne tło obrazu Verneta.

— Jak też ten pokój niepodobny jest do całego domu waszego! — rzekł ksiądz, siadając na fotelu przed biurkiem.

— Tak — odpowiedział Lucyana, przysuwając sobie inny fotel i siadając naprzeciw swego gościa — w innych częściach tego domu, panią wyłączną jest moja matka; urządza je ona zupełnie według woli i przyzwyczajęń swoich. Zdaje mi się, że od chwili, w której po raz pierwszy ojciec mój wprowadził ją do swego domu, nic w nim nie zmieniła i zmienić-by nie chciała, a ja także nie považyl-bym się nigdy poruszyć czegokolwiek w sanktuarium jęj pamiątek i zwyczajów. Ale, w tym pokoju rozpościeram wyłączne panowanie moje i urządziłem go według własnego upodobania. Cóż chcesz, księże Stanisławie, taka już moja natura, że muszę lubić to, co piękne i mile w oko wpada.

— Niewygodna to natura dla człowieka, mieszkającego w N. — odrzekł ksiądz. — Jak widzę, pracujesz ciągle, Lucyanie — dodał, patrząc na otwarte dzieło o fizjologii Moleschotta.

— Nie dotykaj książki tęg, księże Stanisławie — żartobliwie rzekł Lucyana — całej smoły piekielnej mało jest na jęj spalenie.

— A wiem, wiem — czytając tytuł, odpowiedział ksiądz. — Moleschott, jeden z najradykałniejszych materyalistów.

— Materyalista in extremis — dodał doktor — dowodzący, że człowiek pochodzi od kwasu węglowego, tlenu, wodoru i kilku kwasów ziemnych.

— Ha — rzekł ksiądz — różne są kierunki umysłów ludzkich; przecież, mojem zdaniem, jeżeli człowiek pracuje ze szczerem pragnieniem dobra i prawdy, to jakiegokolwiek są błędy umysłu jego, znajdą one przebaczenie u Tego, który sam jeden tylko błędzić nie może.

— Zapewne; to też przebaczenie sobie wzajemne i poszanowanie opinii każdej jednostki, jest najpożądanym, a zarazem najtrudniejszym do osiągnięcia szczytem rozumu ludzkiego.

— Szczytem miłości, powiedz Lucyanie, miłości, tchnącej z każdego wyrazu Chrystusowej nauki, której ludzkość pochwyciła formę, a treści dotąd jeszcze w życie wprowadzić nie zdołała.

— Jeżeli, księże Stanisławie, mówisz, że poszanowanie opinii każdej jednostki i przebaczenie jęj błędów, jest szczytem miłości, ja zawsze jednak dodam, że jest ona i szczytem rozumu. Boć każdy, kto zna władzę, jaką natura wywiera na ustrój społeczeństw i przebieg dziejów ludzkości, ten wie, że człowiek, jako jednostka, nie rozwija się pojedynczo i oderwanie. Duch czasu, miejsca i okoliczności, rodzi ludzi i wielkich i miernych, i zupełnie niskich duchem. Niejeden, który w pewnych okolicznościach mógł-by być mądrym i zacnym, pod naciskiem społecznym staje się złym lub ciemnym, i wzajemnie. Wola człowieka ogromną tu zapewne gra rolę i na niej polega cały postęp ludzkości. Wszakże, zważywszy wszystko, co na niego wpływa, co go pociąga, odtrąca, popycha, krępuje, szczytem rozumu jest nie rzucić potępienia na błędzących, ale samo zło tylko potępiać w zasadzie i starać się oddziaływać przeciw niemu, a oddziaływać światłem umysłowem i gorliwem szukaniem i objawianiem ludziom prawdy, bo przez światło tylko, to jest przez pojęcie i uznanie prawdy, ludzie stopniowo otrząsać się mogą ze złego, a wszelkie anatemy rzucane przeciw jednostkom, są tylko dowodem płytkiego umysłu, lub złego serca.

— W zapatrywaniem się swoim z innym, niż ja, wychodzisz punktu, Lucyanie, ale zgadzamy się na jeden rezultat, a więcęj nie potrzeba, abyśmy się pojowali wzajemnie. Ale, à propos rezultatu, powiedz-że mi, jak idą twoje filantropijno-utyłitarne plany?

— Tępo idą — odrzekł Lucyan, i twarz zachmurzyła mu się trochę. — Lud ciemny jest, trudno go nakłonić do działania czegokolwiek we własnym interesie; zresztą środków materyalnych mi brak i innych jeszcze rzeczy.

— Cóż? czy przynajmniej zdołałeś ich nakłonić do zachowania najważniejszego higienicznego warunku, czystości?

— Gdzie tam! to istna praca Syzyfa. Dziś przyrzekną, jutro nie dotrzymają; przez ustępstwo, wdzięczność, lub życzliwość, raz usłuchają rady, a dziesięć razy wilcza natura do lasu ich pociągnie. Póki lud nie będzie zdolny sam jakąkolwiek prawdę pojąć, daremnie ją mu wmawiać; i prośby i groźby nie pomogą, te ostatnie szczególniej.

— Cóż na to poradzić? — rzekł zamyślony ksiądz Stanisław.

— Światła, światła co najwięcej trzeba — z zapalem odpowiedział Lucyan. — Nie wyobrazisz sobie, księżo Stanisławie, jak mię boli nędzny stan ludności, którą otoczony jestem. Gdybym mógł, zaraz-bym zdziałał w N. ulepszenia, któreby ją materyalnie i moralnie podnieść musiały. A najprzód, pomyślał-bym o higienicznych warunkach miasteczka, bo w zdrowém tylko ciele zdrowa mieszka dusza, i w zdrowej, czystej atmosferze tylko mogą się rozwijać silni duchem ludzie. N. jest błotniste; okopał-bym je więc rowami, aby woda miała ścieki; z ulicy uczynił-bym groblą; plac-bym wybrukował; budynki gospodarskie poodsuwał-bym od mieszkań, aby podwórza były obszerniejsze i czystsze; stare, wpół rozwalone budowle zniósłbym, a na ich miejscu założył-bym ogródki. Potém, przechodząc do strony moralnej, wypędził-bym z karczmy żyda, który chłopów rozpaja i odziera, założył-bym szkoły i t. d., i t. d. Ale, wszystko to są zamki na lodzie, niepodobne do urzeczywistnienia, dla niedających się zwyciężyć przeszkód; a tymczasem widzę, że usiłowania moje topnieją i ku niczemu nie służą. Częstkowe dobro, jakie zdziałać mogę, nie zostawia żadnego śladu i nieraz rozpacz mię ogarnia, gdy porównywan to, co mógłbym zrobić, z tém, co robię.

— Powinno pocieszać cię przekonanie — rzekł ksiądz Stanisław — że robisz wszystko, co możesz.

— Mnie za mało jest przekonania, że spełniam mój obowiązek. Ja kocham nad wszystko pojęcie dobra i prawdy, i pragnę działać w ich imię, a gdy mi do działania tego pola i możności braknie, duszę się jak w klatce. Ja potrzebuję żyć całą pełnią życia, do czegoś dążyć, coś kochać i w imię czegoś pracować całą siłą moją. Inaczéj niéma dla mnie zadowolenia ni spokoju.

— Rozumiem ja to, rozumiem — powoli ozwał się ksiądz Stanisław. — Miałem i ja niegdyś to samo pragnienie szerokich czynów, wielkich miłości i oto dlatego wcześniej posiwiały mi włosy i twarz zestarzała. Alem ja znalazł pociechę i uspokojenie u stopni ołtarza, a ty, Lucyanie, szukaj ich w sile własnego ducha. Nie goń za niepodobnym, bo widma na bezdroża prowadzą, hamuj swoją ognistą naturę, jak zapal szlachetnej krwi niesfornego rumaka i nie omijaj tego, co możesz uczynić, dla tego, co byś chciał, a nie możesz.

— Pojmuję prawdę słów twoich, księżo Stanisławie, i zewnątrznie urobiłem już siebie według téj prawdy. Jakiekolwiek uczucia grają we mnie, nauczyłem się być na zewnątrz spokojnym i rozważnym w słowach i czynach. Ale, najwyższego stopnia panowania nad sobą, to jest pogody myśli, mimo wszystkiego coby ją zaćmić mogło, spokoju wobec samego siebie nawet, nie zdołałem w sobie jeszcze wyrobić. Wiem, że to koniecznie potrzebne, ale cóż chcesz, księżo Stanisławie, człowiek całe życie się uczy. Otóż i ja teraz przechodzę szkołę zwyciężania swoich niecierpliwości i zawładnięcia sobą, tak wewnątrznie, jak i zewnątrznie.

— Gorącą masz naturę, Lucyanie, i nic dziwnego... takiś jeszcze młody! I jam taki był w młodości mojej. Przebyłem téż w życiu ciężkie próby i miewałem walki podobne twoim; dlatego to może zupełnie cię rozumiem. Popędy twoje, lubo szlachetne, za silne są i za ogniste. Hamować je należy, bo, gdy nie znajdą dla siebie materyału, strawić ciebie mogą. Namiętności ludzkie, mój Lucyanie, są pierwotnie jak rumaki czystej krwi: jeśli człowiek włada nimi i kieruje, zanieść go one mogą szybko i daleko, tam, gdzie rozumną wolą swoją stanąć zechce; ale jeżeli puści im wodze, polecą na oślep i, w szalonym pędzie z nim razem, w przepaść runą. To téż panować należy nad młodzieńczym zapalem i wyrabiać w sobie stoicyzm.

Umilkł ksiądz i Lucyan zamyślił się; po czole jego przechodziły cienie i w oczach błyskały ognie, jak zwykle, kiedy bywał wzruszony.

— Tak, tak, księżo Stanisławie — rzekł po chwili milczenia — masz słusność we wszystkim, co mówisz. To też ja rachuję na czas i własną wolę, aby zawiadnąć tym, co wre we mnie. Ale, jako człowiek doświadczony i znający serca ludzkie, nie dziwisz się pewnie temu, że gdy oglądam się po ciasnym i smutnym zakresie, w jakim zamknąłem moje życie, źle mi bywa chwilami, gorzej, niż opowiedzieć mogę i chcę.

— O, wcale się temu nie dziwię, mój drogi — łagodnie odpowiedział ksiądz. — Znam ciebie: jesteś ognisty, namiętny, siły natury twojej dziewicze, bogate, dopominają się o użycie i dlatego wrzysz i targasz się wewnętrznie, choć na zewnątrz jesteś spokojny. Ale ten spokój twój zewnętrzny, zwieść może tylko niedoświadczone i niebadawcze oko; ja w twojej twarzy widzę, jakby odzwierciedlenie mojej własnej przeszłości i dlatego wiem, co znaczy ta twoja wzrastająca bladłość i ten namiętny ogień, który często pali się w twoich oczach. Są to dla mnie oznaki niepodbitego jeszcze wola ducha. Otóż, z powodu właśnie tej znajomości ciebie, czuję, że mam niejako obowiązek podawania ci przyjaznych i serdecznych przestróg. Panuj nad sobą, Lucyane, panuj nad porywami swojemi, aby cię one nie zawiodły na zgubne drogi; strzeż się wulkanicznem swoim sercem pokochać jakie złe widmo, bo wtedy nie odnajdziesz samego siebie i swojej siły moralnej, i spalisz się pożarem, własną ręką roznieconym.

Lucyan w milczeniu podał rękę księdzu i, odgarnawszy z czoła swoje piękne, czarne włosy, rzekł:

— Doprawdy, księżo Stanisławie, nie chciałem cię tak długo sobą zaprzętać; przyszło to jakoś samo z siebie, a raczej z twego zacnego serca, które się mną tak przyjaźnie zajmuje. Ale, mam cię prosić o radę jeszcze w innym względzie.

— Cóż to takiego, kochany Lucyane? — zapytał ksiądz.

— Oto widzisz, księżo Stanisławie, od roku już uczę syna pani Grodzickiej. Zdolny i bardzo dobrych skłonności jest to chłopak; ale przy moich nawet usiłowaniach, marnie zginą jego zdolności, jeśli go do szkół nie oddamy. Matka nie może tego uczynić, ani ja także; chciałem się więc zapytać, czy między sąsiadami N. nie znasz kogo z dobrą chęcią, coby dał środki na wychowanie tego dziecka, z którego dzielny człowiek z czasem być może?

Ksiądz Stanisław zamyślił się na chwilę.

— Hm, ciężkie mi dajesz zadanie — odpowiedział — bo w całej okolicy naszej, są tylko dwa rodzaje właścicieli ziemskich: albo wielcy panowie, którzy ciągle mieszkają za granicą i w stolicy, i których nie znam, albo drobna szlachta, nie mogąca łożyć tak stosunkowo znacznych kosztów.

— To szkoda! — rzekł zmartwiony Lucyan.

— Poczekaj, poczekaj... — mówił znów, namyślając się ksiądz — mam ja wprawdzie bogatą parafiankę, bardzo zającą... ale... czy znasz panią Klotyldę Warszawską?

— Dziedziczkę Jodłowej? nie znam — odrzekł Lucyan.

— Jestto kobieta... kobieta... jakby to ją określić... młoda, piękna, rozpieszczona losem, jak motyl latająca po świecie, bez innego celu, jak dla dogodzenia swoim fantazjom, ale przytęm dobrego serca, niezmiernie wrażliwa na biedy ludzkie i bardzo miła osoba. Trzeba-by ję zaproponować wychowanie twego protegowanego.

— Ależ ona nie mieszka podobno w Jodłowej — zarzucił Lucyan.

— Dembowski mówił mi dziś — odparł ksiądz — że spodziewa się ję przybycia w Kwietniu; a przecież chłopca i tak nie można oddać do szkół inaczej, jak po wakacjach, to jest w Sierpniu. Gdy więc dowiem się o przyjeździe pani Warszawskiej do Jodłowej, pojedę i zaproponuję ję to, a prawie pewny jestem dobrego skutku.

Po chwili powstał ksiądz Stanisław i, uściśnawszy rękę Lucyana, wyszedł z domu doktora. I postać jego wysoka, poważna, przesuwała się wśród mroku nocy, obok kościelnego ogrodzenia, dążąc do niedalekiej plebanii.

W oknie Lucyana długo jeszcze z za zielonej sztory błyszczało światło, ale nie zagasło ono prędko i w pokoju pani Dolewskiej.

Przed dużym czarnym krucyfixem długo w noc klęczała matka Lucyana; spracowane swoje ręce złożyła na piersi, a srebrne włosy, uwolnione od czepka, opłynęły ję

szyję i skronie. Świeca, za nią stojąca, żółtawym płomykiem oświecała zamodloną postać staruszki. Milczenie było zupełne, przerywane tylko dochodzącym z drugiego pokoju chrapaniem Marysi i głębokimi westchnieniami, podnoszącymi pierś pani Dolewskiej wtedy, gdy wzywając ukrzyżowanego Boga i Maryą Ostrobramską, wymawiała w modlitwie imię jedynaka. Modliła się za syna swojego.

O modlące się matki! gdzie jesteście wtedy, gdy piersi synów waszych płoną bólami żywota, gdy w serca ich wkradają się żmije fałszu, grzechu, lub rozpacz.

Gdzie jesteście wtedy, gdy śmierć zamyka te oczy, któreście tyle razy całowały z miłością; gdy robaki ziemne gnieźdzą się i pelzają w tych włosach, które tyle razy macierzyńską pieściłyście dłonią?

O matki! czemu piosenka, którą tak słodko śpiewałyście nad kolébką synów waszych, nie brzmi nad nimi wtedy, gdy życie rozciąga ich na ognistém łożu cierpienia? czemu nie brzmi ona nad nimi wtedy, gdy im nad głową zastuka młot, zamykający wieko ich trumny — ostatni akord dziwnej pieśni życia?

O pieśni i modlitwy matek! czemu tak szybko przebrzmiewają dźwięki wasze i słowa? Czy i wy może, jak wiele innych na ziemi rzeczy, jesteście ową bańką stubarwną, o której dzieci myślą, że leci do nieba, a która jednak, w mętną zmienioną pianę, upada i miesza się z prochem i błotem téj ziemi!?

VIII. KOBIETA-ZAGADKA

W imię zdrowego rozsądku, świętej spokojności i rozstrojonych wrzawą nerwów, pytam: czego się ci ludzie tak szalenie po mieście ruszają? Czy Warszawa zapaliła się na wszystkich swoich końcach? Czy się gdzie jaki cud ukazał?... Na chodnikach tłumy biegną, potracając się i, nie mając czasu na przeprosiny, biegną dalej... Środkiem ulic powozy pędzą jak szalone, furmani krzyczą, konie galopują, a błoto, odskakując od kół i kopyt końskich, bryzga, i ludzie, idących piechotą, zamienia w nieznaną dotąd zoologii gatunek centkownych dwunożnych. Dorożki do najęcia nigdzie ani znaleźć, bo ile tylko jest ich w całym mieście, wszystkie zajęte przez wyfrakowanych panów, w wysokich kapeluszach i białych rękawiczkach, którzy jeżdżą od domu do domu, wysiadają z dorożek, wchodzą w bramy i na piętra, wymawiają z ukłonem sakramentalny wyraz: winszuję! wsiadają znowu i dalej pędzą, z kartami wizytowymi w ręku. Kiedy między piechotą idącymi ludźmi spotykają się znajomi, brzmi po sto razy wyraz: winszuję! a mniej elegancki świat, starym zwyczajem, dodaje: daj Boże za rok szczęśliwie doczekać!

Kto-by nie wiedział o przyczynie téj całej radości i tych wszystkich powinszowań, sądził-by, że wyrok niebieski zdjął z ludzkości klątwę pierworodnego grzechu, albo, że jaki najazd barbarzyńców został zwycięsko przez Europę odparty, albo, co najmniej, że się wszyscy tego ranka poženili, lub że się wszystkim ubiegłej nocy urodzili pierworodni. A to poprostu ludność Warszawy obchodzi uroczystość Nowego Roku.

Taką jest moc zwyczaju. Ileż razy ludzie dziękują sobie, nie wiedząc za co, winszują, nie wiedząc czego, wierzą, nie wiedząc w co, dla tego, że tak dziękowali, winszowali, wierzyli i robili ich praojcowie. I dziwić się tu Chińczykom!...

Nie wszyscy jednak bawią się, winszują i przyjmują powinszowania. Oto z po-za rogu jednej z ulic, na szeroki i pelen ludzi chodnik wysuwa się biedne małe chłopię, skostniałe od zimna, blade i z zapadłymi policzkami. Łachmany lichój sukmanki niezupełnie zakrywają mu nagą szyję i pierś; zmięty i brudny, o szerokich brzegach kapelusza, ocienia, spletanemi włosami orzucone, czoło. Jakby ukradkiem, wysuwa się ze schyloną głową na chodnik, zda się, przepaszając ulicę, że śmie po niej stąpać, przyciska się do muru i drży cały, tuląc ręce w łachmany sukmanki. Mnóstwo ludzi go mija, a on, wyciągając niekiedy dłoń, woła jęklwym głosem:

— Wielmożny panie! piękna pani! dajcie grosik na chléb!

Precz z drogi, nędzne dziecię! Czy nie widzisz, że panowie i panie winszują sobie uroczystości Nowego roku? Jak śmiesz przeszkadzać im w tém zatrudnieniu? Choćbyś tu stał do dnia sądnego, tobie nikt nie powinszuje twoich łachmanów i twego głodu, a jednak tobie-to właśnie i tobie podobnym najbardziej-by należało winszować, że o rok jeden skróciła się nędzna wasza po téj ziemi wędrówka.

W dużym domu, stojącym na jednej z szerszych ulic Warszawy, w niewielkim ale pełnym smaku salonie, przechadza się piękna kobieta. Suknia jej długa, jedwabna, z lekkim szelestem sunie się za nią po kobiercu, pokrywającym posadzkę. Głowę schyliła nieco w zamyśleniu, czy może pod ciężarem grubych, ciemno-kasztanowatych warkoczy, które otaczają jej czoło i w misternych zakrętach opływają szyję i ramiona, lśnią wplecionym w nie sznurem dużych, białych pereł. Przed bramą jej od kilku godzin stały ciągle powozy, przyjęła już dnia tego mnóstwo wizyt, dowiedziała się, że wszyscy jej znajomi serdecznie się cieszą, iż o rok jeden została starszą, wzajemnie tego samego szczęścia wieszowała innym, a teraz, gdy cały ten gwar uciszył się już nieco, chodzi samotna po swoim salonie i może rozmyśla nad dniem prawie minionym. W jednym końcu jej salonu stoi palisandrowy fortepian, w drugim marmurowa konsola z wielkim zwierciadłem, a ona przechodzi od fortepianu do konsoli i od konsoli do fortepianu, z wyrazem twarzy, w którym dosadnie maluje się myśl: o, jakże mię ci ludzie znudzili!.. Raz stanęła przed zwierciadłem; białą, przedziwnych kształtów, rękę przesunęła po błyskających perlami warkoczach i odwróciła się niechętnie, jakby i do lustra rzecz chciała: „nudzisz mię!”

I znowu rozpoczęła swoją monotonną przechadzkę, a jak-by pod wpływem jakiegoś ciężkiego wewnętrznego uczucia, brwi jej ściągnęły się, wzrok błędził machinalnie po barwnych kwiatach kobierca i ręce, skrzyżowane na piersi, zacisnęły się lekko, drobnymi palcami mnąc bezwiednie grubą materią rękawów.

Rozsunęła się powoli aksamitna portyera, we drzwiach stanął lokaj i zaanonsował:

— Pan Pantaleon Kwiatkowski!

Piękna kobieta stanęła na środku salonu, lekko ironiczny uśmiech ożywił jej usta i odpowiedziała:

— Prosić!

Po chwili, o długiej i cienkiej, we frak obciągniętej, postaci, w blado-różowych rękawiczkach i z długimi włosami, woniejącymi jaśminowym olejkiem, wszedł do salonu Konwalius Konwaliorum, zbliżył się ku gospodyni domu i, patrząc w sufit, wypowiedział uroczyście zniżonym głosem:

— Pani! kiedy ziemia nasza, obracając się na swój osi, raz jeszcze uczyniła krąg około życiodawczego słońca; kiedy, ścięty kosą czasu, jeszcze rok przepłynął w przeszłości niepowrotnej ocean; przychodzę u stóp twoich, pani, złożyć życzenia, które powstały w podbitém twemi wdziękami sercu wieszca.

— Dziękuję panu, dziękuję — przerwała piękna kobieta — i wzajemnie życzę panu pomyślności i najszczęśliwszych poetycznych natchnień. Niechże pan siada.

I, sama siadając na małej kozetce, wskazała gościowi swemu fotel, stojący naprzeciw.

— Dziwnie, zaprawdę, losy rządzą drogami ludzkiemi — mówił poeta, siadając i wstrząsając włosami, przyczém rozlewała się woń jaśminowego olejku. — Oto naprzykład dziś ja pragnąłem piérwszy złożyć u stóp twych, pani, kwiaty życzeń, które rozkwitły na gruncie mego serca i kilka już chwil zaledwie dzieliło mię od upragnionego celu, do którego dążyłem, a którym był przybytek twojego mieszkania, gdy nagle jeden z rydwanów, przemykających się po forum naszego grodu, orzucił mi oblicze kałem téj ziemi. Byłem więc zmuszony szukać strumienia wód, aby obmyć z méj twarzy to nieczyste dotknięcie zewnętrznego świata, a tymczasem Saturn kosą swoją ściał dwie godziny dnia dzisiejszego i oto jestem, jako człowiek, który mówi: przybędę piérwszy, a przybywa ostatni...

Ciężkie westchnienie wydarło się z piersi poety i pochylił głowę pod strasznym ciosem, który go dotknął.

— O, nic nie szkodzi — powiedziała gospodyni domu — wierzę w dobre chęci i życzenia pana. Jakże pan czas przepędzał, od chwili jakem go nie widziała?

Konwalius rozpaczliwie wstrząsnął włosami.

— My, pani — odrzekł — my męczennicy najświętszych uczuć, my wiecznie zapoznani przez pelzającą po nizinach prozy i materji ludzkość, żyjemy dla tego tylko, aby cierpieć.

— Jednakże — wtrąciła kobieta — zdaje mi się, że poezya nie jest tak znowu wzgardzoną, jak pan utrzymujesz...

— Ród ludzki — przerwał, kiwając głową, Konwalius — ród ludzki dąży do swéj zguby; bo bozka poezya przestała być jego matką-karmicielką, bo nikiemna proza...

— Zdaje mi się, panie Kwiatkowski, że jeżeli ludzie w rzeczywistych barwach świat widzą, nie przeszkadza to, aby prawdziwa poezya...

— Pani! — zawołał poeta, gwałtownie cofając się z fotelem — i z twoich-że to bozkich ust przychodzi mi słyszeć najstraszniejsze bluźnierstwo? O, teraz poezya powiedzieć może tobie pani: — et tu, Brute, contra me?

— Owszem, ja kocham poezyą — przerwała kobieta i figlarnie dodała: — szczególniej mistyczną.

— O mistycyzm! — zawołał ułagodzony wieszcz — mistycyzm to kwiat poezyi! Łatwo napisać coś tak, aby wszyscy śmiertelnicy ciasnym swoim umysłem zrozumieli myśl wieszczka; ale wydobyć z jaźni swojej akordy niezrozumiałe pojęciu lichych robaków, a śpiewać dla gwiazd, obłoków, strumieni, śpiewać dla kwiatów, aniołów i duchów... to jest dopiero szczyt, do którego wznieść się musi wyloniona z piersi prawdziwego wieszczka poezya. Mistykami byli Juliusz, Zygmunt...

— To też poezye pana — rzekła znowu z udaną powagą gospodyni domu — mają głębokie piętno mistycyzmu; zbliżają się one formą do arcydzieł Kraszińskiego...

— Jaktó, pani — z nowym oburzeniem zawołał drażliwy wieszcz — jaktó! ja, ja! miałbym naśladować! jaktó! pani posądzasz mego ducha o niewolnicze zginanie hardego czoła przed modłą chociażby mistrzowską! Widzę, że, jak zwyczajnie, jestem zapoznany... Nie, pani — dodał z goryczą i godnością — nie naśladowuję nikogo, jestem zawsze wierny sobie samemu i zawsze oryginalny.

I opierając zboląłą głowę o tylną poręcz fotelu, pograżył się w gorzkiej ironii milczenia, a w braku rzymskiej togi, której poważnemi fałdy mógł-by owinąć swój obrażony majestat, pełnym godności ruchem zapiął frak, aż po samą szyję.

— Któż-by mógł zaprzeczyć panu zupełnej, wyłącznej oryginalności? — rzekła gospodyni domu. — Ale zostawmy na później rozprawy o poezyi — dodała — bo dziś mam pana zapytać...

— Tak, pani — przerwał poeta — tak, pani, jestem zupełnie, wyłącznie oryginalny i nawet śmiem twierdzić, że danem mi będzie na nowe a nieznanne dotąd tory wprowadzić poezyą polską. Czego, ażeby dać pani dowód, przeczytam jój mój najnowszy, bo wczoraj dopiero ukończony, poemat o dyable Borucie.

I mówiąc to, sięgnął do kieszeni fraka, z której sterczał zwój papierów.

— Z przyjemnością posłucham poematu pana o dyable Borucie inną razą, ale teraz, chciej mi pan powiedzieć, czy nie znasz...

— Dyabeł Boruta — rozpoczął wieszcz.

— O mój Boże! — tupiąc nóżką i odbierając pocie rękopis, zawołała piękna kobieta. — Ależ ja w tej chwili nie jestem usposobiona do słuchania najpiękniejszych nawet poezyi. Daj to pan, przeczytam sama; a teraz staraj się pan zebrać swoje wieszczcze myśli i posłuchaj uważnie mojego pytania.

Tak była piękna ze swoją figlarną minką i nakazującym tonikiem, że Konwalius zapomniiał o dyable Borucie i rzekł uroczystym głosem:

— Bogini, rozkazuj słudze twojemu!

— Otóż pytam pana, czy nie znasz w Warszawie jakiego pana Karłowskiego?

Poeta pochylił głowę, palec w różowej rękawiczce przyłożył do czoła i zamyślił się.

— Pana Kar-łow-skie-go — powtórzyła kobieta, kładąc nacisk na każdej zgłosce. — Młody, wysoki, szczupły, blondyn, z błękitnemi oczyma. Pytam o niego wszystkich moich znajomych, ale nikt go nie zna.

— Ja go znam — rzekł wieszcz, tryumfalnie podnosząc głowę, i palec wskazujący posyłając w powietrze — ja go znam — powtórzył i dodał uroczyście: — to badzo przyjemny człowiek.

— Czy pan bywasz u niego?

— Nie, pani, widziałem go raz tylko. Jest to młodzieniec bardzo piękny i, jak wnieść mogłem, uczuciowy.

— Zkądże pan znasz jego uczuciową stronę?

— O ile dostrzegło wieszczcze oko moje, był on zachwycony twemi, pani, wdziękami.

— Gdzież to było?

— W teatrze. Pytał mię, pani, o twoją nazwę doczesną.

— I powiedziałeś mu pan moje nazwisko?

— Powiedziałem, że mianem twem jest piękność.

— Nie wiele się dowiedział.

— Powiedziałem mu także, iż tłum nazywa cię „Kameleonem”, ale że ja wieszco odgadłem twoje prawdziwe imię, które jest... bogini.

— To wszystko bardzo pięknie, ale czy pan wieś, gdzie pan Karłowski mieszka?

— Nie powiedział mi kędy ma siedlisko swoje, a w moje progi nie wstąpił, mimo, że go wzywał, aby przyszedł nakarmić się owocami mojego ducha.

— A więc, panie Kwiatkowski — mówiła piękna gospodyni, powabnie opierając się o podnóżki kozetki i końcami paluszków dotykając rękawiczki poety — a więc, ponieważ pan znasz pana Karłowskiego, chciój wyszukać jego mieszkanie i powiedzieć mu, że pragnę go poznać bliżej.

Poeta patrzył na nią szeroko rozwartymi oczyma, a ona mówiła dalej:

— Bo to widzisz, panie Kwiatkowski, ostatnią moją podróż do Warszawy odbyłam w towarzystwie pana Karłowskiego, a choć mało rozmawialiśmy z sobą, oddał mi ważną przysługę znalezieniem mojego pierścionka, który zgubiłam, a który mi jest drogą pamiątką.... chciała-bym raz jeszcze podziękować mu w moim domu.

I mówiąc to, patrzyła na poetę najpiękniejszym spojrzeniem swoich wielkich, ciemnych oczu, i paluszków nie zdejmowała z jego rękawiczki.

— Stanie się, pani, według woli twojej — uroczyście wyrzekł Konwalius. — Choć-by mi trupem ledz przyszło, przyprowadzę go do stóp twoich, jak scytyjskiego niewolnika.

— O! miły poeto — zawołała, wyraźnie rada z niego kobieta — nie legniesz trupem, a pan Karłowski, jako gość pożądany, nie jako niewolnik przybędzie tutaj.

— Szczęsny sto razy, kogo okują kajdany twoich, pani, wdzięków — wygłosił poeta i zabierał się do wyjścia.

— No, kochany wieszcu — wdzięcznie rzekła gospodyni domu, podając mu rękę — nie zapomnij-że o mojem poleceniu i powiedz panu Karłowskiemu, że Kameleon chce go widzieć u siebie.

A gdy Konwalius wyszedł już z salonu, pobiegła ku drzwiom, rozchyliła portyereę i zawołała za nim:

— A jak się pan dobrze sprawisz, będziesz miał prawo przeczytać mi poemat o dyable Borucie.

Po wyjściu poety, młoda kobieta stanęła na środku salonu, złożone ręce opuściła na ciemną suknię, głowę pochyliła, a po twarzy jęj przebiegały, jak błyskawice, różne wrażenia. Usta uśmiechały się, to figlarnie, to dumnie lub szydersko nieco, w oczach błyskały ogniki złote, migocąc z po-za długich rzęs. Tak stała, zamyślona przez chwilę; nareszcie podniosła głowę, szybkim ruchem osunęła z ramion warkocze, zaśmiała się srebrzystym, cichutkim, figlarnym śmieszkiem i szepnęła:

— To on, jak uważam, naprawdę mi się podobał. Tém lepiej! pobawię się trochę. — I znowu stanęła, spuściła głowę i rzekła: — Pobawić się... ach, mój Boże! kiedyż ja się przestanę bawić? O, kiedyż będę miała siłę przestać się bawić!...

W owęj chwili twarz jęj była posępna, tragiczna niemal; w mgnieniu oka jednak wyraz ten minął i, szybko pobiegłszy ku drzwiom, pociągnęła taśmę dzwonka.

We drzwiach stanęła ładna i z całym wykwintem, właściwym służącej wielkiej pani, ubrana subretka.

— Marylko — rzekła do niej pani Kameleon — suknia moja na dzisiejszy wieczór czy przyniesiona z magazynu?

— Wczoraj jeszcze, proszę pani.

— To dobrze, a kwiaty?

— Oto są, pani. — I z małego pudełka, które trzymała w ręku, wyjęła wdzięcznie i misternie uwity wieniec z ciemnych gałęzi cyprysu i pączków białych róż.

— Taki smutny wieniec, proszę pani — zauważyła służąca.

— Smutny!? — machinalnie powtórzyła za nią piękna pani — smutny?.. masz słusność. Cyprys, to kwiat grobowy, ale za to pączki róż, to młodość i nadzieja. Owszem, ten wieniec jest piękny i mądry — mówiła dalej jakby do siebie — bo ileż razy w życiu człowieka cyprys łączy się z różami. Na pozór same róże błyszczą, a wkoło nich wiją się ciemne cyprysu gałązki...

Milczała chwilę, patrząc wciąż na fantastyczny wieniec, a twarz jęj znowu była posępna.

— Schowaj to, Marylko — rzekła wreszcie, oddając kwiaty. — A co się tam dzieje z tym chłopcem, którego dziś kazałam z ulicy przywołać?

— Dałam mu obiad, proszę pani — odpowiedziała służąca — a teraz zasnął w moim pokoju. Strasznie był zgłodniały i zziębnięty.

— Biedne dziecko! — rzekła pani Kameleon — jak się przebudzi, przyprowadź go tu do mnie, rozpytam się o jego rodziców. Jeżeli nie ma ojca ani matki, to go odeślę do siebie na wieś. A twoja siostra, Marylko, czy idzie za męża?

— Po jutrze ślub jój, proszę pani.

— Weźże sobie na to wesele moją suknię, którą miałam onegdaj na wieczorze u pani N. Chcę żebyś mi ładnie tam wyglądała.

Uszczęśliwiona dziewczyna, ucałowała ręce pięknej swojej pani.

— Ach, jaka pani dobra! — rzekła i wybiegła z pokoju.

— Dobra, dobra — cicho powtórzyła pani Kameleon — tak, mogła-bym kiedyś, a może i dziś jeszcze mogę być dobrą, ale czyż nią jestem?...

I z wolna przechodziła przez salon.

— Tak — cicho mówiła dalej — są w piersi mojej skarby słodyczy, ukochania, dobroci; są one, słyszę je tam w głębi, jak szepcą mi dobre rady i natchnienia, jak, niby anioły-stróże, bronią mię od ostatniego upadku; ale zarazem ile tam w tej piersi mojej demonów złego, ile uniesień grzesznych, płochych próżności, jak tam szamocą się i targają te gorące, nieposkromione wrażenia, które mię porywają w coraz nowe szale, w coraz nowe błędy!... Dobra! dobra!... Nie, ja nie jestem dobra, ja jestem Kameleon, igraszka chwili, straszne moralne nic!

Bezwiednie usiadła przy fortepianie i, pogrążona w dziwnych rozmyślaniach swoich, jakby w analizie samej siebie, oparła czoło na ręce, a usta jój poruszały się cichym szepciem:

— Dobra! nie, ja nie jestem dobra, ja jestem dwoista: dobra i zła, wesoła i posępna, poważna i szalejąca, myślą i pragnieniem w wyżynach, ciałem w nicestwie ziemskim. Anioły i szatany zeszyły się na walkę w piersi mojej i wcielił się we mnie odwieczny myt dwóch sprzecznych potęg: dobrego i złego.

Niżej jeszcze pochyliła głowę i machinalnie przebiegała ręką klawisze, które pod jój dotknięciem zabrzmiały tonami jakichciś dzikich akordów. Te bolesne i jakby szydercze dźwięki na twarz jój również szyderczo-bolesny wywołały wyraz. Umilkły klawisze i ręka kobiety upadła między fałdy jedwabnej sukni.

— Ha — mówiła znowu — cóż nie jest dwoistém na świecie? Przejechałam wzdłuż i wszerz cały prawie świat oświecony, widziałam wiele rzeczy i znałam wielu ludzi, a wszystko było dwoiste i wszyscy byli dwoiści. Za każdym szczęściem kryje się niedola, bogactwo podszyte bywa nędzą moralną, piękne słowa kryją brzydkie myśli, pod uśmiechnętymi maskami, są zaplakane twarze. Człowiek jedną ręką dopełnia dobrego czynu, drugą występku, jednym okiem patrzy w niebo, drugim w otchłań bezdenną, jedną połowę serca oddaje miłości, drugą nienawiści. Cóż na świecie nie jest dwoiste?...

Znowu umilkła i ręką przebierała klawisze, które tą razą ozwały się smutnie, ale łagodnie, błagalnymi, jakby miłosnymi akordy.

— Jest jednak na ziemi rzecz jedna nie dwoista — mówiła znowu, niby wsłuchując się w przebrzmiałe tony — jest jedno uczucie, szerokie jak świat, czyste jak niebo w poranku, szczerze jak modlitwa dziecka: tą piękną, tą bez skazy i dwoistości rzeczą, jest prawdziwa, wielka, bezgraniczna miłość. Błogosławiony, kto ją czuć może, komu ona pierś oczyści ze wszystkich grzesznych tchnień życia, myśl podniesie ku szczytom cnoty i poświęcenia. Ale miłość taka istniejeż dla mnie? Czym jój godna jeszcze? Czy w długich latach szaleńców i próżności nie rozsiałam, nie zmarnotrawiłam wszystkich skarbów tego serca, które niegdyś takie było młode, takie ciepłe, takie marzące?...

Westchnęła i znowu uderzyła w klawisze, które jeden już tylko akord wydały tą razą, ale przeciągły głęboki, jakby boleśnie pytający.

Po raz drugi ten sam uderzyła akord i, podniosłszy głowę, zawtórowała mu pytaniem:

— I gdzie teraz to moje dawne serce?

Potém obu rękami już grać zaczęła, a melodia płynęła z pod jój palców dziwna, żalonna, niekiedy odzywając się tęskną, jakby echa ubiegłe przywołującą nutą, niekiedy przeciągłym, niby żalonym tonem. Po chwili otworzyły się jój usta i wydobył się z nich śpiew łzawy, głęboki.

Zmrok zaczynał zapadać, bogate sprzęty i barwne kobierce coraz bardziej tonęły w cieniu wokoło pięknej kobiety, a ona, owinięta tym cieniem i ciszą swego salonu, śpiewała:

Gdzie moje serce, takie przeczyste,
Jak modre wiosną niebiosy?
Gdzie moje serce, takie przejryste,
Jak kropla kryształnej rosy?

Gdy wśród rozmyślań smutnych godziny
Snuję nic zmarłej przeszłości,
Zstępuję w ducha mego głębiny,
Szukając wiary, miłości.

I gdy szyderstwo znajduję w łonie,
Próżnią i pustych win roje,
W odmiecie bólu myśl moja tonie
I wołam: gdzie serce moje?...

Zaledwie umilkła nuta smutnej piosenki, gdy we drzwiach, z kilkoramiennym świecznikiem w ręku, stanęła Marylka. Strumień światła spłynął na salon i na siedzącą przy fortepianie kobietę i przejrzał się w dwóch grubych łzach, które po jej przedziwnie białej spłynęły twarzy.

— Wszystko już gotowe, proszę pani — ozwała się, stojąca na progu ze świecami w ręku, subretka. — Może się pani już zacznie ubierać na wieczór.

Po chwili, w wytworknym budoarze, pani Kameleon stała przed wielkim zwierciadłem, które odbijało jej postać od stóp do głowy.

Rozplecione włosy snopami ciemno-złotych promieni opływały białe fałdy muślinu, któremi się owinęła; przed nią leżała suknia z pajęczych koronek i wianuszek z róż i cyprysu, a obok zwierciadła, na tle ponsowego aksamitu, wiły się grube sznury pereł.

Piękna kobieta rozjaśniła czoło, oczy jej błysnęły weselem, na ustach zawisł uśmiech zadowolenia. Z pomocą Marylki zaczęła misternie splatać swoje miękkie i wonne włosy, a wkrótce w budoarze brzmiała nuta lekkiego, wesołego walca.

Przed błyskiem próżności pierzchnęły poważne rozmyślania, uśmiech zastąpił łzy, wesoła nuta walca spędziła z ust żalony śpiew tęskniącej za niepokalaną młodością kobiety.

Niedarmo świat ją nazwał Kameleonem, niedarmo byli tacy, którzy ją nazywali kobietą-sfinxem. Sfinxem była ona nie tylko dla drugich, ale niestety... i dla siebie.

A biada temu, kto zawczasu nie nauczy się badawczo zagłądać w głąb' samego siebie i ściśle rachować złe i dobre potęgi, władające jego istotą! Biada temu, kto, nie posiadłszy wielkiej mądrości samopoznania, sam dla siebie zostanie zagadką; bo, nie odnalazłszy w sobie gwiazdy przewodniej, kierowniczej busoli, pójdzie na oślep po drogach życia, jak po manowcach. Woła nie ujmie on steru popędów swych i namiętności, bo nie będzie wiedział, jak się poczynają i kędy ich koniec, bo złe głosy wydadzą mu się dobrymi, a dobre zapozna i odrzuci, jak nie swoje. Smutna igraszka wrażeń, instynktu, trafu, mimowoli kaleczyć będzie i siebie, i drugich, wrażenia biorąc za uczucia, uczuciom nie dowierzając, błędne ogniki przelotnych myśli poczytując za gwiazdy przewodnie, a głębokie i dobre natchnienia tłumiąc, jak kaprys chwilowy.

IX. NA CO SIĘ PRZYDAŁ KONWALIUS KONWALIORUM

I stała się owego czasu w Warszawie następująca komplikacja. Kobieta, która widziała, jak, przez tygodni kilka, gonił ją młody człowiek, jak, gdy wychodziła z teatru, i on wychodził, jak śledził ją na ulicy, chcąc pewnie zobaczyć, do jakiego domu wejdzie — kobieta, która widziała to wszystko i oprócz tego spostrzegła jeszcze piękne błękitne oczy, ujmujący sympatyczny uśmiech i gęste jasne włosy mężczyzny, — kobieta ta zapragnęła go poznać; a że była panią rozpieszczoną i przywykłą do dogadzania wszelkim swoim zachciankom, wysłała na wyszukanie jego poetę. Młody człowiek, nie wiedząc o szczęściu, które go miało spotkać, szukał ciągle swego ideału, a wieszcz, chcąc spełnić wolę swojej bogini, od rana do wieczora nosił swoją bladą fizyognomią po wszystkich ulicach Warszawy, patrzył

na okna wszystkich piętrowych domów, ściagał na chodnikach wszystkich blondynów, jak duch Banka pojawiał się we wszystkich cukierniach i restauracjach, wzywał na pomoc wszystkie bożki pogańskie, a o biurze adresowém... ani pomyślał.

W taki sposób zaczął się dla trojga tych ludzi rok nowy. Kobieta czekała, młody mężczyzna spodziewał się i szukał, a poeta wzywał bogi i szukał także.

Raz, gdy, narażając na pośmiewisko swoją wieszczą godność, Konwalius Konwaliorum gonił jakiegoś wysokiego i szczupłego blondyna przez całe Krakowskie Przedmieście i, straciwszy go z oczu, patrzył na okna domu, w którego bramie, jak mu się zdawało, zniknęła jego zguba, ozwał się za nim głos jednego ze znajomych:

— Czego tak pilnie wypatrujesz? panie Pantaleonie.

Poeta, słysząc się wezwanym swoim doczesnym mianem, spojrział na swego znajomego i odrzekł:

— Chcę się dowiedzieć, gdzie mieszka *on*?

— Kto to ten *on*?

— Młodzieniec.

— Jaki młodzieniec?

— Którego chce ujrzeć *ona*.

— Kto go tam zdoła zrozumieć? — szepnął znajomy, a głośno dodał:

— Jeżeli chcesz dowiedzieć się gdzie kto mieszka, to idź do biura adresowego.

Konwalius z pogardą spojrział na znajomego i uczynił gest ręką, jakby chciał ze świata usunąć człowieka, który się tak prozaicznie wyrażał; ale gdy ów robak ziemski odszedł o kilka kroków, namyślił się i postąpił za nim.

— A gdzie jest *to*, czego barbarzyńską nazwę wyrzekłeś? — spytał.

— Co? biuro adresowe?

— Tak.

Znajomy wskazał mu miejsce „tego”, co nosiło barbarzyńską nazwę i poeta poszedł we wskazanym kierunku, szepcąc:

— Ród ludzki biegnie ku swój zgubie, bo bozka poezya przestała być jego matką-karmicielką...

Kto inny, będąc tak, jak Konwalius, zachwycony wdziękami pani Kameleon, nie okazał-by może podobnej gorliwości w wyszukaniu młodzieńca, którego ona tak żywo chciała poznać; ale wieszcz, z gatunku Konwaliusów, kochają kobiety, tak jak gwiazdy i kwiaty:

«Jak najcudniejsze z darów przyrodzenia,
Jak najpiękniejsze piękności odcienia.»

Są oni w miłości zwolennikami Platona, bo alboż nie jest najwznioślejszą eteryczną bez wzajemności miłość?

„Alboż prosimy o wzajemność kwiatów, gwiazd albo księżycy?”

I znowu:

«Wszak najsmutniejszym z żebractwa żebractwem,
Jest o wzajemność dla miłości prosić.»

Zakochane więc Konwaliusy śmiało boginiom swoim służyć mogą za owe pierwotnej naiwności jaskółki czy gołąbki, pod skrzydełkami swemi przenoszące miłosne poselstwa. Poselskie gołąbki i jaskółki zaginęły już w pomroce zbiegłych wieków i naiwni wieszczowie coraz rzadsi są także. Typ ich jednak nie zaginął jeszcze całkiem, o, daleko od tego! Błąkają się oni wśród tłumu śmiertelnych z bladymi twarzami, długimi włosy i ciągłą skargą na ustach. Olbrzymi potęgą swego wieszczego ducha, wyzywają do walki społeczność, jej ustawy i przesady; wyzywają do walki wszystkie moce ziemskie i piekielne, a gotowi są... uciec przed pierwszym lepszym budoarowym Fidelkiem, który zaszczeka na ich długą fizyonomią. Mężczyńcy najświętszych a zapoznanych przez ludzką uczuć, noszą po świecie blady wyraz swego męczeństwa i mszczą się, tworząc wszędzie, gdzie się obróca, męczenników....

I stało się dnia pewnego, że pan Karłowski wszedł do mieszkania swego chmurny i w złym humorze; z gestem zniecierpliwienia rzucił kapelusz na krzesło i, usiadłszy przy

fortepianie, zdobiącym jego mały ale wytworny salonik, począł zeń wydobywać oderwane akordy. Wówczas wszedł lokaj, oznajmiając wizytę pana Pantaleona Kwiatkowskiego.

— Pantaleon Kwiatkowski? — powtórzył Cypryan, przypominając sobie, gdzie i kiedy słyszał to nazwisko. — A wiem, wiem, poeta! — i jakby nagle myśl przyszła mu do głowy, żywo dodał: — prosić, prosić!

— Słyszę dźwięki muzyki, — ozwał się uroczyście głos wchodzącego Konwaliusa, — a wiesz moje ucho zgaduje, że to pan uprawiasz rolę wdzięcznej siostry bożkiej poezji.

— Ja lubię muzykę — odparł, witając gościa Cypryan, — i gram trochę, a nawet często i z zamiłowaniem. Niechże pan siada.

— Tak, przeczulem, od pierwszego wejrzenia na oblicze pana, iż jesteś moim bratem duchowym, że muzy nie są ci obce; i ona to przeczula...

— Kto to ona? — przerwał Cypryan.

— Ona, bogini, Kameleon...

— A więc pan widzisz panią Kameleon? — podchwycił Cypryan, któremu radość z oczu błyskała.

— Siedm już razy wschodziło słońce — odpowiedział poeta, wyciągając rękę i pływając nią w atmosferze, — siedm już razy wschodziło słońce od dnia owego, w którym ona czarodziejskimi ustami swemi rzekła do Konwaliusa: pójdź i znajdź siedlisko pana Karłowskiego, a znalazłszy je, powiedz, że pani Kameleon chce ujrzyć go w progach swoich. I ja, bracie duchowy, przez siedm dni i siedm nocy szukałem ciebie, nim przyszła chwila nadziei, że wola jęj spełnioną zostanie.

— A znakomity wieszczu! — radośnie zawołał Cypryan, — niech uściskam dłonie twoje za tak miłe poselstwo. Pozwól, że się oddalę na chwilę, aby natychmiast oblec ciało moje w strój, godny jęj komnat i oka, a potem skierujemy kroki nasze ku siedlisku bogini.

I sam, rozśmieszony pseudo-poetycznym żargonem, którego użył, zaśmiał się głośno, serdecznie, zwykłym sobie, swobodnym, młodzieńczym śmiechem.

— Słowa miodem z ust twoich płyną — odparł wieszcz zachwycony, nie zważając na wybuch śmiechu młodego człowieka. — Tak, słuszném jest, abyś, idąc do nięj, pokropił się hyzopem i namaścił wonnemi olejkami; ale słuszném téż jest, abyś się wprzódy posilił owocami mojego ducha. Niech dusza twoja przejdzie w narzędzia twojego słuchu, bo mówić ci będę mój hymn do wiosny.

— Obawiam się tylko, aby nie było zbyt późno...

— A więc słuchaj.

I, wznosząc rękę ku malowanym niebiosom sufitu, poeta zaczął deklamować hymn do wiosny, zawierający trzysta dwadzieścia cztery wiersze.

Cypryan z westchnieniem rzucił się na fotel, z którego był już powstał, i słuchał najprzód z rezygnacją, potem z lekką niecierpliwością, a nareszcie, gdy już miarkował, że hymn ma się końcowi, wyciągnął rękę do kapelusza. Ale rękę tę, w drodze zatrzymał Konwalius i rzekł:

— A teraz hymn do lata.

— Ale, mimo całej przyjemności, jaką znajduję... — zaczął męczennik.

— A więc, słuchaj! — przerwał wieszcz i deklamował hymn do lata, który zawierał wierszy okrągło czterysta.

W ten sam sposób nastąpił hymn do jesieni i hymn do zimy, które razem zawierały wierszy sześćset czterdzieści. Za każdą razą pan Karłowski wyciągał rękę do kapelusza; ale Konwalius łapał ją w drodze i, powtórzywszy: „a więc słuchaj!” pędził dalej na poetycznym rydwanie.

Cypryan lekko wybijał o podłogę takt jakiegoś mazura, nie był jednak tak zniecierpliwiony, jakby mu się to inną razą zdarzyło; wyraźnie myślał o czém inném a bardzo miłém, bo, nie słuchając hymnów poety, uśmiechał się, przesuwając rękę po swoich lśniących kędziarach i co chwila patrzył na zegarek, wskazujący dość wczesną jeszcze godzinę.

— Prześlizgne! — zawołał, gdy nareszcie umilkł Konwalius i Cypryan mógł się domyślić, że się już skończył hymn czwarty; — co za kolosalną pan masz pamięć!

— Bracie duchowy! — wygłosił wieszcz — umiem na pamięć czterdzieści tysięcy wierszy, wyłonionych z moich głębin duchowych.

Tą razą Cypryan gwałtownie już i stanowczo pochwycił kapelusza.

— Panie szanowny! — zawołał — inną razą obficie mi udzielisz skarbów swojej pamięci, a teraz pójdźmy do pani Kameleon, bo niedobrze jest, aby bogini czekała.

— Masz słuszność, bracie duchowy — odparł, ostatnim argumentem przekonany, wieszcz, — pójdźmy!

Po chwili obaj wyszli na ulicę, kierując kroki ku mieszkaniu bogini.

Pani Kameleon siedziała w salonie swoim na kozetce, z gazetą w ręku, smutna czy znudzona, bo piękne jej brwi lekko były zsunięte i usta ułożone z wyrazem niezadowolenia. Ubrana była w suknię zupełnie czarną, z żałobnym paskiem i żałobną na szyi wstążeczką. W stroju kobiet często się odzwierciedla wewnętrzne ich usposobienie i Bóg tylko wie, jakie smętne myśli były w głowie pięknej kobiety, gdy kładła na siebie to żałobne ubranie.

Lokaj kilka razy oznajmiał różne wizyty, a ona, nie odrywając oczu od szpalt dziennika, odpowiadała ciągle: nie przyjmuję! ale nareszcie, gdy sługa wygłosił: pan Pantaleon Kwiatkowski i pan Cypryan Karłowski — odsunęła gazetę i rzekła prędko:

— Prosić!

— O bogi! pani w żalobie! — zawołał wieszcz, na widok smutnego stroju kobiety, rzucając postać swoją w tył, a ręce w powietrze.

Ale piękna gospodyni domu nie zwróciła uwagi na patetyczny wykrzyknik i, wdzięcznie kiwnąwszy głową poecie, podała rękę Karłowskiemu i rzekła:

— Witam pana i cieszę się, że go tu widzę. Chciałam raz jeszcze mu podziękować za znalezienie mojego pierścionka.

Zasiedli około zarzuconego książkami i dziennikami stoliczka i, wśród żywej rozmowy, wizyta przeciągnęła się dłużej niżby na to pozwalała ścisła etykieta.

Piękna pani była ożywiona, strzelała dowcipem i wiedzą, nic rozmowy prowadziła z łatwością, jaką daje bystry umysł i wielka w życiu towarzyskie wprawa. Cypryan przeszedł też siebie w dowcipie i właściwej mu rzutności myśli, a ile razy sympatyczny jego uśmiech twarz mu ożywił, gospodyni domu z wyraźną przyjemnością spoglądała na niego swymi wielkimi, pełnymi ognia, oczyma. Potem, gdy wieszcz wygłosił, że znalazł swego duchowego brata przy fortepianie, takim wdzięcznym gestem pokazała gościowi muzyczny instrument, że ten nie miał siły się oprzeć, usiadł przy nim i pokazał, że grał pięknie, z pojęciem i poczuciem sztuki. Potem znowu wieszcz najbłagalsze wyrzekł zaklęcie, aby pani Kameleon zaśpiewała, i pokazało się, że śpiewała umiejętnie, głos miała sopranowy, szeroki i wyrobiony, a w nim ogniste i namiętne tony, które wreszcie były i w mowie jej, i w twarzy, i w całej osobie. Pokazało się dalej, że i Cypryan miał piękny tenor i umiał śpiewać, rozłożyły się więc na pulpicie nuty jakiegoś duetu, którego zaśpiewanie odrazu wybornie się udało, a potem Cypryan sam jeszcze zaśpiewał piosenkę:

Mon Dieu! mon Dieu!

Comme elle est belle,

Avec ses yeux

Noirs si doux!

Je donnerais ma vie pour elle

Et je l'adore à genoux.

A gdy to śpiewał, patrzył na gospodynię domu i oczy jej spotkały się z tym jego wzrokiem, płonącym młodzieńczym wzruszeniem.

Tak, wśród muzyki i pełnej zajęcia rozmowy, wśród woni pomarańczowych drzew, kwitnących u okien, biegły chwile, coraz gorętszym płomieniem zapalając oczy młodego człowieka, coraz żywszy rumieniec wzruszenia wywołując na przezroczystą twarz pięknej kobiety.

— Ale, ale — zawołała śmiejąc się — przypominam sobie, że pan nie znasz jeszcze mego prawdziwego nazwiska.

— Alboż pani... — zaczął Cypryan.

— O! czyś pan przypuszczał, że ja się naprawdę nazywam Kameleon? A to wybornie! to oryginalnie!

I śmiała się swoim figlarnym, cichutkim śmiechem.

— Widzisz pan — mówiła dalej, — przed dwoma laty przepędzałam zimę w Warszawie i kilku moich znajomych sprzeczało się z sobą o kolor moich oczu. Jeden mówił,

że są czarne, inny, że piwne, to znów, że szare, zielone i już nie wiem, jakie tam więcej. A że nie mogli się żadną miarą pogodzić, potworzyły się zakłady i rozpoczęły obserwacje moich oczu. W końcu zgodzili się wszyscy na jedno, że oczy moje nie mają żadnej stałej barwy, bo raz bywają czarne, inną razą piwne, lub szare, lub zielone. Nikt więc nie przegrał ani wygrał zakładu, ale pan X., który owęj zimy był w Warszawie niezmiernie modnym i naśladowanym, wyrzekł, iż należała-by mi się nazwa: Kameleon. Słowo to, przechodząc z ust do ust, rozniosło się po całym znającym mię świecie i wszyscy prawie zaczęli mię tak nazywać, o czém ja dowiedziałam się naturalnie. Kiedyś mię pan na bankhofie pytał o nazwisko, przyszła mi figlarna myśl mistyfikowania go i powiedziałam to dziwaczne przezwisko, ale rzeczywiście nazywam się Klotylda Warska. Spodziewam się — dodała, po krótkiej chwili milczenia, — że pan się nie gniewa o tę moją mistyfikację?

Bóg tylko wiedział, jak dalekim był gniew od zachwyconego Cypryana. Imię „Klotylda” wdzięcznie i słodko zabrzmiało mu w uszach; przypomniał sobie, że podobno zawsze szczególną do tego kobiecego imienia miał predylekcyą; ale zarazem przypomniał też sobie, że o pani Warskiej już kiedyś zasłyszał, gdzieś w czasie podróży swoich, w Paryżu czy w Wenecyi, jako o pięknej, bogatej, dowcipnej, wabnej i wabiącej Litwince. Przez chwilę zastanowił się Cypryan nad temi przypomnieniami, a pani Klotylda machinalnie rysowała jakiś kwiatek na marginesie dziennika.

— Więc rodzinnymi stronami pani, o ile słyszałem, są okolice Wilna? — ozwał się po chwili młody człowiek.

— Tak — odrzekła pani Warska — okolice mało tu znane, a piękne, górzyste, leśne. Rodzinne miejsce moje, wieś Jodłowa, sąsiaduje z Ponarskimi górami. Strona to pospępna, tęskna, ale owiana dziwnym urokiem powagi i spokoju. Na górach szumią ciemne sosny i jodły, po głębokich parowach wiją się niezliczone strumienie, w dolinach szarzeją wieś i różnemi odcieniami zielenieją zasiane role. Jodłowa, to ciche i ustronne miejsce, w którém miło odetchnąć po gwarze i tłumie miejskim, śród woni lasów i pól, sam-nam-sam z naturą i Bogiem. Ale patrz pan — dodała, otwierając duże, leżące na stole album — oto jest Jodłowa.

Młody człowiek ujrzał wprawną i umiejętną ręką narysowany piękny krajobraz. Nizki, ale duży biały dom stał oparty o wzgórze, porośnięte lasem i otoczone szerokimi alejami starych grubych jodeł. Po-za jodłami, z jednej strony rozciągał się szeroki, równy obszar pola, zamknięty u skraju widnokregu czarnym pasem lasów; z drugiej strony na wzgórzu, między szczytami drzew szarzały krzyże cmentarza i białął jeden wysoki pomnik, strzelając ku niebu srebrnym krzyżem i niby stróż całego obrazu, unosząc się nad domem, starem jodłami i szeroką równiną.

Przez chwilę w milczeniu patrzyli oboje na kartę albumu.

— W tym domu rodziliłam się i przepędziłam najwcześniejsze dzieciństwo moje — mówiła znowu Klotylda — a tak wielki jest urok rodzinnego miejsca, że uciekam doń zawsze, gdy się poczuję zmęczona, lub smutna i nigdy bez głębokiego wzruszenia, nie witam tych starych jodeł, które szumem swoim przywołują mi na pamięć przeczyste, swobodne lata dziecięce, ojca mego, matkę...

Gdy mówiła ostatnie wyrazy, Cypryan, patrząc na krajobraz, usłyszał lekkie drżenie jęć głosu.

— Pani nie masz rodziców? — spytał sam wzruszony i patrząc na nią.

— Ojciec mój, panie — odrzekła — zabity został we Włoszech, w pojedynku z markizem M. Możeś pan słyszał kiedy o tym sławnym pojedynku; wiele on wrzawy w swoim czasie uczynił, a matka moja... oto jęć pomnik... umarła, gdym miała lat dziesięć.

I wskazała na rysunku biały, wysoki pomnik.

— A pan masz matkę?

— Tak, pani, mam ukochaną i najlepszą z matek.

— Jakżeś pan szczęśliwy! — odrzekła Klotylda, trzymając wzrok utkwiony w rysowany krajobraz. — Ja matkę moją pamiętam, jakbym ją wczoraj jeszcze widziała. Była dobra i piękna, jak anioł. Przypominam sobie, że nieraz na tém oto wzgórzu między jodłami, klękałyśmy z nią obie do modlitwy porannej, że potem siadywała pod jedną z tych jodeł, ja u jęć kolan wilałam wieńce z polnych kwiatów, a ona długo, słodko mówiła mi o Bogu, o naturze, o cnocie i miłości, tej miłości szerokiej, która cały świat ogarnia, a której pełne było jęć własne serce. Dotychczas jeszcze w snach ukazuje mi się często twarz jęć biała,

ocieniona czarnymi włosy, jaśniejsza dużymi ciemnymi oczyma; dotychczas jeszcze, kiedy jestem sama, gdy cicho koło mnie, zdaje mi się, że słyszę jej słodki, pieszczony głos, że czuję jej miękką dłoń, muskającą mi twarz i włosy. Najdroższe to i najlepsze wspomnienie mojego życia, niczym niestarte, nigdy niezapomniane. O, matka, to wielkie słowo, panie... jam moją zawczasie straciła...

Przy ostatnich wyrazach podniosła oczy i Cypryan widział, jak powoli... powoli zachodziły one grubą, przezroczystą łzą, która wydobyla się z jej błyszczących źrenic, zawisła na rzęsach, zadrżała i... zniknęła.

— Pani! — zawołał nagle Konwalius, który w milczeniu dotąd słuchał rozmowy dwojga młodych; — ród ludzki nie zaginął, gdy natura zdolna jest jeszcze wyłonić ze swych czeluści istotę tak doskonałą, jak ty, pani. Słowa, które różami z ust twych wypłynęły, natchnęły ducha mego wielkim poematem, który unieśmiertelni imię Konwaliusa Konwaliorum, a który przyniosę ci w dani, wprzód nim ziemia dwa razy zdoła uczynić swój krąg około życiodawczego słońca.

Uśmiechnęła się Klotylda, słysząc ten wykrzyknik wieszczą, ale powolnym, smętnym uśmiechem, w którym znać było jeszcze przed chwilą migoczącą w jej oku łzę.

Ale Cypryan nie uśmiechnął się; patrzył on na nią wzrokiem, zasnutym mgłą wzruszenia. Bo jeśli wesoła i dowcipna kobieta wydawała mu się zachwycającą i powabną, o ileż więcej pociągającą była z tym drżeniem głosu, z tą łzą w oku, wywołaną wspomnieniem stron rodzinnych i wspomnieniem matki.

W owę chwilę Cypryan poczuł w piersi rodzące się uczucie silne, namiętne, jakiego nigdy nie znał. Dotąd miłostki jego wszystkie bywały wesołe, swobodne, lekkie, jak motylki wlatywały mu do serca i głowy, pofruwały i wylatywały w świat znowu, nie zostawiając innego śladu swego przelotu, jak oddalone jakiegoś echa śmiechu, wesela. Tą razą inaczej było. Cypryan poczuł ogarniającą go dziwną jakąś rzewność, jakby bolesne przecucie, jakby obawa ścisłała mu serce; poczuł, że ta kobieta, za którą, szczęściem lub fatalizmem wiedziony, gonił tak długo, stała mu się już drogą nad wyraz, poczuł, że po-raz pierwszy kocha głęboko, z szalem, upojeniem, z namiętnością, która na nic się nie ogląda, nic nie liczy i nic nie waży.

I wesoły, swobodny, lekki i śmiejący się zwykle, młody człowiek, stał się w owę chwilę poważnym, zamyślonym, instynktowo, bezwiednie smutnym. Miłość objęła go i nagle przeistoczyła, a przeistoczenie to najlepiej świadczyło jemu samemu o głębokości zrodzonego w nim uczucia. Bo ze śmiechu, swawoli i wesela, zrodzić się może naiwne, lekkie, rozwiewne uczucie, ale takie tylko jest głębokiem i silnem, którego kolebką łza, a pierwszym objawem smutek.

Chcesz się dowiedzieć, jakiego rodzaju i stopnia jest miłość, której rodzenie się w piersi swęj czujesz? Zważ, czy wesoły jesteś, czy smutny. Jeżeliś wesoły, pobawisz się chwilę wrażeniem i wkrótce o niem zapomnisz, — jeżeliś smutny, gotuj się do wielkiego szczęścia, lub do wielkich cierpień prawdziwej miłości.

Bystremu i wprawnemu oku Klotyldy nie mogło ująć, jakkolwiek pokrywane, wzruszenie Cypryana. Popatrzyła na niego długo, badawczo i, jakby przypomniałszy sobie, że zaniedbuje jednego ze swych gości, zwróciła się z rozmową do Konwaliusa.

Nareszcie po trzech czy czterech (w raju zegarków niema) godzinach wizyty, Cypryan zęgnął panią Warszawską, która, podając mu rękę, rzekła z uprzejmym uśmiechem:

— Spodziewam się, że pan zechcesz być częstym moim gościem.

Nazajutrz rano, lokaj przyniósł mu misternie złożony bilecik, z wonnego i cienkiego papieru. Serce mu uderzyło silnie, otworzył go szybko i przeczytał:

„Wczoraj zapomniałam panu powiedzieć, że w każdą Środę wieczorem, przyjmuję moich znajomych i przyjaciół. Dziś więc poprawiam to zapomnienie, prosząc, abyś pan chciał do ich liczby należeć, a powitam go zawsze u siebie z prawdziwą przyjemnością.”
Klotylda.

Pierwszą myślą Cypryana, po przeczytaniu tego listu, było pytanie: jaki jest dzień dzisiejszy?

Był to Wtorek. A więc jutro, myślał młody człowiek i, przycisnąwszy do ust drobne pismo kobiecie, zaczął chodzić po swoim pokoju i... marzyć.

Marzył Cypryan owém poranném świtaniem uczucia, przed którym wszystkie miłości przeszłe pierzchają, jak blade gwiazdy przed wschodzącém słońcem; marzył, a więc, według słów jakiegoś autora, który nazwał marzenie tyfusem ducha, duch jego pogrążył się w sny gorączkowe.

Marzenia! marzenia! jakżeście wy piękne gdy w głowie człowieka stajecie strojne w powaby upragnionych radości! Różana szata wtedy was owiewa, ku niebu się wznosicie skrzydłami białemi, a tchnieniem waszém nadzieja i słodkich obietnic szept.

Marzenia! imię wasze kłamstwo! Zwodne rusalki, różane szaty swoje szybko zmieniacie w mętną parę i mgłę, z której na rozkochanego w was człowieka, spływają zamiast kwiatów — rozpacz i łzy.

Szczęśliwy stokroć i zaprawdę stokroć naiwny, kto na ziemi marzy o szczęściu; ale gdy mu to marzenie za rzeczywistość nazawsze bodaj ma starczyć, niech śpi, póki go macosza dłoń życia nie zbudzi.

CZĘŚĆ II. WRAŻENIE I MIŁOŚĆ

„Najstraszniejsze dla człowieka są sidła, które mu jego własne zastawia serce.”

(Wiktor Hugo: Pracownicy morza.)

I. JODŁOWA

Rysunek, w albumie pani Klotyldy Warskiej, nie przesadził piękności jej cichej litewskiej wioski, owszem, nie odtworzył jej całkiem. Bo można przenieść na papier, lub płótno kształty, zarysy, barwy, krajobrazy, ale któż zdoła ołówkiem, lub pędzlem, odtworzyć tę szeroką, różnostronną, a jednak logiczną i jednolitą harmonią szczegółów, które inne z rana, inne o zmroku, inne znowu przy gwiazd pochodniach, lub blasku księżyca, zalewają piękną okolicę smugami światła i cieni, mnóstwem piękności drobnych, a jednak złączonych w jedną potężną całość? Któż zresztą ołówkiem lub pędzlem odtworzy uroczysty spokój pól szerokich, cichą rozmowę drzew w głębinach leśnych, albo łagodny, a jednak brzemienisty żywotną siłą miliona istot gwar, który, lecąc od trawki do trawki, od owadka do owadka, od kwiatu do drzewa i od drzewa do obłoków, wznosi się z ziemi ku niebu, jak drżący hymn tryumfu i dziękczynienia? Te wszystkie cuda na wielkim obrazie świata, odmalować może jeden tylko pędzel i jeden malarz. Pędzlem tym jest natura, w kierowniczym i wszechpotężnym ręku Boga.

Ta sama pocztowa szeroka droga, która przebiegała N., nie dalej, jak o lekką milę od miasteczka tego, zwracała się w wielki zakręt, aby ominąć dość wysoką górę. Na szczycie góry tej, wśród ciemnych i wiecznie szumiących jodeł, szarzały krzyże i białe marmur grobowego pomnika, a las, obrastający boki góry, łączył się z rozległym ogrodem jodłowskiego dworu.

Piękny był ten ogród powagą jodeł starych, grubych i wysokich, dawno, przed wiekami chyba, zasadzonych w szerokie aleje, łączących się w górze ciemno-zielonym, kolczastym, gęstym sklepieniem. Aleje te krzyżowały się ze sobą w różnych kierunkach; szerokie ciągnęły się prosto wytkniętą linią, węższe przerzynały je, skręcały na prawo i lewo, obiegały kwadraty, koła i gubiły się gdzieś wysoko w głębinach morza. Między temi wysokimi ścianami jodłowych alei, na gładkich, rozległych przestrzeniach, zieleniały brzozone gaiki, błyskając białą korą; odwieczne dęby rozłożystemi gałęziami ocieniały grupy ławeczek i stoliczków; gdzieś w głębi gaju ukryte altany, albo do stóp któregoś z posągów, stojących na oplecionych bluszczem podstawach. W samym środku ogrodu był staw obszerny i czysty; w głębi jego przeglądały się pochylone gałęzie jodeł, a powierzchnią muskało śnieżnymi skrzydłami wspaniałe stado łabędzi. W całym ogrodzie, nie było ani jednego kwiatka i ani jednego takiego miejsca, któreby się zaśmiało do człowieka radośnie, promiennie. Ciemne jodły szeptały tam wiecznym szumem jakieś tajemnicze rozmowy, opowiadając sobie może podsłuchane radości i podpatrzone łzy tych, którzy tam u ich stóp przez długie lata ruszali się, cieszyli, boleli i... pomarli dawno. Nad stawem gromadami pływały w powietrzu jaskółki, rozlatując się w cienie gęstych brzozowych gajów, kędy jękiem płaczącym witały i straszyły je sowy. Białe ławeczki i smukłe posągi w zmroku wieczornym, lub przy świetle księżyca, wydawały się błędzącymi po ogrodzie widmami, które zstąpiły z górnego cmentarza, a zdala od góry płynęły jęki i szumy lasu, jakby poselstwo, słane od sióstr szczęśliwych, do sióstr wygnanych, od jodeł dzikiej natury, do jodeł ogrodu.

Wchodząc do ogrodu tego od strony góry, długo można było iść wśród tych ciemnych, szumiących przestrzeni, pod sklepieniami jodeł i po miękkich kobiercach, otaczającej brzozone gaje murawy, nie widząc mieszkalnego domu, nie słysząc najbliższych odgłosów, towarzyszącym zwykle ludzkim krzątaniom się i zachodom. Aż nagle, w końcu najszerszej, przerzynającej sam środek ogrodu, alei, odkrywała się obszerna przestrzeń, niczym już nieoświetlona, lecz tylko w wielkie koło otoczona nisko ciętym szpalerem bzu i jaśminów i ścieląca się pod stopy jednopiętrowego białego i dużego domu. Pod dwiema jodłami, kończącymi aleję, jak stróże stały na wysokich piedestałach, dwa mistrzowską ręką urobione białe posągi, a od nich, w tysiącznych skrętach, wiły się wążuchne, usypane jaskrawym żwirem dróżki, dokoła klombów, woniejących wytwornymi kwiatami,

zbiegając się pod szerokim i długim, o dwóch marmurowych wschodach, gankiem domu. Na ganku tym, wśród wielkich drzew pomarańczowych, mirtowych i cyprysowych, stały niedbale i bez symetrii ustawione kanapki, fotele i marmurowe stoliczki, a gdzieś tam, między zieleni, wychylała się biała kamelia, lub różowa datura i wglądała w długie a wąskie, o starożytnym kształcie i lustrzanych szybach, okna domu.

Z drugiej strony domu był dziedziniec obszerny, otoczony niskim żelaznym ogrodzeniem i osadzony w wielkie półkole jodłami tak grubymi i staremi, jak te, które były w ogrodzie. Za bramą szeroka droga, wysadzona klonami i jarzębiną, wiodła do pocztowego gościńca, który, wychylając się z za góry, biegł z prawej strony ogrodu tak blisko dworu, że turkot kół i odgłosy pocztowego dzwonka, wyraźnie dochodziły do wnętrza domu. Z lewej strony, pod ścianą jodeł, stały murowane duże oficyny; od nich ku ogrodowi ciągnęły się szklane ściany cieplarni i ananasarni, a za nimi był drugi dziedziniec, otoczony gospodarskimi budowlami, nad którymi królował szary, obszerny dom, zamieszkiwany zwykle przez rządców, lub dzierżawców Jodłowej.

Pani Warska pochodziła z jednej z najstarszych i z dawien dawna możnych rodzin tej prowincji, i Jodłową odziedziczyła po dziadach, pradziadach. Tradycje miejscowe mówiły, że najmłodsza jodła jodłowskiego ogrodu, miała półtora wieku, a najstarsi ludzie w okolicy, ledwie pamiętali ów dzień, kiedy dziad pani Klotyldy, skończywszy budowanie stojącego obecnie domu, sprostował do siebie na festyn całą szlachtę z obrębu mil kilkudziesięciu, uświetnił ogród, kapelę sprowadził z Warszawy, a z piwnic wytoczył dla panów beczki tokaju, dla służby beczki miodu.

Gdyby jodły tamecznego ogrodu mówić umiały, mogły-by wiele ciekawych opowieść o rzeczach o pokoleniach, które z kolei u stóp ich żywot swój wiodły i kończyły. Zaczawszy choćby od dziada teraźniejszej dziedziczki, opowiedziały-by, jak kasztelan jodłowski, w późnym wieku, doczekał się syna, dziedzica dóbr, imienia i ogólnej estymy, jaką z dawien dawna cieszyła się jego rodzina. Radość ztąd była wielka, ale niestety krótka, bo oboje kasztelaństwo, nie doczekawszy dziesiątej wiosny swego jedynaka, pomarli.

I opowiadały-by, gdyby mogły, stare jodły, jak potem młody kasztelan wrócił z zamorskich krajów, w których się uczył, piękny, ognisty, odważny. Był on tak gwałtowny, że w przystępie gniewu strzelił raz do człowieka, a choć na szczęście chybiła drżąca od wewnętrznego wzburzenia ręka, to ludzie długo zapomnieć nie mogli strasznego ognia, jakim w owej chwili zapalały mu oczy i zapłonęła twarz cała. I był on tak namiętny, że młode kobiety nie mogły długo znieść jego spojrzenia, gdy patrzył na nie, jak żuzle paląciami oczyma. I był tak odważny, że największe niebezpieczeństwa go nie straszły, nie zrażały najstrasniejsze przeciwności.

Lubił on na pół dzikim koniu uganiać się po polach i lasach, wtedy, gdy najgwałtowniejsze huczały burze, pioruny biły w szczyty odwiecznych drzew i wichry rozwiewały mu nad czołem jego czarne, jak smoła, włosy. Lubił w samotnym ostępie sam-na-sam zmierzyć się z rozdrażnionym niedźwiedziem, albo pogrążyć się w falach bystrzej i spienionej rzeki, sięgając jej głębi i po długiej chwili wypływając na powierzchnię, z muszlą zdobytą na samym dnie wód.

Do kasztelanica zjeżdżali się liczni towarzysze i przyjaciele, młodzi i ogieńści jak on. Wtedy nie tokaju już, ale szmpana płynęły potoki; w ścianach domu rozlegały się śpiewy rycerskie, miłosne i myśliwskie, a mimo ówczesnego zwyczaju, nigdy ani jeden nie rozwinął się stolik. Gdy raz któryś z gości napomknął o grze kartowej, kasztelanica zsunął swoje czarne brwi i odrzekł:

— Ręka moja nie dotknie nigdy cudzych pieniędzy, a ze swojemi wolę uczynić to...

I łącząc czyn do słowa, wyjął z bogato rzeźbionej szuflady garść złota i przez otwarte okno rzucił je ludziom, ścinającym murawę dziedzińca.

Gwarne te sceny nie często jednak powtarzały się w Jodłowej, bo kasztelanica długie nieraz odbywał podróże, a i w domu zamykał się niekiedy samotnie, całe dni i wieczory zimowe przesiadując w sali, której ściany zawieszane były portretami jego przodków. Przed ogniem, trzaskającym na dużym staroświeckim kominię, z książką w ręku, siadywał on godziny całe, a oczy błędziły po rycerskich twarzach i postaciach pradziadów. Przy czerwonych błyskach płomieni, portrety zdawały się drżeć, strzelać oczyma i występować z ram. Z rąk kasztelanica wypadła wtedy książka, czoło jego zachodziło pośpenną chmurą i pierś wznosiła się ciężkim westchnieniem. A im dłużej wpatrywał się w portrety, tém

głębszy żal, tém gwałtowniejsza rozpacz zdawała się go ogarniać; aż zrywał się, klaskał w dłoń na służbę i rozkazywał osiodłać czarnego sułtana, o białej na łbie strzale, wsiał na konia i o zmroku leciał przez pola, wichrami gnany, niby czarny duch niepokoju. I dopiero, gdy nad głową jego zaszumiał las i zamigotały gwiazdy, zwalniał bieg konia.

Po takich fantastycznych wycieczkach wracał znowu do portretowej sali i długo w noc służba słyszała jego równe kroki, ale nie widziała, jak, oświetlona gasnącym ogniem kominka, dumna postać jego zgięła kolano przed rycerskimi twarzami naddziadów.

Po kilku tygodniach takich rozmyślań i targań się niespokojnego ducha, zrywał się znów do lotu, opuszczał na długo Jodłową, i tylko echa z dalekich stron donosiły mieszkańcom jój okolicy, jak gdzieś na świecie kasztelanica słyszał ze swych szaleństw, z których jedne dotykały najwyższych szczytów bohaterstwa, inne podobne były do zbrodni. Jedne z tych szaleństw czyniły go sławnym Lovelasem stolic, inne jeszcze rycerskim Bayardem, broniącym niewinności i cnoty, albo rozrzutnym Epikurejczykiem, ścielącym różami posadzki swoich salonów i rzucającym złoto w żebrzące tłumy.

A wszystko razem stanowiło tło człowieka o namiętnościach gorących jak lawa wulkanu, o porывach szlachejnych, aż do poświęcenia i gwałtownych, ale nigdy niskich lub brudnych. Rozważni ludzie, patrząc na niego i słysząc o nim, mawiali, iż był to piękny i szlachejny człowiek, miotany krwią płomienną i niespokojnym, szalonym duchem.

Raz z jednej takiej podróży, wrócił do Jodłowej już nie sam jeden. Przyjechała z nim młoda i bardzo piękna kobieta, o białym jak śnieg licu, kruczonych włosach i dużych, ciemnych, łagodnych oczach. Była to jego żona.

Zaklęty mocą piękności i anielskiej dobroci młodej dziewczicy, na parę lat uspokoił się burzliwy duch kasztelanica. Latem, twarz Hanny, jak biała róża, zakwitła w mrocznych alejach ogrodu, gdy przechadzała się z mężem, z głową na jego ramieniu opartą; w zimie głos jój srebrzysty rozlegał się łagodnie w portretowej sali, gdy, przy świetle kominkowego ognia, czytała mu ulubione jego rycerskie epepeje a on w swęj dłoni pieścił wtedy i muskał jój długie, czarne warkocze, któremi przez dziecięcą swawolą owijała mu, niby lśniącemi wężami, szyję, pierś i ramiona.

Ale po dwóch czy trzech latach, demon kasztelanica pognał go znowu z domowej ustroni w świat gwaru i tłumów, a stare jodły widziały smukłą i bladą kobietę, samotnie przechadzającą się pod ich cieniem i z załamanemi rękoma stojącą u stóp posągów, ze wzrokiem wpatrzonym w głębie wód, jakby w nich szczęście swoje stracone odnaleźć chciała.

Lecz nie wraca, nie wraca szczęście, gdy raz od człowieka odleci! Nie odszukać go ani w błękitnie niebios, ani w głębinach wód, a chyba tylko odtworzyć je można, skrwawione i męczeńskie, we własnej piersi, w bezsamolubnym, wielkim jakim uczuciu.

To też ani błękitnie niebios, ani wód głębin, ani szum lasów, w których dosłuchiwała się echa od swoich stepów rodzinnych, nie wróciły Hannie minionego szczęścia. Mąż jój szalał znowu, porwany szatańskimi potęgami krwi swojej i ducha, wracał zaś do niej niekiedy żałujący i czuły, ale chmurny i posępny, a nigdy nieuspokojony.

Lecz odtworzyła ona w samej sobie smutne, ale piękne i bohaterskie, szczęście wewnętrzne. Tłem szczęścia tego były dwa uczucia: bezgraniczna litość dla wszystkiego co cierpiało i miłość macierzyńska. Hanna miała córkę; Klotylda urodziła się w rok po przybyciu jój do Jodłowej.

Wzrastało dziecię, nie znając prawie ojca, ale wzrok matki łzawo nieraz i trwożnie spoczywał na niem, bo twarz dziewczęcia była istnem jego portretem. Ludzie przesądni mawiali: będzie szczęśliwa, bo podobna do ojca; a matka drżała na te słowa i lzy połykała tajone, bo ona jedna tylko może na świecie wiedziała, jak wiecznie nieszczęśliwym, wiecznie miotanym i rozdartym na dwoje przez złe i dobre moce, był kasztelanica.

Oczy Klotyldy były, jak u ojca, wielkie, pałające, zmieniające barwę w miarę wzruszeń wewnętrznych; brwi jój, jak jego, zgięły się dumnie i energicznie regularnym zarysem; usta kształtne, wilgotne, były namiętne. Uniesienia miewała te same, tę samą fantastyczność pomysłów, gwałtowność żalu lub radości, miłości czy gniewu, i tę samą brzydzącą się fałszem i wszelką nizkością prawość i dumę rycerską. Tylko z duszy Hanny przelała się w jój serce wielka miłość dla biednych i cierpiących, i ujmująca słodycz obejścia się z otaczającymi, przed którą, im starsza była, tém więcej ustępowały wybuchy gniewu, odziedziczone po ojcu.

Hanna troskliwie pielęgnowała w córce dobre zarody, a starała się tłumić popędy groźne. Wcześniej przyzwyczajała ją do dziękczynień i błogosławieństw ludzkich, dając jej możliwość zasmakowania w zadowoleniu, płynącym z pełnienia dobrych czynów. Kwiatami i poezją pragnęła zmiekczyć zbyt energiczną, nauką ochłodzić ognistą wyobraźnię dziewczęcia, spokojem i słodką macierzyńską pieśczęcią ukolysać ducha, który w dzieciństwie już zapowiadał burzę przyszłości.

Trudne to było zadanie; może-by jednak moc macierzyńskiego serca zwyciężyła w łonie ukochanego dziecka złe, które w nie z krwią ojcowską spłynęło, ale niestety! Klotylda zaledwie dziesiąty rok kończyła, gdy jodły stare, smutnie wstrząsając ciemnymi szczytami, patrzyły na orszak pogrzebowy, towarzyszący trumnie Hanny. Cierpienia życia zbyt wielkim ciężarem przygniotły żonę kasztelanicy; gasła ona stopniowo, powoli, i tak, jak żyła, słodka, cierpliwa, nie o sobie myśląca — skonała, martwiącą ręką przyciskając do piersi głowę Klotyldy.

Wkrótce o jej przejściu przez świat, o jej pojawieniu się w Jodłowej, świadczył tylko marmurowy, kędyś z Włoch sprowadzony pomnik, który nad jej mogiłą stanął na górze, panując całej okolicy i, niby anioł-stróż, bielą unosząc się wśród jodeł ciemnych po-nad domem, mającym być kiedyś domem jej córki.

Gdy złożono w ziemię martwe zwłoki pięknej i anielskiej Hanny, kasztelaniec dumiał nad jej mogiłą długo, boleśnie. Co w owej chwili działo się w sercu i w sumieniu jego, niewiadomo, bo nie zwykł był zwierzać się nikomu na świecie; ale gdy podniósł głowę, długo jakąś ciężką myślą schyloną, słudzy, modląc się na grobie swojej pani, dojrzał po raz pierwszy w oku dumnego i hartownego, jak stał, człowieka, drżącą na żrenicach łzę. Stoczyła się ta łza po męzkim obliczu, a wzrok kasztelanicy padł na córkę, która z rozognioną twarzą, z rozwianym włosiem, drobnymi rękami obejmowała świeżą mogiłę. Kasztelaniec pochwycił dziecię w gwałtowny uścisk i z niem razem ukląkł na grobie, szepcząc niezrozumiałe wyrazy, jakby zmarłej coś przyrzekał, jakby ją o coś błagał.

Odtąd kasztelaniec, nagłym zwrotem, zdarzającym się nieraz u ludzi namiętych, pokochał córkę z całą gwałtownością swjej wulkanicznej natury. Pysnił się szybko rozwijającą się bystrością jej umysłu i wdziękami, wróżącami wielką piękność; uczył ją sam śpiewać, rysować, a domownicy dziwili się, widząc, jak nieugięty pan ich posłuszny był nieraz kapryśnej woli dziecka, jak on, twardy i hartowny, miękko ją pieścił, bawiąc się warkoczami jej ciemno-kasztanowatych włosów.

— Dziecię — mawiał jej czasem — tyś niepodobna do matki; ona miała czarne włosy.

Na te słowa dziewczę nachmurzało białą twarzyczkę i wieszało się ojcu na szyję, pytając:

— Czy ty mnie bardzo kochasz, ojczu?

— Dziecko, życie-byłbym oddał za ciebie.

— I zrobisz wszystko, o co cię poproszę?

— Wszystko — odpowiedział kasztelaniec, całując gładkie jak marmur czoło córki.

— Zrób ojczu tak — prosiła — aby matka moja powstała z tego zimnego, brzydkiego grobu, w który ją włożono, i niech potem przypłynie po nas z góry gwiazda złota i zabierze ją, ciebie, mnie i Jodłową całą tam pod błękitne niebo, gdzie nikt nie umiera i nikomu za umarłymi nie tęskno.

Kasztelaniec uśmiechał się, w oczach migotały mu smutne blaski, brał dziecię na kolana i mówił:

— Klotyldo, żądasz dwóch rzeczy, które stać się nie mogą: umarli nie wstają z grobów i gwiazdy nie zstępują nigdy na ziemię.

Wtedy pierś dziecka podnosiła się łkaniem gwałtownym.

— Czego płaczesz? — pytał ojciec.

— Chcę matki mojej i gwiazdy — odpowiadała Klotylda.

Kasztelaniec składał ją płaczącą na miękkich kobiercach, a sam, stojąc nad nią i patrząc na konwulsyjne podnoszenie się jej piersi, mówił:

— Dziecię, ty nigdy szczęśliwe nie będziesz, bo masz moją naturę. Jam także przez życie całe z grobu wywoływał umarłą i gonilem za gwiazdą jakąś, przeczutą a niedościgniętą.

Wszyscy i wszystko wkoło Klotyldy korzyło się przed jej wolą. Słudzy i domownicy myśli jej w spojrzeńcach czytać pragnęli, bo każda chmurka na czole dziecka wywoływała

błyskawice gniewu w oczach pana Jodłowej, a gniew ten straszny był wszystkim. Lecz posłuszeństwo dla Klotyldy nie trudne im było, po matce bowiem odziedziczyła ona nieskończoną dobroć dla podwładnych i niższych od siebie, a otaczający ją mawiali: Będzie tak dobra, jak nieboszczka pani.

Mimo całej namiętnej miłości dla swój córki, kasztelanica nie mógł dłużej pozostać w Jodłowej. Zwyczaj, który mu przeszedł w naturę, wewnętrzny jakiś ogień trawiący, a może i wyższe jakieś cele gnały go w świat. Był moźnym, rozumnym, energicznym, a głowa jego wrzała myślami i pierś płonęła pragnieniem, które się w Jodłowej pomieścić nie mogły.

Klotylda kończyła lat czternaście, kiedy po raz pierwszy opuściła z ojcem Jodłową, a w rok potem wszystkie prawie europejskie dzienniki opisywały szczegóły straszne- go w Medyolanie pojedynku między kasztelanicem i francuzkim markizem, pojedynku, w którym pierwszy z nich poległ.

W przeddzień walki, kasztelanica wskazał przyjacielowi rozplakaną córkę i dodał:

— Jeżeli umrę, powierzam ci ją, Edwardzie. Odwieź ją do kraju, do Jodłowej; niech się tam po mnie moglią matki pocieszy.

I wtedy tylko, gdy żegnał ukochane dziecko, głos mu zadrzał i po hardém czole przebiegła chmura głębokiej bolesti.

Po śmierci kasztelanica, Edward Warski, chorą z rozpaczny Klotyldę odwiózł do kraju i opiekował się nią, tak umiejętnie i zręcznie, iż, mimo niestosowności wieku, zapanował nad wyobraźnią i wrażliwą naturą dziecka i został wkrótce jej mężem. Powiadano ogólnie, że towarzysz zabaw młodości kasztelanica mniej był rozkochany w jego córce, niż w dobrach, które odziedziczyła. Bądź co bądź, po dwóch latach dość smutnego pożycia, rozstali się z sobą na wieki: śmierć, zabierając ze świata pana Warskiego, dała im rozwód.

Wtedy ośmnaastoletnia wdowa ukazała się w Jodłowej tylko dla urządzenia majątkowych spraw swoich, poczem wionęła w świat i, jak dawniej o jej ojcu, tak potem o niej, do stron rodzinnych dochodziły wieści, na których odgłos, znający ją w dzieciństwie ludzie podnosili ramiona, mówiąc:

— Krew ojca przeszła w jej żyły.

Ale wszyscy biedni z okolic Jodłowej, włościanie, oficyaliści, starzy słudzy jej rodziców, o których nie zapomniwała wśród szarów i zabaw nawet swoich, którymi opiekowała się i których obdarowywała, wszyscy ci ludzie mawiali:

— Serce matki w niej się odrodziło.

Tymczasem dwór jodłowski, choć opuszczony przez dziedziczkę swoją, utrzymywany był wytwornie, z najwykwintniejszą starannością. Klotylda Warska dzierżawcę swego, pana Dembowskiego, pocziwego szlachcica, o zapaśnej kieszeni, sumiastym, siwym wąsie i stentorowym głosie, zobowiązała kontraktem do najściślejszego dozоровania każdego zakątka dworu i zachowywania go w tak porządnym i pełnym smaku stanie, w jakim zostawił go jej ojciec. Pan Dembowski, rzetelny i uczciwy do drobiazgowości, sumiennie spełniał polecenie dziedziczki; więc, lubo sama pani była w Paryżu, we Włoszech, czy w Warszawie, dwór jej roił się mnóstwem lokajów, ogrodników, woźniców; w domu woskowane posadzki salonów jak szkło błyszczwały, w ogrodzie i cieplarniach kwitły przepyszne kwiaty, a w stajniach rżały starannie karmione i doglądane wierzchowce i powozowe konie. Wydatkom tym wszystkim, podobnie jak znacznym potrzebom pani Warskiej, wystarczała Jodłowa i kilka innych, należących do niej, a sławnych urodzajnością, folwarków.

Na drugim dziedzińcu, oddzielonym od mieszkalnego domu i dworskich oficyn żelaznym otoczeniem i nieprzejrzaną prawie ścianą jodeł, w szarym domu, przeznaczonym na mieszkanie dzierżawcy, schludnie było i porządnie, bo pan Dembowski lubił ład, a żona jego dobrą była gospodynią, ale skromnie i po szlachecku. W obszernych i wygodnych pokojach posadzki nie woskowane były, ale czerwono malowane; przed kanapami z jesionu stały stoły, pokryte siatkowymi serwetami domowej roboty; w rogach bawialnego pokoju, na staroświeckich etażerkach, rozstawione były różnokształtne filiżanki z podejrzanej porcelany, albo bukiety z włóczkowych, także domowej roboty, kwiatów, chronione od pyłu szklanymi, wzdłuż i wszere pękniętymi, kloszami. Na oknach, zamiast pomarańcz i kamelii, zdobiących dworski ganek, za frankami z białego muślinu, kwitły miesięczne różyczki, rezedka i pelargonja, a niekiedy tylko, wyniesiona z cieplarni, ukazywała się

wonna datura, albo wspaniała hortensya, nie lubiana przez samą panią Dembowską, bo mówiono, że kłótnią w dom wносиła.

Pan Dembowski jednak, tak był skrupulatnie sumienny i uczciwy, że za daturę nawet i hortensyą gniewał się na córki, dowodząc, że nie powinny brać ich z cieplarni, boć przecie on kwiatów w Jodłowej nie wziął w dzierżawę, a więc nie ma do nich prawa.

W tém-to szlacheckim mieszkaniu, jednego z ostatnich dni kwietniowych, wielki panował rozruch. Pan Dembowski wszedł z rana do pokoju żony i córek z listem w ręku i rzekł:

— Pani Warska dziś wieczorem do Jodłowej przyjedzie. Niech jójmość z dziewczętami obejdzie ogród i dziedziniec, mosanie tego, i napędzi ogrodników, aby u nich wszystko było w należytych porządku. Reszta moja rzecz.

Po chwili stentorowy głos dzierżawcy brzmiał w stajniach i kuchni; furmani wyprawiali konie, wierzchowce przepędzając na linach, powozowe pojąc i czyszcząc, a kucharze krzatali się tak, aż dym gęstymi kłębamı buchał z kuchennych kominów. Pani Dembowska chodziła po wszystkich drogach i drózkach ogrodu, patrząc, czy starannie wygracowane, a panienki, z pomocą małych ogrodników, układały do salonów bukiety i kosze z kwiatami, a oprócz tego, odświeżały własne sukienki i wstążeczki, aby módz przyzwoicie pokazać się przybywającej dziedziczce, *światowej*, jak mówiły, i eleganckiej pani.

Gdy rozniosła się po dworze wieść o mającém za kilka godzin nastąpić przybyciu pani Warskiej, nikt nie poczuł obawy, ani niezadowolenia. Począwszy od samego dzierżawcy i jego rodziny, aż do sług, należących do najniższych stopni w hierarchii domowej, wszyscy mieli rozpromienione twarze i cieszyli się, że raz już przecie ujrzą w Jodłowej śliczną i dobrą panią.

Najstarszy stangret pieścizotliwie splatał długą grzywę ulubionego jój wierzchowca, Pegaza; ogrodnik całe dwie godziny wysilał swój smak i umysł na ustawienie wazonów, strojących ganek; kucharz łamał sobie głowę nad wynalezieniem nowego sposobu urządzenia pasztetu, a stary, siwy Ignacy, kamerdyner kasztelanica, za młodych jego jeszcze lat, przechadzał się po salonach, zdmuchywał pyłki ze stołów, po raz setny ocierał lustra i poprawiał symetrią rozstawionych wszędzie bukietów.

Gdy zmrok zapadać począł, pan Dembowski, w świątecznym ubraniu, zapalił fajeczkę i wyszedł na ganek swego mieszkania, a trzy jego jasnowłose córki, w niebieskich, wykrochmalonych perkalikach, zaczęły się przechadzać za jodłami i żelaznym otoczeniem dworskiego dziedzińca, chcąc tego dnia jeszcze, choć przelotnie, choć wysiadającą z powozu, zobaczyć panią Klotyldę.

Zmrok zapadł już zupełny; stary sługa pozapalał w salonach lampy i kilkoramienne świeczniki, oświetlił przedpokój i u stropu podjazdowego ganku zawiesił latarnie. Gdy spełnił tę ostatnią czynność, wszedł na ganek pan Dembowski.

— A cóż, Ignacy! — ozwał się grubym swoim basem — pani nie przyjeżdża, mosanie tego, co?

— Przyjedzie — odpowiedział stary — już kiedy napisała, że przyjedzie, to przyjedzie.

— Prawda, że ona bardzo akuraterna, mosanie tego.

— Rychtyk, jak zegarek. Co w tém, to poszła po ojcu; już kiedy, bywało, co powie, to jak amen w pacierzu, choćby pioruny były, tak musi być i koniec.

Z dała, łagodny wietrzyk wiosenny, przyniósł odgłos pocztowego dzwonka.

— Ot, jedzie! — zawołał Dembowski, i zaczął nasłuchiwać.

— Jedzie! — zawtórował sługa, i słuchał także.

Ale im bardziej zbliżał się dzwonek, tém większy wyraz rozrzewnienia zalewał twarz starego Ignacego. Słuchał i mrugał oczyma, posłuchał jeszcze i zagryzł siwego wąsa. Dzwonek był tuż, tuż blisko bramy. Ignacy skrzywił się potężnie i wierzchem ręki pociągnął po zwilgotniałych oczach.

Dembowski patrzył na niego i zaśmiał się swoim rubasznym, głośnym śmiechem.

— A cóż to, mosanie tego! — zawołał — cebuli powąchałeś, Ignacy, że ci lzy płyną z oczu?

— Oj, nie cebuli powąchałem, ale stare czasy przypominałem — odparł Ignacy. — Przecież to ja jój ojca na ręku nosilem i ją widzialem w kołysce, i trumnę nieboszczki

pani, het tam, na górę niosłem. Ja jęj nigdy nie mogę widzieć bez łez; taka to już moja natura.

— A ja znów — odpowiedział dzierzawca — jak patrzę na panią Warską, to mi wszystkie uśmiechy z serca na usta lęzą, mosanie tego. Taka śliczna! taka miła! Ej, Boże odpuść... nie dziwić się tym ludziskom, co to tam za nią, na wielkim świecie, łby tracą!

— Ej tracą, tracą! co tam tracą! — nierad z tęg wzmianki, zamruczał Ignacy. — Czy to właśnie wierzyć ludzkim plotkom? Kto miał łeb, to go nie stracił, a kto miał tylko połowę, to i niewielka szkoda. Co to tracą! jak tracą! A żeby i tracili, czy to jęj wina? czy ona może im zabronić, czy co? Ot, piękna i dobra, jak anioł, i kwita!

Nadjeżdżający powóz przerwał gderanie Ignacego, który ujmował się za dobrą sławą swęj pani. W bramę wjeżdżała sześciokonna kareta i szybkim kłusem podjechała pod ganek. W mgnieniu oka Ignacy otwierał już drzwiczki powozu, a pan Dembowski, z barankową czapką w ręku, stał na pierwszym schodzie ganku.

Z powozu wysiadła pani Warska, w czarnej sukni i kapeluszu z czarną koronkową zasłoną, a za nią wyskoczyła jęj ulubiona i nieodstępna sługa, Marylka.

Wysiadając, Klotylda uśmiechem i skinieniem głowy powitała Ignacego, potem, ujrawszy dzierzawcę Jodłowej, żywo postąpiła kilka kroków i, podając mu obie ręce, rzekła głosem, w którym dźwięczała serdeczna uprzejmość:

— Witam pana. Takem już zatęskniła do Jodłowej i do państwa tu wszystkich, zem przyjechała nareszcie, i to na parę miesięcy.

Pan Dembowski poniósł do ust obie śliczne rączki, a ściskając je w swoich grubych i ciemnych dłoniach, zawołał:

— Witamy, witamy panią dobrodziejkę! ho, ho, ho! mosanie tego!

W miejscu, gdzie między oranżeryą i domem przerzedzały się nieco gałęzie jodłowe, z za niskiego otoczenia wyglądały na dworski dziedziniec trzy jasnowłose, o rumianych policzkach, głowy, i śród zmroku błyskały błękitne perkaliki trzech córek pana Dembowskiego.

— Czy widzisz, czy widzisz ją? — szeptała najstarsza Elżunia, przechylając się na wszystkie strony, aby lepiej ujrzeć panią Warską.

— Widzę, widzę! — odszepnęły dwie inne.

— Ależ suknia! — szepnęła średnia, Antosia.

— Aż szeleści, jak wiatr! — zauważyła najmłodsza, Magdzia.

— Patrz, patrz, jak pięknie idzie!

— Podala ojcu rękę.

— Nie, obiedwie.

— Słyszysz, słyszysz, coś mówi!

— Ot teraz światelko od latarni na twarz jęj padło. A, że piękna, to piękna!

— Jeszcze piękniejsza, niż była w przesłym roku.

— Ach, ten ojciec, zasłonił ją!

— O, znowu podaje ojcu rękę.

— Ot i poszła!...

— Szkoda!

— Jutro ją pewnie zobaczymy.

— W przesłym roku była u nas, zdaje się, trzy razy.

— Nie, dwa i to zawsze na chwilkę, bo pamiętasz, że mama zaraz po jęj wyjeździe wyjechała z Magdzą na całe lato do ciotki Lipowskięj.

Rozmawiając w ten sposób, dziewczęta odeszły od ogrodzenia dworskiego dziedzińca i zaczęły przechadzać się przed gankiem swego mieszkania, wkoło dużego klombu z różanych i bżowych krzewów.

— Dziwna rzecz — ozwała się Magdzia — czemu pani Warska ciągle nie mieszka w Jodłowej? Tu tak pięknie! Mój Boże, gdybym ja miała taką Jodłową, nigdy-bym jęj nie opuszczała.

— Ej, co ty wiész! — odpowiedziała Elżusia — czyś ty kiedy widziała wielki świat? Ja, jak byłam dwa miesiące w Wilnie, u ciotki Kaczyńskięj, to widziałam z daleka, jak tam panowie pięknie kłaniają się i mówią, a panie zawsze w aksamitach i atlasach, ciągle tańczą, jeżdżą z wizytami, słuchają muzyki, albo patrzą na teatr i cóż dziwnego, że pani Warska, taka piękna, taka bogata, woli żyć na tym wielkim świecie, niż w Jodłowej.

— I cóż tam jęj tak bardzo miłego daje ten wielki świat? — zarzuciła znów Magdzia.

— Bawi się dobrze i basta! — zdecydowała Antosia.

— Et, mnie bo się zdaje, że człowiek nie na to stworzony, żeby się bawił — szepnęła Magdzia.

— I cóż-byś ty robiła, gdybyś była bogatą? — szepnęła Elżusia.

— O, nie powiem, nie powiem! — ze śmiechem zawołała Magdzia.

— Czemu nie powiesz?

— Powiedz ty wprzód, Elżusiu.

— Jabył bawiła się, jak pani Warska.

— A ty, Antosiu?

— Jabył jednę część majątku oddała rodzicom i wam, drugą ubogim, a za trzecią nakupiła-bym sobie tyle czekoladowych cukierków, żeby mi na całe życie wystarczyło.

— Ha, ha, ha! — zaśmiały się siostry.

— A ja anibył się bawiła, anibył czekolady nie nakupiła — rzekła Magdzia.

— A cóżbyś zrobiła?

— Nie powiem, bo będziecie się śmiały.

— Nie będziemy, tylko powiedz, powiedz!

— No, to już powiem, nie śmiećcie się ze mnie. Oddała-bym wszystko panu Lucyanowi.

— Panu Dolewskiemu? — zawołały siostry — a tobież, Magdziu, zkaąd on do głowy przyszedł?

— Ot, tak! ni ztaąd, ni z owąd — odparło dziewczę — może od tęg gwiazdki, co nad naszym domem świeci, może od tęg jodły, co nad nami szumi. Alboż to on piérwszy raz przyszedł mi do głowy?

— Ej, Magdziu, Magdziu! — pogroziła starsza siostra.

— No i cóż w tэм złego?

— Już to ja dawno spostrzegłam, że ty się zakochałaś w panu Lucyane.

— Ej, zakochałam, to nie; ale on taki dobry! — odrzekła Magdzia, cała płonąć rumieńcem.

— To prawda, a jakie ma piękne oczy! — zawtórowała Antosia.

— Tak, ale czyż to on patrzy na nas? — zauważyła Elżusia.

— Alboż to koniecznie trzeba, żeby zaraz i patrzył — zarzuciła najmłodsza. — Wiadomo, że my jestełmy biedne wiejskie dziewczęta, w domu wychowane, że nic nie umiemy, nic nie znamy. O cżém-że on będzie z nami mówił i dlaczego miał-by się nami zajmować, kiedy jemu czego innego trzeba? Ale zawsze można przyznać, że takiego dobrego i miłego człowieka, jak on, chyba niéma na świecie.

— Ach, wiecie, co mi przychodzi do głowy? — zawołała Elżusia — jak on pozna panią Warską i pani Warska jego...

— To i cóż będzie?

— To się pewno pokochają.

— A może... — bardzo cicho szepnęła Magdzia.

— A to-by szkoda było pana Lucyana — rzekła Antosia.

— A toż czemu? owszem, śliczna-by z nich dwojga była para.

— Ej, albo-by to pani Warska wyszła za niego? — rozumowała dalej Antosia. — Prawda, że jest piękny, dobry i rozumny, ale biedny, i to tylko ma, co zapracuje, a ona bogata i mówią ludzie...

— Cóż tam ludzie mówią?

— Że okrutna z nięg bałamutka.

— A mnie się zdaje — rzekła Magdzia — że choć pani Warska i bogata, i, jak mówią, bałamutka, dlatego pana Lucyana pokochać może.

— A cóż-byś ty na to powiedziała, Magdziu? — figlarnie spytały siostry.

Magdzia milczała przez chwilę, aż odrzekła:

— Jeżeli-by pan Lucyan był przez to szczęśliwy, poszła-bym piechotą do Ostrég Bramy, podziękować Matce Bozkiég.

— Panienki! panienki! proszę na kolacyą! — zawołała służąca, z fartuchem u pasa i w chustce na głowie, niosąca przez dziedziniec z kuchni ku gankowi wielką salaterkę, z którég rozchodził się zapach zawijanych zrazów.

Panienki szybko pobiegły ku domowi, bo wiedziały, że ojciec nie lubił czekać, i gdy mu się to kiedy zdarzyło, gderał straszliwie.

Zaledwie weszły do jadalnego pokoju, w którym, koło nakrytego i jedną świecą oświetlonego stołu, stały proste, czerwono malowane krzesła, z innych drzwi wszedł pan Dembowski.

— Cicho, dziewczęta! — rzekł — matka niezdrowa, położyła się.

— A co to mamie? — zawołała Magdzia, biegnąc już ku drzwiom pokoju matki.

— Nie idź tam, mosanie tego, może zasnęła. Przeziębła się widać i dostała bólu głowy i dreszczów.

— Już to mama od kilku dni nie jest zdrowa — zauważyła Antosia.

I posmutniałe nieco dziewczęta zasiadły z ojcem do wieczerzy; niemniej jednak z większym i młodym apetytem zmiatały z półmisków i salatek zrazy zawijane i kaszę gryczaną ze szwedami.

Kilka chwil przedtem pani Warska, po chwilowej rozmowie na ganku z dzierżawcą swoich dóbr, powiedziała mu grzeczne: do jutra! i wbiegła do oświetlonego wnętrza swego domu.

Wnętrze to odpowiadało wytwornością i smakiem zewnętrznej stronie jodłowskiego dworu. Piękna dziedziczka z dużych, ozdobnych sieni, weszła do obszernej sali jadalnej, której kilka okien wychodziło na dziedziniec. Między temi oknami, w wązkich złoconych ramach, powprawiane były w ścianę lustra od sufitu do posadzki; przeciwną ścianę całkiem prawie okrywały portrety przodków pani Warskiej. U okien nie było firanek ani kwiatów, lecz tylko pod każdym z nich, na marmurowych podstawach, widać było wielkie etruskie wazony, albo posagi, niosące na głowach kosze owoców, a w rękach czary i wieńce. W środku sali stał starożytny stół, rzeźbiony z orzecha, a wkoło niego również staroświeckie i rzeźbione, o wysokich poręczach, krzesła. Posadzka cała pokryta była kobiercem o arabeskach ciemnych barw, a między portretami otwierało się dwoje wązkich a wysokich, jak okna, i także bogato rzeźbionych, drzwi.

Drzwi te prowadziły do dwóch salonów. Pierwszy z nich duży, o kilku oknach, wychodzących na ogród, zastawiony był sprzętami, pamiętającymi kasztelańskie czasy. Stały tam kanapy i fotele à la Louis XV, białe, z wyłaczanemi brzegami, obite ponsowym aksamitem, o złotych, szerokich frenzlach; stoliki marmurowe, na których barwiły się mozaikowane rajskie ptaki i bukiety; u okien wielkie brązowe jastrzębie w dziobach utrzymywały ponsowe aksamitne firanki, zdobne złotą frenzlą; na ścianach wisiało kilka obrazów, o ciemnym tle i szerokich, złoconych ramach. Posadzka bez kobierców, poprzerzynana czarnemi dębowymi kwiatami, lśniła się jak szkło; u sufitu wisiał wielki pająk, drżąc kryształowemi ozdobami.

Drugi salon mniejszy był i całkiem już nowożytny. Zdobiły go miękkie kozetki i głębokie, paliowym atlasem pokryte, fotele, konsole marmurowe ze zwierciadłami i pięknym zegarem, lekkie atlasowe firanki u okien i drzwi, i wielkie, kunsztownie wyrabiane kosze, pełne kwitnących krzewów.

Z tego drugiego salonu jedne drzwi prowadziły do biblioteki, w której parę tysięcy tomów poustawiano w rzeźbionych i oszklonych szafach; drugie wiodły do niewielkiego pokoju, o szerokich szklanych drzwiach, wychodzących na ganek do ogrodu. Pokój ten urządzony został przez samą już panią Warską i był ulubionym jej miejscem w Jodłowej, a kto wchodził doń, mógł sądzić, że magiczną siłą jakąś na daleki Wschód został przeniesiony.

Ściany pokoju tego były całkiem okryte grubą, ułożoną w szerokie fałdy, materią wschodnią, wyrabianą w barwne arabeski i koła; fałdy te pokrywały i sufit, tworząc rodzaj okrągłego sklepienia i schodząc się w wielką różę, od której spuszczała się szafirowa lampa. Wkoło ścian biegły bardzo niskie otomanki, okryte wschodniemi kobiercami i poduszkami; na posadzce leżał podobnyż kobierzec; w dwóch rogach pokoju stały sięgające sufitu zwierciadła; w dwóch innych w spiralne kolumny ustawione były wazony z kwiatami, a z po-za ich gałęzi wychylały się szafirowe także lampy. Materya, pokrywająca sufit i ściany, tworzyła zarazem zamknięte portyery u dwojga drzwi, z których jedne prowadziły do mniejszego salonu, inne do sypialni pani Warskiej.

Jak wschodni gabinet grubą wschodnią materyą, tak sypialnia ta ściany i sufit pokryte miała fałdami białego, przezroczystego muszliny. Między niemi stały kanapki, fotele, łóżko, małe biurko z przyborami do pisania, toaleta z ogromnym zwierciadłem i niskie, kołyszące się krzesła. Na marmurowym kominku widać było zegar alabastrowy i takąż lampę, a naprzeciw łóżka, pół-ukryta w fałdach draperyi, wisiała wyborna kopia Madonny Syxtyńskiej.

Klotylda szybko przeszła przez salę jadalną i dwa oświetlone salony i zatrzymała się we wschodnim gabinecie, u którego stropu paliła się szafirowa lampa. Zdjęła kapelusz i okrycie, oddała je Marylce i, zbliżywszy się do zwierciadła, wyjęła z włosów utrzymujący je grzebięń. Strumień długich, grubych warkoczy opłynął jęj ramiona i stan.

We drzwiach, w pełnej uszanowania postawie, stał Ignacy.

— Czy jaśnie wielmożna pani każe podać sobie wieczherzę? — zapytał.

— Dziękuję ci, Ignacy — rzekła, zsuwając z czoła opadające włosy — będę tylko piła herbatę. Marylka mi ją poda.

Stary kamerdyner skłonił się i miał wyjść.

— Pogaś światła w salonach — rzekła, podchodząc doń, Klotylda — widziałam już, że wszystko jest w porządku i wybornie utrzymane, i dziękuję ci za to, mój pocziwy.

Ignacy z jedną ręką podniesioną w górę, dla podtrzymania portyery, stanął jak wryty na te słowa; na twarzy jego znowu zagrało rozczulenie. Stał i patrzył na nią przez chwilę, aż wreszcie wyjąknął:

— Chwała Bogu, że jaśnie wielmożna pani przyjechała już do nas.

Klotylda zbliżyła się i drobną rękę położyła na jego ramieniu.

— Tracisz widzę pamięć, mój stary — rzekła z uśmiechem — zapomniałeś, że nie lubię, kiedy pocziwy sługa mego ojca i dziada nazywa mnie jaśnie wielmożną panią.

Było to zbyt wiele dla serca starego kasztelańskiego slugi; obu dłońmi pochwycił rękę Klotyldy i podniósł ją do ust.

— Moja droga, dobra pani! — wyszeptał.

— A jakże tam ma się żona twoja? — spytała Klotylda — a wnuczka twoja, Franusia, która w przeszłym roku za mojej tu bytności za mąż wyszła, czy zdrowa i szczęśliwa?

— Żonisko zdrowe, ale biedna Franusia...

— No cóż?

— Mąż jęj, który, jeśli pani pamięta, był leśnikiem u pana M., stracił miejsce i teraz w biédzie oboje, a już i dziecko jest.

— O, toś ty już pradziadunio — zaśmiała się Klotylda. — A za cóż mąż Franusi stracił miejsce? czy pije może, albo niepocziwie służy?

— Oj nie, pani! trzeźwy to i pocziwy człowiek, tylko, że go sobie rządzca pana M. nie spodobał.

— No, kiedy tak, to zaradzimy temu i znajdziemy mu lepsze jeszcze miejsce, niż to, które utracił. A dziecko ich czy już ochrzczone?

— Nie jeszcze. Urodziło się przed tygodniem.

— A przyjmiecie mnie za matkę chrzestną?

Tu Ignacy znowu poniósł do ust rączkę swojej pani.

— A teraz — rzekła ona — idź spać, mój pocziwy stary; musiałeś się dość namęczyć, przygotowując wszystko na moje przyjęcie. Już tu przy herbacie Marylka mi posłuży.

Skinęła z uśmiechem głową i odeszła, a Ignacy zniknął za opuszczoną portyerą.

W jadalnej sali spotkało go dwóch nowoprzyjętych na służbę lokajów.

— Cóż tam pani? — spytali kamerdynera — w dobrym humorze przyjechała, co?

— Niech ją Bóg błogosławi! — odpowiedział stary, któremu się w oczach łzy kręciły — to anioł!

W godzinę potem, Marylka wynosiła ze wschodniego gabinetu srebrny przybór, z którego pani jęj piła herbatę, i zapalała w sypialni alabastrową lampę.

— Idź spać — rzekła do niej Klotylda — rozbiorę się i położę sama.

Po odejściu Marylki, powstała z otomanki, na której leżała, zbliżyła się ku drzwiom od ogrodu, otworzyła je i wyszła na ganek.

Noc była gwieździsta, ciepła i cicha, bardzo, wszystko już spało w Jodłowej. Łagodnie tchnienie, połączone z wonią kwitnących po klombach kwiatów, owiało Klotyldę, niby

pocałunkiem powitania; nad głowami posągów zaszumiały jodły, a między zielenią myrtu i cyprysu błyskały białe wazonowe róże i kamelie.

Klotylda stała przez chwilę, zapatrzona w ciemne, gwieździste sklepienie nieba, którego szczyty jodeł dotykać się zdawały, w posągi, w kwiaty... odetchnęła szeroko, obie ręce przycisnęła do piersi i rzekła:

— Jak tu pięknie! jak wonno! jak cicho!

Oparła głowę o gałąź i stała w milczeniu. W myślach jęj przesuwać się musiały różne obrazy, bo po chwili szybkim ruchem wyciągnęła obie złożone ręce i szepnęła:

— Ojczy mój! matko moja! wyście tu żyli!

I zatopiona we wspomnieniach i rozmyślaniach, jakeimi ją owiała Jodłowa, weszła do gabinetu, stanęła przed zwierciadłem i machinalnie zaczęła rozplatać swoje warkocze.

Po chwili uśmiech zaigrał na jęj ustach; obejrzała się i rzekła do siebie:

— Ciekawam, jak się *jemu* spodoba Jodłowa!?

Rozplatała, splatała swoje włosy i owijała niemi głowę, jak we wschodni turban, a potem przeszła do swęj sypialni.

Alabastrowa lampa łagodnie oświecała wytworny ten pokój, zegar odzywał się z cicha, jednostajnymi tętnami, a między fałdami muslinu, rozświetlona padającym na nią promieniem lampy, jaśniała twarz Madonny.

Ku nięj skierowała się Klotylda, uklękła, złożyła ręce na piersiach i wzrok utkwiała w obrazie. Powoli wzrok ten łzą zachodził, pierś się podniosła wzruszeniem, a usta roztwierały cichym, niedosłyszalnym szeptem modlitwy.

— Przed Tobą, o Maryo! modliła się matka moja przeczysta, do Ciebie ja, grzesznica, myśl moję posyłam. Z burz mego życia nietkniętą i ciepłą wyniosłam wiarę w Ciebie, o niepokalana! Teraz lepsza i czystsza, niż kiedy, klękam przed Tobą, niech przyszłość moja przeszłość odkupi. A Ty, Maryo, pomagaj biednemu sercu mojemu, aby w spokoju i miłości spocząć już mogło!...

W kilka chwil potem, zupełna cisza panowała w sypialni. Białe światło opromieniało ciągle twarz Madonny i drżący promień rzucało na uszpioną między fałdami muslinu Klotyldę. Owiął ją snąc spokój Jodłowej, bo spała cicho, jak dziecicę, głowa jęj, strojona w koronę z warkoczy, spoczywała na białęj obnażonęj ręce, pierś lekkim oddechem podnosiła się spokojnie.

Zegar metalicznym dźwiękiem oznajmił północ, Klotylda poruszyła się, a uszpione i w pół otwarte jęj usta cichęm pytaniem wymówiły wyraz: przyszłość?

W tęg samęj chwili zagaśła na kominku paląca się lampa, ciemność zupełna ogarnęła pokój, a w dali, z głębi jakięjs staręj jodły, płacziwie zajęczała złowróźbna sowa.

II. BYŁAŻBY TO TA SAMA?

Nazajutrz po przybyciu pani Warskieję do Jodłowej, w mieszkaniu dzierzawcy Dembowskiego panował ten smutny ruch i zachód, który znamionuje zwykle wejście do domu nieproszonego gościa — choroby. Pani Dembowska leżała w silnęj gorączce, a zapłakane jęj córki, zapomniawszy już o tak zajmujęcęm je wczoraj przybyciu dziedziczki i o swoich świeżych niebieskich sukienkach, krzątały się na palcach około choręj matki i szeptały z sobą pocichu, znosząc jęj do łózka słoiczki i buteleczki z domowemi lekami.

Magdzia wybiegała często na ganek i, ręką zaslaniając wzrok od słonecznego światła, patrzyła w stronę szerokieję drogi, wiodącej z N., a gdy ją pustą ujrzała, wzdychała, ocierała łzy ponsową na szyi zawiązaną chusteczką i, wróciwszy do pokoju, szeptała siostróm:

— Jeszcze nie widać doktora.

A w domu dziedziczki cicho było i spokojnie. Od dziedzicę smugi słonecznych promieni przez okna płynęły na lśniące posadzki salonów, od ogrodu, przez drzwi otwarte, wiała do wschodniego gabinetu woń wiosennych kwiatów.

Około południa do gabinetu tego weszła z ogrodu pani Warska. Ubrana była w białe kaszmirowe szlafrocze, przewiązany w pasie grubym sznurem z niebieskiego jedwabiu, i takież sznur w misternych skręcach zdoił jęj głowę, niby wąż opasując warkocze i wijąc się między włosami. Wbiegła do gabinetu, śpiewając aryę z Rigoletta: *la donna e mobile*; rękawiczki i parasolkę rzuciła na otomankę, a sama usiadła na taborecie przy drzwiach otwartych, wpatrując się w śnieżny i drżący rosą kielich narcyzu zerwanego w ogrodzie.

Uchyliła się portyera i we drzwiach stanął Ignacy.

— Co powiesz, mój stary? — żartobliwie spytała, zwracając się ku niemu, Klotylda.

— Pan Dembowski pyta, czy może panią widzieć?

— Proś, proś, niech wejdzie tutaj.

Po chwili w przyległym salonie dały się słyszeć ciężkie kroki i niebawem ogromna postać szlachcica pojawiła się na tle wschodniej draperyi gabinetu.

— Dzień dobry panu — rzekła Klotylda, powstając nieco i podając mu rękę, — niech pan siada. — I wskazała mu taboret naprzeciw swego.

Dembowski pocałował rękę pięknej dziedziczki i usiadł tak lekko, aż taboret jęknął; ale nie zaśmiał się swoim serdecznym ha, ha, ha! tylko przygryzał siwego wąsa i dwie zmarszczki zrysowały jego zwykle rozpogodzone, otwarte czoło.

— Przyszedłem — rzekł usiadłszy, zdać pani dobrodziejce sprawę ze stanu gospodarstwa w Jodłowej i zasięgnąć jej zdania, a raczej zezwolenia, co do pewnych zmian, jakie uczynić myślę.

Cały ten okres wypowiedział, nie wtrąciwszy ani razu „mosanie tego”, co było u niego oznaką niezmiernego zakłopotania czy zmartwienia.

— Wiem, panie Dembowski — uprzejmie odpowiedziała Klotylda, — że Jodłowa nie może być w lepszych rękach jak w pańskich i że wszystko, coś pan uczynił lub uczynić zamierzasz, musi być dobre. Wszakże nie uchylam się od osobistego wejrzenia w stan mego majątku, tylko odkładam to na potem. Za kilka dni przejrzymy z panem wszystko i wspólnie się naradzimy; dziś mam kilka korespondencji do napisania i czuję się nieco zmęczona podróżą.

— Jeżeli tak — rzekł, powstając Dembowski, — wielką i mnie robi pani łaskę tą zwłoką, bo, Bogiem a prawdą mówiąc, przyszedłem dziś z moim sprawozdaniem tylko przez poczucie obowiązku, ale, mosanie tego, leż mam dziś czem innym zajęty.

I energicznie uderzył się dłonią w czoło.

— Cóż to? czy nie zmartwienie jakie? — życzliwie spytała Klotylda.

— Zmartwienie, zmartwienie, pani dobrodziejko! Żonisko mi się rozchorowało, mosanie tego, ni z tą, ni z ową, a nim doktor przyjedzie, Bóg wie, co się stać może.

Łzy zakręciły się w oczach starego szlachcica i chciał pożegnać dziedziczkę.

— A czy daleko mieszka doktor? — spytała ona.

— Dobrą milę ztąd, w N.

— Posłałeś pan po niego?

— Od kilku godzin, mosanie tego, ale widać go w domu nie znaleźli.

— A to nim doktor przyjedzie, ja pójdę chorą zobaczyć i może tymczasem poradzę cokolwiek, aby jej ulgę przynieść. Idę z panem.

Mówiąc to, szybko włożyła rękawiczki, wzięła parasolkę i po chwili była z dzierżawcą na dziedzińcu.

— Bo to, widzisz pan — mówiła idąc, — gdym mieszkała w wielkich miastach, nieraz godziny całe rozmawiałam o medycynie z uczonymi doktorami i czytałam też trochę książek, traktujących tę naukę; dla tego zdarza mi się niekiedy, w nagłej potrzebie, tymczasową przynajmniej dać radę choremu.

— Jakto, i pani dobrodziejka nad takimi rzeczami łamała sobie głowę? — spytał Dembowski z pewnym niedowierzaniem, spoglądając na piękną główkę, strojną w warokcze i sznur błękitny.

— A dla czegoż-by nie? — odparła Klotylda. — Przecież choć małą wiedzę w tym względzie można czasem komuś pomódz. Nie jest to zresztą nic nadzwyczajnego, bo są kraje na świecie, w których kobiety wiele się uczą i zostają naprzykład doktorami, profesorami i t. d., tak dobrze, jak mężczyźni. A i mnie bardzo często przychodziła myśl i ochota oddać się wyłącznie jakiemuś naukowemu zawodowi, tylko, niestety! zawsze mi zabrakło wytrwania.

Dembowski uszom swoim nie wierzył; kobieta-doktor nie mogła się pomieścić w jego głowie.

— A to, Panie odpuść, piękni tam doktorowie: baby! — pomyślał, i dodał głośno:

— I nacóż-by to się zdało pani dobrodziejce, za pozwoleniem, mosanie tego?

— Na co? — odparła Klotylda. — O! panie Dembowski, szczęśliwy każdy, czy to mężczyzna, czy kobieta, kto serce i umysł swój zajmie poważnymi rzeczami, nauką, pracą; bo przez to wiele dobrego innym zdziałać może i sam nierównie lepszym się staje.

W téj chwili weszli oboje do szarego domu dzierżawcy.

W bawialnym pokoju trzy panny Dembowskie, zarumienione i nieśmiałe, spotkały dziedziczkę Jodłowej, którą nadchodzącą ujrzały przez okno.

— Dzień dobry paniom — rzekła uprzejmie Klotylda, ujmując je z kolei za ręce. — W przeszłym roku widziałyśmy się parę razy, ale króciutko; spodziewam się, że tego lata częściej widywać się będziemy. Z góry wpraszam się do waszych młodziutkich serduszek i sama już kocham was, jako córki najzaczniejszego ojca.

Elżusia i Antosia ze spuszczonei oczyma oddały Klotyldzie nieśmiały uścisk ręki; jedna tylko Magdzia z zachwytem wpatrzyła się w jęj twarz, poczem schyliła się nagle i gorąco ucałowała jęj rękę. Klotylda podniosła jasnowłosą główkę dziewczęcia i na ustach jęj złożyła serdeczny pocałunek.

— Zaprowadźcie mnie do swojęj mamy — rzekła po chwili — nim doktor przyjedzie, może ja jęj co pomogę.

Dziewczęta zdziwione spojrzaly po sobie, a pięrwsza Magdzia wskazała drzwi sypialnego pokoju matki.

Klotylda stanęła przed łóżkiem Dembowskieję, która w gorączce nie poznawała nikogo. Twarz bogatęj i świetnej pani wyrażała w téj chwili serdeczne spółczucie i powagę. Ujęła rozpaloną rękę choręj, położyła dłoń na jęj czole i przez chwilę stała tak, pogrążona w głębokim namyśle. Potęm zwróciła się do Magdzi i rzekła z cicha:

— Niech pani każe przynieść lodu; matce pani trzeba lód do głowy przykładać, inaczej zapalenie rozwinie się szybko, nim doktor przyjedzie.

Magdzia wybiegła. Klotylda znowu zamyśliła się nad chorą, a Elżunia i Antosia szepały między sobą:

— Jaka ona piękna!

— Jaka dobra, serdeczna!

— Czy ona się zna na doktorstwie?

— Zapewne, musi być bardzo rozumna.

Dembowski wysunął się pocichu z pokoju. Przyniesiono lód i córki podeszły do łóżka.

— Już ja to sama zrobię — rzekła Klotylda, — a do pomocy biorę tylko Magdzią. Wszakże tak ci na imię, miłe dziecię?

— Tak, proszę pani — odpowiedziała dziewczyna, podnosząc znowu z zachwytem do ust rękę pani Warskieję.

Klotylda uklękała przy łóżku choręj i z pomocą Magdzi zaczęła przykładać lód do jęj głowy.

Dobra godzina tak minęła, gdy pod gankiem dał się słyszeć turkot kół i otworzyły się drzwi sypialnego pokoju.

Magdzia pokraśniała, a Klotylda zwróciła głowę ku drzwiom, w których pojawił się Lucyan Dolewski.

Wzrok młodego doktora padł najprzód na klęjącą u łóżka choręj i twarz zwróconą ku niemu kobietę w bieli. Wązki promień słońca, przekradając się z za rolety zasłaniającej okno, wyraźnie rozświecał na mrocznym tle pokoju jęj strojną i piękną głowę.

Lucyan zatrzymał się u drzwi przez krótką chwilę i patrzył; nie znał on kobiety, którą ujrzał niespodzianie, nie wiedział kto ona, a jednak był pewny, że gdzieś, kiedyś ją widział. Twarz jęj wywołana, stanęła w mgnieniu oka przed wyobraźnią jego ciemna głębi kościelnej kaplicy i o biały filar oparta, zgięta boleścią, postać kobiety. „Byłaż-by to ta sama?” pomyślał i przypomniał sobie jeszcze, że tę samę twarz, tę samę postać kobiecą widział raz już w przeszłości... w jakimś pięknym, gorącym śnie...

Na widok wchodzącego doktora, Klotylda powstała i odeszła z Magdzią ku oknu, a pan Dembowski zbliżył się z Lucyanem do łóżka.

Lucyan badał przez chwilę chorą, a w końcu rzekł do Dembowskiego:

— Choroba nie rozwinęła się jeszcze zupełnie; mam nadzieję, że będziemy mogli zapobiedz złemu jęj kierunkowi. Ale — dodał — któż to z państwa tak trafnie zastępował mię dotąd przy choręj? Podziwiać należy niekiedy dobre przecucie, bo przykładanie lodu do głowy niezmiernie tu było potrzebne i o wiele wstrzymało postępowanie choroby.

Dembowski rozjaśnił czoło i za całą odpowiedź pocałował w rękę Klotyldę.

Klotylda patrzyła ciągle na doktora, z wyrazem, który oznaczał lekkie podziwienie; zdawało się, jakby przypominała sobie także, gdzie i kiedy go widziała.

— Ja to — ozwała się w końcu, widząc, że doktor ze zdziwieniem patrzy na oznakę milczącej wdzięczności Dembowskiego — ja to odważyłam się w nieobecności pana udzielić rady, której pomyślnie skutki widziałam wiele razy.

Lucyan skłonił się lekko i całą uwagę swą zwrócił na chorą, obok której usiadł, a Klotylda z Magdzą wyszły do bawialnego pokoju i, chodząc, rozmawiały ze sobą. Prostota w obejściu się i serdeczność świetnej pani Warskiej tak ośmieliły wiejską dziewczynę, iż z całą naiwnością i szczerotą oddała się sympatyi, jaką poczuła do dziedziczki Jodłowej i, trzymając jej rękę, opowiadała o swoich zatrudnieniach, sposobie życia, sielskich przyjemnościach i t. d.

— Jak się nazywa doktor, który leczy twoją mamę? — spytała Klotylda.

— Pan Lucyan Dolewski — odpowiedziała Magdusia, a świeża, choć opalona jej twarzyczka, zapłonęła żywym rumieńcem. Uśmiechnęła się, spostrzegłszy to, Klotylda.

— Czy pan Dolewski dawno tu mieszka? — spytała znowu.

— Zdaje mi się, że właśnie za miesiąc trzy lata się skończą od czasu, jak przyjechał do N.

Klotylda poruszyła głowę, jakby namyślając się nad czémś, i szepnęła do siebie:

— Dziwna rzecz! więc chyba to nie on *tam* był.

— Co pani mówi? — spytała Magdzia.

— Nic, nic, moja droga. Powiedz mi, dlaczego pan Dolewski wybrał sobie miejsce pobytu w takiej mieścinie, jak N.?

— Bo tam, proszę pani, mieszka jego matka, staruszka, której smutno-by było rozstać się albo z synem, albo z miejscem, w którym całe życie przepędziła. Pan Lucyan bardzo kocha swoją matkę i dla niej pozostał w N.

— To bardzo pięknie z jego strony — odrzekła Klotylda i myślą pytała siebie ciągle: gdzie ja jego widziałam? czy to był on, czy ktoś do niego podobny?

Przeszło dobre pół godziny, nim pan Dembowski wyszedł z Lucyanem z pokoju chorój. Doktor poważny był i zamyślony, twarz Dembowskiego rozjaśniła się nadzieją.

— Oto jest, pani dobrodziejko — rzekł, zbliżając się do Klotyldy i wskazując jej doktora, — nasz kochany eskulap, mosanie tego, Lucyan Dolewski, a to, Lucysiu, śliczna moja dziedziczka, pani Warska, której ja od lat dziewięciu jestem najpokorniejszy sługa i podnózek, mosanie tego.

— Miło mi powitać w pani sąsiadkę — rzekł, kłaniając się Lucyan, — o ile zaś wnosić mogę z tak trafnie udzielonej przed chwilą rady, trochę... kolegę w zawodzie medycznym.

— Gdybym była mężczyzną — odrzekła Klotylda — miałbyś pan ze mnie niezawodnie kolegę, bo w hierarchii nauk medycynę niezmiernie wysoko stawiam, a ludzi, którzy z zamilowaniem oddają się trudnemu lekarskiemu powołaniu, bardzo wysoko szacuję. Jakże pan znajduje stan pani Dembowskiej?

— Choroba jest dość ważna, ale środki zaradcze nie będą spóźnione. Mam nadzieję, że niebezpieczeństwo nie zagrozi chorój.

Gdy Lucyan to mówił, Magdzia z nieopisanym wyrazem patrzyła na niego. Błękitne jej oczy, zasłane mgłą leż na myśl o chorobie matki, wpatrywały się w twarz doktora z rodzajem wielbiącej wdzięczności. Spojrzeniu temu towarzyszył ciągle znikający i odradzający się rumieniec. Ale ani rumieńca, ani wyrazu oczu Magdzi nie widział Lucyan, bo patrzył ciągle na panią Warską, a w myśli krążyły mu ciągle wyrazy:

— Byłaż-by to ta sama?

I Klotylda patrzyła na niego, ale inaczej, niż Magdzia. Ciemne jej oczy, w tej chwili bardzo czarne i migocące złotemi w głębi ognikami, wpatrzyły się w twarz doktora badawczo, uparcie, a w myśli jej krążyło ciągle pytanie:

— Byłże-by to ten sam?

Cudowną jest gra oczów ludzkich! Kto umie w nich czytać, może z nich wysnuć całą historią serc, minioną i przyjąć dopiero mającą. Inaczej patrzą szczęśliwi zawsze; inaczej ci, co wiele cierpią; inaczej tacy, których uczucia burzliwe są i namiętne; inaczej ci, którzy czują głęboko, ale łagodnie i słodko. A zawsze dla badacza język spojrzeń wymowniejszy być może niż mowa ludzka, której wyrazy, według słów poety:

„W ustach wietrzeją, na powietrzu stygną”.

Po kilku chwilach rozmowy, Lucyan skłonił się lekko dwom paniom i odszedł do stołu, na którym leżały przyrządy do pisania. Spojrzenie Klotyldy szło za nim ciągle, a on, jakby pociągnięty magnetyczną jego siłą, odwrócił się i spotkał się z jej oczyma. Wyraz twarzy jego nie zmienił się, tylko ręka, rozdzierająca papier, lekko zadrżała.

Po zapisaniu recepty spojrzal znowu na Klotyldę, która, profilem zwrócona ku niemu, z zamyśleniem patrzyła w okno. Profil ten bardziej jeszcze przypominał mu mroczną kaplicę i rozplakaną kobietę.

W tej chwili Klotylda, której się zdawało, że nikt na nią nie uważa, przesunęła z wolna rękę po czole i lekko westchnęła. Lucyan orzucił wzrokiem całą jej postać, kształtną i smukłą; potem, oczy jego od błękitnej przepaski przeniosły się na pochyloną nieco głowę, utonęły w bogactwie włosów, strojnych w smugi błękitne i zatrzymały się na białym profilu, którego linie były-by rozkoszą Fidyaszowego oka. Nikogo nie było w pokoju; Klotylda stała nieruchoma, sądząc zapewne, że doktor zajęty był jeszcze pisaniem; w końcu zwróciła nagle twarz ku niemu i dojrzała jego błyszczące, przykute do niej spojrzenie. Oczy jej nie były już w owęj chwili tak płonące, ani tak czarne, jak wprzódy, ale stały się ciemne, łagodne i smutne. Lucyan powstał i chciał się do niej zbliżyć, gdy w tém ona sama postąpiła ku niemu i, podając mu rękę, rzekła:

— Mam nadzieję, że zechcesz pan zostać moim znajomym. Gdy mieszkam w Jodłowej, przepędzam czas samotnie, jak pustelnica, i każdemu, kto mnie odwiedza, rada jestem bardzo.

Lucyan ukłonił się w milczeniu, Klotylda wydobyla z za przepaski zegarek i, patrząc nań, dodała:

Jeżeli chora nie potrzebuje ciągłej obecności pana, to może pan zechcesz zjeść ze mną obiad. Jadam o godzinie szóstej, a w tej chwili jest trzecia.

— Z przyjemnością skorzystam z zaproszenia pani, jeśli tylko pozwoli mi na to stan chorój — odpowiedział Lucyan z ukłonem.

Klotylda skinęła wdzięcznie głową, uśmiechnęła się i wyszła, a po chwili Lucyan słyszał, jak w przyległym pokoju żegnała Dembowskiego i jego córki. Stał, jakby czarem przykuty do miejsca, na którym z nią rozmawiał i, słuchając jej głosu, pomyślał:

— Tak, najpewniej jest to ta sama!

W godzinę potem, Lucyan oznajmił rodzinie Dembowskich, że chora nie jest i prawdopodobnie nie będzie zagrożona żadnym niebezpieczeństwem, a uspokojona tém Magdzia rzekła do niego:

— Nie prawdaż, panie Lucyanie, że pani Warska jest bardzo piękna?

— Tak — odpowiedział doktor; — ale jakim sposobem znalazła się ona u państwa przy łóżku chorój?

— O, pani Warska taka jest dobra! Gdy się tylko dowiedziała od ojca, że mama chora, natychmiast przyszła, zaczęła pocieszać nas, serdecznie z nami rozmawiać, poszła do mamy i tak się nią zajmowała, że doprawdy mnie aż lzy wdzięczności w oczach stawały.

— Więc o tyle jest dobrą, o ile piękną — rzekł jakby do siebie Lucyan i dodał, zwracając się do Magdzi:

— Czy pani wie, co najwięcej podoba się w kobiecie i co najczęściej ku niej pociąga?

Magdzia oderwała wzrok od zielonej gałązki, z którą bawiła się machinalnie, i spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem.

— Dobroć i smutek — dodał z dziwnym oddźwiękiem w głosie i wyszedł do pokoju chorój.

Magdzia siedziała przez chwilę zamyślona, oskubując listki gałązki, a w końcu szepnęła:

— Więc jemu podobać się może kobieta dobra i smutna. Mój Boże! ja przecież nie jestem zła, i smutna bywam nieraz, o nieraz! a jednak...

Wstała i powoli podeszła do zwierciadła. Spojrzała na swoją okrągłą i opaloną twarz, na swoją ciemną perkalikową i niezbyt świeżą sukienkę i porównała siebie myślą z delikatną, strojną, pełną wytwornego piękna, panią Warską. Daleko odrzuciła od siebie gałązkę zieloną i zakryła twarz rękoma, szepcząc:

— Jaka ja jestem straszna! on mnie nie może *nigdy* kochać! On *ja* będzie kochał, tak, niezawodnie, przeczuwam, że *ja* będzie kochał!...

Z zakrytymi oczyma stała przez chwilę, potem podniosła głowę, jak do modlitwy złożyła ręce i, wznosząc oczy ku błękitnemu niebu, które za oknem lśniło pogodą, rzekła cicho:

— Boże mój, Boże! nie patrz na lzy moje i smutek i jemu tylko daj szczęście!

W tej chwili rumiana i niezbyt ładna twarz wiejskiego dziewczęcia opromieniła się aureolą wielkiej, bezsamolubnej miłości i bohaterskiego zaparcia się siebie.

Tak niekiedy w sercach ludzi, żadną zda się nie zasiane ręką, wyrastają cnoty wielkie, niby przez naturę pielęgnowane kwiaty na czystym polu. Co tchnęło je w piersi człowieka, on sam o tym nie wie; zaczął kochać, poświęcać się, wyrzekać się siebie, tak, jak kwiat zaczyna kwitnąć i woń rozlewać, z wyższego rozporządzenia jakiegoś, z rozkazu natury, na świadectwo czystości ludzkiego ducha.

Okolo godziny szóstej po południu Lucyan wchodził do wytwornego mieszkania pani Warskiej. Stary Ignacy, który otrzymał był widać od swój pani rozkaz w tym względzie, z ganku wprowadził go do jadalnej sali i siedł dalej przed nim, wskazując mu drogę i podnosząc ciężkie u każdych drzwi portyery.

Stanąwszy we drzwiach wschodniego gabinetu, kamerdyner z ukłonem wymówił nazwisko gościa i sam się cofnął, a Lucyan ujrzał pół-leżącą na otomance Klotyldę.

Powstała na jego widok, postąpiła kilka kroków i podała mu na powitanie ciepłą, miękką dłoń.

Drzwi od ogrodu były otwarte, woń narcyzów płynęła przez nie i łączyła się z silnym zapachem kwiatów, ustawionych po rogach pokoju w dwie spiralne kolumny. Zachodzące słońce złociło głowy białych posągów, stojących naprzeciw drzwi w ogrodzie i, przekradając się przez lustrzane szyby okien, rzucało czerwonawe smugi na barwną draperyę ścian. Cisza głęboka otaczała miękkie i wonny pokój; tylko z ogrodu dochodził lekki szum jodeł i kiedyniekiedy przerywany śpiew słowika, który, w jednym z brzoźowych gajów odbywał pierwsze wiosenne próby swego głosu.

Wszyscy ludzie w ogólności, a szczególnie wrażliwi i namiętni, podlegli są niezmiernie wpływowi zewnętrznego otoczenia. Klotylda, stojąca na środku wytwornego pokoju, otoczona grą barw i światła, owiana upajającą wonią kwiatów, ukazała się Lucyanowi piękniejszą jeszcze, niż wprzódy. Przez chwilę wydało mu się, że siłą jakąś magiczną został przeniesiony do jednego z tych bajecznych, zaklętych pałaców, w którym przedziwnie piękne mieszkają księżniczki.

Wytworne piękno, wśród którego się znalazł, silnie działając na estetyczny smak i gorącą wyobraźnię jego, upoiło go na chwilę, jak opium; ale szybko otrząsnął się z tego odurzającego wrażenia i, zaczynając pierwszy rozmowę, rzekł, iż bardzo się cieszy, mogąc udzielić pani Warskiej dobrych wieści o chorój, którą tak żywo zajmować się zdawała. W końcu dodał:

— Jeżeli niebezpieczeństwo stanowczo usunięte zostało, pani przyczyniłaś się w części do tego trafną radą, która uprzedziła moje przybycie.

— Podwójnie więc zadowolona jestem — odrzekła Klotylda. — Innych środków nie odważyła-bym się używać dla chorój, bez zatwierdzenia medycznego autorytetu, ale ten, jaki radziłam, wiedziałam z pewnością, że jest niezbędny i pomocny.

— Czyś pani studiowała medycynę? — z uśmiechem spytał Lucyan.

— Zawsze miałam szczególną predylekcyę do tej nauki. Kilkakrotnie już zamyślałam expatryować się do Anglii lub Ameryki i oddać się wyłącznie temu zawodowi; nigdy jednak nie wytrwałam w zamiarze i skończyło się na tym, że nie opuszczałam żadnej sposobności słuchania kursów publicznych medycyny, oddając się przytęm z wielkim zamiłowaniem naukom przyrodniczym, które są jej podstawą.

Lucyan przypatrywał się jej już nie tylko z zajęciem, ale i z ciekawością.

— Pani więc jesteś rzadkim wyjątkiem między kobietami, które ogólnie mało oddają się nauce i poważnej pracy — rzekł po chwili.

— O! i ja się też mało, zbyt mało jej oddawałam. My, kobiety, w niedogodnych pod tym względem warunkach. A jednak nauka i praca podnosi, tak kobietę, jak i mężczyznę, tak jej, jak i jemu, bywa pociechą w cierpieniu, dźwignią w upadku, hamulcem w namiętności. Panowie szczęśliwi jesteście, że się możecie uczyć wiele i grun-

townie, że macie pole do wprowadzania w czyn waszjej wiedzy i rozwinięcia całej energii waszjej działalności. To was zbawia... podczas kiedy my, jeśli życie nas zawiedzie, nie spełniwszy nam serca miłością żony i matki, nic już więcej na świecie do czynienia nie mamy i wszystkie siły nasze żywotne musimy wkładać w blahe próżnostki, we fraszki, w zбочenia nieraz, które oplakujemy same, ale w które wpadamy; bo taką jest nieubłagana logika życia ludzkiego, iż każdy człowiek w cośkolwiek wlać musi całą energią swoją i miłość.

— Nie zawsze tak bywa, jak pani mówi — odpowiedział doktor po chwili milczenia. — I my, mężczyźni, ustrojem społecznym, niezależnymi od nas okolicznościami, zbyt często skrępowani bywamy i, nie mogąc rozwinąć energii i myśli naszjej, rzucamy się jak w klatkę i targamy nasze pęta, nie mogąc ich rozerwać. W podobnych położeniach jedni z nas rezygnują się i, poprzestając na szczupłym zakresie, umieją jako tako w mikroskopijném swoim kółku stać się spokojnymi i użytecznymi. Innych ogarnia apatya, sen moralny. Tacy, zdobywszy jaki taki dobrobyt, usypiają w wygodnym fotelu, po smacznym obiedzie, śmiejąc się z tych idei, które niegdyś tak bardzo kochali i starając się przekonać siebie samych, że ludzkość, kraj, nauka, są to mrzonki, za którymi w pogoni nóg sobie łamać niewarto. Inni jeszcze, najnieszczęśliwsi, ani zrezygnować się, ani usnąć w klatce nie mogą. Nie potrafią oni zgasić w sobie płomienia własnego ducha; więc, w ciasnych ścianach klatki swojej, targają się nieustannie; pragnienia ich i myśli odlatują daleko, unosząc z sobą spokój, dręcząc ich obrazami szerokiego świata, w który im ulecieć nie wolno. Na takich czyhają straszne hydry namiętności, zgubnych często, w których objęcia rzucają się z szałem, radzi, że się upoją, że zapomną, że w cokolwiek wlać będą mogli ogniste siły swojej natury. Tacy ludzie stają się czasem pijakami, a czasem — dodał z uśmiechem — zabijają się lub umierają z miłości dla kobiet.

— Więc pan sądzisz, że z miłości dla kobiet umierają ludzie tylko wtedy, gdy w miłość tę wleją siły, których gdzieindziej zużytkować nie mogli? — spytała, śmiejąc się, Klotylda.

— Nieinaczej — odpowiedział młody doktor. — Jestem daleki od lekceważenia indywidualnych uczuć, wiążących nieraz tak pięknie i trwale dwoje ludzi. Ale wierzę także, że uczucie takie nie ma być alfą i omegą ludzkiego istnienia, że ugiąć się, złamać się pod niem, może tylko taki człowiek, któremu ono zastąpić musiało wszystko: czyn, ideę, sławę. W klatce niema wyboru pożywienia; zgłodniały bierze w nięj taki pokarm, jaki spotyka; a jeżeli pokarm ten jest trucizną, żyje nią czas jakiś, a potem... umiera, i tēm się kończy jedna z tragi-komedyi ludzkich na świecie.

Klotylda patrzyła z zajęciem na rozumną i ożywioną twarz doktora.

— Masz pan słuszność — odrzekła po chwili namysłu. — Pod wpływem złego ustroju społecznego, ileż najlepszych usposobień psuje się i krzywi, ileż bogatych zasobów ducha upada w kał, albo przynajmniej marnuje się bezużytecznie! A z tego wszystkiego wynika przekonanie, iż największēm nieszczęściem ludzi są... klatki.

— Straszniejsze stokroć od owych klatek żelaznych krwawej pamięci Ludwika XI — rzekł, uśmiechając się, Lucyan.

W tēj chwili podjęto portyere i we drzwiach stanął Ignacy, oznajmując podany obiad.

Niewielki stolik nakryty był na ganku od ogrodu, między drzewami pomarańcz, myrtu, kwitnących datur i kamelii.

Oboje młodzi ludzie zasiedli do stołu, nieco wzruszeni i zamyśleni. Nie chcąc i sami nie wiedząc o tēm, wypowiedzieli sobie wzajem skryte udręczenia swoje; jedno drugiemu poruszyło struny, na dnie ich piersi drgające.

Tak na instrumencie dusz ludzkich gra przeznaczeń ręka; porusza ona strunę jednego serca, aby nią głos drugiego rozbudzić, a gdy się ozwią już obadwa tony, łączy ją w wiekuiistą harmonią, albo... w fałszywy akord niezgody i zawodu.

Obiad był wytworny; przy stole rozmowa między Lucyanem i Klotyldą toczyła się nieustanna.

— Dawno pan był w Warszawie? — spytała od niechcienia niby, pani Warska; ale w oczach jēj błysnęła ciekawość, z jaką zadawała to pytanie.

— Byłem tam poraz ostatni w Październiku zeszłej jesieni.

— Jam także w tym samym miesiącu przyjechała tam ze wsi.

Lucyan pomyślał, że właśnie w Październiku widział kobietę, płaczącą w kościelnej kaplicy; Klotylda przypomniała sobie, że właśnie w Październiku widziała w kaplicy młodego człowieka, do którego Lucyan był niezmiernie podobny.

— Jakie piękne posągi! — rzekł młody doktor po chwili, wskazując na marmurowe postacie, stojące naprzeciw ganku pod jodłami. — Przywodzą mi one na myśl jedno z najlepszych dzieł sztuki, jakie posiada Warszawa, posąg złożonego w grobie Chrystusa, w kaplicy kościoła Karmelitów.

Mówiąc to, patrzył badawczo na Klotyldę.

— W kościele Karmelitów? O! widziałam, widziałam nieraz; lubię tam się modlić — odpowiedziała Klotylda.

Spostrzegła badawcze spojrzenie Lucjana i przezroczyście przebiegł po twarzy jej i czole.

Spuściła oczy, niby poprawiając fałdy swojej sukni, i pomyślała:

— Tak, to on tam był!

A Lucyan, spostrzegłszy jej rumieniec i lekkie zmieszanie, pomyślał również:

— Tak, to ona tam była!

Przez chwilę milczeli oboje. Klotylda, nie patrząc na gościa swego, obiegła wzrokiem parter kwiatowy, a gałąź mirtu, pod którego drzewem siedziała, spadając na jej głowę, wieńczyła ją drobnymi listkami.

Lucyan nie odrywał od niej spojrzenia; mimowoli pomyślał, że z tym mirtem nad czołem, z lekkim rumieńcem, który parę razy wrócił na twarz jej, jakby pod wpływem myśli tajemnej, w białym stroju swoim, podobna była do młodej, idealnej oblubienicy, idącej ku ołtarzowi ślubnemu.

Myśl ta, jak ognista błyskawica, przebiegła mu przez głowę; nie zdawał sobie sprawy z uczucia swojego, ale czuł instynktownie jakieś ściśnienie serca, bolesne czy rozkoszne, sam tego rozpoznać nie mógł. Powiódł ręką po czole, które zapłonęło mu nagle.

W tej samej chwili Klotylda, ciągle zamyślona, podniosła rękę i uchyliła z nad czoła gałąź mirtową; ale gdy ta ugięła się znowu w dawnym kierunku, wyciągnęła rękę i odłamała ją od drzewa.

— Pocoś pani złamała tę gałązkę? — mimowoli rzekł Lucyan.

— Ciężyła mi na głowie, a nie chciała ugiąć się w innym kierunku. Pan żałujesz roślin? Wierzysz pan pewno, że one czują i cierpią.

— Zapewne, pani... — zaczął Lucyan.

— A więc — przerwała mu Klotylda — na wynagrodzenie chwilowej przykrości jaką panu sprawiłam, ofiarowuję panu tę gałązkę...

I, śmiejąc się, wyciągnęła do niego rękę z gałązką...

Lucyan ukłonił się z uśmiechem i wziął gałązkę, przy czym ręka jego dotknęła palców Klotyldy, a spojrzenie padło na karminowe, wilgotne jej usta, które, rozwarłe śmiechem, ukazywały dwa rzędy białych, drobnych zębów. I poczuł znowu takie samo ściśnienie serca, jakiego przed chwilą doświadczył, i znowu płomień przesunął mu się po czole. Otrząsnął się jednak szybko z wrażenia i zaczął mówić o... teatrach warszawskich.

Dziwne to serce ludzkie! Gdy jest młode, nieużyte, namiętne, wszystko niém wstrząsa. Uśmiech, spojrzenie, kwiatek podany, dotknięcie ręki czyjś, porusza w niém struny, które nie prześpiewały jeszcze pieśni swojej. Drobnostka zda się nieraz rzucać w nie zaród potężnego uczucia, a ileż razy z kwiatka, którego oddanie i przyjęcie rozpoczyna dwojga serc związek, wysnuwa się długi wieniec cierniowy, mający się zakończyć kwiatem, u stóp grobowego krzyża rozkwitłym!

Po obiedzie zaraz zmrok zapadł; we wschodnim gabinecie, między zielenią wazonów, zapłonęły dwie szafirowe lampy, przeglądając się w naprzeciw stojących zwierciadłach. Uchylona portyera ukazywała salon, oblany pół-światłem, a za nim, żywiej nieco oświetloną, bibliotekę. Zawsze tu ta sama cisza panowała w domu i za domem, ta sama woń rozlewała się po salonach, ten sam szum jodeł i daleki śpiew słowika dochodził z ogrodu.

Klotylda usiadła na otomance; błękitne światło okrywało jej twarz przezroczystą bladeścią i na białą suknię rzucało smugi jakby niebieskawej mgły.

Wyglądała jak huryska, owinięta w obłoki.

Lucyan zatrzymał się we drzwiach ogrodu i w milczeniu patrzył wokół. Przed nim były wielkie salony, tonące w ciszy i pół-światle, pokój wschodni pełen woni kwiatów,

piękna kobieta owiana błękitnymi promieniami; za nim, na pogodnym niebie, zapalały się gwiazdy, jodły szumiały, posągi bieleły na mrocznym tle i ciszę głęboką przerywał tylko daleki śpiew słowika.

Niech-by starożytny stoik, owinięty we wspaniałą togę powagi i zbrojny w stalowy pancerz hartu, znalazł się w otoczeniu takim, a bogowie tylko wiedzą, czy nie rozmarszczyło-by się jego zamysłone czoło, czy wyobraźnia, serce, zmysły nie zawołały-by: „teraz kolej i na was!”

Lucyan czuł się pochłonięty pięknnością, upojony wrażeniami; patrzył na Klotyldę długim, dziwnym spojrzeniem i milczał przez chwilę. W końcu, czyniąc wysilenie, aby zapanować nad sobą, rzekł:

— Ten dom duży, cichy, pełen kwiatów i światła, przywodzi mi na myśl bajeczne, czarnoksiężkie pałace...

— A ja zaklętą księżniczkę, nie prawdaż? — śmiejąc się, przerwała Klotylda.

— Którą z zaklętego pałacu wywieźć ma jakiś rycerz — dodał Lucyan.

— O, średnie wieki minęły — zaśmiała się znów Klotylda. — Ja z mego zaklętego pałacu wyjadę sama, gdy się tylko w nim... znużę.

Lucyan na tę wzmiankę o wyjeździe poczuł znowu ścisnienie serca, ale tą razą wyraźnie już boleśne.

Spojrzał na Klotyldę: nie patrzała na niego, tylko wzrokiem obiegała wkoło pokój, a oczy jej miały w owej chwili kolor zielonawy jakiś i wyraz jakby nieco szydery.

W ogóle uderzała Lucyana dziwnie zmienna gra jej fizygnomii i barwy oczu. Cały prawie dzień z nią przepędziwszy, nie mógł-by powiedzieć, czy była smutna, czy wesoła, i jakiego koloru były jej oczy. Mimowoli przyszedł mu na myśl przyjaciel jego, Cypryan Karłowski, który przed kilku miesiącami tak zawzięcie szukał kobiety, nazywającej się „Kameleon”.

— Znalazł-by tutaj prawdziwą kobietę-kameleona — pomyślał — i głośno dodał:

— Czy pani nie znasz w Warszawie pana Cypryana Karłowskiego?

Na te słowa Klotylda poruszyła się żywo na otomance, zawahała się z odpowiedzią, a w końcu odrzekła z wolna:

— Tak... znam pana Karłowskiego... Ale — przerwała nagle — może pan zechcesz zobaczyć obrazy, które mam w salonie, urządzonym jeszcze przez mego dziada, i bibliotekę, posiadającą kilka bardzo rzadkich dzieł.

Mówiąc to, powstała i poprowadziła gościa swego ku obrazom i bibliotece.

Nie uszło uwagi Lucyana żywe poruszenie się Klotyldy na jego pytanie i szybka zmiana rozmowy; sądził jednak, iż może niestosownie trochę zapytał ją tak nagle o swego przyjaciela, a zresztą przypisywał wszystko kameleonowemu układowi pięknej pani.

Przed obrazami i w bibliotece rozmawiali wiele o szkołach malarstwa i piśmiennictwie różnych narodów. Lucyan był wymowny i ożywiony; Klotylda ukazywała mu się coraz piękniejsza wiedzą i szeroką, szlachetną myślą. Czuł się coraz żywiej, coraz magnetyczniej pociągany ku niej; nie zdawał sobie sprawy z niczego, ale bezwiednie wydało mu się, że był przeniesiony w świat inny, niż ten, w którym żył dotąd, że coś zmienia się w nim i koło niego, że silniejszym tętnem uderzają wszystkie pulsy jego istoty.

W parę godzin Lucyan, wśród tej czarownej nawet atmosfery, jaką był otoczony, przypomniał sobie obowiązek lekarza i żegnał panią Warszawską.

— Nie zatrzymuję pana — rzekła — bo miałabym sobie do wyrzucenia, jeśliby z mojej przyczyny biedna pani Dembowska ucierpiała. Ale mam nadzieję, że się będziemy widywali. Pan zostaniesz pewno w Jodłowej aż do wyzdrowienia chorób?

— Nie, pani, mam wielu chorych w N. i w okolicy, i jednej pacjentce wyłącznie oddać się nie mogę; ale często, codziennie może, przez czas jakiś przyjeżdżać tu będę.

— I zawsze dom mój zastaniesz pan otwartym dla siebie — rzekła Klotylda... — Zresztą — dodała — zresztą... — I zawahała się, jakby nie była pewna, czy ma dokończyć.

Lucyan stał przed nią, urokiem do miejsca przykuty, owładnięty żalem, że już opuścić ją musi.

— Zresztą — kończyła Klotylda — znamy się z panem dawniej, niż od dzisiaj... Czy pan nie przypominasz sobie, żeśmy się już raz widzieli... kiedyś?...

Serce Lucyana uderzyło gwałtownie na to przypomnienie, które wydało mu się jakby zwierzeniem, dowodem zaufania.

— W kościele Karmelitów nad posągiem... — rzekł cicho.

— Tak — odpowiedziała, i głos jęj trochę zadrżał.

— Pani musiałaś być w owęj chwili bardzo nieszczęśliwą.

— Byłam wtedy — odrzekła z wolna — w jednęj z tych chwil, w których zacięjąją nam na ramionach wszystkie przeszłości bóle i... grzechy... w których człowiek pyta się: po co żył, po co żyje, jakie są jego cele i drogi?

— Tak — mówiła znowu po krótkim milczeniu — byłam w chwili owęj bardzo smutna. Pan, nieznaomy, obcy, podał mi rękę, a w głosie i w oczach pana widziałam współzucie. Odtąd, ile razy byłam tam nad tym posągiem, stawał mi pan w pamięci; a teraz, gdyśmy się spotkali, chcę widzić w panu dawnego znajomego i... przyjaciela — dodała ciszej, podając mu rękę.

Lucyan ujął za tę rękę mięką i białą, przycisnął ją silnie do ust gorących i wyszedł. Niepodobna mu było nic mówić; pocałunkiem tym powiedział wszystko, powiedział jeszcze wiele błyskiem oczu, który strzelił mu z pod powiek i oblał żarem rumieńca twarz Klotyldy.

Szybko przebiegł salony i dworski dziedziniec. Przed gankiem Dembowskiego zatrzymał się przez chwilę, aby ochłodzić płonące czoło. W głowie mu wirem kręciły się myśli bezładne; w piersi czuł płomień, ogarniała go gwałtowna namiętność, pierwsza namiętność życia...

Klotylda po wyjściu jego szybko przebiegła salon. Twarz jęj wyrażała niepokoń i niezadowolenie, niezwykły rumieniec ją zalewał.

— Znowu, znowu to, co już być nie miało! — mówiła cicho do siebie. — Znowu wrażenie inne, znowu zmiana! Nie, to być nie może... ja się nie poddam... dziś już mi nie wolno!...

— Ależ, jaki on piękny!... — mówiła dalej — ile ognia w oczach, szlachetności w układzie, energii w mowie!... Mój Boże! i pocóż ja o tém myślę? A tamten... Ach! ręka mi się pali od tego pocałunku!

Wbiegła do swęj sypialni, uklękla przed obrazem Madonny, czołem uderzyła o ziemię i z łkaniem wyrzekła:

— O Maryo! siły, siły dla mnie biednej! Czyż nigdy nie uspokoją się wewnętrzne burze moje? Ratuń mię, o przeczysta!

I w tęg kornęj postawie, z rękoma splecionemi nad głową, długo została; potem usiadła przed biurkiem i napisała list, a gdy skończyła i powstała, spokój na twarz jęj powrócił; zawołała Marylki i, oddając jęj list, rzekła:

— Jutro, bardzo rano, niech list ten na pocztę odwiozą.

Zwinna subretka, przechodząc koło lampy, spojrzala na pismo, i figlarny uśmiech przebiegł jęj usta. Po chwili, oddając list Ignacemu, wraz z załączonym doń rozkazem pani, wspięła się na palce i, wskazując adres, szepnęła coś na ucho staremu słudze.

Ten zrazu się zmarszczył, ale po drugim słowie Marylki, rozsunał brwi i rzekł:

— Daj Boże! daj Boże! Ale przypomnę pannie Maryannie przysłowie: „jest to cnota nad cnotami” i t. d. Wię panna Maryanna koniec?

— Wiem, wiem — odpowiedziała garderobiana — ja tęg tylko panu Ignacemu powiedziałam.

I rozeszli się w różne strony.

A Lucyan około północy wjeżdżał do N. W oknach ubogich domów ciemno już było, mieszkańcy ich spali, znużeni dniem pracy i ubóztwa; w plebanii tylko błyskało światło. Pod gankiem właśnie proboszcza stanęła bryczka Lucyana i po chwili młody człowiek znalazł się w cichym, oświetlonym lampą pokoju księdza.

Pokój ten był dość obszerny, skromnie, choć wygodnie, urządzony; na białych ścianach wisiało kilka obrazów świętych, a w głębi pokoju, nad grubą otwartą książką, z czołem opartem na dłoni, siedział ksiądz Stanisław. Zatopiony w czytaniu, nie słyszał wejścia młodego człowieka; łagodny i bladej profil jego wyraźnie rysował się w świetle lampy, które rzucało mu na włosy srebrne promienie, niby aureolą okalając mu czoło.

Głęboka cisza tego pokoju, otaczająca człowieka, spokojnie zatopionego w księdze i rozmyślaniach, dziwną sprzecznością z jego własnym w owęj chwili usposobieniem uderzyła Lucyana.

Stał przez chwilę i patrzył, potem zbliżył się i powitał księdza.

— A, to ty, Lucyanie — rzekł proboszcz, podnosząc głowę i podając mu rękę. — Zkądże tak późno przybywasz?

— Z Jodłowej. Pani Dembowska chora; wzywano mnie.

— Czy bardzo chora?

— Choroba dość jest ciężka, ale niebezpieczeństwa niema.

— To dobrze — odpowiedział ksiądz, uważnie patrząc w twarz Lucyana, na której niezwykłym rumieńcem i wyrazem ust odbiły się wrażenia dnia tego.

Przez chwilę milczeli obadwa. Ksiądz Stanisław ujął za rękę doktora i rzekł:

— Lucyanie, co tobie jest?

— Nic, nic — odpowiedział żywo młody człowiek — zmęczony trochę jestem. Cóżby mi mogło być? Owszem, dzień mi szedł użytecznie i miło. Poratowałem chorą matkę rodziny i poznałem panią Warszawską.

— A, poznałeś panią Warszawską? — rzekł ksiądz przeciągle i z kolei jego czoło nieco się zachmurzyło. — I jakże ją znajdujesz?

— Bardzo miła — obojętnie odrzekł Lucyan; ale ksiądz postrzegł, że usta mu lekko zadrżały.

— Przyjechałem, aby spytać się ciebie, księżo Stanisławie — mówił dalej Lucyan — czy zechcesz pojechać do Jodłowej, poprosić panią Warszawską o zaopiekowanie się synem Grodzickiej.

— Owszem, pojedę z chęcią. A czy sądzisz, że ona zechce dopełnić tego dobrego czynu?

— O, niezawodnie! — zawołał z ożywieniem doktor. — Dziwnie ona jest dobrą.

— Zkądże wiész o tém?

— Wystaw sobie, księżo Stanisławie, że znalazłem ją kłęzącą przy łóżku Dembowskiej i własnymi rękoma okładającą lodem głowę chorą. Dodaj do tego, że mało znała Dembowską i że wczoraj dopiero wróciła z podróży, więc musiała być zmęczona.

— Prawda, że to pięknie z jój strony — zwolna rzekł ksiądz — ale...

— Dziwna to kobieta — przerwał Lucyan — bez żadnych przesądów, trzymających się tak uparcie klasy, do której należy; serdeczna, uprzejma, cudnie piękna, a z tém wszystkiém, jakaś taka smutna chwilami...

— Dobrze, Lucyanie — wzajemnie przerwał mu ksiądz — ja pojedę do Jodłowej i co będę mógł, zrobię dla syna Grodzickiej; ale ty tam nigdy już nie jedź!

— Dlaczego? — zawołał Lucyan — i jak mogę to zrobić, mając tam pacjentkę?

— Do pacjentki jedź, ale u pani Warszawskiej nie bywaj. Syrena cię już oczarowała.

Po czole Lucyana przesunęła się chmura niezadowolenia; miał coś odpowiedzieć, ale ksiądz mu przerwał.

— Słuchaj, Lucyanie, nie gniewaj się za to, co ci mówię. Sam młodość miałem burzliwą i wiem, jakie męki przynosi szlachetnemu sercu uczucie, nie w porę powzięte, albo niewłaściwie skierowane. Dziś jestem kapłanem; serce moje, moja wyobraźnia, ukołysały się u stopni ołtarza; duch mój uspokoił się myślą o życiu lepszym, niż ziemskie. Ale pamięć przebytych bólów została i boję się ich dla ciebie, Lucyanie, bom twój przyjaciel, bo nie chcę, aby szlachetne twoje serce zmęczyło się bezowocnymi i krwawymi walkami. I dlatego ostrzegam cię: z ogniem nie igraj, bo dla ciebie to niebezpieczne. Znam trochę panią Warszawską i wiele o niej słyszałem. Mnóstwo ludzi ją kochało, a ona nikogo. Jest to jedna z tych kobiet, które grają na świecie rolę rusalek: pociągają za sobą ludzi, a potem ich topią. Zastanów się i badaj siebie. Jeżeli zgubne wrażenie wpadło już w piersi twoje, broń się póki czas, nie jedź tam, unikaj jój, bo z naturą swoją będziesz musiał potem wiele cierpieć...

Lucyan słuchał księdza w milczeniu, chodząc po pokoju. Po chwili rzekł:

— Zobaczmy! Tymczasem dobranoc ci, księżo Stanisławie, bo już jest późno, a moje poczciwe matczyisko pewnie swoim zycząjem na mnie czeka. A pojedź, proszę cię, do Jodłowej, bo mi ten Mieczek na sercu leży.

W kilka chwil potem, w oknie Lucyana błysnęło światło, a on, z czołem na dłoni opartém, usiadł przy swoim biurku. Przed nim leżała mirtowa gałązka.

W bawialnym pokoju kukawka zegaru odzywała się donośnie, oznajmując pierwszą i drugą godzinę po północy, a młody doktor siedział jeszcze, nieruchomy, wpatrzony w siebie. Powstał nareszcie i rzekł:

— Tak, to szaleństwo, to gra niebezpieczna! Nie będę już u niej wcale, a przynajmniej nie prędko.

Mówiąc to, wziął w rękę gałązkę, popatrzył na nią przez chwilę ze smutnym uśmiechem, potem oberwał jęj drobne listki i ogołoconą lodygę daleko od siebie odrzucił.

— Był to sen piękny, ale tylko sen, o którym zapomnieć trzeba... — rzekł do siebie.

Zgasło światło w pokoju doktora; na posadzce leżały wśród cieniów rozsypane listki mirtowe. Ślady te miały mu nazajutrz przypomnieć to, co on snem nazywał.

Niestety! łatwiej jest obedrzeć z liści gałązkę zieloną, niż wyrwać z serca raz tam zrodzone uczucie; łatwiej powiedzieć: zwyciężę! niż zgasić w sobie kipiący ogień wewnętrzny.

Kiedyż ludzie będą mogli rozkazywać własnemu sercu, tak, jak już w części rozkazują żywiołom? Kiedy, zawładnąwszy własnymi namiętnościami, jak władają ogniem, wodą i parą, rzucą zaprzeczenie słowom poety: „najstraszniejsze dla człowieka są sieci, które mu własne jego zastawia serce?“

III. NIE CHCĄ SIĘ ZEJŚĆ, A SCHODZĄ SIĘ

Tydzień minął od bytności Lucyana u pani Warskiej, a przez ten czas młody doktor codziennie odwiedzał swoją pacjentkę, przyjeżdżając najczęściej konno, na dzielnym i pięknym gniadoszu, i codziennie też dziedziczka Jodłowej przez okna swego domu widziała go, jak szybko mijał żelazne otoczenie jęj dziedzińca i ogrodu.

Czy to wypadkiem, czy umyślnie, młody doktor bywał u Dembowskich bardzo rano i odjeżdżał wtedy, gdy odsłaniały się za ledwie rolety w oknach sypialni pani Warskiej.

Kiedy piérwszy raz Klotylda zobaczyła Lucyana, jadącego po-za jodłami, pochyliła się ku oknu tak, że aż z ręki Marylki wypadł grzebień, którym czesała gęste włosy swęj pani.

— Kto to przejechał konno? — spytała.

— To doktor z N., pan Dolewski — odpowiedziała dziewczyna, spojrzawszy uważnie przez szyby. — On, proszę pani, codzien o tęg samej porze przyjeżdża do pani Dembowskiej.

Klotylda usiadła znowu przed zwierciadłem i schyliła czoło na dłoń, może dla ukrycia przed Marylką tego, że brwi jęj trochę ściągnęły się niezadowolaniem i lekki rumieniec szybko przebiegł twarz. Ale czegoż nie dostrzeże wprawne i ciekawe oko ulubionęj przez panią garderobiany?

Marylka widziała w zwierciadle pochyloną twarz Klotyldy, dojrzała rumieniec i ściągnięcie brwi.

Przez kilka chwil, milcząc, muskała grzebieniem włosy swęj pani, które ciemnymi smugami opływały całą jęj siedzącą postać; w końcu część ich zręcznymi palcami zaczęła splatać w gruby warkocz i ozwała się od niechcenia:

— Pan Dolewski, proszę pani, musi być bardzo dobry doktor, bo pani Dembowska ma się już znacznie lepiej.

Klotylda odjęła rękę od oczu i rzekła:

— Zapewne. Splataj prędzęj włosy, Marylko, chcę wyjść do ogrodu.

Garderobiana ujęła drugie pasmo włosów i, splatając je, odezwała się znowu:

— Nie wiem, doprawdy, proszę pani, dlaczego mi tak żal tego pana Dolewskiego. Taki młody, piękny i rozumny, musi mieszkać w tém szkaradném N. Ale to on dla swojęj matki robi, proszę pani.

— Czyś widziała kiedy matkę pana Dolewskiego? — spytała Klotylda niedbale.

— A jakże, pani. Ciotka moja, Owsicka, w wielkięj przyjaźni żyje z panią Dolewską, a ja, nim dostałam się do pani, mieszkałam u ciotki.

— Czy pan Dolewski był już wtedy w N.?

— Nie, proszę pani; pan Dolewski wrócił z uniwersytetu przed trzema laty, a ja szósty rok jestem u pani. Ale i wtedy, bywało, przyjeżdżał na wakacje, więc często widywałam i jego, i matkę.

— To pani Owsicka jest twoją ciotką, Marylko?

— Tak, proszę pani.

— Czy imię jęj Anna?

— Tak, pani. A zkądże pani wie imię mojęj ciotki?

— Przeszlęj jesieni jechałam z nią do Warszawy w jednym wagonie.

— Doprawdy, a gdzie to ja wtedy byłam?
— Czekalaś na mnie w Warszawie.
— A prawda! Toż dopiero ciocia musiała być uszczęśliwiona, że panią poznała.
— Nie wiem, czy wiedziała nawet z kim jedzie, bo miałam twarz zasłonioną i nie powiedziałam mego nazwiska.

— To dopiero! Wyobrażam sobie, jak ciocia musiała być ciekawa z kim jedzie; bo to, proszę pani, straszna ciekawska z tej cioci.

Klotylda nic nie odpowiedziała, a Marylka splatała trzeci warkocz; ale, że koniec czesania był daleki, bo warkoczków z włosów Klotyldy tworzyło się wiele, subretka ozwała się znowu po chwili:

— Nie wiem, co to jest, proszę pani, że pan Dolewski, wracając wczoraj od pani Dembowskić, był taki jakiś blady, mizerny, że strach. Wprawdzie on, jak zapamiętam, od dzieciństwa swego, był zawsze blady, ale takim, jak wczoraj, to go nigdy nie widziałam.

— Gdzieżes wczoraj widziała pana Dolewskiego? — spytała Klotylda obojętnie niby, rozsuwając w palcach koronkę, zdobiącą szeroki jej rękaw.

— Niosłam haftowany peignoir pani do pralni i przechodziłam koło bramy dziedzińca właśnie wtedy, kiedy pan Lucyan przed gankiem Dembowskich na koń siadał. Na ganku stała panna Magdalena i coś do niego mówiła. Ja patrzę na niego i myślę sobie: pozna mnie, czy nie pozna? a może i uklonąć się nie zechce? Aż poznał i uklonił się, ale bardzo, proszę pani, był blady. Chory być musi chyba; sądziła-bym, że zmartwiony, ale śmiał się, rozmawiając z panną Magdaleną.

— No, kończ-że już to czesanie, Marylko — z gestem niecierpliwości rzekła Klotylda, i wzięwszy swoje warkocze z rąk układającej je starannie służącć, owinęła je niedbale wokół głowy i przez wschodni gabinet wybiegła do ogrodu.

— Święty Boże! — zawołała po wyjściu jej zdziwiona subretka — pani poszła do ogrodu bez parasolki i bez rękawiczek! widziane-ż to rzeczy, w takie słońce? I czesać się nie skończyła; siedziała jak na szpilkach! Ej, jakoś mi się zdaje... czy nie będzie to tylko coś nowego... umyślnie mówiłam o *nim* i widziałam... widziałam... no, ale cóż będzie z *tamtym*?...

I nad tém pytaniem swoim zadumała się Marylka, stojąc na środku pokoju i kładąc w usta koniec laski od parasolki, którą miała intencją zanieść pani swęj do ogrodu.

Dumała tak dobrze z pięć minut, potem podniosła ramiona, uśmiechnęła się i odpowiedziała swoim myślom:

— A mnie co do tego? Pani dobra dla mnie i koniec, a zresztą niech sobie robi, co chce. Może i ja, gdybym była na miejscu pani, wołała-bym pana Lucyana, niż *tamtęgo*...

Tak rezonując sobie w duchu, subretka wybiegła do ogrodu za swoją panią, z parasolką i rękawiczkami; ale w środku kwiatowego parteru raz jeszcze przystanąła i, jakby sobie coś ważnego przypomniała, podniosła w górę wskazujący palec i rzekła do siebie:

— Tylko... że *tamtę* bogaty, a *ten* biedny! ot co; ale, żeby nie to, dalibóg, gdybym była na miejscu pani, wołała-bym *tego*, niż *tamtęgo*...

Nazajutrz z rana, Klotylda, jak dnia poprzedniego, siedziała przed lustrem z rozplecionymi włosami, gdy Marylka, rzuciwszy w okno bystre spojrzenie, rzekła:

— Ot, znowu pan Dolewski jedzie.

Pani Warska ani się poruszyła, ale tylko spytała obojętnie:

— Przyjeżdża, czy odjeżdża?

— Odjeżdża, proszę pani — odpowiedziała służąca i badawczo spojrzała na odbitą w lustrze twarz swęj pani; ale nic nie zobaczyła, bo Klotylda szybkim rzutem twarz całą, niby niechcący, zarzuciła włosami.

Tegoż dnia, nad wieczorem, pani Warska długo chodziła samotna między starymi jodłami ogrodu; zamyślona patrzyła na pływające labędzie i pod gajem brzoźowym słuchała śpiewu słowika, aż zwróciła się powoli i poszła ku mieszkaniu państwa Dembowskich.

Żona dzierżawcy miała się już daleko lepiej; uspokojony o nią, Dembowski, wyjechał do jednego z dalszych folwarków, aby zajrzeć do gospodarstwa. Antosia i Magdzia siedziały przy matce, a Elżunia w bawialnym pokoju bawiła gości, dwóch braci Harasimowiczów, z sąsiedztwa, którzy przyjechali odwiedzić Dembowskiego, a nie zastawszy go w domu, zostali na herbacie.

Młodszy z Harasimowiczów, Onufry, był konkurentem o rękę Elżuni. Dembow-
ski chętnie go przyjmował, bo szlachcic miał spory kawał dobrej ziemi i gospodarował
rządnie; ale Elżunia znieść go nie mogła, pomimo, że grał na gitarze i śpiewał przy tym
instrumencie mnóstwo przedwiecznych pieśni.

Starszy Harasimowicz, Dyonizy, nie pieścił już matrymonialnych nadziei, bo mu pią-
ty krzyżyk ciężył na łysiej głowie, ale pociechę i zapomnienie wszelkich młodzieńczych
marzeń znajdował w płaskiej flaszczyce, nie opuszczającej nigdy kieszeni kamizelki jego.
O kamizelce owęj dziwne po okolicy krążyły opowiadania, a wszystkie miały za źródło
starego żyda Efraima, krawca obojga płci, mieszkającego w N. Raz naprzykład Efraim,
zawezwany do sporządzenia kamizelki przez jednego z tamecznych elegantów, zażądał
objaśnienia, czy ma zrobić w nięj kieszeń „na szerokość trzech palców, czy trzech rąk?”

— Co ty bredzisz, żydzie? — spytał właściciel mającej się szyć kamizelki.

— Bo to, proszę jasnego pana — odpowiedział Efraim — pan Harasimowicz Dyonizy
każe zawsze robić sobie kieszeń w kamizelce na trzech rąk.

— A to na co?

— Ny, on tam wstawia butelkę z wódką, ja widział — odpowiedział żyd.

Innym razem pytał kogoś, czy kieszeń w kamizelce ma być zrobiona na zegarek, czy
na flaszkę? Spytany chwycił żyda za pejsy, myśląc, że ten bierze go za pijaka.

— Ny — krzyczał Efraim — niech jasny pan ma litość! A czego ja winien, że pan
Harasimowicz każe mnie zawsze robić kieszeń na flaszkę. On jeździ często do Wilna, a ja
myślał, że teraz nastąpiła taka moda.

Flaszczyka, spoczywająca zwykle w owęj anegdotycznej kamizelce, zapelniona bywa-
ła bozkim nektarem kartoflowego wyciągu, którego-by pan Dyonizy za nic w świecie
nie dotknął ustami publicznie, i gdy kto przed obiadem lub śniadaniem zapraszał go
na kieliszek wódeczki, wymawiał się, upewniając, że mu doktorowie, pod karą śmierci,
wzbronili używania jakichbądź trunków. Ale tak protestując, wychylał się milczkiem do
innego pokoju i tam z rozkoszą przyciskał do ust szklaną szyję nieodstępnej towarzyszy
swego życia. Ślady gorącej a tajonej miłości jego ku nięj krwawym rumieńcem odbija-
ły mu się na nosie i tłustych policzkach, czego sentymentalny pan Onufry okrutnie się
wstydił, i za co niemiłosiernie mu dokuczał drwinkami i wymówkami. Pan Dyonizy
mścił się, wyśmiewając matrymonialne zapędy brata, których łódź, pełna romansowych
pieśni i dźwięków gitary, rozbiła się o twarde, jak skała, serca trzech komisarzówien,
czterech asesorówien i pięciu czy sześciu córek dzierżawców i właścicieli z sąsiedztwa.
Z tego wszystkiego wynikała między braćmi wzajemna niechęć. To też i do Jodłowej nie
przyjechali oni razem, ale niespodzianie się tam zjechali, a niezbyt radzi ze spotkania,
siedzieli milcząco w bawialnym pokoju Dembowskich.

Zmrok już zapadać zaczął, kiedy Klotylda weszła do tego pokoju. Na stole kipiał sa-
mowar, Elżunia zabierała się do nalewania herbaty, a wszyscy siedzieli odwróceni ode
drzwi, któremi wchodziła pani Warska, pan Dyonizy z ręką przyciśniętą do oszklonej
flaszką piersi, pan Onufry z gitarą na kolanach.

— Niech-że pan co zaśpiewa — mówiła Elżunia, nie słysząc wejścia Klotyldy, która
zatrzymała się nieco u drzwi.

Pan Onufry z gracyą ujął gitarę, brzęknął po strunach i, z przymileniem zwracając się
ku pannie Dembowskiej, zaśpiewał ochryplym basem:

Niech mnie pani kocha,
Niech mię pani lubi
Przynajmniej choć trocha,
Bo mię pani zgubi.

— Ach, stare jak świat! — zawołała Elżunia — słyszałam już to tysiąc razy. Proszę
o co innego.

Onufry Harasimowicz znowu brzęknął po strunach, ale tą razą sentymentalnie zwiesił
głowę na piersi i zawiódł żałośnie:

Pytasz mnie, Klimeno, czego wzdycham?
Bo Kocham!

Pytasz mnie, Klimeno, czegom smutny?
Bo kocham!

— Ot, pij pan lepiej herbatę — przerwała Elżunia — bo widzę, że nic już dzisiaj porządnego nie zaśpiewasz. Panie Dyonizy, może pan herbatę z rumem pić będziesz? — dodała, zwracając się z butelką w rękę do starszego brata.

— Z rączek pani — odparł z elegancją pan Dyonizy — sama trucizna słodką-by mi była; ale wszelkich trunków doktorowie używać mi zabronili.

To mówiąc, zérknął ku drzwiom, obok których siedział, i wymknął się cichutko, szepcząc:

— Natychmiast będę służył!

— Aha! — mruknął brat młodszy — poszedł na ustronie, dać buzi kochance! — a zwracając się do Elżuni, dodał z uczuciem:

— Jakżem nieszczęśliwy, że śpiewaniem mojem nie mogę dziś ukontentować pani!

— A, bo pan śpiewasz rzeczy stare jak świat. Kiedy byłam w przeszłym roku w Wilnie, u ciotki Kaczyńskiej, to mówiono mi, że tych wszystkich pana pieśni już od stu lat nikt nie śpiewa.

Harasimowicz młodszy westchnął i opuścił głowę na piersi, ale po krótkiej chwili podniósł ją z miną tryumfatora i zawołał:

— Pani! umiem jedną nowiuteczką, jak Boga kocham, świeżuteńka, jak z igły zdjeta!

To mówiąc, uderzył po strunach i zaczął:

„Po stracie szczygła nieszczęsna szczyglica...”

Na pierwszym jednak wierszu przerwało mu otworenie się drzwi do sypialni pani Dembowskić i wykrzyk. Magdzia wyszła z pokoju matki i, spostrzegłszy Klotyldę, przypatrującą się ciekawie charakterystycznć scenie świata, obcego jćj całkiem, podbiegła i, pochwyćwszy obie ręce pani Warskić, do ust je przycisnęła. Klotylda delikatną swoją dłonią twarz jćj podniosła i serdecznie pocałowała ją w usta.

I Elżunia poczęła witać panią Warską, tłómacząc się z nieuwagi. Harasimowicz młodszy powstał z gitarą u łona, Harasimowicz starszy stanął we drzwiach, z ręką przycisniętą do piersi.

— Może pani życzy sobie herbaty? — nieśmiało spytała Elżunia.

— Dziękuję — odpowiedziała pani Warska — przed chwilą jadłam obiad. Przyszłam odwiedzić chorą i zabrać ze sobą Magdź, na krótką przechadzkę.

To mówiąc, weszła z Magdź do sypialni Dembowskić.

— Czy to pani Warska? — cicho spytał Harasimowicz starszy.

— Tak — odpowiedziała Elżunia.

— Ładna bestyjka! niech ją... — zaszeptał Harasimowicz młodszy, ale nie dokończył swego zdania, przez szacunek dla obecnej płci pięknej.

A Klotylda, chwil kilka przesiedziawszy u łóżka chorćj, innemi drzwiami wyszła z Magdź z dziedzińca folwarcznego na dworski, gdzie zaczęły chodzić żwirową drogą pod jodłami.

— Kto są ci panowie, których znalazłam dziś u was? — spytała Klotylda.

— Sąsiedzi w okolicy, nazywają się Harasimowiczowie — odpowiedziała Magdzia, a na ustach jćj zawisł pogardliwy uśmiech.

— Może który z nich jest pretendentem do twojćj rćki, Magdziu? naprzykład ten, który gra na gitarze i śpiewa?

— O, niech Pan Bóg broni, takie straszdyła!

— Dlaczego nazywasz ich straszdyłami?

Magdzia zamyśliła się.

— Dlaczego?... dlaczego?... — odrzekała po chwili, patrząc w ziemię — alboż ja wiem dlaczego? Wszyscy ci ludzie, którzy bywają u ojca, wydają mi się tacy nieznośni, szpetni! Ja sama nie wiem, czego im braknie, ale *przeczuwam*, że ludzie insi być powinni.

— I nie myślałaś nigdy nad tćm, czemu się oni tak tobie nie podobają?

— Owszem, najdroższa pani, myślałam, ale nic wymyślić nie mogłam, może dlatego, że nie znam wcale świata i mało innych ludzi widziałam. Ale już to tak u mnie

ze wszystkiem i zawsze; jeżeli widzę coś brzydkiego, natychmiast czuję, że to brzydkie, ale nie umiem sobie zdać sprawy, dlaczego ono jest takie i czego braknie brzydkiemu, aby było pięknem. Ale za to wszystko, co piękne, kocham nad życie. Latem na przykład, kiedy w domu niema pilnej roboty, całymi wieczorami siaduję sobie na ganku i patrzę na gwiazdy, i kocham je, bo czuję, że one piękne; albo idę do lasu i słucham szumu drzew, i czasem zdaje mi się, że gałęzie rozmawiają ze sobą, a czasem, że to z dalekich, dalekich stron jakieś głosy lecą, może echa wszystkich razem zebranych ludzkich śmiechów i płaczów. Ot, widzi pani, lubię gwiazdy i lubię szum lasu, bo czuję, że jedno i drugie jest piękne; lubię też kwiaty, szczególnie białe i ponsowe, i jak będę umierała, poproszę moich sióstr, aby mi na grobie zasadziły białe róże i zasiały ponsowe gwoździki.

— Wszystko, coś mi powiedziała — odrzekła po chwili milczenia Klotylda — dowodzi, że masz wrodzone przecucie piękna, nie znając jego warunków. Ale z kądże ci, moja Magdziu, przyszła myśl o śmierci i mogile?

— Ja, pani, często o tym myślę.

— Czy być może? — ze zdziwieniem zawołała Klotylda. — Takaś młoda! Miałaż-być być nieszczęśliwą?

Magdzia, milcząc, przycisnęła do ust rękę Klotyldy, która przy świetle gwiazd dojrzała na świeżej jej twarzyczce wyraz łagodnego, ale dojmującego smutku.

— Co tobie jest, Magdziu? — rzekła, obejmując ją i przyciskając do siebie — powiedz mi, co ci jest? czy może już twoje serduszko westchnęło do kogoś?

— Tak, pani — odparło dziewczę cicho i po lekkim wahaniu się — ale to zupełnie tak, jak gdybym chciała gwiazdę zdjąć z nieba, albo na szumie lasu do raju zalecieć, albo zamienić się sama w kwiatek biały. Wszak wszystko to jest niemożliwe, nieprawdaż, pani najdroższa? Otóż tak samo i to, co czuję, musi zostać nazawsze w moim sercu, niepowiedziane, nieokazane nikomu, jak gwiazda zostanie na niebie.

— I czemuż-by tak być miało? — spytała wzruszona tym wyznaniem Klotylda.

— Wszak pani sama powiedziała — odrzekła cicho Magdzia — że mam *przecucie* piękna. Otóż i w *nim* jam *przeczuła* piękność tak wielką, że wobec niej zgasły przede mną gwiazdy na niebie. Ze wszystkich ludzi, których dotąd widziałam, *on* jeden wydał mi się zupełnie, *doskonale* pięknym i dobrym. Wszyscy inni mieli zawsze w sobie coś brzydkiego lub niedobrego, co mię raziło i odtrącało... *on* jeden *nigdy*...

— Któż to ten *on*? — spytała, tuląc ją do siebie, Klotylda.

Magdzia ukryła twarz na jej piersi i odszepnęła:

— Pani najdroższa! mój aniele złoty! tego nawet tobie nie powiem.

— Nie mów, jeśli ci to ma być przykro; ale dlaczegoż tak wątpisz o sobie? może i on ciebie kocha, albo będzie kochał.

— O nie, nigdy! nigdy! — zawołała Magdzia — ja *przeczuwam*, że to być nie może...

Klotylda wiedziała, o kim mówiła Magdzia; ręka jej, obejmująca stan dziewczyny, lekko zadrżała.

— A on nigdy ci nie mówił, że cię kocha? — spytała po chwili.

— Nigdy — odparła Magdzia. — Ach! on taki szlachetny, taki prawy! czyż mógłby kłamać?

— Więc skądże przyszła ci ta miłość?

— Alboż ja wiem, pani? Znam go od bardzo dawna, ale długo nie czułam tego, co teraz czuję. Raz, pamiętam, był u nas i o czémś rozmawiał z ojcem, a ja sama nie wiedziałam, dlaczego oczu od niego oderwać nie mogłam. Patrzyłam na niego i robiło mi się dziwnie jakoś, miałam takie poczucie, jakby mi serce rozszerzało się w piersi i topniało w łzy; a te łzy biegiły mi do oczu, do czoła, do twarzy, czémś takim gorącym, że gdy spojrzęła w lustro, przy którym siedziałam, zobaczyłam, że byłam ponsowa jak gwoździk. Odtąd, moja pani droga, niema takiej godziny dnia, żebym o nim nie myślała i niema takiej nocy, żebym o nim nie śniła; a gdy się zastanowię nad tym wszystkiem, przeczuwam, że ja go kocham!...

— Ale dlaczegoż tak straciłaś nadzieję otrzymania wzajemności?

— O, moja pani droga, bo przeczuwam, jaki on jest i jaką ja jestem. Ode mnie do niego tak daleko, jak od tej trawki do gwiazdy. Ja sobie prosta, nieumiejętna dziewczyna, ani piękna, ani rozumna, a jemu *innéj* trzeba.

— Ależ tobie to bardzo smutno być musi.

— Tak, moja pani droga. To też siostry mówią, że bardzo posmutniała. Czasem płakać mi się chce, czasem do niczego ochota nie bierze, i gdybym miała skrzydła, tobym tak, zdaje się, zaraz poleciała pod niebo, byle dalej od ziemi. A jednak nie pragnę, ażeby inaczej było... bo wiem, że jemu nie było-by ze mną dobrze, bo jemu *innéj* trzeba... a ja bym nieba mu przychyliła, gdybym mogła, całym życiem mojem kupiła-by dla niego szczęście... Zresztą, dobrze mówi nasz ksiądz Stanisław, że życie człowieka jest króciuchne jak sen; wszystko w niem mija i tylko to zostawia po sobie ślady, co dobrego uczynimy na świecie. A mnie się zdaje, że dobrze jest cierpieć w milczeniu i pokorze, zapomnieć o sobie saméj i pragnąć szczęścia tylko dla ukochanych naszych...

Klotylda ze wzruszeniem słuchała słów dziewczyny, popatrzyła chwilę na jéj oczy, wzniesione ku górze i zamglone wilgocią, a w końcu rzekła:

— Powiedz mi, dziecko, z kąd ci przyszyły te myśli podniosłe i święte? z kąd w tobie uczucie to bohaterskie? Tak, masz słusność, tyś wiejska dziewczyna, mało uczyłaś się, mniej jeszcze widziałaś; jakimże więc cudem odgadłaś tajemnice najświętszych uczuć, posiadałaś szerokość najwznioślejszych myśli?...

Magdzi twarz zarumieniała się z razu, a potem powlokła wyrazem zamyślenia. Długo nie odpowiadała; szły obie ręka w rękę pod szumiącemi jodłami.

— Więc mówisz pani — ozwała się wreszcie dziewczyna — że mam jakieś myśli, jakieś uczucia niezwykajne w położeniu mojem cichém i ciemném? Prawda, siostry moje, dobre i kochane, nie miewają takich myśli i uczuć. Jak się to stało? zaczekaj pani... powiem zaraz.

Znowu milczała przez chwilę, a potem mówiła:

— Najprzód, zdaje mi się, że już sam Bóg rozmaicie różnych ludzi tworzy. Zdarzało mi się widzieć dzieci, chowane razem, a jednak jedno z nich bywało smutne, inne wesołe, jedno dobre, inne złe. Jam z dzieciństwa smutniejsza była od moich sióstr; mało cieszyłam się zabawkami, patrzyłam więcej na niebo, niż na ziemię. Potem, pani, kiedy obraz jego zaczął ukazywać mi się w każdej godzinie dnia i w każdym śnie nocy, po-raz piérwszy położyłam rękę na sercu i zdało mi się, iż czułam, jak pod dłonią moją serce to rosło, rozszerzało się, żeby ogarnąć sobą wszystko, co żyje wkoło. Potem, przy każdym widzeniu jego, pilnie słuchałam tego, co mówił, a on tak pięknie mówi! I z jego słów tworzyły się w mojej głowie obrazy, nad któremi myślałam po odjeździe jego długo, długo!... brzmienie ich zostawało w moich uszach, i mimowoli zaczynałam mówić tak, jak on. Raz byłam u Grodzickiej w N. I on tam przyszedł i przyniósł z sobą książkę, i zapytał mię, czym jéj nie czytała. Powiedziałam, że nie, bom do owego czasu nigdy nic nie czytywała. Poprosiłam go o tę książkę; dał mi ją i czytałam, i nauczyłam się jéj na pamięć. Były to poezye Mickiewicza. I wszystkie słowa, i wszystkie obrazy tych wierszy osiadły odtąd w mojem sercu, a gdy się nad niemi zastanawiała, myśl mi krążyła po głowie tak szybko, że musiałam co najprędzej czém inném się zająć, bo czułam, iż długo takiego stanu wytrzymać-być nie mogła. Tak uczucie do uczucia, myśl do myśli, składały się, jak ziarnko do ziarnka, i dlatego może pani mówi, że dziwnie jakoś myślę i czuję.

Klotylda nic nie odpowiedziała; była wzruszoną naiwną spowiedzią dziewczęcą. Dochodząc do ganku Dembowskich, miały się już pożegnać.

— Czy pan Dolewski będzie jutro u was? — spytała Klotylda.

— Przyjedzie jeszcze jutro, a potem aż za dni kilka.

Mówiąc to, Magdzia patrzyła na Klotyldę i wyraźnie coś powiedzieć chciała; ale wahała się przez nieśmiałość, aż w końcu objęła ją rękoma i, tuląc się do jéj piersi, szepnęła:

— Moja droga pani! mój aniołku śliczny! nie będziesz się gniewała na mnie za to, co powiem?

— Ja miała-być się na ciebie gniewać za cokolwiek? Mów, mów wszystko, moje miluchne dziecię!

— Pan Lucyan... — szepnęło dziewczę — pan Lucyan... od tego dnia, w którym był u pani... zrobił się jakiś inny...

— Jakiż to?... — spytała z uśmiechem Klotylda.

— Ja nie wiem — odrzekła Magdzia. — Nie jest smutny... nie... ale jakby zamyślny, jakby niespokojny... słowem nie taki jak zawsze. Mnie przykro na niego patrzeć, bo *przeczuwam*, że on cierpi, i dla tego, pani droga, mówię to tobie, bo nie chcę, żeby on cierpiał...

— A cóż ja na to poradzę, dziecko?

Magdzia wyprostowana stanęła naprzeciw Klotyldy, ujęła jej rękę w swoje dłonie i rzekła pewniejszym już głosem:

— O pani, takie piękne jak ty anioły, mają skrzydła śnieżne i miękkie, któremi mogą z czoła ludzi chmury smutku spędzać. Takie piękne, jak ty, anioły od gwiazd pożyczę promieni do oczu swoich, aby rozświecać niemi myśli tych, którzy są niespokojni i smutni. Ty pani jesteś pięknym i dobrym aniołem; powioń skrzydełkiem, spójrz błyszczącemi oczyma, a przestanie cierpieć ten, który cierpieć nie powinien.

To mówiąc, wysunęła rękę z dłoni Klotyldy i wbiegła do sieni, a pani Warska powoli zesza z ganku i, bardzo zamyślona, ze schyloną głową, poszła ku swemu mieszkaniu.

Nazajutrz Marylka zdziwiła się mocno, usłyszawszy dzwonek pani swojej, wzywający ją do sypialni o parę godzin wcześniej niż zwykle.

Zaledwie ósma była godzina, gdy Klotylda w białym rannem ubraniu wyszła do ogrodu, minęła klomby kwiatowe, staw i obszerny trawnik i weszła do szerokiej, ciemnej alei, której jedna strona, otoczona żelaznym ogrodzeniem, dotykała pocztowego gościńca. W środku alei tej, była w ogrodzeniu furtka, wychodząca na szeroką drogę, po obu stronach, mającą brzoźowe ławeczki.

Klotylda z książką w rękę usiadła na ławeczce obok furtki, gdy zdala dał się słyszeć tentent konia. Podniosła głowę i niedaleko siebie ujrzła jadącego konno Lucjana. I on ją zobaczył, zwolnił bieg konia i przez chwilę zdawał się wahać, czy ma się zbliżyć do dziedziczki Jodłowej, przez którą przed kilku dniami tak uprzejmie przyjętym został. Nie zbliżył się jednak, tylko uklonił się z grzecznością i uszanowaniem. Klotylda oddała mu ukłon, ale, gdy odjechał, na twarzy jej odmalował się wyraz zdziwienia i żalu. Wypuściła z rąk książkę, pochyliła czoło na obie dłonie i długo pod cieniem jodeł siedziała w zamyśleniu.

Gdy w godzinę potem weszła do swojej sypialni, ubierającej ją Marylce zdało się, że na jej oczach widziała ślady łez; nie była jednak pewna tego, tém bardziej, że, w czasie ubierania się, Klotylda rozmawiała z nią i parę razy głośno się rozśmiała z dowcipnej gadaniny subretki. Śmiech ten wszakże uderzył garderobianę czémś niezwykłym, drżało w nim coś, z czego nie umiała zdać sobie sprawy, dla tego pewnie, że nigdy jeszcze dźwięku takiego w śmiechu swjej pani nie słyszała.

Kto uważnie słucha wszystkich odgłosów ludzkiego serca, ten w śmiechu nie samę tylko wesołość usłyszeć może; drżą w nim niekiedy tajone i tłumione łzy. Ale żeby ich w śmiechu czyimś dosłyszec, trzeba wprzód samemu ścisłą z cierpieniem zawrzec znajomość; trzeba, według słów jednego z pisarzy, posiąc jedyną naukę, mogącą wwieść człowieka w głębinę serc innych ludzi, trzeba się nauczyć „alchemii łez”.

Tego wieczora Magdzia przybiegła do Klotyldy, siedzącej na ganku od ogrodu.

— No cóż, moja Magdeczko — spytała ją żartobliwie pani Warska, — czy pan Lucjan i dziś był „jakiś inny”?

— Dziś, pani — odrzekło dziewczę, — pan Lucjan był bardzo wesoły; opowiadając o czémś ojcu, śmiał się kilka razy; ale ja w tym śmiechu coś niedobrego *przeczułam*...

— I cóż ty tam w tym śmiechu przeczułaś, marzycielko?

Magdzia pochyliła się do ucha Klotyldy i szepnęła:

— Ja, pani, w śmiechu jego *przeczułam* łzy.

Potem Magdzia usiadła przy nogach Klotyldy na niskim stołeczku i położyła głowę na jej kolanach. Klotylda muskała jej jasne włosy i zaczęła w nie wplatać gałązkę zieloną. Dziewczyna patrzyła w milczeniu w głąb oświetlonego szafirową lampą gabinetu, potem podniosła głowę i, spoglądając w twarz Klotyldy, rzekła znacząco:

— Jak tu pięknie, jak tu cicho, jak tu wonno! Dom twój, pani śliczna, to istny raj na ziemi, a tyś w nim jasnym aniołem!...

Klotylda uśmiechnęła się smutnie i ustami dotknęła czoła Magdzi, a dziewczyna, razem z pocałunkiem, poczuła spływającą na jej czoło łzę.

— Czy i w raj u nawet łzy płyną? — spytała cicho, patrząc ciągle w twarz Klotyldy.

— Dziecię moje — odrzekła piękna kobieta, — gdzieś daleko po-za światem tym, jest pewnie raj taki, zgotowany wybranym, w którym cichną wszystkie smutki i niepokoje serca ludzkiego; ale w każdym ziemskim raj, na dnie wszystkich rozkoszy i piękności, muszą zawsze znaleźć się łzy...

Gwiazdy pogodnej nocy wiosennej długo oświetlały grupę dwóch kobiet, pół ukrytą w cieniu mirtów i pomarańcz.

Kiedy około północy Klotylda została sama, zadzwoniła i wszedł Ignacy.

— Proszę cię, Ignacy — rzekła, — aby jutro o godzinie ósmej rano Pegaz stał osiodłany pod gankiem; chcę pojechać konno.

Nazajutrz Marylka znowu się zdziwiła, gdy dzwonek pani wezwał ją o wcześniejszej, niż zwykle, godzinie.

Klotylda włożyła amazonkę i kapelusik z czarnym piórkiem i stanęła na środku sypialni swojej zamyślona. Potem szybko postąpiła ku drzwiom i znowu wróciła, przeszła parę razy pokój, patrząc w ziemię, nareszcie przebiegła salony i stanęła na ganku od dziedzińca.

Pegaz siwy w wielkie ciemne jabłka, z małą główką i wygiętym karkiem, stał przed gankiem osiodłany i grzebał nogą w piasku. Cugle wierzchowca trzymał stangret w angielskiej liberyi.

Klotylda popatrzyła na konia i rzekła do Ignacego:

— Każ Pegaza odprowadzić do stajni — nie pojedę!...

Stangret z koniem zwrócili się ku stajni. W tej chwili, za jodłami i żelaznym otoczeniem dziedzińca, dał się słyszeć tentent konia i szybko na tle zieleni przemknęła zgrabna postać jeźdźca.

Jadący z oddali nawet poznał stojącą na ganku panią domu, bo zdjął czapkę z pełnym grzeczności ukłonem.

— Ignacy — zawołała Klotylda — zawołaj na Michała, niech przyprowadzi Pegaza.

Ignacy łagodnie uśmiechnął się pod siwym wąsem z kaprysów swej ukochanej pani, a stangret z Pegazem zwrócili się znów ku gankowi.

Po chwili, piękna pani Klotylda wyjeżdżała konno z bramy dworskiego dziedzińca.

Lucyan Dolewski całą godzinę przesiedział przy chorągwi, poczem oświadczył, że przyjedzie dopiero za tydzień, bo konwalescentka może się bez niego obejść, a on ma pacjentów, do których na dni kilka pojechać musi.

— A u pani Warszawskiej, czy pan nie będzie? — spytała go Magdzia.

— Dziś nie — odrzekł obojętnie; — zawczasie jeszcze na wizytę — dodał, patrząc na zegarek.

— Widziałam jednak — ozwała się Elżusia — że pani Warska pojechała już konno na spacer.

Na te słowa w oczach Lucyana zamigotało jakieś dziwne światło; znawca fizyognomii ludzkich rzekłby, iż było błysk nadziei.

— Jak się ma pani Warska? — spytał, zwracając się ku Magdzi.

— Zawsze śliczna i dobra jak anioł — odparło dziewczę.

Doktor pożegnał wszystkich, siadł na koń i z wolna jechał pocztową drogą.

Pogodnie i cicho było na świecie, znikąd odgłosów żadnych; spokój panował w naturze, a jednak Lucyan, jadąc, oglądał się ciągle wkoło, jakby czegoś szukał oczyma, jakby dosłuchiwał się jakichś odgłosów. Na drzewach, zdobiących drogę, drżały listki pozłacane słońcem, w powietrzu czystym krzyżowały się strugi błękitnych i złotych promieni. Młody człowiek jechał drogą z wolna, zamyślony, niespokojny, a przed nim migotały ciągle ciemne, smutne oczy Klotyldy i ukazywała się na promieniu zawieszona biała, przezroczysta jej twarz. Jechał powoli i był już na zakręcie drogi pod samą górą, gdy między jodłami, wysoko nad sobą, posłyszał szelest niezwykły i chrzęst łamiących się gałęzi. Spojrzał w górę: wśród czarnych i gęstych drzew, wąziuchną dróżką, z wolna i coraz niżej, na siwym koniu, zstępowała Klotylda. Wybornie ujeżdżony koń z wdziękiem i ostrożnie stąpił po spadzistej pochyłości, a ona, jedną ręką trzymając cugle Pegaza, drugą uchylała sobie z nad głowy opadające wciąż kolczaste gałęzie. Chwilami znikła całkiem po za drzew gęstwiną i wychylała się znowu na szerszą przestrzeń, cała opromieniona słońcem i orzucona zielonemi kolcami jodeł.

Gniady koń jeźdźca na pocztowej drodze, stanął jak wryty, wstrzymany nagle gwałtowną ręką swego pana. Lucyan patrzył na zjawisko, zstępujące ku niemu z góry.

Wązka dróżka, którą jechała Klotylda, rozszerzała się coraz bardziej, spadzistość coraz mniej była stromą, amazonka na siwym rumaku coraz prędzej zbiegała ku drodze, i po chwili była już o kilka tylko kroków od jeźdźcy na gniadoszu.

— Dzień dobry pani — zawołał, uchylając czapki Lucyan.

— Dzień dobry panu — odrzekła amazonka.

Pegaz stanął obok gniadosza i zwrócił się w tym samym co tamten kierunku.

Poranny wietrzyk i szybka jazda, lekkim rumieńcem zabarwiła twarz Klotyldy, Lucyan przeciwnie był blady tą bladością wzruszenia, która wszystką krew do serca sprowadza.

— Pani tak wcześnie odbywa konne przejażdżki? — ozwał się po chwili młody człowiek.

— Ranek był piękny, jeździłam na cmentarz. — I ukazała ręką widniejący na górze pomnik.

— To pomnik matki pani?

— Tak panie.

Rozmowa, obojętnym prowadzona tonem, przerwała się. Pegaz z wolna postąpił na przód, gniadosz szedł za nim.

— Pan jedziesz od chorój? — ozwała się po chwili milczenia, Klotylda.

— Tak pani, a raczej od konwalescentki.

— Czy długo jeszcze pan będziesz ją codziennie odwiedzał?

— Przeciwnie, przyjadę ledwie za dni kilka.

— A przez ten czas pan ciągle będziesz w N.?

— Mam odwiedzić pacjentów, o kilka mil ode mnie mieszkających.

Znowu umilkli, jadąc ciągle razem drogą szeroką. Minęli górę, a wkoło nich rozłożyły się barwne kwiatami i ozłocene słońcem łąki. Pod lasem żółciały pasące się stada, z dali do pocztowej drogi dochodził ryk bydła i smętna jakaś piosenka pasterza. Powietrze majowe drżało całe promieńmi i cichym gwarem owadów.

— Chcesz pan — ozwała się po długiemi milczeniu Klotylda — chcesz pan spróbować doskonałości naszych wierzchowców? Kto z nas kogo prześcignie?

I, nie dając Lucyanowi czasu do odpowiedzi, pochwyciła silnie cugle swego konia, zawołała nań pieszczotliwie i popędziła drogą jak strzała.

Gniadosz Lucyana, targnięty ręką pana, zerwał się z miejsca i pogonił za Pegazem.

Biegli tak jedno za drugim, unoszeni dzielnymi końmi, całą wiorstę; w końcu gniadosz doścignął Pegaza, przepędził go o kilkanaście kroków i stanął, silną ręką wstrzymany.

Klotylda też stanęła.

— Zwycięstwo przy panu! — zawołała ze śmiechem, podnosząc rękę do kapelusika, niby rycerskim ukłonem.

Twarz jój pałała żywym rumieńcem zmęczenia, pierś podnosiła się szybkim oddechem, w pół otwarte usta okazywały dwa rzędy białych zębów.

Wyraz twarzy Lucyana był obojętny, bladość tylko jego, zamiast zniknąć przez ruch i zmęczenie, powiększyła się jeszcze. Patrzył na Klotyldę i uśmiechał się zwykłym swoim poważnym uśmiechem.

Pani Warska spojrzała w stronę swego dworu.

— Daleko odjechałam od domu — rzekła — trzeba wracać. Pan mię odwiedzisz w Jodłowej, nieprawdaż? — dodała, patrząc w twarz doktora i wyciągając ku niemu rękę.

Lucyan wziął drobną rączkę i przez chwilę zatrzymał ją w swój dłoni.

— W Jodłowej, pani — odpowiedział — w Jodłowej... tak, będę... ale nie wiem kiedy.

To mówiąc, schylił się na koniu, pocałował rękę Klotyldy i miał odjechać, gdy ona raz jeszcze zwracając się ku niemu i wstrzymując swego konia, rzekła:

— Przyjedź pan, przyjedź, bo mi na seryo brak towarzystwa pana.

I rozjechali się w przeciwne strony; ale o parę wiorst od Jodłowej, Lucyan zdjął czapkę z gorejącego czoła i rzekł gwałtownie do siebie:

— Szaleństwo! co się ze mną dzieje? dziwny wpływ wywiera na mnie ta kobieta. Pocóżem ją spotkał? Ha! los... wszakże nie chciałem tego... Głowa mi płonie! szalony jestem! Nie, tak być nie może, ja się od tego obronić muszę!...

A Klotylda, pożegnawszy Lucyana, nie pojechała prosto do domu, ale zwróciła się na prawo, drogą ku lasowi wiodącą. Jechała z wolna, a na twarzy jój malowały się: niepokój i wzruszenie; wreszcie, gdy już wjechała w głąb lasu, poniosła rękę do czoła i rzekła do siebie:

— Pocóż go spotkałam? Dziwne wrażenie wywiera na mnie ten człowiek. Wołała-
-bym była go nie widzieć, a jednak sama go szukałam. Pocóż ta kobieta zachorowała?
poco on tu przyjeżdżał? Ha! bądź co bądź, nie poddam się!

IV. ODPUST

W pogodny dzień przed zachodem słońca, Klotylda siedziała z Magdzą na ulubionym swoim ganku, gdy Marylka ozajmiła, że pani Grodzicka z N. pragnie ją widzieć.

— A, pani Grodzicka! ta właśnie, o której synu mówił mi zawczoraj ksiądz proboszcz. Proś, proś ją tutaj! — rzekła Klotylda.

Po chwili, wprowadzona przez Marylkę, weszła na ganek pani sędzina, w swoim nieśmiertelym, osztytm wytartym aksamitem kaftaniku i z niezbędnymi filutkami na skroniach. Mimo przepychu, którym ujrzała się otoczona w Jodłowej, jak przystało na ex-właścicielkę Wólki, karety i budoaru, pełnym godności ukłonem powitała panią Warską. Klotylda powstała uprzejmie z kanapki, usiadła na fotelu, a zaszczytne miejsce wskazała przybyłej.

— Przyjechałam, aby podziękować pani — ozwała się Grodzicka — za łaskawie udzielone mi przyrzeczenie pomocy w wychowaniu mego syna...

— Ja to właśnie — żywo przerwała Klotylda — winnam dziękować pani za przyjemność, jaką mi to sprawi, że będę jej użyteczną, przyczyniając się zarazem do wychowania, dzielnego może na przyszłość człowieka. Słyszałam, że syn pani ma wielkie zdolności.

— A, już to, pani dobrodziejko, odziedziczył po swoich przodkach. Kiedy był jeszcze małym dzieckiem, mąż mojej siostrzenicy, marszałek X., lubił bawić się w nim w moim budoarze w Wólce i zawsze mówił, że Mieczek będzie tak rozumny, jak dziad jego a mój nieboszczyk ojciec. Mam, pani dobrodziejko, bogatą rodzinę i sama niegdyś jeździłam karetami i mieszkałam w pałacu, ale teraz... kiedy, skutkiem nieszczęśliwych okoliczności, straciłam fortunę, mój Mieczek byłby się zmarnował, gdyby nie starania pana Lucyana, a teraz łaskawe względy pani dobrodziejki...

— Mówił mi właśnie ksiądz Stanisław, że pan Dolewski uczył przez lat parę syna pani, mimo licznych zajęć, jakich powołanie jego wymaga. Bardzo to zapewne pięknie z jego strony, ale od końca wakacji syna pani wysłamy do szkół wileńskich, a potem da Bóg do uniwersytetu.

Twarz Grodzickiej rozjaśniła się wielką, macierzyńską radością, łyż wdzięczności nabięgły do jej oczu.

— Dokończysz pani — rzekła drżącym od wzruszenia głosem — szlachetnego czynu zaczętego przez pocziwego pana Lucyana. Niech was oboje Pan Bóg i Najświętsza Panna błogosławi, a z wami i księdza Stanisława, który umiał przemówić do twego serca, pani, za mną i za moim dzieckiem.

To mówiąc, powstała pani sędzina i miała już żegnać Klotyldę, gdy nagle, jakby sobie coś przypomniała, rzekła:

— Czy pani dobrodziejka nie będzie jutro w N. na odpuscie?

— Jakież to będzie odpust, kochana pani?

— Dzień świętego Stanisława, patrona kościoła naszego i księdza proboszcza.

— Dzień ósmego Maja — wtrąciła Magdzia.

— A, kiedy tak, to będę koniecznie. Pomodłę się i powinszuję księdzu proboszczowi, dla którego mam prawdziwy i głęboki szacunek.

Grodzicka wyszła, a Klotylda spojrzała na Magdzą, która siedziała w cieniu zielonych gałęzi i patrzyła na wschodzące gwiazdy.

— O czém tak myślisz, Magdzu? — spytała.

— Myślałam o tém — odparło dziewczę — że gdyby te dwie gwiazdy, co tak pięknie świecą, połączyły się ze sobą, było-by z nich słońce.

Klotylda uśmiechnęła się.

— Marzysz, dziecko — odrzekła; — pójdź ze mną do biblioteki, poczytamy trochę.

Tymczasem Grodzicka, wróciwszy do N., nie miała nic pilniejszego do zrobienia, jak podzielić się z kimkolwiek wieścią, że pani Warska podjęła się wychowania jej syna i że nazajutrz ma być w kościele na nabożeństwie i u księdza proboszcza z powinszowaniem.

W miasteczku i okolicy mało osób widziało panią Warską. Niektórzy pamiętali ją, gdy dzieckiem będąc małym, przyjeżdżała do kościoła ze swoją matką, a wszyscy tyle rzeczy nasłuchali się o niej, wyobrażali ją sobie tak piękną, tak *światową*, tak niepodobną do nich wszystkich, że wzbudzała ogólną ciekawość. Wieść o jej dobrym czynie, względem syna Grodzickiej, ciekawość tę powiększyć jeszcze musiała.

Pani sędzina z opowiadaniem swoim pobiegła do pani Owsickiej, u której w owiej chwili obecną była panna Zuzanna. Szeherazada podreptała coperędzją, aby o tém, co nastąpić miało nazajutrz, oznajmić „pani aptekarzowej dobrodziejce”.

U pani Dolewskiej znalazła grubą panią Jęczmionkowską, obywatelkę z sąsiedztwa, z dwiema dorosłymi córkami, bywającą u aptekarzowej z powodu syna jej doktora, któryby się wielce zdał na męża pełnoletniej Elfrydy albo Zenobii. Pani Jęczmionkowska wysłuchała wszystkiego, a wracając do domu, spotkała w drodze Harasimowicza młodszego. Wychyliła się z krytej nejtyczanki i zawołała do szlachcica, jadącego bryczką:

— Panie Onufry! jutro na odpuście będzie pani Warska z Jodłowej.

Pan Onufry odpowiedział, jak tylko mógł najgłośniej, że zna już panią Warską i pojechał dalej, rozmyślając nad wyborem pieśni, z którymi się jutro popisować będzie; ale, gdy dojeżdżał do bramy swego domu, ujrzał jadącego konno pana Barszcza i, zawoławszy na furmana, aby się zatrzymał, spytał sąsiada, czy będzie na jutrzejszym odpuście, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, dodał, niby od niechcenia:

— Byłem onegdaj w Jodłowej i *poznałem* panią Warską. *Mówiła mi*, że będzie na jutrzejszym odpuście.

Pan Barszcz otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

— Tak, tak — potwierdził Harasimowicz — *poznałem* panią Warską; śpiewała przy mojej gitarze „już księżyc zaszedł” i zapraszała mię do siebie. Ale już to sąsiad wieś, że ja do bratania się z panami nie bardzo skory. Niech wprzódę się naproszą. Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. Ale, pani Warska ładna, dalibóg ładna.

To powiedziawszy, pojechał Harasimowicz, a Barszcz na swoim kasztanowatym, o białym ogonie koniku, galopem puścił się ku dworowi młodego pana Rodryga Wiercińskiego. Wpadł do Wiercina, przebiegł przez zapyłone pokoje panicza, u którego był totumfac-kim i pieczeniarem, i znalazł gospodarza domu, stojącego przed lustrem i pogrążonego w studyach nad udoskonaleniem nowo wynalezionej sposobu zawiązywania krawata na węzeł o jednej kokardzie, a dwóch końcach.

Barszcz śpiesznie go uwiadomił, że na jutrzejszym odpuście w N. będzie przybyła niedawno z Warszawy dziedziczka Jodłowej. Pan Rodryg ucieszył się niezmiernie tą nowiną.

— Młoda wdówka — zawołał, klaskając w palce jak w kastaniety. — Wiész co, Barszczu, że to partyjka nielada. Pojadę, pojadę. Tylko ten przeklęty węzeł, nie mogę zawiązać go, jak należy. Barszcz! zawiąż mi krawat tak, żeby była jedna kokarda, a dwa końce.

Serwacy Barszcz wspiął się na palce, bo był niski, a pan Rodryg wysoki, i wziął w obroty szyję swego mecenasa. Po kwadransie mozołu i sapania, wynalazek został udoskonalony, węzeł miał jedną kokardę, a dwa końce i Barszcz dostał za to na kolację kotlety baranie i kieliszek madery.

Tak w wigilią odpustu cała niemal okolica czekała jutrzejszego pojawienia się w kościele pani Warskiej i mówiła o niej. Jeden tylko człowiek w dniu tym nie posłyszał z niczyich ust jej nazwiska i nie dowiedział się o niczym. Lucyan Dolewski był nieobecny w N., bo od dni kilku siedział nieodstępnie nad łóżkiem jednego z sąsiednich mieszkańców, chorego ojca licznej rodziny. W zasłonionym zielonemi roletami pokoju, wśród ciszy, otaczającej zwykle łożo chorego, młody doktor siedział dniem i nocą, śledząc wszystkie poruszenia pacjenta, doglądając go z całym poświęceniem kapłana czynu i nauki. Niekiedy tylko, gdy chory usypiał, młody człowiek zamyślał się z czołem na dłoni wspartym, a wtedy wśród ciemno-zielonego tła pokoju, lżą brylantową błyskały ku niemu wielkie, ciemne oczy i uśmiechem purpurowych, wilgotnych ust, wabiła twarz biała.

I młodzieniec dumaniem z tych oczu i z tego lica wysnuwał całą postać ślicznej kobiety; obejmował ją gorącym marzeniem, muskał grube warkocze jej włosów, tonął w palających oczach i dotykał miękkiej, drżącej w jego uścisku ręki. A z dumań tych budził go jęk chorego, przypominający młodemu doktorowi, że dla czynu, który go wzywał, miał odtrącić od siebie powabne mary wyobraźni swojej.

Zaledwie jednak dobroczynna dłoń doktora, dała chwilę spokoju złożonemu chorobą, marzenia wracały do Lucyana coraz uporniejsze, bo skąpane w gorączce kilku nocy bezsennych i w męce daremnego walczenia ze sobą.

Łatwiej powstrzymać w biegu bystry prąd wód spienionych, niż stłumić wzrost namiętności, szybko ogarniającej serce młode, a uczuć spragnione.

Łatwiej zbadać kierunek, w którym płyną pod niebem obłoki białe, niż odgadnąć kędy zawiodą człowieka marzenia jego, w długim skąpane pragnieniu.

Łatwiej, o łatwiej było rozumowi ludzkiemu odkryć prawdę, że słońce stoi nieruchome, wśród krążących wkoło niego planet, jak powiedzieć sercu: stój! gdy ono, ogarnięte płomieniem, leci ku źródłu miłości...

*

Nadszedł dzień ósmego Maja, pogodny i ciepły. Kościół w N. od samego rana obłożony był mnóstwem chłopskich wozów i szlacheckich parokonnych bryczek. Z wozów zsiadali chłopcy w szarych świtach, od święta przepasanych czerwonymi pasami, zdejmowali z głowy słomiane o szerokich brzegach kapelusze i z niskim ukłonem przed zamkniętymi jeszcze drzwiami kościoła, oznaczony pierś wielkim krzyżem, zsiadali wkoło parkanu, śmiejąc się, gwarząc i witając sąsiadów z pobliskich wiosek.

Nieco zdala od mężczyzn, z drugiej strony parkanu i na kościelnym cmentarzu, rozsiadły się kwieciste, barwne grona młodyc i dziewczek. Głowy miały strojne w ponsowe, białe i żółte chusty, a nad czołami sterczały pęki zieleni, zmieszanej z polnymi kwiatami. Szlachta, zsiadłszy z bryczek, odprawiała furmanów z końmi do karczmy, a sama gromadą szła do plebanii, wieszając księdzu proboszczowi imienin. Po krótkiej tam bytności wychodzili wszyscy na miasteczko i przechadzali się grupami po placu. I tu tworzyły się podziały na sfery i klasy. Dzierżawcy wielkich dóbr z góry patrzyli na drobnych posiadaczy, drobni posiadacze imponowali małym dzierżawcom, a ci zadzierali nosy przed oficyalistami, którzy znowu ze wzgardą spoglądali na chłopów.

O, nigdzie i nigdy nie znikająca pycho ludzi, głupia pycho robaków!

Gwar więc pod kościołem był wielki. Sejmikowała drobna szlachta, gwarzyli chłopcy, śmiały się i swawolili dziewczęta, na rękach młodyc w niebogłose wrzeszczały dzieciaki. A wśród tłumu, często gęsto ukazywały się rude pejsy i wyszarzane jarmułki żydów, chodzących od szlachty do oficyalistów, od oficyalistów do chłopów i prawiących jednym o urodzajach, innym o koniach i bydle, innych nakoniec częstując tabaczką i zapraszając na gorzałkę.

Między tym tłumem przycisnęła się do kościoła pani Owsicka, ze swemi worami, napakowanymi książkami do nabożeństwa; panna Zuzanna w watomowej salopie, mimo ciepła; pani Dolewska w czarnej wełnianej sukni, jedwabnej mantyli i czarnej jedwabnej chusteczce, zawiązanej na świeżo wygarniowanym czepeczku. Za niemi niebawem przeszła plac i weszła do kościoła pani sędzina Grodzicka, z bardziej niż kiedy wypomadowanymi filutkami i z dwunastoletnią Walerką, ustrojoną w różową muślinową sukienkę, dar panien Jęczmionkowskich, które, wiedząc o szczególnym współczuciu Lucyana Dolewskiego dla rodziny Grodzickich, chciały tą ofiarą wydać się filatropkami w oczach powabnego doktora.

Wreszcie, o godzinie jedenastej, ozwał się głos dzwonu, oznajmujący blizkie nabożeństwo; jednocześnie dało się słyszeć kilkakrotne klaskanie z bata i wnet ukazała się amerykanka, zaprzężona czterema końmi w lejc, a z niej wysiedli przed kościołem pan Rodryg i pan Barszcz.

Wierciński miał ubranie, jakby zdjęte z żurnalu: piękny węzeł krawata, o jednej karkardzie, a dwóch końcach, piękną fryzurę, wyszłą tylko co z objęć żelazka i najpiękniejsze ze wszystkiego pince-nez, tkwiące na zadartym nosku. Barszcz z miną tryumfatora wysiadł z eleganckiej amerykanki swego amfitryona i stanął w bramie kościelnego ogrodu, w postawie greckich bohaterów, z góry spoglądając na nędzne robaki, które przypelzły na własnych wozach i bryczkach, a nie przyjechały, jak on, elegancką cudzą amerykanką.

Ale jakby dla zaćmienia szumnego ekwipażu pana Wiercińskiego i jego pieczenia-rza, z przeciwniej strony wjechał na plac miasteczka kocz, zaprzężony czterema pękatami

i pstrokatemi konikami. Kocz ten stanął także naprzeciwko bramy kościelnej; lokaj, wyglądający na pasterza i ubrany w coś, co miało oznaczać liberyą, zgramolił się z kozła, stęknął i, otworzywszy z trudem drzwiczki o zardzewiałych zawiasach, począł odkładać stopnie powozu.

Z wysokości na ziemskie niziny powoli i majestatycznie poczęła spuszczać się najprzód pani Jęczmionkowska, jaśniejąca zieloną suknią w kraty i ponsowem piórem u kapelusza. Za nią leciuchna jak motylek wionęła na ziemię panna Elfryda, fruwając falbanami żółtego muślinu, niby motylemi skrzydły, a za tą jeszcze chwiejnym i sentymentalnym krokiem zstąpiło na padół płaczu bóstwo i piękność rodziny, panna Zenobia, ciągnąc za sobą krzywo wykrojony, ogromny kawał błękitnego bareżu, mający reprezentować ogon u sukni. Trzy panie przeszły przez tłum, matka sapiąc i patrząc z góry, Elfryda fruwając, Zenobia chwiejąc się i płynąc. Panny oglądały się wkoło i szeptały między sobą:

— *Elfride!* nie widzę tu nikogo, *comme il faut*.

— Sam gmin, *Zenobie!* niższa klasa.

Zniknęły w głębi kościoła, a arka Noego, skrzypiąc i piszcząc, posunęła się do karczmy, ku wielkiemu zadowoleniu pstrokatych koni.

Potém zajechał Harasimowicz młodszy, piastując pudło z gitarą; potém Harasimowicz starszy, z dłonią przyciśniętą do szklanego puklerza; z plebanii wyszedł wąsaty organista, a w końcu ukazał się i sam ksiądz proboszcz, w towarzystwie kilku przybyłych na odpust księży.

W téj saméj chwili dał się słyszeć głuchy turkot lekkiego powozu; z za domów na placu ukazały się najprzód cztery wielkie siwe konie, brzękające z cicha kółkami angielskich szorów, potém służba bez liberyi, czarno ubrana i w białych rękawiczkach, nareszcie bardzo niska i mała podwójna karetka. Wszyscy zwrócili wzrok na piękny powóz, który stanął przed kościołem.

— Kto to? kto to? — szeptała między sobą szlachta.

— Dzielne konie!

— Co za pojazd, niech go lichu!

— Kto to przyjechał?

— To znajoma moja, pani Warska z Jodłowej — odpowiedział Harasimowicz młodszy, dodając:

— Przypatrzcie się jój tylko; ładna dalibóg bestyjka!

Z karetki wysiadła Klotylda, a za nią Magdzia Dembowska.

Pani Warska ubrana była w suknię z ciemnego jedwabiu; na głowie miała takiéjże barwy kapelusik, zdobny tylko cieniuchną czarną koronką. Nic na niéj nie błyszczało, wszystko było ciemne i bez ozdób, a jednak wytworne. Magdzia, ubrana ręką Klotyldy, w białej, przezroczystéj sukience i w słomkowym kapeluszu zdobnym jedną tylko różyczką, wyglądała obok świetnej i wytwornej kobiety, jak jój anioł-stróż.

Pan Rodryg, spojrzawszy na Klotyldę, oniemiał, wcisnął mocniej pince-nez, aż mu nos poczerwieniał i podniósł rękę do wysokiego kapelusza. Chłopi i szlachta otworzyli szeroko oczy i usta, a Harasimowicz młodszy szepnął do sąsiadów:

— A co, czy nie mówiłem, że niczego sobie kobiecina? A jak śpiewa „już księżyc zaszedł” to cudo! Już ja się na tém znam!

Klotylda i Magdzia weszły do kościoła. Tam koło wielkiego ołtarza, więc na *arystokratyczném* miejscu, zasiadła pani Jęczmionkowska z córkami i kilka pań z *wyższej klasy*. Środek kościoła był pusty prawie, bo lud zaczynał dopióro napływać. Przy wejściu Klotyldy wszystkie panie, siedzące przed wielkim ołtarzem zwróciły na nią oczy, a domyślając się, że widzą panią Warską, jedne się wyprostowały, inne poprawiły sobie suknie, bo były pewne, że dziedziczka Jodłowej nie zaniedba przejść pompatycznie przez kościół i usiąść na arystokratyczném miejscu, tak jak one zwykły były czynić. Pan Rodryg tego samego snać był zdania, bo szybko przeszedł boczną nawą kościoła pod wielki ołtarz i stanął przy balustradzie, w pozycji najdogodniejszej dla pokazania swojej fryzury i węzła o dwóch końcach.

Ale Klotylda przy wejściu obejrzała się po kościele i, postąpiwszy kilka tylko kroków, usiadła z Magdzą w jednéj z najbliższych ode drzwi ławek. Panie z pod wielkiego ołtarza poruszyły się na ten widok, spojrzały znacząco na siebie i szepnęły jedna do drugiej:

— Czy widzisz, czy widzisz pani, gdzie usiadła? To dla tego, aby móżdżek lepiej strzelać oczyma po kościele.

— Imponuje, moja pani, nie chce obok nas usiąść.

— Niby to taka skromniutka, a dyabeł za skórą siedzi.

— Oho! albo to niewiadomo, co z niej za ptaszek?

— Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.

Pan Rodryg, widząc, że źle obrał punkt strategiczny, chciał uczynić rejteradę, ale już było zapóźno, bo lud ogromną masą szybko napłynął do kościoła i zagroził drogę odwrotu młodzieńcowi. Mógł wprawdzie za pomocą łokci utorować sobie przejście ku ławeczce, w której usiadła pani Warska, ale żał mu było narażać na niebezpieczeństwo, zetknięcia się z siermięgami, swoją piaskową marynarkę; został więc na niefortunnym stanowisku i przez cały ciąg nabożeństwa był w smutnej konieczności prezentowania swego pięknego wężła i zapiekanej fryzury paniom Jęczmionkowskim et compagnie.

Wkrótce rozległy się poważne akordy organów, z pod ołtarza chóralną pieśnią, uniósł się pod sklepienie kościelne śpiew księży; obłoki dymu z kadzielnic owiały obraz Najświętszej Maryi, a lud upadł na kolana, czołami uderzając o posadzkę ceglana. Całe zebranie zamodliło się gorąco, prócz pań, siedzących pod wielkim ołtarzem i pana Rodryga, z gracyą opartego o balustradę. Pięknymi przeszkadzały w modlitwie wzajemne lustracje pomarańczowych, zielonych i błękitnych sukien i myśl o tej *kukietce*, która nie chciała obok nich usiąść; drugiemu sprawiała roztargnienie kokarda własnego krawata, która wydawała mu się ciągle dłuższą od końców i dogryzała złość na to, że ani on pani Warskiej, ani pani Warska jego widzieć nie może.

W niebie utonęły myślą prostaczekowie, w niebie też utonęły Klotylda i Magdzia, a ci, którzy, na pretensjach swoich zawieszeni między niebem a ziemią, zaparli się prostoty, nie doszedłszy do światła Bożego, zostali, jak zwykle, wodnoziemnymi istotami.

W parę godzin potem skończyło się nabożeństwo; miasteczko roilo się ludem, który nie odjeżdżał do domów, czekając wieczornych niesporów; karczma wrzała hulanką i pijatyką chłopów, a przed gankiem plebanii stało kilka bryczek szlacheckich, arka pani Jęczmionkowskiej, amerykanka pana Rodryga i karetka pani Warskiej.

Ksiądz Stanisław przyjmował gości, którzy po nabożeństwie przyjechali złożyć mu, w dniu jego imienin, życzenia.

W niewielkim bawialnym pokoju, na kanapie, naprzeciw drzwi wchodowych, rozsiadły się pani Jęczmionkowska i dwie znajome jej panie. Na jednym z fotelów, obok kanapy, siedziała Grodzicka, na drugim Dolewska; trochę dalej pomsowiały wory z książkami Owsickiej i tuliła się w kątek Szeherazada. Pod oknami na niskich ławeczkach zasiadły panny Jęczmionkowskie, z dwiema czy trzema podobnymi sobie towarzyszkami, a między niemi bledsza, niż zwykle, Magdzia. Nieco opodał, pod ścianami i piecem, stali i rozmawiali z sobą bracia Harasimowiczowie, pan Barszcz i dwóch Jęczmionkowskich, ojciec i syn; przez drzwi otwarte widać było w drugim pokoju przechadzającego się proboszcza, z dwoma czy trzema księżmi i panem Dembowskim.

Klotylda siedziała profilem zwrócona do drzwi wchodowych, tuż obok pani Dolewskiej, a obok niej okręcał się na jednej nodze pan Rodryg, coraz więcej wciskając pince-nez na zadarty nosek. Zaraz po wejściu do plebanii prosił on księdza proboszcza, aby go przedstawił pani Warskiej i od tej chwili nie opuszczał jej krzesła, mało jednak mając zręczności zamienienia z nią choćby słów kilku, bo Klotylda z wielkim zajęciem rozmawiała z panią Dolewską.

Mały pokój wypełniony był licznym zebraniem, gwar w nim panował wielki.

— Przyznam się sąsiadce — mówiła, szepcząc, pani Jęczmionkowska do siedzącej obok wyczepierzonej damy — że nic tak dalece pięknego, nie widzę w tej pani Warskiej. At sobie, wystrojona lalka, nic więcej.

— Sławny bęben za górami — odparła sąsiadka.

— A czy pani Sylwestrowa widziałaś, jak to ona w czasie nabożeństwa, strzelała oczyma po kościele?

— A jakże, i na własne oczy widziałam, jak w kościele chichotały się z tą Dembowską, co to już teraz nosa do góry zadziera, dla tego, że z wielką panią jeździ.

Biedna Magdzia, ani spodziewając się, iż była przedmiotem czyjej rozmowy, szukała tymczasem spojrzaniem kogoś, którego ciągle, jak nie było, tak nie było, a panie, mówiąc

o chichotaniu i strzelaniu oczyma, zapomniali o tém, iż tłum ludzi nie dozwolił im nawet ani razu ujrzyć pani Warskiej w czasie nabożeństwa.

— Albo i teraz — zaszeptala jeszcze Jęczmionkowska — czy sąsiadka widzisz, jak z pod oczka patrzy na pana Wiercińskiego?

— Zwyczajnie *kukietka!* Zaprowadzi z nim zaraz romans, sąsiadka zobaczysz.

— *Zenobie! Zenobie!* — ozwała się Elfryda do siostry, siedzącej blisko drzwi wchodowych — *fermez la porte, car il fait des vents.*

— *Bien ma chère* — odrzekła Zenobia, płynąc ku drzwiom.

— Boże mój, Boże! — szepnęła panna Zuzanna pani Owsickiej — jakaż to śliczna ta pani Warska! Rychtyk taka sama śniła się mnie w dzień świętych aniołów-stróżów, niby-to przyszła do mnie i mówi...

— A czy wiesz, panno Zuzanno — przerwała Szeherezadzie Owsicka — że ja z panią Warską jechałam w przeszłym roku do Warszawy, w jednym wagonie, i nie wiedziałabym o tém, panie mój kochany, ale powiedziała mi to dziś siostrzenica moja Marylka, co to u niej jest panną służącą.

— A jaka pani Warska dobra! — wtrąciła Grodzicka — mego Mieczka na wychowanie wzięła.

Tymczasem Harasimowicz młodszy spoglądał z pod oka przez okno na swoją bryczkę, na której leżało pudełko z gitarą, a Harasimowicz starszy oglądał się, rozmyślając, któremi-by drzwiami najłatwiej się wymknąć, aby na ustroni dać buzi szklanęj kochance.

— Gdzież to syn pani dobrodziejki? — protekcyjonalnie ozwała się z wysokości kanapy, pani Jęczmionkowska do pani Dolewskiej, mając sobie za obowiązek, względem własnej godności zaciągnięty, przymrużyć zapadłe w tłustych policzkach oczy, przy publiczném przemawianiu do aptekarzowej.

— Nie wrócił jeszcze od pana B., który na tyfus choruje, i Bóg wie, kiedy wróci — odrzekła matka Lucyana.

Na te słowa Dolewskiej, Zenobia Jęczmionkowska mdlejąco opuściła głowę na piersi, Elfryda rozpaczliwie wionęła żółtymi falbanami, a Magdzia smutnie pochyliła główkę.

— Miałam przyjemność poznać syna pani — rzekła Klotylda do Dolewskiej — był nawet tak grzeczny, że mię odwiedził i kilka godzin bardzo mile przepędziłam w jego towarzystwie.

Twarz matki Lucyana rozjaśniła się radością, jak zwykle, gdy słyszała pochlebne o synu swoim wyrazy.

— A mówił mi Lucyana, że był u pani dobrodziejki — odrzekła. — Opowiadał mi o Jodłowej, że tam istne cuda...

Nie dokończyła mówić, bo otworzyły się drzwi i wszedł Lucyana.

Kilkotygodniowy pobyt w ciemnym i smutnym pokoju chorego, kilka nocy bezsennych, ciągła praca przerywana marzeniami i marzenia, przerywane pracą, powlokły mu twarz lekkim wyrazem zmęczenia, pięknie kontrastującym z blaskiem jego szafirowych, głęboko osadzonych oczu.

Piérwszą osobą, którą ujrzał, wchodząc, była, siedząca naprzeciw drzwi, Klotylda. Na widok jęj strojnęj lecz poważnęj postaci, pochylonęj z uprzejmym uśmiechem ku jego matce, doświadczył uczucia nagłęj radości. Uczucie to odbiło się uśmiechem na smutnych jego ustach i rozpromieniło blade, od zmęczenia, czoło. Klotylda także spojrziała na niego, gdy wchodził i przez chwilę spotkały się z sobą ich oczy.

Między pannami ruch się zrobił: naiwna Magdzia zarumieniła się po uszy, Elfryda szerzję wionęła falbanami i zasznurowała usta, Zenobia melancholicznie oparła łokieć na stole, a czoło na dłoni i rzekła do siostry:

— *Elfride! il me se fait faible!*

Elfryda nic nie odpowiedziała, aby nie popsuć układu ust.

Ale Lucyana nie spojrział nawet na dziewicze grono, lecz podszedł do stojącego we drzwiach drugiego pokoju księdza Stanisława i, ściskając ręce proboszcza, wieszował mu imienin.

Potém zwrócił się do matki, a całując jęj rękę z miłością, spojrział w jęj twarz i rzekł:

— Moja droga mateczka, pewno swoim zwyczajem, niepokoiła się o mnie.

— Żebyś się ty nie zaraził tylko tym tyfusem — odrzekła Dolewska, całując czoło syna.

— O, zdrow jestem, jak nigdy! — odpowiedział Lucyan i zwróciwszy się ku Klotyldzie, podał jej rękę na powitanie.

— Co to za in-dy-wi-du-um? — spytał pan Rodryg Barszcza.

— To doktor — odszepnął totumfacki.

— Aha! fel-czer!

— Nie, doktor.

— To wszystko jedno.

Tak zdecydowawszy, panicz z pince-nez zwrócił się znowu ku Klotyldzie; ale o zgrozo! ujrzał ją, ją, która nie raczyła do niego dziesięciu słów przemówić, zajętą żywą rozmową z fel-cze-rem.

Lucyan stał za krzesłem pani Warskiej i, pochylony nieco ku niej, opowiadał jej o czémś z uśmiechem, a ona, zwrócona ku niemu, słuchała go z zajęciem i odpowiadała z widocznym ożywieniem. Rozmowa ta, bardzo zresztą naturalna, ściągnęła baczność wszystkich.

— Uważasz sąsiadka, dwóch razem łowi! — szepnęła Jęczmionkowska-matka.

— Dwa grzyby w barszcz — odrzekła ta sama pani, która wprzód wypowiedziała przysłowie: „sławny bęben za górami”. Wyraźnie wcielił się w nią duch nieboszczyka Szanso-Pansa.

A wzrok panien Jęczmionkowskich, w miarę jak się przedłużała rozmowa Klotyldy z Lucyanem, zapalał się niechęcią. Zenobia melancholicznie wyrzekła w duchu na niewdzięczność mężczyzn, a Elfryda zaczęła żałować różowego muślinu, darowanego córce Grodzickiej, w celu zwabienia powabnego doktora okazaną dobroczynnością.

— *Elfride! il me se veut dormir* — ozwała się z przekąsem Zenobia.

— Możesz się położyć i spać, pewno nikt na ciebie nie spojrzy — ze złością odrzekła siostra.

— Nowe sitko na kołku — wtrąciła obok siedząca panna, córka Szanso-Pansa w metampsychozie, wskazując na Lucyana i Klotyldę.

— Patrz sąsiad, jak ta ładna bestyjka bałamuci naszego doktora — zauważył Harasimowicz młodszy na ucho panu Barszczowi.

— Będzie romansik! — odrzekł ten, uderzając językiem w podniebienie.

O prowincyo! piękna jesteś ze swemi wioskami o szerokich polach i ciemnych, wonnych lasach; piękna prostotą serc ludowych, rzewna mozołem i łzami biednych.

Na tle twojém poeci snują sielanki, śród ciszy twój mędrzec lubi w badaniach utonąć, a kochankom błogo przepędzać chwile miłosne.

Lecz, o prowincyo! straszna jesteś przesądami swemi, okropna plotkami i pretensjami swoich mieszkańców, które, jak ospa szpecą i psują piękne twe oblicze. Plagą jesteś dla tych, którym pozazdrościsz piękności lub wyższego rozumu.

I nie wstydz się tobie śmiesznośtek, płynących z niezgrabności zewnętrznej i braku ogłady, bo pod grubą powierzchnią może się kryć serce złote; ale wstyd niech ci będzie twoich żądań kłujących boleśnie, twoich zazdrości, potwarzy i nieprzełamanych przesądów!...

O, gdyby serca twoich mieszkańców były tak szerokie, jak twoich pól rozłogi; gdyby ich umysły rozjaśniły się światłem prawdziwem tak promiennie, jak pod wiosennem słońcem rozjaśniają się złote kobierce łąk twoich i drżące młodemi listkami głębie twoich gajów; gdyby ludzie, którzy cię zamieszkują, żyli ze sobą w takiej zgodzie, jak ptaszki unoszące się nad głowami rolników i byli tak pełni prostoty, jak piękna przyroda twoja — wtedy, prowincyo, była-byś rajem na ziemi!

Ale niestety! póki nie przechorujesz swojej ospy, dopóki panie Jęczmionkowskie, panny Elfrydy i Zenobie, panowie Wiercińscy i Barszcze istnieć i puszyć się będą na łonie twojém, — póty, prowincyo, od wschodu do zachodu słońca codziennie módl się do Boga słowami poety: „Światła! światła! i jeszcze światła, o Panie!

Bóg wie do jakiego stopnia doszły-by sentymentalno-rozdrażnione komplikacje, sprawione między gośćmi księdza proboszcza tém, że dwoje ludzi z zajęciem rozmawiało ze sobą, gdyby na szczęście organista z pomocą wiejskiej dziewczyny nie wniósł na środek bawialni stołu nakrytego, na którym po chwili ukazała się przekąska.

Ksiądz Stanisław zapraszał gości na podaną wędlinę, séry, mleko kwaśne i zrazy zawijane.

— Czém chata bogata, tém rada — mówił proboszcz, wskazując stół gościom; — a może panowie wódeczki napiją się przed śniadaniem? — dodał, zwracając się do mężczyzn.

— Broń Boże! ani kropelczki — zawołał z oburzeniem Harasimowicz Dyonizy. — Doktorowie pod karą śmierci zabronili mi używać trunków.

To mówiąc, cofał się ku drzwiom i zniknął w sieniach.

— Czemuż to pan Lucyana nie był na nabożeństwie? — pytała pani Jęczmionkowska, pół-ukryta za górą zrazów, które sobie położyła na talerz.

— Nie mogłem, pani, odstąpić wcześniej od chorego, bo o jedenastej dopiero nastąpiło przesilenie gorączki, a że to dobre dwie mile...

— A cóż ksiądz proboszcz mówi na taki brak nabożeństwa w panu Lucyanie? — zagadnęła inna dama, piastując w rękę olbrzymią porcją chleba razowego z masłem i wędliną.

— Ja na to powiem — odrzekł ksiądz Stanisław — że wiara bez uczynków martwą pozostaje i że najmiłszą Bogu modlitwą jest czyn pocziwy.

— Czy będę dość szczęśliwy, aby mózż *prezentować* pani cokolwiek? — spytał pan Rodryg Klotyldy, do której raz przecie mógł dostąpić.

— Dziękuję panu, mam już wszystko czego mi trzeba — odpowiedziała pani Warska, nie odwracając głowy.

— Sądzę, że pani tego jeść nie będzie, to *degutujące!* — rzekł, wskazując zrazy.

— Owszem, jest to rzecz wyborna — odpowiedziała dziedziczka Jodłowej i, posuwając swój talerz w stronę Lucyana, rzekła z uśmiechem:

— Panie Dolewski, czy mogę pana prosić o położenie mi na talerz téj potrawy?

Pan Rodryg wzdygnął się cały, widząc, że jeść będzie zrazy i że prosiła o nie *felczera*. Spojrzał na Lucyana przez pince-nez wzrokiem bazyliuszka i znowu rozpoczął rozmowę z piękną swoją sąsiadką.

— Jakże się pani podoba *sezurnowanie* na wsi?

— Ja bardzo wieś lubię.

— Co do mnie, jestem *zdegutowany* i jedynie tylko potrzeba *skomparowania* raportów ludzi zarządzających memi dobrami, mogła mnie *zobligować* do *prolongowania* mego tu pobytu. Podobna *rekluzya* nie może *kontentować* gustu człowieka, który *strawersował* całą Europę. Pani zapewne podziela moją opinią? *n'est-ce pas, madame?*

To powiedziawszy, spojrział na Klotyldę, czekając odpowiedzi; ale śmiertelna zdjęła go zgroza, gdy ujrzał, że nie uważając na jego tyradę, jadła w najlepsze swoje zrazy, z uwagą słuchając opowiadania siedzącej obok niej pani Dolewskiej, o tém, jaki jój Lucyś dobry, jaki rozumny, jak ją kocha i t. p.

Ale panny Elfyda i Zenobia nie jadły zrazów, broń Boże! nie jadły nawet mléka, choć miało minę poetyczniejszą, więcej jakoś pasterską od mięsa. Umierały z głodu, patrząc na zastawione przed nimi proste lecz smaczne potrawy, a niczego nie tknęły, bo za nic w świecie nie zdecydowały-by się jeść przy liczném zebraniu, a szczególnie w obecności powabnego doktora. Więc nic nie jadły biedne ofiary dziewiczej idealności, a w duchu pocieszały się myślą o kołdunach, które miały być w domu na obiad.

Każda z nich obiecywała sobie, że zje ich najmniej piętnaście i zakąsi porządnym kawałem baranięj pieczenia.

Za to mama Jęczmionkowska nie spuszczała się na przyszłość, ale, używając w terażniejszości tego, co Bóg dał, połykała zrazy jeden po drugim jak pigułki, kiedy niekiedy złośliwe spojrzenie rzucając na Klotyldę.

Harasimowicz Onufry, siedząc obok panny Zenobii, starał się z całej siły rozweselić melancholiczną sąsiadkę, obiecywał jój zaśpiewać po śniadaniu: „Pytasz mnie, Klimento” i zapytywał czy nie ma niestrawności, że nic nie jé. Na co Zenobia odwróciła twarz panieńskim rumieńcem zalaną i rzekła przez ząbki:

— Otóż pięknie bardzo! jakie pan Onufry dziś *głupstwa gada!*

A Harasimowicz Dyonizy stuknął łokciem Barszcza i szepnął:

— Braciszek, panie, w umizgach; piękny mi adonis! he?

Nareszcie całe towarzystwo wstało od stołu i o zgrozo! płeć piękna ujrzała znowu Lucyana, stojącego za dwoma krzesłami, na których obok siebie usiadły Klotylda i jego matka i prowadzącego z panią Warszawską żywą rozmowę, do której mieszała się też i Dolewska.

Na twarzy staruszki rozlewała się radość; dojrzała ona, że Klotylda bogatego i wymuskanego pana Rodryga traktowała bardzo obojętnie, a z synem jej rozmawiała prawie ciągle i z widoczną przyjemnością.

Serce matki uderzyło dumą, na widok tej kobiety pięknej, rozumnej, świetnej i bogatej, publicznie okazującej jej synowi tyle szacunku i życzliwości.

Lucyan dojrzał to rozpromienienie twarzy swej matki, i wzrok jego zdawał się do niej mówić:

— Nieprawda, że ona jest śliczna i dobra, jak anioł?

— Niechże pani sama osądzi — rzekła wesoło Klotylda, zwracając się do pani Dolewskiej — czy to jest grzecznie ze strony pana Dolewskiego, że mię dotąd raz tylko odwiedził?

— On zawsze taki zajęty... — tłumaczyła matka.

— Za karę musisz pan być u mnie dzisiaj na obiedzie.

— Radbym serdecznie korzystać z zaproszenia pani, ale dziś nie mogę.

— Dlaczego pan nie możesz? — spytała, badawczo patrząc w twarz młodego człowieka.

— Stan pacjenta mego, pana B., wymaga jeszcze mojej obecności, i chociaż przesilenie choroby szczęśliwie wróży, muszę przecież wracać doń na dni parę.

— I pan dziś tam pojedziesz?

Lucyan spojrział na zegarek.

— Za godzinę, pani — odpowiedział.

— I niczym nie można odwieść pana od tego postanowienia?

— Niczym, pani.

— Panie Dolewski, szanuję pana za to — rzekła Klotylda, po krótkiej chwili milczenia, przez którą z dziwnym wyrazem patrzyła w twarz doktora — jesteś pan człowiekiem czynu — dodała i wyciągnęła do niego rękę.

Twarcz Lucyana zajaśniała takim wyrazem szczęścia, jakby się niebo przed nim otworzyło. Ujął podaną sobie rękę i poniósł ją do ust. W tej chwili zapomniał o istnieniu otaczających go ludzi: widział tylko jedną kobietę, słyszał tylko jeden głos.

O kilka jednak kroków od nich stał ktoś, co widział i słyszał wszystko i, zachmurzywszy czoło, dziwnie badawczo a podejrzliwie spojrział na Klotyldę.

Był to ksiądz Stanisław.

Reszta zebrania nic nie widziała i nie słyszała, bo właśnie w tej chwili rozległy się prośby, zwrócone do pana Harasimowicza młodszego, aby zaśpiewał.

— Czy pan Onufry ma z sobą gitarę? — pytała z kanapy pani Jęczmionkowska.

— Nie pamiętam dobrze, czym ją wziął ze sobą, pani dobrodziejko — odpowiedział, rumieniąc się z radości pan Onufry.

— O, niechże pan zobaczy w swojej nejtyczance! — zawołała Elfryda, fruując ku niemu falbaną.

— Prawdziwie, pani dobrodziejko... nie wiem, czy śpiew mój... — zaczął Onufry, zacierając niby z zakłopotaniem ręce.

— O, niech-że pan będzie łaskaw, niech-że pan będzie łaskaw! — ozwało się kilka głosów.

— Nie należy odmawiać bliźnim Bożych darów, które się posiada — zawyrokowała z kanapy skarbnica przysłów.

— Oh — westchnęła Zenobia, zerkając na Lucyana — pan zaśpiewasz nam coś melancholicznego; ja tak lubię śpiew melancholiczny, szczególnie w pewnych chwilach.

Skonwinkowany temi błaganiami wiejski artysta, uklonił się damom z wszelką możliwą galanterią, wykonał zręczną piruetę na jednej nodze i wyszedł za drzwi; po chwili ukazał się znowu w pokoju z gitarą w objęciu, z głową pochyloną i powolnym krokiem przeszedłszy pokój, usiadł obok panny Zenobii i zanucił smętnie:

„Po stracie szczygła nieszczęsna szczyglica...”

Gdy przebrzmiały ostatnie dźwięki znakomitej aryi, Klotylda pierwsza pożegnała księdza proboszcza, i po chwili karetka jęj znikła z dziedzińca plebanii.

Po nięj szybko rozjechali się wszyscy. Arka pani Jęczmionkowskiej, poważnie toczyła się po piaszczystęj drodze, piszcząc żelaztwe, jak dusza w czyścü cierpiąca, a rozgniewana mama mówiła:

— Przebrzydła *kukietka!* swemi minami i strojami zakasowała was. A ten głupi Dolewski, to już dla nięj tylko miał oczy. Myśli, że poumieracie z desperacyi, czy co? Ot, wielka mi osobliwość, syn aptekarza! a że się dochrapał doktorstwa, to już zaraz i do wielkiej pani w pretensyach!

— Mamo — ozwała się sentymentalna Zenobia — czy tylko z pewnością mama kazała Małgosi kolduny dziś na obiad zrobić?

A w eleganckiej amerykance Rodryg Wierciński pienieł się ze złości.

— A to scena prawdziwa! — wołał do Barszcza, burząc zapiekaną fryzurę — czy widziałeś? Wszak traktowała mię *en chien*, miała oczy tylko dla tego felczera. No, zjé dyabła, jeżeli mnie zobaczy w Jodłowęj! Żeby teraz uklękała przede mną, prosząc, nie pojedę!

— Tego ona i chce podobno — pomyślał w duchu Barszcz, a głośno dodał:

— Naturalnie, że nie warto; albo to pan taką partją możesz zrobić, jak zechcesz. A czy nie zajedziemy do Lejby, wziąć buteleczkę tego doskonałego miodu, co to onegdaj przywiózł go do Wiercina?

A pani Dolewska szła z plebanii do domu, w towarzystwie Owsickiej i syna.

— Czy wie pan Lucyan — wołała pani Anna — że ja z panią Warską jechałam w jednym wagonie do Warszawy, i nic nie wiedziałam o tém?

— A to kiedy?

— A wtedy, kiedy to i przyjaciel pana Lucjana jechał, jak się nazywa?...

— Karłowski?

— To, to, to, Karłowski! Otóż ja jechałam, panie mój kochany, on jechał i ona jechała, ale tak zasłoniła się welonem, że i twarzy jęj widać nie było.

— Czy to było wtedy, jak Karłowski wracał z N. do Warszawy?

— A wtedy, wtedy, jak dziś pamiętam.

Lucyanowi dziwnie się jakoś zrobiło. Przypomniał sobie historją o kameleonie i poczuł ściśnienie serca na myśl, że kameleonem tym mogła być właśnie Klotylda.

— A zkądże pani wie, że to była pani Warska? — zapytał.

— Marylka mówiła mi, że ona sama, ubierając się raz, powiedziała jęj: czy wiesz, że jechałam do Warszawy z twoją ciotką w jednym wagonie?

— Czy nie było z państwem innęj jeszcze damy?

— Nikogusieńko, tylko ja, ona i pański przyjaciel.

— A czy miała wtedy jaki pierścien na ręku? nie uważałaś pani?

— A jakże, ten sam co dziś, panie mój kochany, od razu poznałam.

Lucyan przypomniał sobie, że w istocie widział dziś na palcu Klotyldy pierścien z wielkim brylantem. Nie było wątpliwości: pani Warska była tą samą kobietą, która tak żywo zajmowała Karłowskiego.

— Co ty się tak dopytujesz o to, Lucysiu? — spytała Dolewska, ze zdziwieniem słuchając żywej rozmowy syna z Owsicką.

— To długa historia, moja matko — odpowiedział Lucyan i szedł dalej, zamyślony i milczący.

— Lucysiu, trzeba koniecznie, żebyś pojechał do Jodłowęj. Pani Warska tak uprzejmie cię zapraszała — rzekła, na ganku swego mieszkania pani Dolewska.

— Pojadę tam, moja matko, jak tylko wrócę od pana B. — stanowczo odrzekł Lucyan.

V. SIELANKA

I widziały stare drzewa jodłowskiego ogrodu, jak często, codziennie niekiedy, piękna Klotylda przechadzała się pod ich sklepieniem, wsparta na ręku młodego doktora.

A mirty i cyprysy strojące ganek jodłowskiego domu, ciekawie zaglądały wieczorem w głąb wschodniego gabinetu i widziały, jak, pod szafirowém światłem lampy, oparta na

otomance postać kobiety, wdzięcznie rysowała się wśród barwnego tła draperyi, i słyszały stłumiony głos mężczyzny, mówiący do niej o czémś długo, długo...

I widziała figlarna Marylka, jak na przezroczystej twarzy jej pani, wykwiłał rumieniec, ile razy stopy dzielnego gniadosza zatętniały przed gankiem domu; i widział stary Ignacy, jak młody jeździec drżącą z niecierpliwości ręką, oddawał mu cugle wierzchowca; a sam jednym skokiem przesadzał wschody gankowe, aby się coprędzej znaleźć obok pani domu.

I wśród głębokiej ciszy wiejskiej, wśród jasnej majowej pogody, owiana wonią kwiatów i szumem drzew starych, zwolna i słodko snuła się dwojga serc sielanka, w tém tylko różna od innych na ziemi, że na dnie jej leżało snąc cierpienie i były łzy; bo często wieczorem, gdy tętent konia unoszącego Lucyana umilknął w oddali, malowana twarz Madonny widziała kornie schyloną przed sobą głowę kobiety i załamane smutnie jej ręce, a z po-za jodeł, otaczających dziedziniec, wychodziło dziewczę młode i smutne, smutno patrzyło w niebo, z którego gwiazdy nocne przeglądały się w łzach drżących na jej źrenicach.

I było tak miesiąc cały.....

Boże mój, Boże! gdyby spisać historią wszystkich na świecie miłości, jakżeby mało w niej było radosnej treści! A jednak ludzie upornie gonią te szybko gasnące iskry, które zbyt często niestety wiodą za sobą szereg mar ciemnych.....

VI. PYTANIE

Było to już po ósmym Czerwca.

Okolo zachodu słońca, pani Dolewska siedziała na ganku swego mieszkania, z pończochą w ręku, gdy tuż za nią ozwał się pokorny głosik:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen!

— Pokój temu domowi!

— I temu, kto to mówi!

Po tém preludium, pani Dolewska wskazała przybyłej, pannie Zuzannie, ławeczkę naprzeciw siebie.

— Pokornie dziękuję pani aptekarzowej dobrodziejce — z dygami odrzekła Szeherazada — siadę, siadę, bo zmordowałam się porządnie, jadąc w taki upał i do tego prostym chłopskim wozem.

— Gdzież to panna Zuzanna była? — spytała Dolewska, przerywając sobie głośne liczenie oczek.

— A w Jodłowej. Grodzicka mi poradziła, żebym udała się do pani Warskiej, z prośbą o pomoc w mojej biędzie.

— No i cóż? widziałaś panią Warską?

— Ach, moja pani aptekarzowo dobrodziejko — zawołała panna Zuzanna, składając ręce i kiwając swoją małą główką — co ja widziałam, co ja widziałam! śliczności! śliczności! Czy pani aptekarzowa dobrodziejka pamięta mój sen zaraz po Bożém Narodzeniu, że niby to był taki piękny pałac i taki piękny ogród, jak raj niebieski, i że nibyto po tym ogrodzie pan konsyliarz chodził pod rączkę z jakąś taką piękną panią, że aż oczy trzeba było mrużyć patrząc na nią, i że niby to wyskoczyła na nich bestya i pan konsyliarz rozdarł ją na dwoja?

— Pamiętam, i cóż ztąd?

— Otóż rychtyk słowo w słowo ja dziś wszyściutko to na własne oczy widziałam.

— Jakto, i bestyą? — spytała pani Dolewska z uśmiechem.

— A, broń Panie Boże! bestyi nie było, ale taki sam pałac, taki sam ogród i po tym ogrodzie tak samiuteńko pan konsyliarz chodził pod rączkę z panią Warską. A pani Warska to taka była dziś piękna, niby to anioł, w białej sukni i z różowym kwiatuszkiem we włosach.

— A mój Lucyś chodził z nią po ogrodzie?

— A jakże!... Boże mój, Boże! pani aptekarzowo dobrodziejko, ta pani Warska, to anioł! Przywitała się ze mną, jak ze swoją równą, prosiła siedzieć i rozmawiała i obdarowała mnie tak, że przez trzy miesiące przynajmniej, będę miała wszystkiego po uszy. I pan konsyliarz przywitał się ze mną, a potem nic nie mówił, tylko przewracał karty jakiejś książki i spoglądał czasem na panią Warską. A potem wzięli się pod rączki i poszli w aleję,

a ja poszłam do garderoby z Marylką i tylko zdaleka słyszałam, jak pan konsyliarz coś pani Warskiej opowiadał. A co, pani aptekarzowo dobrodziejko, czy nie sprawdził się mój sen?

Podczas tych słów panny Zuzanny, kilka oczek spadło z drutów pani Dolewskiej, a twarz jej miała wyraz to zadowolenia, to obawy; ostatnia snąc zwyciężyła, bo odrzekła pannie Zuzannie dość markotnie:

— Daj Boże tylko, panno Zuzanno, żeby tam na niego żadna bestya nie wyskoczyła.

— Broń Boże! Ogród naokoluteńko zagrodzony i zamknięty; gdzieby tam jaka bestya dostała się do takiego raję.

— Marysiu! Marysiu! — zawołała przezedrzwi pani Dolewska — a podawaj-no samowar! Pewno zaraz pan Lucyan przyjedzie. Pójdź tylko piérwój po bułki, a żwawo, nie tak, jak to ty zawsze łazisz, niby żółw’.

I uderzyła po obu kieszeniach.

— A gdzie są moje klucze? Marysiu, ty mazgaju, poszukaj mi moich kluczów!

W téj chwili w bramie podwórka ukazał się Lucyan, jadący na gniadoszu i, zeskokczywszy z konia pod gankiem, wesoło powitał matkę i jej wielomówną sąsiadkę.

Dzień ów przeszedł mu w Jodłowej bardzo mile. Przybył tam z rana, po trzydniowej niebytności. Klotylda spotkała go we wschodnim gabinecie, strojna, uśmiechnięta i radością zarumieniona, podała mu obie ręce i, patrząc mu w twarz swemi wielkiemi ciemnymi oczyma, rzekła:

— Tak dawno pana nie widziałam! Coś pan tam robił przez te wiekuiste trzy dni?

Usiedli oboje obok siebie na otomance, naprzeciw drzwi od ogrodu, i zaczęli opowiadać sobie wzajem o swoich trzydniowych zajęciach. A mówiąc, patrzyli na kwiaty kołyszące się pod powiewem wiatru, na rojące się wkoło nich żółte i białe motyle, na opromienione słońcem posągi, a niekiedy patrzyli téż i na siebie. Lucyan namiętnem okiem orzucał smukły stan i strojne w różowe kwiaty włosy kobiety; ona wpatrywała się chwilami w jego płonące oczy. Potém przybiegła Magdzia. Gospodarzyła snąc dziewczeczka, bo przy swojej błękitnej perkalikowej sukience miała fartuszek biały. Przybladła nieco w ostatnich czasach i niekiedy w spojrzaniu jej przebijał się jakiś smutek, wesoło jednak śmiała się i szczebiotała.

Podano śniadanie na ganku od ogrodu; jedli je we troje, rozmawiając swobodnie. W godzinę po śniadaniu, Magdzia odbiegła do gospodarstwa, a Klotylda rzekła do Lucyana:

— Pójdźmy czytać w ogrodzie.

— Dobrze, a co będziemy czytali?

I poszli do biblioteki. Klotylda była dnia tego wesoła jak dziecię, a wesołość jej ogarnęła i Lucyana. W bibliotece żartowali ze sobą i śmieli się, jak dwoje dzieci, które nie wspominają przeszłości, o przyszłości nie myślą, lecz cieszą się pięknnością terażniejszej chwili, jakby ona wieki trwać miała. Nareszcie, wybrawszy jedną w angielskich powieści, poszli do altany i czytali, a raczej Lucyan czytał głośno. Dźwiękowi głosu jego wtórowały śpiewy ptaków w gęstwinie i cichy szum gałęzi, splecionych nad ich głowami.

Nic tak nie zbliża dwojga myślących ludzi, jak wspólnie czytana książka. Za jej pośrednictwem patrzą oni na jedne obrazy, doświadczają jednych wrażeń, razem się smucą i razem się śmieją, a po odczytaniu ostatniej karty, spostrzegają, że nietylko przeczytali książkę, ale i siebie wzajem głębiej poznali, ściślej, niż wprzódy, jednocząc się ze sobą najważniejszym i najtrwalszym ze związków — braterstwem myśli.

Wracając z ogrodu, Klotylda i Lucyan układali plan konnej przejażdżki o zachodzie słońca, gdy w większym salonie Ignacy podał Klotyldzie otrzymane z poczty dzienniki i list. Klotylda spojrzała na adres listu i Lucyan dojrzał wyraźnie lekkie zsuniecie brwi i szybki rumieniec. Przeprosiła gościa, iż go zostawi na chwilę samego i z listem otrzymanym wybiegła do swego gabinetu.

Lucyana niemile ogarnęło uczucie, które przeczuciem raczej nazwać-by można. Nic nie mogło być prostszego, jak niezadowolenie pani Warskiej z jakiegoś tam listu i chęć przeczytania go w samotności. A jednak Lucyan dziwnie się zaniepokoił czémś... czém? nie umiał sobie zdać sprawy. Może przelotnym, dojrzanym przez niego, rumieńcem Klotyldy. Zresztą, któż potrafi dokładnie określić te nagłe smutki i obawy, które nieraz bez wyraźnej przyczyny, śród chwil najśladszych nawet, ścisają serce człowieka, jakby przy-

pominając mu, że żyje na ziemi, że zatem wszędzie niespodzianie może ujrzeć przed sobą ciemną twarz nieszczęścia?

Lucyan z dziennikiem w ręku wszedł do mniejszego salonu i na lśniącej posadzce ujrzał rzucony papier. Machinalnie, nie myśląc o tém, co czyni, podjął ten papier i spojrzął nań. Była to koperta, tylko co przez panią Warską otrzymanego listu, którą ona rozdarła i rzuciła.

Na niej były proste słowa adresu: Pani Klotyldzie Warskiej, przez Wilno w Jodłowej, napisane kształtném i wprawném pismem. Wzrok Lucyana przyłgął do nich z takiém wyteżeniem, jakby w nich wyrok swój miał czytać. Powstał z krzesła, na którym siedział, rzucił kopertę na stół i rzekł prawie głośno do siebie:

— Tak! to jest *jego* pismo! Więc oni pisują do siebie!

Przy tych słowach silne cierpienie odbiło się na jego twarzy.

Po godzinie, Klotylda wyszła z gabinetu swego. Wesolość jój poranna pierzchnęła; była zamyślona i nieco smutna, ale wydawała się zupełnie spokojną. Przy obiedzie, poważnie rozmawiali ze sobą o kwestyach ogólnych, a gdy Lucyan przypomniał z rana ułożoną przejażdżkę, Klotylda odpowiedziała, że nie ma usposobienia do konnej jazdy i, siadłszy przy fortepianie, zaczęła śpiewać. Gdy skończyła wielką jakąś aryę, Lucyan rzekł od niechcenia niby:

— Czy pani słyszała kiedy śpiew Karłowskiego?

— Słyszałam — żywo odparła Klotylda, i z pośpiechem dodała:

— Lubisz pan śpiew Schuberta „Les adieux”?

I nie czekając odpowiedzi, pieśń tę śpiewać zaczęła.

Lucyan poczuł znowu niewytlómaczoną wewnętrzną obawę. Uderzyła go szybka zmiana rozmowy i przykro dotknęły wyrazy „Les adieux”.

Ale Klotylda, skończywszy śpiewać, usiadła obok niego i rozpoczęła się między nimi jedna z tych poufnych, serdecznych a spokojnych rozmów, które tak miłe są dla pojmujących się wzajem ludzi.

— Nic w sercu mojem — mówiła Klotylda — zatrzcć nie może słodkiego obrazu mojej matki. Dziecinne lata upłynęły mi obok niej, owiane tchnieniem jój anielskiej dobroci, a sto razy szczęśliwszém byłoby życie moje całe, gdyby jój kochająca i mądra ręka dłużej przewodniczyła moim krokom.

— Szczęśliwszém? — zapytał Lucyan — alboż pani nie jesteś szczęśliwą?

— Tak — zwolna odrzekła — na zewnątrz wszystko każe się domyślać, iż zupełnie szczęśliwą jestem; ale pan wiész zapewne, że nietylko z zewnętrznych okoliczności, ale i z samych siebie czerpiemy zasoby szczęścia, lub nieszczęścia. Są ludzie, którzy śród cierpienia nawet, śród ubóstwa, boleści, posiadają niezmacony niczém spokój ducha; są inni, którym natura wlewa w pierś zarody wiecznego niepokoju. Ci, otoczeni największemi rozkoszami ziemi, zawsze czegoś pragną, za czémś gonią, rwą się do przeczytanych, a niedoścignionych ideałów; zda się, że już chwytają je niekiedy, ale zawodzą się i znowu biegną w świat z radością i pragnącą pierśią. Takim trudno o szczęście; do takich należał ojciec mój i należę ja.

I w ten sam sposób poważny, mówiła długo o ojcu swoim. Potém mówiła o podróżach swoich i ludziach spotykanych, a w rozmowie téj była tak piękna powagą i mimo jój woli przebijającym się smutkiem, że Lucyan zapragnął uklęknąć przed nią i pocałować skraj jój białej sukni.

A gdy tak rozmawiali ze sobą, naprzeciw nich słońce zachodziło i przez otwarte okna, z po-za gałęzi jodłowych, śłało im pod stopy krwawe promienie.

Gdy po rozmowie téj Lucyan powracał do domu, wszystkie obrazy dnia minionego stawały przed nim tak wdzięczne, tak rozkoszne, że pod ich wpływem twarz jego nabrała wyrazu spokojnej radości.

Zaledwie powitał matkę i pannę Zuzannę, Marysia wniosła na ganek samowar, i pani Dolewska, brząkając kluczykami, zajęła się urządzeniem herbaty.

— Jakże ci czas przeszedł w Jodłowej, moje dziecko? — spytała, nie podnosząc oczu od bułki, którą krajala.

— Wybornie, moja matko — swobodnie odpowiedział Lucyan. — Pani Warska jest osobą tak grzeczną i miłą, że znudzić się w jój towarzystwie niepodobna.

— A spodziewam się, spodziewam, panie mój kochany. Chyba był-by malowany kawaler, który-by się znudził z tak śliczną osobą, jak pani Warska — zabrzmiał blisko ganku głos pani Owsickiej, która nadchodziła, niespostrzeżona przez nikogo. — Spodziewam się, że z panią Warską nudzić się nie można — mówiła dalej, zasiadając po przywitaniu się przy stole z herbatą. — Już to i wtedy, jak to ja z nią razem do Warszawy jechałam, choć była zasłonięta i nic nie mówiła, zaraz zmiarkowałam, że to *coś pańskiego*. Bo to, panie mój kochany, dobrze mówił mój nieboszczyk Wicus, świeć Panie nad jego duszą, że pana po cholewach poznać.

— Ale, że też pani Wincentowa nie dowiedziałaś się wtedy, z kim jechałaś — wtrąciła Dolewska.

— Już to ja, panie mój kochany, zachodziłam i ztąd i z owąd, ale ciągle odpowiadała tak, nie, tak, nie, i więcej nic. A właśnie *wizawi* siedział ten przyjaciel pana Lucyana — jak się nazywa?...

— Karłowski.

— A tak, Karłowski, to ja z nim rozmawiałam, bo bardzo grzeczny i przyjemny z niego kawaler.

— A pani Warska nie rozmawiała z panem Karłowskim? — zapytał Lucyan.

— W wagonie ani słoweczka, panie mój kochany, ale potem na foksalu widziałam, że rozmawiali ze sobą; a piękna z nich para była, choć malować.

I długo jeszcze ciągnęła o tym przedmiocie rozmowę pani Owsicka, a po głowie Lucjana przebiegały dziwne myśli.

Postacie Cypryana i Klotyldy, pierśconek jój, znaleziony przez pierwszego, rozmowa ich na banhofie, koperta z pismem Cypryana, rumieniec pani Warskiej przy wzmiankach o nim, wszystko to utworzyło w wyobraźni jego zamęt obrazów, kręcących się wirem w myśli. To też nieruchomym wzrokiem wpatrzył się w przestrzeń i zapomniał o stojącej przed nim szklance z herbatą.

Przy każdym wspomnieniu o Karłowskim, czuł jakby przedsmak gorzkiego obudzenia się z pięknego snu.

Po kilku godzinach, gdy kukawka zegaru oznajmiała północ, Lucyan kończył list następującej treści:

„Dawnom już nie miał wieści od ciebie, kochany Cypryanie, i piszę, aby cię zapytać, co się tam z tobą dzieje. Spodziewam się, żeś zdrow i wesół, jak zwykle, i serdecznie tego ci życzę. Ja tu w mieścinie mojej exystuję, jak mogę, i nie jest mi tak znowu źle. Zobowiąziesz mnie bardzo, jeśli, nie zwlekając, doniesiesz mi o sobie, boć przecie starymi jesteśmy przyjaciółmi, a dawne i dobre stosunki tak wrastają w serce, że czas i oddalenie zniszczyć ich nie mogą. Napisz mi na przykład o tém, jak się skończyła historia twoja z ową panią Kameleon, którą się tak zajmowałeś w czasie bytności mojej w Warszawie. Czyś znalazł tę kobietę, czyś ją poznał i zbliżył się do niej? Oświadczyć ode mnie pełne szacunku ukłony rodzicom swoim, a sam przyjm serdeczny uścisk ręki od przyjaciela twego — Lucjana.

P. S. Ale, ale, o mało nie zapomniałem ci donieść, że w strony nasze, a nawet w blizkie sąsiedztwo N., przybyła przed kilku tygodniami pani Klotylka Warska. Możeś słyszał o niej na wielkim świecie. Niepospolita to osoba.”

Zapięczętował list i kładąc go na stole, rzekł do siebie:

— Rzuciłem pytanie, niech los odpowiada!

VII. ODPOWIEDŹ

I minęło jeszcze dni kilkanaście; sielanka w Jodłowej snuła się ciągle, spokojna jeszcze... do czasu.

A cała okolica brzmiała dziwną, niepojętą dla jój mieszkańców wieścią, że bogata pani Warska rozkochała się w biednym doktorze, że i on za nią głowę traci i t. d. i t. d.

Ulubiona garderobiana pani Warskiej zapomniała o mądrej przestrodze Ignacego i, przyjechawszy do N., na nabożeństwo, szepnęła parę słówek swojej cioci, pani Owsickiej. Ta powzięta od siostrzenicy wiadomość zapakowała do ponsowego worka, razem ze „Złotym Ołtarzykiem” i powiozła ją do pani Rzepowej, przyjaciółki swojej z sąsiedztwa. U pani Rzepowej kilka słoweczek Marylki, zamienionych na dwadzieścia wielkich słów,

połknęło chciwe ucho Harasimowicza młodszego, który, wracając do domu, spotkał pana Barszcza, jadącego konno do Wiercina.

— Czy słyszał sąsiad nowinę?

— Jaką nowinę? — spytał Barszcz z wysokości swego kasztanka.

— Nasz doktor... he? słyszał sąsiad?

— Cóż? nie słyszałem.

— Zaczłapał się po uszy w tój ładnej *bestyjce*...

— W kimże to?

— A no, w mojej znajomój, w pani Warskiej.

— Nie może być! A ona?

— A i ona zakochana w nim szalenie.

— No proszę, i cóż z tego będzie?

— A cóż? może pobiorą się.

— Dyabła tam! A na co to jój potrzebne? — zdecydował Barszcz i pojechał.

Przybywszy na miejsce, rzekł do pana na Wiercinie:

— Czy pan wiesz o awanturze?

— O jakiej awanturze?

— Pani Warska... coś... tego...

— Aha, ta z zadartym nosem! No cóż?

— Coś tego... tego... rozumiesz pan? *skompromitowała się*.

Ostatni wyraz akcentował z dumą; niedawno wyuczył się go z mozołem wymawiać od pana Rodryga.

— Nie może być! — zawołał, z radości podskakując na krześle, Rodryg, który serdecznie nienawidził pani Warskiej za swoje omylone nadzieje. — I z kimże to tak, co?

— A rozumie się, z pięknym doktorem — odparł Barszcz, smokcąc kostkę od kotleta.

— Ha, ha, ha! *sacre bleu!* Tak nosa zadzierała, a z felczerem... Barszcz! weź jeszcze jeden kotlet za nowinę.

Nazajutrz Wierciński z Wiercina pojechał do państwa Jęczmionkowskich. Miał on wielkie o sobie rozumienie i wielkie na przyszłość zamiary; ale jako człowiek, który *strawersował* całą Europę i był *zdegutowany* wsią, potrzebował *dystrakcyi* i prowadził romans „*sous main*” z panną Zenobią Jęczmionkowską. Po jego ztamtąd wyjeździe, pani Jęczmionkowska piechotą poszła do najbliższej sąsiadki, która widziała Klotyldę na odpuszcie, i zakomunikowała jój, po długim opowiadaniu, że pani Warska... Panny Jęczmionkowskie, którym przed rozmową matka powiedziała: — „*Sortez vous en, mes filles*” — podслуchały wszystkiego pode drzwiami i, wróciwszy do domu, opowiedziały, co słyszały, swojej Kaśce, którą pompatycznie zwały panną służącą. Kaśka nie miała nic pilniejszego do zrobienia, jak opowiedzieć całą rzecz lokajowi Pawełkowi, który dnia owego, zdjąwszy quasi-liberyą Jęczmionkowskich, woził niepięknę rzeczy z obory na pole. Głupowaty Pawełek, chichotając, opowiedział wszystko, co posłyszał od Kaśki, ekonomowi, który bardzo lubił, „jak mu bajki gadali”, a ekonom przy kolacyi ubawił całą tą historią swoją żonę. Nazajutrz pani ekonomowa pojechała do N.; po drodze spotkała panią Owsicką i oznajmiła jój, iż wie z *najpewniejszych* ust, że ślub pani Warskiej z panem Dolewskim odbyć się musi wkrótce... że pani Warska zdesperowana i t. d. i t. d.

O prowincyo! jakże ty się kochasz w wielkości! Jesteś żabą, a dmiesz się, aby dorównać wołowi; chwytasz muszkę, a czynisz z niej słonia! Wołowi nie dorównasz, a staniesz się tylko pękata pretensją i złością. Lecz ileż nieszczęsnych muszek zadusisz w jadowitym uścisku swych języków!

Pani Owsicka, usłyszawszy tę historią, plunęła i pochwyciła się za głowę.

— A, panie mój kochany! — krzyknęła, — cóż to za koszalki opałki! A toż niestworzone rzeczy powymyślali. Zgiń maro, przepadnij, z takimi językami, co i ją krzywdzą, i jego!...

I poczciwa babina, przypomniawszy sobie, że była piérwszą przyczyną „koszałek opałek”, bo pod *sekretem* powiedziała pani Rzepowój, że Lucyan Dolewski często w Jodłowej bywa, wyjęła wielką szpilkę z *pultynka* i nakłuła nią sobie język, a potem, zamknąwszy swoje oburzenie do ponsowego worka ze „Złotym Ołtarzykiem”, pobiegła do matki Lucyana.

— O ratuj mnie, święty Antoni Padewski! — zawołała, wbiegając do sypialnego pokoju pani Dolewskiej i padając na stół; — otóż powymyślali dziwota na biednego pana Lucyana, otóż nabajali, że aż uszy bolą słuchać!

— Jezus Maryja! cóż to takiego? co mogli złego powiedzieć o moim Lucysiu? — zawołała przestraszona pani Dolewska.

Pani Anna opowiedziała historią o przyspieszonym ślubie... i t. d.

Matka Lucyana schwyciła się za głowę.

— A to horrendum, moja pani! — zawołała. — Tak krzywdzić kobietę i posługiwać się do tego imieniem mojego syna, który ją czci i szanuje, jak świętą jaką! Ja jemu to wszystko powiem; jego noga nie postanie już w Jodłowej.

W kwadrans potem Owsicka zasapana poszła do domu; worek jej był lżejszy, bo wyrzuciła zeń swoje oburzenie, które zato boleśnie zaciężyło na szlachetnym sercu matki Lucyana.

Młody doktor był nieobecny; wyjechał z N. do jednego ze swych pacjentów. Pani Dolewska dnia tego dwa razy więcej gderła na Marysię, oparzyła sobie rękę gorącą wodą i co chwila gubiła kluczyki; ale gdy upłynęło parę godzin, a Lucyana nie wracał, gniew jej zaczął opadać i poczuła, że nie będzie miała siły zmartwić syna dla „głupich ludzkich gawęd”.

Po południu przyjechał Lucyana, a na jego widok Dolewska ostatecznie zdecydowała w duchu, że nie może „biedaka martwić”; postanowiła tylko dowiedzieć się „co tam między nimi zachodzi”. Bo lubo ani przez chwilę nie uwierzyła w to, co mówiono, toć przecie i ją dziwiło częste bywanie Lucyana w Jodłowej. Myślała sobie kilka razy: „a może się pobiorą!” ale przychodziła rozważa: „ona taka bogata!” — „I cóż ztąd, że bogata?” — odzywała się duma matki: „a on rozumny, piękny, poczciwy i mógłby także zostać bogatym przez pracę i umiejętność, gdyby gdzie w szeroki świat wyjechał”.

Rozmyślała tak nieraz pani Dolewska, robiąc pończoszkę, albo krzątając się koło gospodarstwa i czekając powrotu syna z Jodłowej, ale ani razu o nic go nie zapytała.

— A nuż, myślała, jemu przykro będzie, że się ja w jego sprawy mieszam.

Ale w dniu, w którym Owsicka ciężar zebranych plotek wyrzuciła ze swego worka na macierzyńskie jej serce, postanowiła zapytać Lucyana o wszystko.

— Może oni i kochają się, gołąbki — myślała. — Niech im Bóg i Najświętsza Panna błogosławi. Ale co z tego będzie? Już to on taki rozumny, to musiał wszystko dobrze obmyśleć; niechże i mnie powie.

Po obiedzie Dolewska wyszła do bawialnego pokoju i zawołała syna.

— Lucysiu, moje dziecko — rzekła, siadając na kanapie, — siadaj tu obok mnie, mam z tobą do pomówienia.

— Co mi powie moja kochana mateczka? — zapytał Lucyana, siadając przy niej i całując jej rękę.

— Widzisz, moje dziecko — mówiła matka, — Owsicka była dziś u mnie i mówiła...

— Zająknęła się, patrząc w twarz syna i nie wiedząc, jak ma przystąpić do swego pytania.

— Cóż mówiła Owsicka? — spytał łagodnie Lucyana.

— Mówiła, że... że ty tak często bywasz w Jodłowej...

— Alboż się kiedy z tém kryłem przed tobą, moja matko? — rzekł Lucyana z uśmiechem.

— Broń Boże! moje dziecko; ja też nie dla tego to mówię. Ale widzisz, ludzie gadają...

— Cóż ludzie gadają?

— Że ty, moje dziecko, kochasz się w pani Warszawskiej.

— I cóż ztąd, że ludzie o tém mówią? — spytał Lucyana po krótkim namyśle, w czasie którego wzruszenie odbiło się na jego twarzy.

— Nic, nic, moje dziecko, — żywo odparła Dolewska, spostrzegłszy zmianę w twarzy syna i drżąc na myśl, że mu sprawiła przykrość. — Ale widzisz, jabym chciała wiedzieć... czy to prawda.

Lucyana wstał, milcząc, przeszedł parę razy przez pokój, a potem, stając przed matką, rzekł stanowczym głosem:

— Ludzie prawdę mówią, moja matko. Ja kocham panią Warszawską.

Dolewska złożyła ręce, jak do modlitwy, i przez kilka chwil patrzyła na syna, milcząc.

— I cóż z tego będzie? — spytała cicho.

— Nie wiem, — odpowiedział Lucyan.

— A onaż, czy ciebie kocha? moje ty dziecko jedyne.

— Nie wiem, matko.

— Jakto, nie wiesz? czyście nigdy ze sobą o tém nie mówili? Już téż, kiedy ją kochasz, to, zwyczajnie jak między młodymi, musieliście o tém mówić ze sobą.

— Nigdy, moja matko.

— A czy ty wiesz, Lucysiu, co ludzie jeszcze mówią?

Lucyan milczał.

— Ludzie mówią — ciągnęła Dolewska, — że ty się żenisz z panią Warską.

Na te jój słowa nagły rumieniec zalał twarz Lucyana; usta mu drgnęły.

— Moja matko — odrzekł po chwili, — nie myślałem dotąd nigdy, do jakiego końca doprowadzi mię miłość moja dla pani Warskiej. O miłości téj nigdy jój nie mówiłem, ale prawdą jest, iż kocham ją całą siłą mojej istoty. Ty wiesz najlepiej, moja matko, że oprócz ciebie, *ona* jest pierwszą kobietą, którą kocham; jakkolwiek skończy się nasz stosunek, *ona* téż będzie ostatnią. Czuję, że w miłość dla niej wlałem całe uczucie, do jakiego zdolne jest moje serce.

Mówił to stanowczo, ale trochę zniżonym przez wzruszenie głosem, a serce matki odgadło wszystko, czego nie dopowiedziały jego słowa. Zdjęło ją snąc przykre uczucie obawy, bo westchnęła ciężko i rzekła:

— Daj Boże, mój Lucysiu, aby się to wszystko szczęśliwie skończyło. Ja ci rad dawać nie będę, sam lepiej wiesz ode mnie, jak w tym razie masz postępować. Ale chciała-bym przecie, abyś się już dowiedział o swoim losie, bo ludzie powiadają, że w miłości złe, im później przychodzi, tém gorzej, a dobre, jeśli ma przyjść, to niech przyjdzie jak najprędzej.

To mówiąc, wstała, przyciągnęła głowę syna do swojej piersi i, położywszy na niej znak krzyża, pocałowała jego czoło.

Była już u drzwi, gdy uderzyła się po obu kieszeniach i zawołała:

— A gdzie są moje klucze? Lucysiu, moje dziecko, poszukaj-no moich kluczy.

Ale pierwszy raz w życiu Lucyan nie spełnił tego rozkazu matki, bo go nie słyszał. Stał u okna, z oczyma wpatrzonemi w przestrzeń, a w myśli szaloném kołem wirowały mu słowa matki:

— Ludzie mówią, że ty się żenisz z panią Warską.

Pani Dolewska sama znalazła klucze na kanapie i wyszła z pokoju, brząkając niemi, a po chwili Lucyan na gniadoszu swoim wyjeżdżał z miasteczka drogą ku Jodłowej.

Matka Lucyana, sama nie wiedząc o tém, dołała, według przysłowia, oliwy do ognia. Bo taką jest nieubłagana logika namiętności, że dopóki nie otrzyma przedmiotu swych pragnień, niema dla niej spokoju, niema stagnacyi. Coraz silniejsza i bardziej gwałtowna, wzrasta, aż dojdzie do swego kulminacyjnego punktu. Wtedy lada słowo, lada drobnostka potęguje ją tak, że pierś ludzka staje się dla niej za ciasną i musi objawić się wtedy na zewnątrz, jak długo w wulkanie wrzący podziemnie ogień. Miłość Lucyana dla Klotyldy szybko dążyła do kulminacyjnego punktu, popchnęły ją doń słowa matki.

Kiedy młody doktor zatrzymał w Jodłowej spienionego konia pod gankiem, słońce miało się ku zachodowi. Spotkawszy Ignacego, Lucyan zapytał go o panią Warską, a otrzymawszy odpowiedź, iż „pani jest w swoim gabinecie”, szybko przebiegł salony. W gabinecie nikogo nie znalazł i wyszedł na ganek.

Pod cieniem jednego z rozłożystych drzew mirtowych, na szlezongu, okrytym ponsowym aksamitem, leżała Klotylda. Oczy miała zamknięte, a w pół otwarte usta; długie rzęsy rzucały cień na lekko zarumienioną twarz; wkoło ust krążył uśmiech. Z za przezroczystej białej koronki widać było, jak pierś jój podnosiła się zwolna i spokojnie; jedném ramieniem, z którego się osunął szeroki koronkowy rękaw, otoczyła sobie głowę, druga ręka leżała na książce otwartej, wśród fałdów jój sukni. Gałęzie mirtu pochylały się nad nią, zdobiąc jój włosy i suknię zielonemi listkami.

Zmęczona upałem dziennym, a może konną jazdą, której oddawała się z cechującym ją we wszystkiém zapalem, ukołysana ciszą, zarumieniona, uśmiechnięta do snu swojego, owiana bielą i zielenią orzucona, ukazała się oczom Lucyana.

Młody człowiek cicho się zbliżył do szlezonga i stanął ze wzrokiem przykutym do obrazu, jaki mu się ukazał.

Stał i patrzył — i stracił pojęcie czasu i miejsca. Coraz bardziej płonąącym wzrokiem ogarniał uśpioną kobietę. Nagle ugiął kolano i namiętnie przycisnął do ust przezroczyście fałdy jęj sukni. Ale jakby sam przeląkł się tego, co uczynił, powstał szybko i zbiegłszy z ganku, zniknął w zakręcie alei.

Miłość jego doszła już była w owęj chwili do swego kulminacyjnego punktu.

Klotylda otworzyła oczy, przesunęła ręką po rozrzuconych nieco włosach i, oglądając się wkoło, rzekła do siebie:

— Dziwna rzecz, zdawało mi się, że *on* tu był! Musiało mi się śnić chyba.

Wstała, poprawiła fałdy sukni i, nucąc półgłosem, zeszła z ganku.

Słońce się zniżalo, czerwonymi promieniami przemykając się gdzie niegdzie między gałęzmi jodeł. Klotylda przeszła kilka alei i, zbliżając się do stawu, ujrzała, stojącego nad nim w zamyśleniu, Lucyana.

— Tak, to *on* tam był, — szepnęła do siebie; — nie widziałam go, ale przeczulałam.

Potém, zbliżywszy się żywo, rzekła:

— Dobry wieczór panu.

Lucyan odwrócił się i, ujrawszy Klotyldę, odrzekł, podając jęj rękę:

— Witam panią.

Powitanie to z obu stron było bardzo proste i zwyczajne, ale w twarzach swoich i spojrzeniach młodzi ludzie musieli wzajem dziwne wyczytać rzeczy, bo oboje poczuli, że nadszedł kres spokojnej ich sielanki, że ostatnie jęj słowo miało być wyrzeczone.

Lucyan wszakże opanował się i piérwszy przerwał milczenie, mówiąc o rzeczach obojętnych; poszli dalej obok siebie, wązką śród trawnika ścieżką i obeszli parę razy gładką szybę stawu. Od czasu, gdy się poznali, piérwszy raz rozmowa im nie szła; Lucyan gwałtownie bladł chwilami, Klotylda rumieniała się.

Słońce zaszło zupełnie, mrok zapadł.

— Pójdźmy do domu, bo czuję chłód, — rzekła Klotylda.

Powietrze jednak było bardzo ciepłe.

We wschodnim gabinecie paliły się już szafirowe lampy, a światło ich, płynąc przez drzwi otwarte, rzucało błękitny odbłask na kanapę, stojącą na ganku, pod dużém drzewem kwitnącej pomarańczy.

Klotylda, milcząc, usiadła na tęg kanapce i wskazała Lucyanowi miejsce obok siebie.

— Dziwnie zmęczoną czuję się dzisiaj, — ozwała się po chwili, przesuając ręką po czole.

— Zdaje mi się — odrzekł Lucyan — że pani jesteś smutna.

Klotylda rzeczywiście miała oczy ciągle spuszczone, a gdy je podnosiła, migotał w nich taki dziwny blask, jakiego dotąd Lucyan w nich nie widział.

— Tak, smutna dziś jestem, — rzekła znowu po krótkim milczeniu.

Piérwszy raz Lucyan z ust jęj usłyszał to wyznanie. Pochylił się nieco ku nięj i, patrząc w jęj twarz, rzekł powoli i zcicha:

— Smutek pani widzę nieraz; nie znam jego powodów i wiem, że nie mam prawa o nie pytać. A jednak dałbym za to życie, żeby go od pani usunąć.

Klotylda nie odpowiedziała, tylko ręką zakryła oczy. Lucyan w obie swoje dłonie ujął drugą jęj rękę. Klotylda nie wzbraniała mu tego. Zbliżenie takie, piérwszy raz zaszło między nimi; to też głos młodego człowieka drżący był od wzruszenia, gdy znowu mówić zaczął:

— Dla czego pani nie chcesz przelać części swego cierpienia w oddane ci a gorące serce? Czy pani wieśz, że najwyższą rozkoszą dla mężczyzny jest bronić od trosk i smutków życia ukochaną kobietę? Piérwszy raz, kiedym panią ujrzał, byłaś we łzach; często bywasz smutną i dziś taką jesteś, a mnie to tajone cierpienie pani gorącą lawą w pierś płynie...

Nie mógł mówić dalej, bo ręka Klotyldy zadrżała w jego dłoniach i magnetyczne to drgnięcie głos mu stłumiło. Odsoniła oczy i zwróciła je płonące na Lucyana. Pod niebieskim promieniem lampy twarz jęj bladła i rumieniała się naprzemian, usta otworzyły się przyspieszonym oddechem. Kilka razy chciała coś mówić, i znów wstrzymywała się.

Patrzyli tak na siebie przez chwilę, gdy nagle Lucyan poczuł silny, konwulsyjny uścisk jęj dłoni; dwie błyskawice strzeliły mu z oczu: przycisnął do siebie gorącą rękę Klotyldy i, schylając się ku nięj, rzekł gwałtownie:

— Klotyldo! ja ciebie kocham!

Namiętność przekroczyła punkt kulminacyjny i wybuchnęła na zewnątrz słowem.

Widoczne drżenie przebiegło całe ciało Klotyldy; pochyliła głowę, ukryła twarz w dłoniach i cicho jęknęła:

— Boże mój, Boże! zlituj się nade mną!

Lucyan drżącym ramieniem otoczył jej złamaną postać, pochylił się ku niej i, ustami dotykając prawie jej wonnych włosów, mówił:

— Klotyldo moja, czego ty się lękasz? czegoś i w tej chwili smutna jeszcze? Tyś piękna i dobra, mnóstwo ludzi zgięło pewno kolana przed tobą. Ale tak, jak ja, nikt cię kochać nie mógł. Ty stałaś się dla mnie wszystkiem; przyszłość moja jest tylko z tobą, albo jej wcale dla mnie niema. Ja w miłość dla ciebie wlałem wszystkie siły mojej istoty, których dotąd na nic zużytkować nie mogłem. Siły te oddawna burzyły się w mojej piersi, dławiły mię, dopominały się o użycie; dusiłem się i targalem w mojej klatce. Ty, Klotyldo, zstąpiłaś ku mnie, jak zbawienie; przy tobie odetchnąłem szeroko, pełnią życia, pełnią uczucia. I nie wiem już teraz, czy uczucie to istnieje we mnie i przeze mnie, czy ja istnieję w niem i przez nie. Wielu zapewne ludzi mówiło ci te same słowa, ale żaden z nich tak czuć nie mógł. Oni tam na szerokim świecie mieli obszerne pole działania, mieli bogactwo, mieli sławę. Ja nic nie mam, oprócz miłości dla ciebie: w nią wlałem wszystkie siły mojej duszy — całą istotę moję. Klotyldo! jam w oczach twoich wyczytał niebo moje; powiedz, że mnie kochasz! Co zaczęła mowa twego spojrzenia, niech dopowiedzą usta... Nie lękaj się... nie bądź smutna, droga!... jam silny i godny ciebie. Z ufnością i śmiało wesprzyj się na mojem ramieniu, złóż piękną głowę na mojej piersi... Nigdy, nigdy na mnie się nie zawiedziesz... Klotyldo... powiedz mi, że mię kochasz!...

Mówił coraz ciszej i coraz silniej przyciągał do siebie owładniętą wzruszeniem kobietę.

Zmrok i cisza była wokoło; drżące ramiona Lucyana opasały kibić Klotyldy; głowa jej opadła na jego piersi i kwitnące gałęzie pomarańczowego drzewa ujrzały, jak usta jego namiętnymi pocałunkami okrywały jej gorące czoło i miękkie zwoje jej włosów.

Nagle Klotylda podniosła głowę, wydarła się z objęć Lucyana i, powstawszy, cofnęła się parę kroków.

Młody człowiek chciał ku niej postąpić, ale wyciągnęła rękę, jakby usunąć go pragnęła od siebie.

— Nie zbliżaj się do mnie, Lucyanie — rzekła zniżonym i przeraźliwym głosem — dziś straszny jest dzień dla mnie... Ja ci nic nie powiem... bo jestem... jestem... nie, nie mam siły wymówić... odjedź! odjedź!...

Pierś jej podniosła się konwulsyjnym, głośnym łkaniem, dwa strumienie łez zalały twarz płonąca gorączkowym rumieńcem i, wśród łkania, powtórzyła raz jeszcze:

— Odjedź — błagam cię... i nie wracaj, aż cię wezwę!

Potem zbiegła z ganku i zniknęła w cieniach ogrodu i wieczoru.

Lucyan uczynił z razu poruszenie, jakby ją chciał gonić, ale stanął nieruchomy i, niosąc obie ręce do czoła, jęknął prawie:

— Boże mój, co się ze mną dzieje? Nie pójde za nią — odjadę; trzeba szanować jej wolę... Tak, ale jutro wrócę... koniecznie wrócę!...

Przebiegł szybko salony i po chwili na dzielnym gniadoszu pędził szeroką drogą. W rozpalonej jego głowie wrzała i wirowała myśl: „ona mnie kocha”, a nad nim niebo chmurzyło się coraz ciemniej, drzewa szumiały, schylone silnym wiatrem, a zdala od krańców widnokregu odzywał się huk grzmotu zapowiedzią nadchodzącej burzy...

Późno już było, gdy młody doktor wszedł do swego pokoju. Na biurku leżał zapieczętowany list. Machinalnie rzucił nań wzrokiem, lecz zaledwie spostrzegł pismo adresu, drżącą ręką rozerwał kopertę i czytał:

„Kochany Lucyanie!

Dzięki ci za twą pamięć o mnie; śpieszę z odpowiedzią, byś nie sądził, że nie chcę zachować stosunku z tobą, który, przeciwnie, jest mi zawsze bardzo cennym i miłym. Na dowód, że nie przestał być twoim szczerym przyjacielem, podzielę się z tobą tém, co dziś jest główną treścią uczuć i myśli moich, a o czém, prócz najbliższych mi osób, nikt dotąd nie wie. Jestem zaręczony, Lucyanie, zaręczony na seryo. Owa pani Kameleon, o którą mnie zapytujesz, a właściwie pani Klotylda Warska, sąsiadka twoja, jest moją narzeczoną.

Kocham tę kobietę bardzo; pierwsza to poważna miłość mego życia, i czuję, że podniosła mię, uszlachetniła. Zresztą znasz panią Warszawską, nie będziesz się więc dziwił memu dla niej uczuciu. Stosunek mój z nią zaczął się, jak w romansach — tajemnicą, poszukiwaniem, wyrzekaniem na losy i t. d. Potem poznałem ją bliżej, za pośrednictwem owego długowłosego poety, który, pamiętasz, tak znudził i zniecierpliwiał nas kiedyś w teatrze. Bywałem u niej często. Był to karnawał, spotykaliśmy się na zebraniach, balach, maskaradach. Rodzice moi mieszkali w Warszawie, i nieoceniona moja matka, przez wzgląd na mnie, zapoznała się z panią Warszawską i zapoznała z nią moją siostrę. Obie młode panie zaprzyjaźniły się serdecznie, co mi także wielce było przyjemne i korzystne; słowem, po trzech miesiącach oświadczyłem się i zostałem przyjęty. Na wyraźne żądanie pani Warskiej, zostało to w tajemnicy; nie mam sobie jednak nic do wyrzucenia, że względem ciebie przekraczam jej rozkaz, bo uważam cię za brata, a siostra moja wie przecie o wszystkim. Zresztą, ufam bez granic w twoją dyskrecyę, która jest *à toute épreuve*. Nie potrzebuję rozpisywać się dłużej tą razą, bo wkrótce się zobaczymy. Ślub nasz będzie za miesiąc w N. Na tydzień przed dniem uroczystym przyjadę do Jodłowej, a w przejeździe przez N. uściskam cię z radością, pocziwy mój druha. Tymczasem... do zobaczenia.

Cyprian.

P. S. A nie bałamuć mi tam narzeczonej, piękny doktorze!"

Lucyan skończył czytać i papier wypadł z drżących jego rąk. Rozśmiał się głośno, długim, szyderyczym śmiechem i rzekł:

— Los odpowiedział, wszystko skończone!...

Potem skrzyżował ręce na piersi, szklanym wzrokiem wpatrzył się w przestrzeń i tak pozostał nieruchomy i niemy.

Upływała noc, godzina po godzinie, a Lucyan nie zmieniał postawy. Czuł, czy nie czuł? myślał, czy nie myślał?... nie wiadomo... Temu, kto by się nań wtedy patrzył, zdawało-by się, że skamieniał.

Za domem burza szumiała grzmotem, wichrami, błyskawicą. Przez otwartą furtkę okna wionął silny powiew wiatru i zagasił na biurku stojącą świecę. Światło błyskawic, chwilami wdzierając się przez szyby, czerwonym blaskiem oświetlało ciemną głąb' pokoju i stojącą ciągle nieruchomą postać Lucyana.

Ucichła burza — pogodny świt letniego poranku zstępował na świat i szarym zmrokiem rozsuwał cienie w pokoju doktora.

A on stał ciągle na jednem miejscu, w tej samej postawie, z tym samym wzrokiem; ani jeden muskuł jego twarzy nie drgnął, nie poruszyły się ni razu jego skrzyżowane na piersi ręce.

Kukawka zegaru oznajmiła trzecią ranną godzinę. W pokoju Lucyana ozwał się stłumiony jęk. W tej samej chwili ciężka roleta u jego okna zapadła, cień zappełnił pokój i tajemniczym mrokiem osłonił wielką boleść człowieka.

*

Nazajutrz w południe pani Dolewska w bawialnym pokoju stała na krześle i nakręcała zegar.

— Co się jemu stało, że leci jak szalony? — mówiła do siebie; — musiała Marysia poruszyć wagi. Żeby Lucyś wyszedł ze swego pokoju, tobym się go spytała, która godzina, a tak nie wiem sama, jak nastawić. Ale co to jest, że Lucyś tak długo nie wychodzi? Musiał wczoraj późno do domu wrócić.

Otworzyły się drzwi i wszedł Lucyan.

— Jezus Maryja! — krzyknęła, spojrzawszy nań, pani Dolewska. — Co tobie jest, moje dziecko! jak ty wyglądasz?

I zestąpiwszy żywo z krzesła, podeszła ku niemu.

Lucyan był blady, wielką bladością zmęczenia i bólu; oczy miał zapadłe i podkrążone, między brwiami zarysowała mu się głęboka zmarszczka.

— Nic mi nie jest, moja matko — odpowiedział cichym, złamanym głosem — jestem trochę niezdrów, nic więcej.

I pocałował matkę w rękę, wyszedł z domu, a po chwili wyjeżdżał konno za bramę. Dolewska niespokojnie patrzyła przez okno, szepcząc modlitwę do Najświętszej Panny Ostrobramskiej.

Lucyan minął miasteczko, z wolna pojechał wiorst parę w stronę Jodłowej i znowu z wolna skręcił konia, wrócił do domu i zamknął się w swoim pokoju. Kiedy Dolewska przeze drzwi zawołała go na obiad, wyszedł spokojny na pozór, usiadł przy stole, ale nic nie jadł i nic nie mówił. Kilka razy otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz tylko smutniej jeszcze szklanym wzrokiem wpatrzył się w przestrzeń. Dolewska z przerażeniem spoglądała na niego, ale nie pytała o nic, nie gderwała nawet na Marysię, nie szukała swoich kluczy, tylko często ze zmęczonej twarzy syna przenosiła wzrok niespokojny na czarny krucyfix, stojący u łóżka.

Po obiedzie Lucyan znowu siadł na koń, znowu odjechał parę wiorst w stronę Jodłowej, wrócił i poszedł do swego pokoju.

Nadszedł wieczór; o zmroku pani Dolewska długo modliła się przed krucyfixem i ciężko musiało być jej na sercu, bo z oczu na pomarszczone policzki upadło kilka łez.

Marysia, nie napędzana tą razą, z własnego natchnienia podała samowar. Pani Dolewska podeszła pode drzwi syna, chcąc go zawołać, lecz, pomyślawszy, posłała mu herbatę przez Marysię.

Gdy służąca wróciła, pani Dolewska zapytała:

— Co pan Lucyan robi?

— Nic — odpowiedziała Marysia.

— Nie czyta?

— Nie.

— I nie pisze?

— Nie.

Pani Dolewska westchnęła i wzięła się do pończoszki; ale gdy wkrótce robota jej z rąk wypadła, a już zaczynało ściemniać się, rzekła do Marysi:

— Idź, zanieś lampę do pokoju pana Lucyana.

A kiedy dziewczyna wróciła, spytała:

— Co pan Lucyan robi?

— Nic, proszę pani.

— Herbatę, wypił?

— Ani zaczął.

Dolewska poszła sama do pokoju syna. Na biurku stała nieporuszona szklanka herbaty, a Lucyan siedział nieruchomie na fotelu, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń.

— Lucysiu — rzekła Dolewska — kładąc mu rękę na ramieniu.

Drgnął lekko, jakby się ze snu obudził.

— Czy nie będziesz pił herbaty?

— Dziękuję ci, moja matko, nie będę — odpowiedział tym samym złamanym głosem, jakim mówił zrana.

Dolewska odeszła i od progu wróciła.

— Czyś ty bardzo chory? — spytała.

— Nie, matko, zdrów jestem zupełnie — odpowiedział, nie zmieniając postawy.

Dolewska wróciła do swego pokoju i, zamiast wziąć się swoim zwyczajem do pończoszki, uklękła przed krucyfixem.

W parę godzin potem cisza głęboka panowała w miasteczku i w domu doktora; wieczór był późny... wszyscy spali.

Lucyan wstał z fotelu, na którym nieruchomie kilka godzin przesiedział, wziął w rękę list rozłożony i wpatrzył się w wyraz „narzeczona”. Po chwili pochwycił się obu rękoma za głowę i zawołał prawie głośno:

— Boże mój! ja tego nie rozumiem, to być nie może!

W bawialnym pokoju około drzwi jego coś zaszleściło, ale Lucyan nic nie słyszał; uchylił roletę z okna i patrzył na piękną noc letnią.

— Nad jęj domem — rzekł pół-głosem — te same gwiazdy świecą... a ja nigdy już tam nie będę... być nie powinienem!...

Znowu podniósł obie ręce do czoła i zawołał:

— Ach, umrzeć!...

Krzyk ten wydarł się z jego piersi boleśnie, jakby mu serce pękało.

— Lucysiu! — ozwał się ode drzwi cichy i miękki głos kobiety.

Lucyan nie słyszał.

— Lucyanie! — powtórzył głos z taką miłością i pieśczołą, że doszedł uszu pogrążonego w rozpacz...

Odwrócił się Lucyan i ujrzał stojącą we drzwiach swoją matkę. Miała na sobie codzienną czarną suknię, tylko z głowy zdjęła czepeczek i srebrne włosy opływały jęj szyję i opadały na pomarszczone czoło.

— Matko moja!... tak późno, nie śpisz jeszcze?... — rzekł Lucyan powoli, nierozbudzony jeszcze z letargu, w jakim go pogrążyło cierpienie.

— Nie śpię, Lucyanie — odrzekła pani Dolewska, siadając i przyciągając go do siebie — byłam niespokojna, myślałam żeś chory i przyszłam zobaczyć cię. Serce matki przeczuło boleść syna i spać jęj nie dało. Ty cierpisz, dziecko moje najdroższe.

— Strasznie, matko moja, niewypowiedzianie! — odpowiedział Lucyan po chwili milczenia.

— O! biedne moje dziecko! — jęknęła matka; ale szybko, wchłaniając w siebie boleść, dodała:

— Może jest na to jaka rada?

— Żadnej — odrzekł Lucyan.

— Czy ona ciębie nie kocha?

— Nie wiem.

— I nie pytales jęj o to?

Lucyan stał i długo patrzył w milczeniu, aż znowu podniósł obie ręce do czoła, a klękając przed matką i pochylając głowę na jęj kolana, zawołał:

— Matko! ona jest narzeczoną innego...

Cała rozpacz, do jakiej zdolna jest pierś ludzka, zamykała się w słowach tych i w jego głosie.

Długie milczenie zapanowało w pokoju. Dolewska oparła głowę syna na swojej piersi, oczy wzniosła w górę, jakby ztamtąd wzywała pomocy, a dłoń machinalnie przesuwając po czarnych i gęstych włosach Lucyana. Stopniowo natchnienie jakieś występowało jęj na twarz, oczy rozjaśniły się niezwykłą myślą. Obu rękoma podniosła głowę Lucyana, niby dziecięcia, a patrząc w twarz jego z nieopisaną miłością i słodyczą, mówiła:

— Lucysiu, dziecię moje! jam nigdy sama nie cierpiała tak, jak ty dziś cierpisz; bo życie moje było spokoje, choć smutne i ciężkie. Ale rozumiem ciębie, dla tego, widzisz, że cię kocham nad wszystko na świecie, że zdaje mi się, iż serce moje i twoje to jedno. Wiem więc, że cierpisz bardzo; ale dziecko, toć tam w książkach waszych piszą podobno, że człowiek nie powinien upadać pod cierpieniem, ani dać się złamać boleści. Ja tych książek nie czytam, ale ty wiesz o tém lepiej, niż ja. Powstań, dziecię moje, wezwij pomocy Boga i swęj własnej woli. Jedna kobieta cię zawiodła: żyj dla ludzi, dla mnie, dla pracy!

Mówiąc to, pani Dolewska z prostęj i gdęrliwęj kobiety stała się natchnioną i mądrą matką.

O macierzyństwo! jakież uczucie i jakaż mądrość na ziemi dorówna tobie?

Lucyan, jakby podniesiony słowami matki, powstał i spokojniejszym już głosem mówił po chwili:

— O moja matko! jam ją kochał jak szalony, jam w miłość dla nięj wlał całego siebie. I cóż dziwnego, że gdy zniknęła ona dla mnie na zawsze, ja siebie samego odnaléć nie mogę? Daremnie umysł mój silił się na rozwiązanie zagadki; nie rozumiem tego, co było, nie rozumiem tego, co jest. Przez dni tyle spojrzaniem i uśmiecchem, rumieńcem i bladością, radością i smutkiem, mówiła mi, że mnie kocha... a jednak była już narzeczoną innego... Kogóz więc zwodziła? mnie, czy jego? Komu kłamała? mnie, czy tamtemu? Byłże-by w nięj fałsz i grzeszna próżność zalotnicy? Czyż zaćmi się przede mną piérwszy mój ideał? Nie, w to nie wierzę: ona prawa i czysta! A jednak... właśnie dla tego, że w zło nie wierzę... nic nie rozumiem...

Milczał przez chwilę i znowu mówił, jakby do siebie:

— Jeżeli kocha *jego*, pocóż mnie pociągała ku sobie? jeżeli mnie kocha, czemuż ma zostać *jego* żoną?... nie rozumiem... może dla tego, że *on* bogaty? Straszne przypuszczenie! wobec którego anioł zmienia się w potwora, słońce w blaszkę pozłacaną, gwiazda... spada z nieba i tarza się w błocie... Nie, to być nie może!...

— Lucysiu — nieśmiało odezwała się pani Dolewska — a żebyś pojechał do niéj i otwarcie spytał jéj o wszystko?

Smutnie uśmiechnął się Lucyan.

— Nie, matko — rzekł — to być nie może. Obecność moja mogła-by jéj sprawić niepokój albo cierpienie... a ja nie chcę tego. Aby okupić dla niéj jedną chwilę spokoju i szczęścia, jabym dał życie całe... A teraz, gdym już powiedział jéj, że ją kocham, mogła-by ona być ze mną, jak za owych dni minionych?... Nie, matko — mówił dalej coraz wolniej i ciszej — ja nigdy *tam* nie będę i nigdy jéj nie zobaczę...

Nagłym ruchem przycisnął obie ręce do serca.

— Och, jak na myśl tę strasznie serce boli! Matko, jam chory bardzo, zatraciłem samego siebie, zatraciłem moje życie, które się tobie należy!... Przebac, matko moja!...

Ukląkł przed matką, otoczył ją ramionami i głowę położył na jéj piersi.

— Lucyaniu — ozwała się po chwili milczenia pani Dolewska — słowa nie pomagają boleści takiéj, jak twoja. I cóż zresztą ja biedna, nieuczona kobieta, powiedzieć ci mogę? Ale spocznij na piersi matki, ona tylko, ona jedna, nigdy cię zawieść nie może. Niechaj lzy moje ochłodzą twoją biedną głowę; niech krzyż święty odżegna od ciebie złego ducha rozpacz i sprowadzi ku tobie pomoc niebieską.

To mówiąc, drżącą ręką nakreśliła w powietrzu znak krzyża i pochyliła się nad głową syna, a lzy kropliste i obfite spadały z jéj oczu i tonęły w gęstych kędziarach Lucyana.

Gasnąca lampa słabo oświetlała tę smutną grupę, wśród głuchego milczenia nocy.

VIII. URZECZONY

Lud ciemny wierzy w czary i gusła, między którymi ważną rolę gra „urok”. Dziecię było piękne i zdrowe... „złe oczy” nań spjrzały... blednie i umiera — „urzeczone”. Młoda dziewczyna rumieniła się krasą wesela i świeżości, aż pozazdrościła jéj czarownica, niemogąca odżałować swoich młodych lat; dziewczę smutnieje, przestaje śmiać się i błyskać oczyma i szybkim krokiem zbliża się do grobu — „urzeczone”. Dziarski parobczak, dzielny w tana- ch i robocie, był wsi swojej chwałą i ozdobą; aż zakochała się w nim baba czarodziejka, a nie otrzymując wzajemności, zaszepiała coś nad czarką napoju, którą on niósł do ust, i oto napój ten stał mu się życia potrzebą; porzuca pracę, wyrzeka się miłości i, w trunku tonąc, zwierzęce — „urzeczone”.

Baje sobie lud gadki rozliczne, bo w prostocie swojej nie zna istotnych prawd życia, tylko przeczuwa je i ubiera w fantastyczne kształty swéj dziecięcéj wyobraźni. Ale kto badawczo spojrzal w przepaści serc ludzkich i posłuchał odgłosy dramatów, w nich zawartych, ten wie, iż najstraszniejszą czarownicą życia ludzkiego jest *boleść*. Biedny ten, w kogo ona się wpatrzy wzrokiem swoich „złych oczu”, nad czyją głową zaszepce słowa swojego „uroku”. Ten, jeśli się nie wzniesie ku szczytom bohaterskiego męczeństwa i nie zdobędzie siły olbrzymiej, zblednie i pochyli się ku ziemi — „urzeczone”.

Trzy tygodnie minęło od dnia, w którym Lucyan Dolewski otrzymał od przyjaciela swego odpowiedź na przesłane mu pytanie.

Lipcowe słońce gorąco i pogodnie przyświecało ziemi, po polach rozlegały się wesole pieśni żniwiarek, a bujne kłosa, z pod ich sierpów spadając, obiecywały ludziom rok dostatków i obfitości. W ciepłe, gwieździste noce, z pod lasów po łąkach biegły przeciągłe odgłosy trąbek pastuszych i niby jeziora słały się szeroko białe, lekkie mgły. Świat ubrał się w cały majestat piękności i zdawał się powoływać mieszkańców wsi do wesela i radosnego użycia.

Przy schyłku jednego z dni upalnych, na szerokiej ulicy, przeryzującej N., ukazała się zielona bryczka, zaprzężona we trzy pstrokate konie. Na niéj siedziała otyła i czerwona jéjmość, w żółtej muślinowej sukni, *francuzkim* szalu i kapeluszu słomianym, pokrytym od pyłu białą muślinową chustą.

Po nierównym gruncie błotnistej ulicy bryka trzęsła się i skakała, a z nią razem trzęsła się i skakała otyła jéjmość. Nagle wzrok jadącej padł na wychodzącą z jednego z domów kobietę i wnet zawołała:

— Gawełek, zatrzymaj konie! — przycząc laską od deszczochronu energicznie stuknęła w plecy powożącego w szarzej świtce chłopaka.

Pstrokate konie stanęły, a jéjmość, wygramoliwszy się z bryki, odwróciła się do Gawełka i rzekła:

— Odprowadź skapy do Szmujły i dobrze je nakarm, a tylko mi tam owsa nie przepij. Za godzinę zajedziesz pod dom pana doktora; już ja tam teraz piechotą pójde.

Gawełek spojrział z ukosa na wielce mu nienawistną laskę od deszczochronu i, mruknąwszy coś pod nosem, może przysięgę, że owsa nie przepije, zawrócił konie do karczmy, a jéjmość, z obu rękami do uścisku wyciągniętymi, dążyła ku ujranej kobiecie.

— Moje uszanowanie pani Wincentowej!

— A toć, panie mój kochany, pani Janowa jak z nieba spadła!

Rozległy się okrzyki dwóch kobiet i dwie przyjaciółki, panie Rzepowa i Owsicka, poczęły się witać całusami, których odgłos rozchodził się po miasteczku, niby klaskanie z bata.

— Jak z nieba spadłaś, pani Janowo! — powtórzyła Owsicka — nie częstoż odwiedzasz nas, panie mój kochany!

— A cóż, moja pani Wincentowa! Jak człek się zagospodarzy, to i o Bożym świecie zapomni, a wiész przecie, że od czasu, jak Pan Bóg wziął do swojej świętej chwały mego nieboszczyka Jasia, wszystkie kłopotciska spadły na mnie, biedną wdowę. Ach! myślałam, że będę miała pomoc z brata, którego, nie wymawiając, sama wyhodowałam; ale gdzie tam! jak zasłabł jeszcze w Styczniu, to do téj pory cherla i cherla. Już do wszystkich znachorów wozilał go i nic nie pomogli. Myślę sobie, trzeba jeszcze doktora sprobować, i przyjechałam prosić pana Dolewskiego, aby pojechał do Wałków, mego Adasia zobaczyć.

Owsicka smutnie pokiwała głową i machnęła ręką.

— E! widzisz, moja pani Janowo! Widzisz-bo... z nim coś niedobrze...

— Cóż, cóż? — spytała Rzepowa.

— Ot, prawdę mówiąc... bo i na co to w bawełnę obwijac? Jać sama, panie mój kochany, żałuję jego, jak własnego dziecka...

— Cóż to takiego? — ciekawie pytała Rzepowa, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę.

— At — odrzekła, machnąwszy ręką, pani Anna, — urzeczony biedak i kwita!...

— Kto? kto?...

— A Lucyś Dolewski.

Rzepowa za głowę się chwyciła.

— Jezus, Marya, Józefie święty! zmiłujcie się nade mną! a toż to nieszczęście!... Jakto? i nikogo już nie leczy?

— Owszem; jużto prędzej-by chyba umarł, panie mój kochany, niżby przestał leczyć. Ot, niedawno Harasimowicz starszy zasłabł, to przysyłał kilka razy po pana Lucyana i teraz zdrów już podobno. Onegdaj także żona Pawła kowala zasłabła, to pan Lucyana dwa razy na dzień do niej chodzi. Wtedy tylko jeszcze znać w nim żywego człowieka, kiedy jest przy chorym; a jak odejdzie, to znowu, Panie odpuść, trup na sprężynach i koniec.

— Aj, szkodaż jego, szkoda! Ale moja pani Wincentowa, nie wiész, kto to na niego urok rzucił?

— Ot, o wilku mowa, a wilk tuż! — szepnęła żywo Owsicka, chwytając Rzepową za rękę. — Patrz, pani Janowa, wychodzi od chorój kowalowej; zobacz, do czego podobny; przejdzie koło nas i ani nas spostrzeże.

W istocie Lucyana z niskiego domku kowala wyszedł na ulicę. Na piérwszy rzut oka nie było w nim żadnej zmiany, która-by usprawiedliwiała opowiadanie Owsickiej. Dopiero po bliższym wpatrzeniu się w twarz jego, można było dostrzedz, że spojrzaly nań *złe* oczy ciężkiej boleści. Zwykła bladeść jego zmieniła koloryt, stała się gorętszą i ciemniejszą; zapadłe i podkrążone oczy straciły blask i patrzyły ciągle w ziemię, albo w daleki jakiś, jemu tylko widzialny punkt. Usta jego zbladły i zaciśnięte były nieco, jakby pod wpływem ciągłego a ostrego bólu. Szedł powoli, jednostajnym, automatycznym prawie krokiem.

Dwie kobiety spojrzały na niego ciekawie, ale on nie widział ich nawet i poszedł ulicą, patrząc ciągle gdzieś daleko, daleko...

Gdy Lucyan odszedł, dwie kobiety zwróciły się ku mieszkaniu jego matki, i znać było po ich ożywionych gestach i kiwaniu głowami, że zajmowały się mocno poprzednim przedmiotem rozmowy.

— Tak, tak — kończyła Rzepowa, dochodząc już prawie do drzwi pani Dolewskiej — już to i ja widzę, że on biedak urzeczony. O! znam ja się na tém, znam! wszakże sama dwoje dzieci przez złe oczy straciłam.

Mówiąc to, weszła ze swą towarzyszką do sieni Dolewskiej.

— Marysiu! Marysiu! — ozwał się głos z bawialnego pokoju — a znowu musiałaś, ty nic dobrego, wagi poruszyć, bo zegar zepsuty. Mówiłam ci raz na zawsze, żebyś nie dotykała się zegaru, boś zgrabna do tego, jak wół do karety.

— Jak Boga kocham, ani dotykałam się, proszę pani; to pewno Burczyk poruszył — odpowiedział głos Marysi z sypialnego pokoju.

Ujrawszy wchodzących gości, pani Dolewska z trudnością zstąpiła z krzesła, na którym stojąc, nakręcała zegar. W twarzy matki Lucyana znać było zmęczenie moralne, oczy jej zasunęły się mgłą wilgotną, a na czole przybyła zmarszczka głęboka, świadectwo ciężkiej troski.

Dwie kumoszki, widząc zmianę w twarzy Dolewskiej, objęły ją, kiwając głowami, i zaczęły żałośnie objawiać swoje spólcucie.

— Ach! — mówiła Rzepowa — czym ja się spodziewała zobaczyć panią Józefową w takim zmartwieniu? Oj, widziałam ja jego, widziałam! do ludzi niepodobny, urzeczony, moja pani, jak mi Bóg miły, urzeczony.

— Kto urzeczony? kto do ludzi niepodobny? o kim pani mówisz? — spytała Dolewska, zbierając wszystkie siły na macierzyńskie kłamstwo.

— A pan konsyliarz — odrzekła z westchnieniem Rzepowa.

— Co, mój Lucyś? — zawołała z wybornie udanym zdziwieniem staruszka. — A zkąd to pani wzięłaś te wszystkie banialuki? On urzeczony? A najprzód powiem pani, że w żadne uroki nie wierzę, bo tego i Pan Bóg zabrania; potem Lucysiovi memu nic nie jest, tylko ludzie wymyślili, nie wiedzieć co, jemu na krzywdę, a mnie na zmartwienie.

Rzepowa umilkła zmieszana, a Owsicka, widząc z tej energicznej obrony matki Lucyana, że się znowu przed przyjaciółką niepotrzebnie wygadała, zaczęła w szlafroku swoim szukać szpilki, chcąc po cichu wynieść się z nią do sieni i język sobie nakłuć.

Tymczasem Lucjan powoli szedł ulicą i mijał domek Grodzickiej.

— Niech pani sędzina dobrodziejka spojrzy — mówiła w mieszkaniu ex-sędziny pana Zuzanna — pan konsyliarz dobrodziej idzie.

Grodzicka poprawiła filutki i spojrzała w okno.

— Co jemu jest? — rzekła — chodzi jak nie swój.

Panna Zuzanna westchnęła i ozwała się:

— Oj! pani sędzino dobrodziejko, źle o tém ludzie mówią.

— I cóż ludzie mówią?

— Ot gadają, że pana konsyliarza ktoś urzekł.

— Ej, wstydz się panna Zuzanna wierzyć w takie rzeczy! Żadnych uroków na świecie niema, tylko wola Boga. Pan Lucyan musi być chory, albo czémś zmartwiony, nic więcej.

Gdy tak rozmawiały dwie stare kobiety, dwunastoletnia Walerka popatrzyła przez okno na idącego doktora, a potem wbiegła prędko do pokoiku, w którym zimą leżała chora na odrę. Tam na stole, zastawionym wówczas lekarstwami, na tym samym stole, na którym Lucyan złożył dar dobroczynny ubogiej rodzinie, stał w szklance wielki bukiet z niezapominajek i polnych róż. Walerka wyjęła bukiet ze szklanki, wymknęła się z domu bocznymi drzwiami i pobiegła ku mieszkaniu Dolewskich.

Minęła ulicę, plac i kościół, weszła zadyszana od biegu na dziedziniec białego domku, ale nie zbliżyła się ku gankowi, tylko cicho, ukradkiem podeszła pod okno pokoju doktora. Okno to było otwarte, powiewała w nim tylko roleta spuszczone. Walerka obejrzała się, a widząc, że nikt jej spostrzedz nie może, z wysileniem przysunęła pod okno blisko leżący kamień, stanęła na nim i uchyliła roletę. Na oknie stał w szklance nieco zwiędły już bukiet, zupełnie podobny do tego, jaki trzymała w ręku. Prędko i śmiało wyrzuciła ze szklanki

zwiądłe kwiaty, a włożyła w nią te, które przyniosła; potem popatrzyła chwilę na błękitny bukiet i, podnosząc palec do ust, szepnęła:

— Moje kochane kwiateczki! zostawiam was tutaj. Jak spojrzysz na was, dajcie mu choć jedną miłą chwilkę.

I zeskoczywszy na ziemię, odsunęła kamień na dawne jego miejsce, a sama szybko przebiegła dziedziniec. W bramie spotkała idącego ku domowi Lucyana.

— Dobry wieczór panu — rzekła, zbliżając się trochę nieśmiało.

Lucyan nie słyszał.

— Dobry wieczór panu — powtórzyła tak już blisko, że musiał na nią spojrzeć.

— Dobry wieczór pannie Waleryi — odrzekł Lucyan, uśmiechając się bladym i martwym uśmiechem.

— Czemu pan tak dawno u nas nie był? — spytała Walerka, podnosząc ku jego twarzy swoje błękitne, łagodne oczy.

Lucyan popatrzył na nią przez chwilę, a potem, jakby sobie coś przypomniał, rzekł:

— Dziękuję pannie Waleryi za kwiaty, które stawiasz codziennie na moim oknie.

Walerka zmieszała się i spuściła oczy.

— A z kądem pan wie, że to ja tam stawiam te kwiaty? — spytała, mniąc w palcach koniec swej muślinowej chusteczki.

— Widziałem — odpowiedział Lucyan.

Walerka chwilę milczała, idąc ciągle obok niego, potem stanęła przed nim tak, że się zatrzymali oboje i, składając drobne ręce na piersi, rzekła:

— Panie Lucjanie, ja za pana co rano i co wieczór się modlę. Pan taki dobry! A jak spostrzegłam, że pan jesteś smutny, pomyślałam zaraz, że będę panu stawiała na oknie niezabudki, dlatego, że one błękitne, więc panu niebo przypomną; a ksiądz Stanisław zawsze mówi, że komu smutno, ten powinien myśleć o niebie, to mu lżej będzie.

Lucyan raz jeszcze spojrzął na Walerkę, rozśmiał się tym samym martwym uśmiechem i rzekł:

— Pannie Waleryi się zdawało; nie jestem wcale smutny. Wszakże za ładne kwiaty i dobre chęci dziękuję.

Odszedł, a Walerka pobiegła do domu.

Wszedłszy do swego mieszkania, Lucyan powitał matkę milczącym pocałowaniem ręki i ukłonem dwie obecne kobiety.

— Przyjechałam prosić pana — rzekła Rzepowa — abyś był tak dobry i zechciał odwiedzić mego chorego brata. Kaszle biedak i mizernieje w oczach.

— Będę u pani dziś jeszcze — odrzekł Lucyan z grzecznością, ale tym samym złamanym głosem, jakim mówił ciągle od pewnego czasu.

Gdy wchodził do swego pokoju, Dolewska prowadziła za nim spojrzenie; ale napróżno Rzepowa badawczo patrzyła na nią, nie dostrzegła ani łzy w oku, ani najmniejszej zmiany w fizyognomii. Mężtwo matki, nie chcąc na widok publiczny wystawiać boleści syna, zwyciężyło jej własną bolesć.

Zaledwie zamknęły się drzwi od pokoju Lucyana, przez otwarte okna doszedł uszu trzech kobiet odgłos pocztowego dzwonka.

— Rzadka to rzecz — odezwała się Rzepowa — usłyszeć teraz dzwonek pocztowy, od czasu jak zbudowali *maszynę*.

Pani Owsicka, która od bytności swojej w Częstochowie, lubiła niezmiernie rozprawić o podróży *maszyną*, rozpoczęła na ten temat długie opowiadanie. Była już jednak u końca i Gawełek pani Rzepowej zajechał już przed ganek, gdy otworzyły się nieco drzwi od sieni i ukazała się przez nie głowa rozczochranego chłopaka.

— Czego chcesz, Julku? — spytała Dolewska.

— Na pocztę, proszę pani, przyjechał jakiś pan z daleka i chce widzieć się z panem doktorem.

— A nie wiesz, kto to taki?

— Nie wiem, proszę pani; ale musi być jakiś bogaty pan, bo jedzie pięknym koczem, a pocztylionowi, co go przywiózł, dał rubla tryngieltu.

— A dokąd ten pan jedzie, czy nie wiesz? — spytała zaciekawiona Owsicka.

— Do Jodłowej podobno.

W tój chwili we drzwiach swego pokoju stanął Lucyan. Słyszał widać całą rozmowę, bo rzekł do chłopca:

— Powiedz temu panu, że zaraz przyjdę na stacyą.

— Ktoby to był, panie Lucyanie? — spytała ciekawie Owsicka.

— Sądzę, że musi to być pan Cypryan Karłowski — spokojnie odpowiedział Lucyan i wyszedł.

Po chwili, zielona bryka Rzepowój trzęsła się i skakała po ulicy miasteczka, a z nią razem trzęsła się i skakała jój właścicielka, laską od deszczochronu przypominając często nierówności drogi plecóm Gawelka.

Lucyan tymczasem zbliżał się do stacji pocztowój, stojącój trochę na ustroni, o kilka-kanaście kroków od ostatniego domu miasteczka.

Przed stacyą stał ładny, cały błyszczący srebrnymi blachami, koczyc, a wkoło niego zwijali się pocztylioni i lokaj, z miny i ubrania wyglądający na kamerdynera bogatego pana.

Po najobszerniejszym pokoju stacyi, w eleganckim podróżnym ubraniu i z cygarem w ręce, chodził Cypryan Karłowski, gwizdząc jakąś arytkę i kiedy niekiedy rzucając kilka słów stojącemu pokornie we drzwiach pocztowemu pisarzowi.

Nagle pisarz, dotknięty czyjąś ręką, z uszanowaniem ustąpił z drogi, i Cypryan serdecznym uściskiem powitał wchodzącego doktora.

— Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem zawsze. Jak się masz, mój pocztowy Lucyanie? Dziękuję ci, żeś o mnie nie zapomniał. Czy otrzymałeś moją odpowiedź?

— Otrzymałem — odrzekł Lucyan, siadając tak, aby mu światło z okna na twarz nie padało.

— A więc wiesz o wszystkim — mówił Cypryan. — Matrymonialne moje zamiary, o których mówiłem ci w Warszawie, przybrały formę, i jakąż jeszcze piękną formę!... Jadę się żenić. Znasz moją narzeczoną, nie prawdaż?

— Znam — odpowiedział Lucjan.

— I jakże ją znajdujesz?

— Śliczna osoba; mogę ci tylko powinszować wyboru.

— A! powiadam ci, Lucyanie, że nigdy nie byłem tak szczęśliwy. Co to za kobieta! Trzeba ją bliżej poznać, aby ocenić jój anielskie serce, jój rozwinięty umysł. Przeszłość wprawdzie miała nieco burzliwą... słyszałeś o tём pewnie... powiedziała mi sama o wszystkim. No, ale co mi do jój przeszłości? Znasz pod tым względem moją teorią. Co było, to było, a teraz wierzę w jój prawość i dzisiejsze do mnie przywiązanie, jak w ewangielii. To samo już, że przed ostatecznym zobowiązaniem się powiedziała mi wszystko, dowodzi najwyższej szlachetności w kobiecie. Czy często bywasz u niej?

— Bywałem dość często, ale od pewnego czasu miałem wiele zajęcia...

— Ach, Lucyanie, Lucyanie! Jak miłość dla zanej i rozumnej kobiety podnosi i uszlachetnia! Odkąd ją kocham, stałem się innym człowiekiem. Młodzieńcze niedorzeczności i szalały, jak dym, wyszły mi z głowy; zacząłem na seryo myśleć i pracować; czuję, że świat, ludzie, wszystko, co dobre i piękne, żywiej mię zajmuje. A potem... potem... wystaw sobie, jakie to śliczne będzie życie nasze wspólne! Posiadamy wszystko, co świat najpiękniejszego dać może: młodość, gorące serca, wzajemną miłość, bogactwo zresztą, które pozwoli nam używać wszystkich towarzyskich i umysłowych przyjemności... Spodziewam się, że będziesz na naszym ślubie, Lucyanie.

— Niezawodnie; a kiedy nastąpi?

— Najdalej za tydzień. Ale, zapomniałem cię przeprosić, Lucysiu, że nie zajechał do ciebie, tylko wezwał cię tutaj. Widzisz, stracił-bym przynajmniej kwadrans, albo pół godziny czasu, a tak pragnę ją zobaczyć, że mi każda chwila droga.

— Wierzę — odpowiedział Lucyan — i bynajmniej nie czuję się obrażonym.

— Konie gotowe! — ozwał się we drzwiach kamerdynier.

Cypryan żywo powstał.

— Do zobaczenia, Lucyanie! — rzekł — w tych dniach przyjadę do ciebie z Jod...

Nie dokończył wyrazu, bo wzrok jego padł na twarz Lucyana, tą razą zwróconą do okna. Pochwycił rękę przyjaciela i rzekł z niepokojem:

— Co tobie jest, Lucyanie, czyś ty chory?
— Od pewnego czasu jestem w istocie trochę chory, ale to mała rzecz...
— Ależ zmieniony jesteś dziwnie! Cóż to takiego?
— Choroba sercowa, o ile mi się zdaje.
— A więc może niezupełnie fizyczna? — żartobliwie rzekł Cyprian.
— O, najzupełniej! bądź tego pewny; przecież jestem doktorem — z gorączkową żywością odparł Lucyan.
— Żeby to tylko nie było nic ważnego.
— O, niema o czym mówić — rzekł Lucjan i dodał: — Nie zatrzymuję cię, Cypryanie, bo wiem, że ci pilno być musi. Spodziewam się, że mnie odwiedzisz.
— Niezawodnie.
— Życzę ci szczęścia... kłaniaj się ode mnie pani... pani Warskiej — dokończył z wysileniem.

Po chwili koczyk, unoszony szóstką koni, żywo mknął ku Jodłowej, a Lucyan, stojąc na ganku stacyi, patrzył na unoszące się za nim kłęby kurzawy. Dziwny uśmiech przebiegał mu usta i okrywał twarz całą gorzkim wyrazem.

Gdy powóz Cypryana zniknął mu już całkiem z oczu, z wysileniem oderwał wzrok od drogi, na którą patrzył, i zwrócił się do miasteczka.

W godzinę potem wyjeżdżał konno z domu, kierując się powoli szeroką drogą w stronę... Jodłowej. Odjechawszy wiorst parę, zwrócił gniaszka i przedź jęż pojechał ku Wąłkom, majątkowi Rzepowej i jęż chorego brata.

Zmrok zaczynał zapadać, okrywając miasteczko N., a w niem cichą plebanią, mieszkaniem księdza Stanisława.

Przed niewielkim domem proboszcza, dziedziniec zasłany był gładką murawą; wśród niej rosło kilka pięknych drzew akacji, rzuconych po równym trawniku. Od bramy, otwierającej nizki płot drewniany, ku gankowi, opartemu na czterech niskich słupach, biegła wązka wydeptana ścieżka. Okna domu były otwarte, a pod niemi na kilku grządkach kwitły powoje i rezeda. Z za domu, po nad dachem, wznosiły się ciemnolistne, rozłożyste dęby, nadając surowe i poważne tło owianemu głębokim spokojem sielskiemu mieszkaniu księdza.

Gdy zmrok zapadać zaczął, przez otwarte okna plebanii dał się słyszeć gwar kilku młodych głosów, i po chwili z sieni domu wybiegło sześciu czy siedmiu chłopaków, z książkami pod pachą i sporemi kawałkami chleba z serem przy ustach. Rzeźwa gromadka uczniów księdza proboszcza, śmiejąc się i swawoląc wypadła za bramę i rozbiegła się po dziedzińcu, a ksiądz Stanisław stanął w otwartym oknie. Twarz jego, zawsze jednostajnie blada i łagodna, jaśniała głęboką ciszą wewnętrzną; czoło opromienione jasnemi, siwiejącymi włosami, miało gładkość i pogodę, płynącą z zadowolenia po dobrze spędzonym dniu.

Na ciemne, ale czyste niebo, zaczął wstępować księżyc w pełni; wiatr lekki rozwiewał w powietrzu woń rezedy. Wzrok księdza Stanisława wznosił się w górę, a łagodne usta jego poruszyły się szepem cichęj modlitwy.

Po-za nim otworzyły się zcicha drzwi pokoju i nieśmiały głos kobiety ozwał się:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki, amen — odpowiedział ksiądz, i odwróciwszy się, poznał stojącą w zmroku matkę Lucyana.

Gdy zbliżył się do nięj, przycisnęła milcząc do ust rękę księdza, który poczuł spływające na nią łzy.

— Co pani jest? czego płaczesz? — spytał troskliwie, prowadząc ją do kanapy.

— Księżę Stanisławie — ozwała się kobieta, tłumiąc płacz z wysileniem — czy widzisz, co się dzieje z moim Lucyanem?

— Zmieniony jest i chory, ale nie należy rozpaczać: ufaj pani w Bogu...

— O tak, księżę proboszczu! — przerwała Dolewska — ufam w miłosierdzie tego Boga, w którego całe życie wierzyłam gorąco. I jakież-by On był ojciec ludzkości, gdyby się nie zlitował nad biednym sercem matki!?

— Wyroki Boże są niezbadane: należy z pokorą pochylać czoło przed niemi...

— O nie! — wybuchnęła matka — kiedy idzie o dziecko moje, ja z pokorą i poddaniem się nie mogę czekać na wyroki Bożkie. Gdyby pioruny Bożego gniewu na mnie

samą spać miały, w proch uderzyła-bym czołem i zawołała-bym: „niech się dzieje wola Twoja!” Ale, kiedy widzę moje dziecię jedyne, mego syna, który mi szczęściem był i chlubą, zgnębnego cierpieniem, na jakie nie zasłużył, konającego z boleści w oczach moich; o, księżo Stanisławie! wtedy nawet przed Bogiem nie mogę być pokorną. Mnie serce pęka z rozpacz, bo jestem... matką!

I zanosła się spazmatycznym, głośnym płaczem; ale po chwili wysileniem woli stłumiła gwałtowne wzruszenie i zaczęła mówić prędko, gorączkowo:

— Księżo Stanisławie, ja chcę go ratować! Wiész, że powodem wszystkiego złego jest ta kobieta... ta piękna pani, co to bierze ludzi na zabawkę i zabija ich, jak muchy. Ona Lucyana uwiodła swemi oczyma jaszczurki, swemi słodkimi słówkami, które wiszą ciągle u jej ust, jak robaki na wędce; ona ciągnęła go do siebie, uśmiechała się, zapraszała... Myślał-by kto, że to anioł, który zstąpił z nieba, a to żmija, co kąsa serce człowieka, aby uszło...

— Kobieto, zatrzymaj się! — przerwał ksiądz Stanisław — nie sądz...

— Przebac, księżo Stanisławie — przerwała Dolewska — żal rozważę nie ma; a żal matki, o! to taki żal, że podobnego chyba na świecie niema, jak niema miłości podobnej do miłości matki.

— Nie poddawaj się temu żalowi — rzekł ksiądz łagodnie — a raczej użyj całej energii, jaką cię natchnąć może miłość macierzyńska, aby syna z toni ratować. Mówiłaś, że chcesz go ratować; czy myślałaś już o środku jakim?

— Tak, księżo proboszczu. Dziś z rana, gdy Lucyan wyszedł ze swego pokoju, partryłam na niego długo i uważnie, i serce mi pękało. Gdzie jego dawny uśmiech? gdzie jego zdrowie? gdzie jego żywość i spokojność? Nie jest on smutny, ale gorzej jeszcze, jest martwy; nic nie mówi, niczego nie chce, nic go nie zajmuje. Milcząc, pocałował mnie w rękę, milcząc, usiadł przy oknie, z książką w rękę; ale widziałam dobrze, że nie czytał, bo przez pół godziny trzymał oczy na jednej karcie i miał wzrok człowieka, który patrzy a nie widzi. Wytrzymać nie mogłam i poszłam do swego pokoju, aby łez moich nie zobaczył. Padłam na kolana przed ukrzyżowanym Chrystusem i, płacząc krwawymi łzami, w imię Jego bolesnej męki, błagałam, aby natchnął mnie myślą, jak mam wyratować z tego nieszczęśliwego stanu moje biedne dziecko. A kiedy wstałam, zdawało mi się, że mi kto w ucho szepce: wyjedźcie z N.! Usiadłam i zaczęłam nad tém rozmyślać, i przypomniałam sobie, że ludzie mawiają, iż w wielkich smutkach trzeba niekiedy człowiekowi zmiany miejsca, trzeba, aby się oddalił od tego, co mu boleść sprawiło. I pomyślałam sobie: pójdę do księdza Stanisława i poradzę się: jeżeli on powie, że to będzie dobrze, to zaraz, za kilka dni, wyjedziemy z N. gdziekolwiek...

— Macierzyńskie serce twoje szczęśliwe miało natchnienie — odrzekł po chwili milczenia proboszcz. — Nie mogę i nie powinienem tać tego przed tobą, że z Lucyanem źle jest bardzo. Gdyby to było tylko cierpienie moralne, zwyciężył-by je czas i jego własna wola; ale ja śledzę pilnie wszystkie oznaki, malujące się na twarzy jego, i widzę, że chory jest fizycznie, a chory taką chorobą, że każde silne wzruszenie zabić go może. Wzruszenie takie musiało-by tu przyjść koniecznie, boć przecie dziś narzeczony pani Warskiej pojechał do Jodłowej i ślub ich odbędzie się pewno wkrótce. Szczęśliwie-by było bardzo, gdyby Lucyan przed dniem tym fatalnym dla niego N. opuścił. Gdzież pani myślisz wyjechać?

— Gdzie on sam zechce.

— Wątpię, aby on, w dzisiejszym stanie swoim, miał jakąkolwiek wolę w tym względzie. Sądzę, że tymczasem najlepiej będzie do Wilna...

— Pomyślę o tém...

— A środki pieniężne na wyjazd i osiedlenie się w inném miejscu, czy macie?

— Nie wielkie wprawdzie, ale mamy. Toć Lucyś wyprocesował mi jesienią w Warszawie kilka tysięcy złotych; zresztą, byle się uspokoił i wyzdrowiał, on pracą swoją i rozumem wszędzie kawałek chleba znajdzie, a może... toć już niedługo mi na tym świecie przebywać...

— I nie żal pani będzie opuszczać N.? Wszak całe życie tu spędziłaś.

— Dolewska pochyliła głowę i milczała długo, a potem odrzekła:

— I jakież żal dorównać może temu, który czuję, patrząc na boleść jego? Prawda, żem tu sercem i duszą całą przyrosła, że dawniej ani pomyśleć nie mogłam o wędrówce w świat

nieznajomy, na stare lata moje. Ale dla niego czegoż-bym nie zrobiła? czegoż-bym nie oddała? Zbawienie duszy mojej złożyła-bym u nóg Boga za jeden dzień szczęścia jego...

— O bohaterska siła macierzyństwa! — rzekł ksiądz Stanisław z cicha, i głośniejszym głosem dodał: — Więc przygotuj się pani do podróży, a jeśli byś spotkała opór w Lucyanie, czego się nie spodziewam, bo dziś wszystko dla niego jest obojętne, zawiadam mnie; postaram się wpłynąć na niego. Najważniejsza rzecz, aby wyjechał z N., nie widząc już pani Warskiej. O ile mi się zdaje, rozwinęła się w nim groźna choroba serca i wrażenia każdego bardzo się dla niego lękam.

Wkrótce pani Dolewska dążyła do mieszkania swego, a ksiądz, stojąc przy otwartym oknie, wpadł w głębokie rozmyślanie.

Patrzył długo na ciemne sklepienie niebios, powleczone siecią księżycowych promieni i białych chmur, słuchając szelestu lekkim wiatrem poruszanych akacji. Smutek, jakim go natchnęła rozmowa z Dolewską, pierzchał stopniowo, a na twarz jego wracał zwykły łagodny spokój.

Po chwili wznosił wzrok i ręce splecione ku niebu i zamodlił się cichą modlitwą: „Szczęśliwy, o Panie, komu w piersi umilkły burze i walki żywota, kto oderwał serce swoje od samolubnych miłości, a utonął cały w tém wielkiem, cichém uczuciu, które ogarnia świat cały, od Ciebie aż do robaczka. Albowiem, cóż spokojniejszego, jak człowiek, który ma serce proste? I cóż swobodniejszego, jak ten, który już niczego nie pożąda na ziemi!”

IX. SYN I MATKA

Ranek był wczesny. We dworze jodłowskim zupełna panowała cisza; tylko z folwarcznego dziedzińca kiedy niekiedy dochodziły głosy wstających do pracy ludzi. W samym domu wszyscy spali jeszcze; zapylone krzesła i stoły czekały ręki Ignacego, aby z nich starła warstwę kurzu, a koronkowy *peignoir*¹ pani Warskiej spoczywał niedbale rzucony na krzesło, obok łóżka śpiącej Marylki, czekając, rychło się garderobiana obudzi i prasować go zacznie. Ale, mimo tak wczesnej godziny, pani domu już nie spała; białą okryta, uchyliła ciężką roletę, u okna swój sypialni. Różane promienie wschodzącego słońca wdarły się przez odsłonięte szyby i zabarwiły przezroczystą na ścianach draperyą. Twarz Madonny, tym samym rozjaśniona promieniem, zaróżowiła lekko i wychyliła się plastycznie z pomiędzy białych fałd.

Dlaczego Klotylda w tak niezwykłej dla siebie porze odsłaniała okno swój sypialni? Czemu tak rano już niecierpliwą stopą deptała miękką kobierzec pokoju? Czy obudziło ją dotkliwe cierpienie jakie? czy tajemny jaki niepokój wybił ją ze snu o niezwykłej godzinie? I mogłoby to być właśnie wtedy, gdy przed dwoma dniami powitała w domu swym narzeczonego o wesołym oku, pogodnym, myślącym czole, ze śmiejącymi się swobodnie ustami?

Cały dwór jodłowski częścią domyślał się, częścią był uwiadomiony, że piękny i grzeszny pan, o jasnych kędziarach i uprzejmym słowie, był narzeczonym dziedziczki Jodłowej. Dembowski nie posiadał się z radości, że pani Warska „raz już, mosanie tego, wybrała sobie dozgonnego przyjaciela”, Ignacy uśmiechał się pod siwym wąsem, z rozczuleniem spoglądając na piękną parę.

A Klotylda?... Klotylda nie była tak wesołą, jakby się spodziewać można było...

Silne pociągnięcie dzwonka zbudziło ze snu Marylkę. Zeskoczyła z łóżka zaspana dziewczyna, a zobaczywszy przez okno, że słońce wschodzi dopiero, przeżegnała się ze zdziwienia.

— Święty Boże! — zawołała — a co to się pani stało? Drugi już dzień budzi się o wschodzie słońca!

I pochwyciwszy *peignoir*, subretka² pobiegła żywo do sypialni swój pani. Po chwili, Klotylda, owinięta w biały muślin i koronki, przebiegała aleje ogrodu.

Szczyty ciemnych jodeł, ozłoczone słońcem, zginały się lekko pod powiewem rannego wiatru; w głębiach gajów ptastwo zaczynało świergotać; nieruchoma szyba stawu błyskała srebrem i mieniła się różowymi smugami.

¹*peignoir* (franc.) — peniuar; okrycie kobiece, rodzaj koszuli nocnej; po raz pierwszy pojawił się w XVIII wieku we Francji. [przypis edytorski]

²franc. *soubrette* — postać kobieca występująca w operetce lub operze komicznej, najczęściej jest to sprytna pokojówka, inspiratorka intryg. [przypis edytorski]

Klotylda stanęła nad wodą, oparła się o podstawę jednego z posągów i stała w zamyśleniu, nieruchoma.

Nagle, między zielenią jednego z gajów, zamigotało przed jej oczyma coś białego i dał się słyszeć odgłos lekkich kroków. Rozchyliły się gałęzie zamykające wejście do cienistej altany i na ścieżkę, obok której stała Klotylda, wyszła Magdzia.

Snać nie spodziewała się o tak ranną porze kogokolwiek znaleźć w ogrodzie, bo ubrana była w ranny kaftanik z białego perkalu i wpółrozplecione włosy opadały jej na szyję i ramiona.

— To ty, Magdziu, tak rano? — rzekła Klotylda i wnet dodała, biorąc za rękę dziewczynę: — Co to tobie jest? płakałaś?

W istocie, Magdzia miała oczy zaczerwienione od płaczu.

— Tak, trochę — odpowiedziała.

— Cóż ci jest? Czy masz zmartwienie? — nalegała Klotylda.

Magdzia wysunęła rękę z jej dłoni i milcząc patrzyła w wodę; nagle podniosła głowę i, patrząc na panią Warszawską, spytała:

— Czy to prawda, pani, że ten pan, który zawczoraj przyjechał do Jodłowej, jest twoim narzeczonym?

Uśmiechnęła się Klotylda.

— Tak, dziecię — odpowiedziała — to prawda; ale cóż to ma wspólnego z twymi zapłakanymi oczkami?

To mówiąc, zaczęła pieszczotliwie muskać rozpleciony warkocz dziewczyny. Ale Magdzia usunęła się z lekka z pod pieszczącej ją dłoni i, patrząc znowu w wodę, mówiła:

— W istocie, panią dziwić to musi, że ja się pytam o to, bo i cóż to do mnie należy? Przebacz, pani, jeśli pytanie moje było zbyt śmiałe. Jam prosta wiejska dziewczyna, i przyzwyczaiłaś mnie zresztą do swjej dobroci. Ludzie od dwóch dni mówią wkoło mnie, żeś zaręczona z tym bogatym i miłym panem; ja dotąd wierzyć w to nie mogłam. Ale kiedy sama tak mówisz, toć musi być prawdą.

Gdy Magdzia to mówiła, Klotylda postrzegła w niej wielką zmianę. Twarz młodzieuchnej dziewczyny straciła niedawny wyraz dziecięcej prawie naiwności i nieświadomej prostoty, i powlokła się dojrzałą myślą; sam głos jej pełniejszy był, niż wprzód, stanowczy. Klotylda patrzyła na nią ze zdziwieniem i miała coś mówić, gdy Magdzia ozwała się znowu:

— To wszystko, pani, nie ma żadnego związku ze mną. Tyś piękna, bogata, wolna; miałaś prawo wybrać tego, kogo chciałaś i pojedziesz z nim w świat daleki, szczęśliwa, a mnie zostanie na całe życie słodkie wspomnienie chwil, które pozwoliłaś mi z sobą przepędzić. Więc związku to wszystko nie ma ani ze mną, ani z mojemu łzami, ale...

— Ale cóż? — spytała Klotylda, biorąc rękę Magdzi.

Magdzia z wolna wysunęła znowu rękę z jej dłoni i mówiła dalej:

— Ale ja, pani, dziwną mam naturę, mnie serce boli za innych... ja za innych cierpię... Pamiętam, że kiedyś byłam małym dzieckiem, płakałam, patrząc na ubogich. Ojciec gniewał się za to i nazywał mię mazgajem; więc kryłam się ze smutkiem, jakiego doświadczałam na widok nieszczęśliwych, ale cierpieć z nimi i nad nimi nie przestawałam. Jam, pani, dla siebie nigdy niczego bardzo nie pragnęła; całe szczęście moje, to szczęście tych, których kocham... tak mię Bóg już stworzył!...

— Więc czegoż teraz płaczesz?

Magdzia milczała chwilę, aż szybkim ruchem ujęła obie ręce Klotyldy i zaczęła mówić prędko, a z cicha:

— Pamiętasz pani, jak mówiłam ci kiedyś, że jest na świecie człowiek, którego kocham. Miłość ta powstała mi w sercu, nie wiem kiedy, nie wiem jak, ale z nią razem poczułam, że za niego oddała-bym życie i zarazem, że on mnie kochać nie może, tak jak nie może zstąpić ku mnie żadna z gwiazd niebieskich. Od téj pory spokój jego stał się moim spokojem, jego cierpienie — mojem cierpieniem. Przez czas długi widywałam go rzadko i tylko, słysząc od wszystkich wkoło, że zacy jest i rozumny, dziękowałam za to Bogu i aniołom stróżom, i modliłam się do nich, aby był szczęśliwy. Ale z tém wszystkim czuję teraz, żeś była wtedy jeszcze dzieckiem. Potém, zobaczywszy ciebie, pani, piękną, dobrą, rozumną, przeczulałam, że on ciebie pokocha. I tak się stało; a ja, patrząc

codziennie prawie na was oboje, zaczęłam wysnuwać z siebie całe światy, nieznane mi dotąd, zaczęłam cierpieć tak, jak nigdy nie cierpiałam. Raz przeczytałam w jednej z twoich książek wyrazy: „z dziecka stała się kobietą”. Myślałam nad nimi i poczułam, że przestałam być dzieckiem. Niekiedy, patrząc jak oboje chodziliście po alejach ogrodu, czułam taki ból serca, żem uciekała, abys nie zobaczyła mnie wtedy, bom była bardzo zmieniona. I tak, jak oto nad nami świeci teraz słońce pogodne, tak prawdą jest, że wszystkie te myśli i cierpienia jedną nicią pociągały moje serce ku wam obojgu, a rano i wieczorem zmieniały się w modlitwę za was... za szczęście wasze... Patrząc na niego, *przeczułam*, pojęłam, jak bardzo cię kocha, i życie-bym moje oddała za to, abys ty go kochała także... i... sądziłam... zdawało mi się, że tak było.

Umilkła na chwilę, pokonana wzruszeniem; twarz jój, wprzód blada, zabarwiła się rumieńcem, oczy, utkwione w twarz Klotyldy, błyszczwały łzą i energią naprzemian.

— A teraz, pani — mówiła znowu — przyjechał twój narzeczony, macie wziąć ślub ze sobą i pojechać daleko. To dobrze... masz pani prawo robić, co się tobie podoba... życzę ci szczęścia... Ale może to jeszcze zabytek niedawnego dzieciństwa mego, może prostota wiejskiej dziewczyny... ja tego wszystkiego nie rozumiem. Nie pytam cię, pani, o nic, bo wiem, że nie mam na to prawa, ale umysł mój gubi się w nierozwikłanej dla mnie zagadce... Co to było? co się stało? Czym ja się myliła? czy ty, pani, masz dwa serca? — nie wiem i nie rozumiem... Wczoraj byłam z ojcem w N. i widziałam *jego*...

Oczy Klotyldy błysnęły; ścisnęła silnie rękę Magdzi i zawołała:

— Widziałś go? mów-że, mów! co się z nim dzieje?

Magdzia smutnie się uśmiechnęła i odpowiedziała głosem, w którym był ból i wyrzut:

— On, pani, umiera z boleści!...

Klotylda jęknęła i opuściła twarz na obie dłonie.

Magdzia z goryczą patrzyła na nią przez chwilę, potem dotknęła lekko jój ręki i rzekła:

— Teraz, pani, nie będziesz mię pytała, czego ja płaczę; a jak zobaczysz *jego*, tak jak ja go wczoraj widziałam, sama zapłaczesz... i daj Boże, abys kiedykolwiek potem płakać przestała; bo są rzeczy, których przez życie całe wypłakać nie można...

Klotylda długo stała, oparta o posąg, nieruchoma, a gdy podniosła głowę, Magdzi nie było już przy niej.

— Pojadę tam dziś — rzekła z gestem rozpaczliwej energii; — muszę go zobaczyć, bądź co bądź, choć raz jeszcze widzieć go będę...

Około południa, Klotylda siedziała we wschodnim gabinecie, ubrana tak zupełnie, jak gdy po-raz piérwszy przyjmowała w Jodłowej Lucyana. Przy otwartych na ganek drzwiach siedział Cypryan, patrząc na nią, pół żartobliwym, pół rozkochanym wzrokiem.

— *Ma belle fiancée* zle sny dziś mieć musiała, bo w tak posępnym humorze nigdy jój jeszcze nie widział — rzekł, powstając i zbliżając się ku niej.

Klotylda nic nie odpowiedziała; oczy jój były spuszczone i utkwione w kobierzec, pokrywający posadzkę.

— Na seryo, Klotyldo — rzekł znowu Cypryan, siadając obok niej — blada dziś jesteś i smutna. Nie mogę-ż wiedzieć powodu?

— Lekkie niedrowie... — odpowiedziała z cicha.

— To niedobrze; ale jeżeli lekkie, mam nadzieję, że prędko przejdzie. Nie uwierzysz, Klotyldo, jak miłe wrażenie wywiera na mnie Jodłowa. Mało podobnie pięknych miejsc widziałem. Patrząc na te stare drzewa, wśród téj ciszy głębokiej, mimowoli człowiek poważnieje i myślą wznosi się nad blahe drobnostki naszego światowego, salonowego życia. Nie dziwię się, że to śliczne i poważne rodzinne miejsce twoje wykołysało ciebie, tak piękną i dobrą.

Ostatnie słowa wymówił ze wzruszeniem i ujął rękę narzeczonej; ale po chwili wypuścił ją z dłoni i rzekł z niepokojem:

— Jaką zimną masz rękę, Klotyldo! Możeś bardzo chora?

— O nie! — odrzekła, przesuwając rękę po czole, jakby myśli czarne odpędzić chciała.

— Nie dziw się moim natrętnym może pytaniom — rzekł Cypryan — bo widzisz, każda oznaka jakiegokolwiek twego cierpienia niepokoi mię i martwi.

Klotylda milczała.

— Czy wiesz, Klotyldo — mówił dalej Cypryan — że chwilami czuję się tak szczęśliwym, tak uzacnionym mojm głębokiem uczuciem dla ciebie, że pytam samego siebie:

czém zasłużyłem na szczęście takie? Byłem zawsze zepsutém dzieckiem, motylem mnie zwano; dobre serce stanowiło całą zaletę moją. Dziś stanął przy mnie anioł i podniósł mię na wyżyny człowieczeństwa...

Klotylda ciągle milczała, nie odrywając wzroku od kobierca; Cypryan mówił dalej:

— Żeby to już prędzej ten dzień stanowczy przyszedł, w którym oddasz się mnie bezwarunkowo i bezpowrotnie! Chociaż tu pięknie jest i miło, pragnę jednak uwieźć cię w świat, bo to mi da jakby przeświadczenie, żeś już zupełnie, nazawsze moja. Chciałbym, abyśmy prędzej oboje stanęli na tém polu, na którym rozwinąć mamy wspólną działalność naszą... abyśmy prędzej nietylko już ślub miłości, ale wzięli ze sobą ślub wspólnej pracy i czynu. Jak myślisz, Klotyldo — mówił dalej — żebyśmy dziś zawiadomili tutejszego proboszcza, iż chcemy, aby ślub nasz odbył się w przyszłą niedzielę? Wszak indult przywiozłem.

Klotylda po raz pierwszy przez cały czas rozmowy spojrzała na Cypryana, ale takim dziwném spojrzeniem, tyle w niem było cierpienia i jakby niewytłómaczonej obawy, że Cypryan zawołał:

— Klotyldo! ty musisz być bardzo chora!

A gdy nie odpowiedziała, powtórzył, tuląc jęj ręce w swoich:

— Droga moja! tobie może trzeba doktora. Ja zaraz poślę po Lucyana...

Nie dokończył, bo Klotylda gwałtownie wysunęła ręce z jego gorącego uścisku i, żywo powstając, rzekła:

— Nic, nic mi nie jest! potrzebuję być sama.

I nim Cypryan zdołał odpowiedzieć, zamknęły się już za nią drzwi jęj sypialni.

W kilka godzin potem, na ganku od ogrodu, oboje narzeczeni siedzieli przy obiedzie. Klotylda wydawała się spokojniejszą, całkiem nawet spokojną, tylko miała ślady łez na oczach. Cypryan, trochę stroskany, spoglądał na nią, niemniej jednak rozmowa między nimi toczyła się żywa.

— A propos dzisiejszego niezdrovia twego, droga Klotyldo, przychodzi mi na myśl, żeś zapomniał opowiedzieć mojej pięknej pani o widzeniu się mojem w N. z Lucyanem Dolewskim. Co to za pocziwy i rozsądny człowiek! Nie prawdaż? Jest to jeden z najlepszych moich przyjaciół. Błagam cię o przebaczenie, alem mu wszystko, co między nami zachodzi, powiedział, a on mi mówił, że zna moją cudną narzeczoną. Czy bywał często w Jodłowej?

— Przez czas jakiś bywał dość często — odparła Klotylda, niosąc szklankę z wodą do ust.

— Ale żał mi tylko, żeś go znalazł dziwnie jakoś zmienionym. Błady jest strasznie i bardzo, bardzo źle wygląda. Dał mi do zrozumienia, że się w nim rozwija choroba sercowa. A zła to zaprawdę choroba. Szkoda go!...

Szklanka z napojem zadzwoniła w ząbkach pięknej narzeczonej.

— Dobrze-by było — rzekła Klotylda — abyś pan odwiedził swego przyjaciela... tém bardziej, jeśli chory...

— Myślałem o tém, i dziś jeszcze pojedę do N., a jeśli mi dasz pozwolenie na to, Klotyldo droga, będę zarazem i u proboszcza... Wszak w N, mieszka ów ksiądz Stanisław, o którym tyle pochwał słyzałem wczoraj z pewnych pięknych ustek?

— Tak, proboszcz nasz mieszka w N. i pojedziemy tam dziś oboje.

— Wyborna myśl. Wieczór będzie prześliczny; bardzo miłą rokuję sobie przejażdżkę, a ty, Klotyldo, będziesz moim cicerone w stolicy tych stron, których jesteś sama królową.

Klotylda blade się uśmiechnęła i zapadła w milczące, długie zamyślenie.

— O czém moja pani tak się zamyśla? — zagadnął po kilku chwilach Cypryan.

— Myślałam o tém — odpowiedziała Klotylda, nie podnosząc spuszczonej oczu — czy też mężczyzna może umrzeć przez nieszczęśliwą miłość dla kobiety?

— *Quelle idée lugubre!* — wesoło zawołał Cypryan. — Mojem zdaniem, jest to zapewne rzecz możebna, ale zdarzająca się niezmiernie rzadko. Trzeba na to odrębnych cech charakteru i wyjątkowych okoliczności... W każdym razie, mnie to niebezpieczeństwo nie grozi; nie prawdaż, pani?

I śmiejąc się, pocałował rękę narzeczonej; ale wypuszczając ją z dłoni, rzekł z niepokojem:

— Strasznie masz zimną rękę, Klotyldo. Boję się, doprawdy, o zdrowie twoje...

— O, nic mi już nie jest! Zresztą, zobaczę dziś doktora, to go poproszę o radę — rzekła Klotylda z dziwnym uśmiechem i wstała od stołu.

*

Tegoż dnia, w mieszkaniu pani Dolewskiej panował ruch wielki; pokoje smutno wyglądały, odarte ze wszystkich mniejszej objętości sprzętów; paki i tłomoki jedne na drugich stały pod ścianami, a między niemi, z pomocą Owsickiej i Marysi, krzątała się Dolewska. Gorączkowy rumieniec ożywiał twarz staruszki; ręce jej drżały, kiedy małe, w złotych ramkach obrazki zdejmowała ze ścian, na których wisiały przed jej oczyma więcej niż ćwierć wieku. Zdawało się, że chciała-by wywieźć z sobą wszystko, co się znajdowało w domu, że serce jej ścisnęło się na myśl o rozstaniu z najmniejszym drobiazgiem, towarzyszącym jej przez ciąg długiej wędrówki życia.

Około południa wszystko już było spakowane i gotowe. Pani Dolewska stanęła na środku bawialnego pokoju, z którego zniknęły obrazki, lustro z nad kanapy i bukiet włóczkowy ze szklanym kloszem.

Kukawka zegaru oznajmiła dwunastą godzinę południową.

— Ot, wiesz co, pani Wincentowo — rzekła matka Lucyana — że chce mi się wziąć z sobą i ten zegar. Na co ma tu zostać?

— Ależ, pani Józefowo! po cóż tam, panie mój kochany, będziesz tyle gratów z sobą wozila? A toć w wielkim mieście, dostaniesz zegar i nowy, i za tanie pieniądze. Zresztą nie na wieczność przecie wyjeżdżasz, i wróciwszy, znajdziesz wszystko, co zostawisz.

Dolewska pokiwała smutnie głową.

— Oj, moja pani Wincentowo — odrzekła — człowiek wie, kiedy wyjeżdża, ale kiedy wróci i czy wróci, wiedzieć nie może. To tylko w Bozkich ręku, a ja już stara! Ot, wiesz co, serce mi się kraje, patrząc na te kąty, których już może nigdy nie zobaczę, a w których tyle lat przebywałam. Ja myślę, pani Wincentowo, że bogaci ludzie jeżdżą tak z kąta w kąt po świecie całym, nie przywykając, jak biedni, do jednego miejsca, dlatego, że mało cierpią; bo kiedy człowiekowi ciężko na sercu i nie ma z kim biędy podzielić, to płacze sobie po cichu w kątku, a potem już jemu ten kątek drogi i miły, jak przyjaciel serdeczny, co patrzył na łzy jego i przytulił go wtedy, gdy cały świat był dla niego zimny i niehumaniczny.

I ze łzą w oku oglądała się staruszka po spustoszonych kątach swego domu.

— Ot, choćby i ten zegar — mówiła dalej, łzawo patrząc na cyferblat z wielkim u góry bukietem — jak ja miałam nie przywyknąć do niego? Pamiętam, że w rok po ślubie naszym, nieboszczyk mój Józef przywiózł go z Wilna. Ja, moja pani Wincentowo, byłam wtedy bardzo młoda i śmiechulska straszna, zwyczajnie, nie znałam jeszcze, co to bieda. To bywało, jak kukawka się odezwie, mnie taki śmiech bierze, że aż do łez się śmieję, i długo nie mogłam się przyzwyczaić do tego, żeby zegar zupełnie taki głos miał, jak ptak w lesie. A jak zacznę śmiać się, to nieboszczyk mój Józef z początku gniewa się na mnie za to, a potem i jego śmiech ogarnia, i oboje śmiejemy się tak, że ludzie, słysząc to przez otwarte okna, mówią: to szczęśliwa para! I prawda, prawda, że szczęście było wtedy w naszym domku, i chleba dobry kawał, i miłość, i zgoda domowa.

Westchnęła i po chwili milczenia mówiła dalej:

— A potem, pamiętam, jak Lucyś mój się urodził i pierwszy raz zapłakał; zegar zakukał dziesięć razy, bo to była dziesiąta godzina wieczorem, i zaraz w téjże chwili zaśpiewał pod oknem słowik, co w krzakach bzu się gnieździł. A mnie wydało się to wróżbą i zaczęłam modlić się, prosząc Boga, aby życie mego dziecka było tak wesołe i swobodne, jak oto życie tych ptaków, których głosy na urodziny mu śpiewały. I pamiętam, że choć byłam bardzo słaba, modliłam się tak długo, że kiedym skończyła, kukawka odezwała się dwanaście razy, bo była już północ.

— Jak to pani Józefowa wszystko akuratnie pamięta! — ozwała się Owsicka.

— Oj, moja pani Wincentowo! Kiedy człowiek doświadczy czegoś dobrego w życiu, to dłużej je pamięta, niż złe, bo złe częściej się zdarza. Ale dla mnie i ono przyszło wkrótce. Mój Józef umarł, aptekę musiałam sprzedać za bezcen, bieda zajrzała do nas, a z nią i potrzeba bardzo ciężkiej pracy, boć i dziecko jedyne trzeba było wychować na ludzi. Bogate panie, co wtedy mieszkaly blisko N., dawały mi wiele do szycia i do haftowania, bo, nie chwając się, haftowałam lepij, niż ich wszystkie panny służące. Potem, kiedy

Lucyś był w szkołach, to jak kukawka zakukała szóstą z rana, myślę sobie: mój chłopiec wstaje! Jak dziesiątą, myślę sobie: uczy się moje dziecko! A jak dziesiątą wieczorem, myślę sobie: śpi już mój syn jedyny! I zdawało mi się, że to kukawka opowiada mi, co on tam robi daleko ode mnie. A potem, kiedy Lucyś wrócił do domu, to jak wyjdzie do chorych, kukawka mi przypomina, kiedy mu przygotować obiad albo kawę, a jak wyjdzie z miasteczka, a kukawka wybije dziesiątą wieczorną, to już słucham, czy nie wraca do domu i spać nie idę, ażeby moje dziecko pobłogosławić na noc i krzyżem świętym zle sny od niego odżegnać. Ot, widzisz, pani Wincentowo, dla czego żalność mię bierze, kiedy myślę, że zostawię tu ten zegar.... toć to towarzysz i przyjaciel całego mego żywota.

I, stojąc na środku pokoju, patrzyła na zegar i dwa strumienie grubych łez, szeregiem wspomnień wywołanych, staczały się po jej zmarszczonej twarzy.

— Pan Lucyan idzie — rzekła Owsicka, patrząc w okno.

Dolewska żywo się poruszyła, szybko otarła łzy i, z młodzieńczą prawie żywocią, skoczyła na krzesło, majstrując coś koło zegara, aby syn jej łez nie dostrzegł.

— Żeby on tylko nie zobaczył, że ja płakałam — szepnęła z krzesła już do Owsickiej i zaczęła raźnie nucić starą piosenkę.

Lucyan przeszedł, milcząc, bawialny pokój i wszedł do swojego. Piérwszy przedmiot, który uderzył jego oczy, był stojący na oknie świeży bukiet z niezapominajek. Lucyan popatrzył na kwiaty i rzekł do siebie:

— To dziecię stawia tu te kwiaty, aby mi niebo przypominały! Jest-że ono dla tych, którzy tak nędznie, jak ja, giną?...

I pogrążył się w smutném, gorzkiem dumaniu.

Była to może ta sama chwila, w której Cypryan Karłowski, we wschodnim gabinecie Klotyldy, mówił jej gorące słowa miłości i wysnuwał przed nią złotą nić swoich nadziei.

*

Czerwona tarcza słoneczna spuszczała się zwolna za niskie dachy domowstw miasteczka; ulice i plac różowiwały pod jej blaskiem; po błękitném niebie przepływały obłoki białe i z po-za nich wychylał się srebrną nicią zarysowany półksiężyc. Cisza w naturze panowała wielka, ale w miasteczku gwar, bo był to dzień świąteczny, więc wszystko, co żyło, oprócz żydów, wyroiło się na ulicę, a kto został, otwartém oknem przynajmniej wyglądał na piękny o téj wieczornej dobie świat Boży.

Lucyan wyszedł z domu kowala, którego chorą żonę po raz ostatni przed wyjazdem z N. odwiedzał, i szedł ulicą. Z ganku mieszkania Grodzickiej zbiegła Walerka, ubrana w swój różowy muślinek.

— Panie Lucjanie, niech pan zajdzie do nas — prosiła — jest u nas i pan Dembowski z Jodłowej.

Lucyan zwrócił się ku gankowi.

— Ho, ho, ho! jak się masz, kochany Eskulapie! — ozwał się we drzwiach od ganku stentorowy głos Dembowskiego. — Widzę, że nieosobliwie; coś zmizerniałeś dyabelnie. Słyszę, wyjeżdżasz; dokąd? dla czego? Czy ci tu już, mosanie tego, nasz chleb nie miły?

Lucyan miał coś odpowiedzieć, ale szlachcic mu przerwał:

— Spodziewam się, mosanie tego, że przynajmniej na ślub pani Warskiej poczekaasz. Bo u nas w Jodłowej wielka nowina. Pani Warska za mąż idzie; w niedzielę przyszłą ksiądz Stanisław ma im podobno pobłogosławić. Ot, jak z pistoleta wystrzeliła siurpryzę, mosanie tego. Ale narzeczony, co się zowie, grzeczny człowiek, przyzwoity i choć widać po wszystkiém, że bogaty, pańskich, za pozwoleniem, głupich fumów za grosz nie ma, rychtyk jak ona. Zobaczysz ich zaraz, mosanie tego, bo dziś przyjadą oboje do księdza Stanisława. Jak wyjeżdżałem, zaszedłem do nich i mówili mi, że za godzinę do N. jadą.

Na te słowa usta Lucjana zadrżały i skronie zapulsowały mu silnie. Dembowski prawil dalej:

— A kochają się, mosanie tego, jak gołąbki! Dalibóg, staremu ślina do gęby idzie, patrząc na nich. Dziś, kiedy tam przyszedłem, Ignacy tylko co zdjął ze stołu i powiedział, że pani i gość w ogrodzie. Poszedłem do ogrodu i z daleka przez gałęzie zobaczyłem, jak on, mosanie tego, ścisnął i całował jej rączkę, a ona, jakby nic, siedziała sobie na ławeczce,

nad stawem, i nie na niego filutka patrzyła, tylko niby na wodę. Ho, ho, ho! a pewnie tam z pod oczka zerkała na niego, tak jak to ona umieć, ho, bo, ho!

Przy tém opowiadaniu Lucyan oparł się o słup ganku i parę razy poniósł rękę do skroni.

Ale Dembowski, nie zwracając na to uwagi, zawołał:

— Otóż i jadą, mosanie tego!...

Z daleka, na końcu ulicy, ukazały się cztery siwe konie i dał się słyszeć głuchy turkot powozu i lekkie brzękanie szorów. Wszystko to było tak otoczone kłębam kurzawy, że z dala wyglądało, jak wielki, szary punkt.

Lucyan z wyteżeniem w punkt ten się wpatrzył; twarz jego nabiegła nagle gwałtownym rumieńcem i w mgnieniu oka pokryła się znowu straszną bledością.

Ale nikt na niego nie patrzył.

Walerka, Dembowski i na ulicy znajdujący się ludzie, zwrócili ciekawie oczy ku nadjeżdżającemu powozowi.

W małym odkrytym koczku siedziała Klotylda, w białej sukni i białym kapelusiku. Wiatr unosił końce jęj błękitnej przepaski po-za drzwiczki powozu i igrał z niemi w powietrzu. Obok nięj, z rozpromienioną twarzą, siedział Cypryan Karłowski.

— Śliczna para — mówiło na ulicy kilka głosów.

— Bogaci! szczęśliwi! — odpowiadali inni.

A powóz toczył się szybko ulicą i dojeżdżał do domu Grodzickięd.

Nagle Cypryan zerwał się z siedzenia, gwałtownie pochwycił ramię furmana i krzyknął:

— Stój!...

Klotylda zwróciła spojrzenie ku gankowi Grodzickięd, na który patrzył Cypryan, i z piersi jęj wydobył się głuchy jęk.

Dziwny widok uderzył ich oczy.

We drzwiach domu stał Dembowski, obu rękoma obejmując opartego na nim Lucyanę. Oczy młodego człowieka były zamknięte, usta sine, trupia bledość twarz mu zalała.

— Co to jest? co to się stało? — zawołał Cypryan, w mgnieniu oka wyskakując z powozu.

— Zemdlął, czy co? mosanie tego — niespokojnie mówił Dembowski, podtrzymując opartą na jego piersi głowę Lucyanę. — Tylko co rozmawiał ze mną.

— Ależ on jak bez życia! — zawołał Cypryan, dotykając ręki przyjaciela. — To nie jest zemdlecie, to coś gorszego! Czy niema w N. drugiego doktora?

— Księdza proboszcza! księdza proboszcza! — zawołało kilka osób, które, na widok zatrzymującego się powozu, w jednej chwili pod gankiem zbiegły się dość tłumnie.

— Walerko, biegnij po księdza proboszcza! — rzekła do córki Grodzicka, — a potem zajdziesz do pani Dolewskiej i powiesz jęj, żeby tu przysłała, bo syn jęj zachorował.

— Jakże to było? jak się to stało? — pytał Cypryan, pomagając Dembowskiemu złożyć bezwładne ciało Lucyanę na jednej z ławek, stojących na ganku. — Każ pani przynieść wody — rzekł do Grodzickięd — trzeba próbować trzeźwić go, nim proboszcz przyjdzie. Ale na miłość Boga, panie Dembowski, jakże to było?

— Ot jak było. Rozmawialiśmy z sobą najpięknięd tu na ganku; prawda, że był mizerny, ale zdawało się, że nic tak strasznego. Raptem, jak państwo podjeżdżali pod ganek, kiedy ja spojrzę na niego, a on wpatrzył się w państwa tak dziwnemi oczyma, jakich ja, mosanie tego, w życiu mojem nie widziałem; schwycił się za serce, jęknął i upadł-by na ziemię, gdybym ja nie stał za nim i nie podtrzymał go, mosanie tego!

— A czy ksiądz proboszcz zna się cokolwiek na medycynie? — zapytał Cypryan.

— Oho! Podobnoć sam uczył się kiedyś na doktora, a póki pana Lucyanę w N. nie było, leczył często a dobrze.

Lucyan leżał na ławce, martwy i piękny w nieruchomości swojej. Długie rzęsy jego zamkniętych oczu rzucały cień na bladą twarz; usta bez krwi nie zamknęły się całkiem po ostatnim jęku; czoło przysłaniały rozrzucone czarne włosy. Jedna ręka jego leżała na piersi, druga zwisała ku ziemi.

Obok niego stali: Grodzicka ze szklanką wody w ręku, Cypryan z serdeczną troską na twarzy i Dembowski, tarmoszący niespokojnie swoje siwe włosy.

Za jeden ze słupów gankowych napół ukryła się Klotylda i, jak skamieniała, stanęła z załamanemi i konwulsyjnie zaciśniętymi rękoma.

Wkoło ganku coraz więcej zbierało się ludzi; pożałowania, westchnienia, pytania rozlegały się coraz gwarniejsze.

Po chwili od strony plebanii ujrano idącego spiesźnie księdza proboszcza. Tłum się rozstąpił i ksiądz, ze wzruszoną twarzą, stanął nad Lucyanem.

Głuche milczenie ogarnęło obecnych. Oczy wszystkich utkwily w twarzy księdza, we wszystkich piersiach zatrzymał się oddech.

Proboszcz ujął rękę Lucyana, położył dłoń na jego sercu i skroniach, pochylił ucho ku piersi i wpatrzył się w twarz nieruchomo. A im więcej patrzył, tym większy smutek pokrywał mu czoło i mglił się w łagodnych oczach.

Nareszcie z rodzajem uszanowania złożył na piersi obie ręce Lucyana, pochylił głowę i długo milczał, a dwa strumienie łez cicho spłynęły mu po twarzy. Otarł je, a podnosząc głowę i zwracając się do obecnych, rzekł wyraźnie, choć stłumionym głosem:

— Nie żyje!...

Z piersi wszystkich obecnych wydarło się jedno głuche westchnienie, ale zapanował nad niem straszny, przeraźliwy, rozdzierający krzyk.

Pani Dolewska, z siwemi włosami, rozwianemi od wiatru i biegu, z rozplamioną twarzą, z obłąkanym wzrokiem, wbiegła z tym krzykiem na ganek i rzuciła się na martwe ciało syna.

— Kto powiedział, że mój syn nie żyje? — wołała, obejmując go drżącemi ramionami i tuląc jego bezwładną głowę do piersi. — Kto powiedział, że mój syn nie żyje, ten skłamał! skłamał! On nie może umrzeć, bo Bóg jest dobry, bo jeśli on umrze, to chyba niema Boga na niebie...

— Kobięto! — zaczął mówić proboszcz łagodnie, biorąc ją za rękę.

Ale wyrwała ją gwałtownie i, zwracając się do księdza, krzyknęła:

— Ty powiedziałeś, że mój Lucyś umarł, a więc mi go oddaj teraz! Ale ty skłamałeś! Czy słyszysz? skłamałeś! To prawda, że on leży jak trup, bez życia, ale nie umarł, nie! Ten, kto to powiedział, zapomniał, że ja nie po to kołysała go i hodowała, żeby teraz umarł. Kłamstwo! kłamstwo! Ot, zaraz zobaczycie!

I rzuciła się znowu na ciało syna i zaczęła twarz jego okrywać konwulsyjnymi pocałunkami. Potem uklękła przy nim i cicho, łagodnie mówić zaczęła:

— Lucysiu! dziecko ty moje najdroższe! Odezwij się do mnie, moje ty szczęście! Spójrz na mnie, jam przecie matka twoja!... Lucysiu! Lucysiu! Ludzie mówią, żeś ty umarł. Dziecko moje jedyne, spójrz na mnie, pokaż im, że kłamią, że ty żyjesz i żyć będziesz, dumo i radości ty moja! Lucysiu!... Lucysiu!... Lucysiu!...

Nagle umilkła, szklanym wzrokiem wpatrzyła się w twarz syna, zerwała się z kolan i krzyknęła przeraźliwie:

— Tak, to prawda, on nie żyje!...

W tej samej chwili, wpiła się palcami w ramię stojącego obok niej księdza, oczy jej otworzyły się szeroko, krwią nabiegły i poczęły szybko krążyć pod powiekami; zaciśnięte usta otwierały się stopniowo, aż wydarł się z nich długi, głośny i ostry śmiech obłąkania.

Ksiądz Stanisław wpatrzył się w nią i po chwili zawołał z najwyższym przerażeniem:

— Wielki Boże! ta kobieta dostała pomieszania zmysłów!

Odpowiedzią na te słowa jego był głuchy jęk kobiecy. Wszystkie oczy zwróciły się na Klotyldę, która stała oparta o słup, strasznie blada i drżąca konwulsyjnie.

Ksiądz Stanisław patrzył na nią przez chwilę w milczeniu; potem wyciągnął rękę i wskazując jej martwe ciało Lucyana, wyrzekł z uniesieniem i goryczą:

— Igrałaś jak z cackami, z sercami ludzkimi, aż jedno z nich pękło i krwią obryzgało białą sukienkę twoją!...

Klotylda zachwiała się i upadła zemdlona na ręce Cypryana, który przez tłumy przecisnął się do niej.

— A! to ty! — krzyknęła, spostrzegając ją, matka Lucyana. — To ty, czarownico, coś mi syna urzekła!...

I wydarła się z rąk wstrzymującego ją księdza i, biegnąc za Klotyldą, którą narzeczony do powozu unosił, krzyczała:

— Ty zabiłaś mego syna, źmijo o złotych słowach! Tyś go oczarowała, a potem mu serce wydarła! Bodajeś nigdy matką nie była! Bodajeś nigdy płakać nie przestała! Bądź przeklęta! przeklęta! przeklęta!...

Cypryan położył zemdłoną w powozie i, sam wskoczywszy, krzyknął na furmana:

— Jedź!...

X. NARZECZENI

Nad Jodłową chmurnie weszło jasne wczoraj słońce. Szare chmury włóczyły się pod białym sklepieniem, a jodły szumiały i pochylały się jedna ku drugiej, jakby opowiadając sobie o czems bardzo, bardzo smutném.

Wewnątrz jodłowskiego domu cisza panowała, głębsza niż kiedykolwiek i, chociaż było już dobrze po południu, pani Warska nie opuściła jeszcze sypialni swojej.

W mniejszym salonie, z dziennikiem w ręku, siedział Cypryan. Patrzył na drukowaną kartę papieru, ale od godziny już przeszło wzrok jego utkwiony był w jednej szpalcie, w jednym wyrazie dziennika. Czoło jego, tak pogodne wczoraj jeszcze, zarysowało się zmarszczką smutku i troski. Przez salon parę razy przebiegała Marylka i przechodził Ignacy. Za każdym ich wejściem Cypryan żywo podnosił głowę, jakby się spodziewał kogo innego, a ujrawszy służących, zapytywał, czy pani Warska śpi jeszcze.

— Nie dzwoniła dotąd — odpowiadała Marylka.

— Nie piła jeszcze herbaty — odpowiadał Ignacy.

Cypryan patrzył na zegarek i szybko przebiegał salon; potem znowu brał dziennik do ręki, całą godzinę czytając jeden wiersz jego.

Bronzowy zegar, ostrym, metalicznym dźwiękiem, ogłosił trzecią po południu.

Zerwał się z krzesła Cypryan, odrzucił dziennik daleko od siebie i szarpnął taśmę od dzwonka.

Wszedł Ignacy.

— Poproś tu do mnie Maryanny — rzekł Cypryan.

Po chwili przybiegła Marylka.

— Pani Warska spać tak długo nie może, musi być chora. Trzeba, żeby panna Maryanna spróbowała wejść do sypialni.

— Probowalam już, proszę pana, ale drzwi wewnątrz zamknięte.

— I żadnego ruchu w pokoju panna Maryanna nie słyszała?

— Żadnego.

Na twarzy Cypryana odmalował się straszny niepokój. Począł znowu przebiegać salon. Marylka wyszła.

Czarne wskazówki zegara zwolna przesuwwały się na tle białém z minuty na minutę; o każdym upłynionym kwadransie oznajmiał ostry dźwięk, przeciągle rozchodzący się po cichych, jak grób, salonach. Za oknami drobny deszcz zawisł między niebem i ziemią; gałęzie jodeł, stojących blisko domu, z brzękiem uderzały o szyby.

Cypryan, drżącą z niepokoju ręką, rozrzucał gęste kędziory swoich włosów; błądy był i coraz głębsza zmarszczka brwi mu zsuwała.

Upłynęła jeszcze godzina, zegar zajęczał cztery razy. W téj saméj chwili podjęła się portyera wschodniego gabinetu i w drzwiach salonu stanęła Klotylda.

Cypryan rzucił się ku niéj i wyciągnął obie dłonie, chcąc pochwycić jéj ręce, ale wnet cofnął się przerażony.

Czarna, niedbale zarzucona, suknia, ciężkimi fałdami opływała chwiejącą się postać Klotyldy; pół-rozplecione, wymykające się z więzów warkocze, opływały stan jéj, szyję i drobnymi kędziorami spadały na blade czoło. Oczy jéj zapadłe, podkrążone, świeciły suchym, ostrym blaskiem; usta zbladły i otoczył je wyraz bólu. Postępowała zwolna na środek pokoju, z głową schyloną i ze zwisłemi na suknię rękoma.

— Klotyldo, najdroższa moja! co tobie? Na miłość Boga, co tobie? — zawołał Cypryan, i chciał ująć jéj ręce.

Ale ona cofnęła się parę kroków i jedną dłonią oparta na poręczu fotelu, drugą wyciągnęła milcząc ku niemu, jakby dawała znak, aby się do niéj nie zbliżał.

Przez chwilę, trwała ta niema, pełna boleści scena.

Cyprian z wyrazem przerażenia i rozpaczcy spoglądał na narzeczoną; jęj wyciągnięta ręka, która go usuwała, opadła między fałdy jedwabne, a usta drżały i otwierały się kilka razy, nie wydając żadnego dźwięku.

W końcu szeptem prawie wyrzekła:

— Nie zbliżaj się ku mnie, Cypryanie, bo razem ze mną ogarnie cię przekleństwo i zbrodnia!

— Klotyldo! — zawołał Cypryan i znowu postąpił ku niej; ale ona cofnęła się jeszcze parę kroków i głośnieję już rzekła:

— Czy wiesz, kto winien śmierci tego człowieka, który skołał wczoraj?

Cyprian pobladł, lecz milczał.

— Ja! — rzekła Klotylda podniesionym głosem i wpatrzyła się w niego suchym, błyszczącym wzrokiem.

— Boże mój! — jęknął Cypryan.

— Tak — ozwała się znowu Klotylda — jam go zabiła i na moję głowę spada przekleństwo jego matki. Do téj chwili, Cypryanie, jestem jeszcze narzeczoną twoją; winnam ci spowiedź. Posłuchaj!

Cyprian oparł się o konsolę, patrzył w ziemię i milczał. Klotylda mówiła dalej:

— Pamiętasz pewno, że w dzień ów, w którym powiedziałeś mi po raz piérwszy, iż pragniesz, abym została twoją żoną, opowiedziałam ci całą przeszłość moję. Nie chciałam uwodzić cię, oszukiwać; nic nie zataiłam przed tobą. Dowiedziałeś się więc, że przez lat kilka była igraszką wrażeń i sama czyniłam igraszkę z tego, co w głębi serca uważałam za świętość. Tyś wtedy ujął moję rękę w swoje gorące dłonie i powiedziałeś mi, że każdy człowiek ma w życiu swoim błędy i winy, lecz kiedy szlachetny jest i mądry, zmazać je może cnotami; że nakoniec, jeśli cię tylko kocham, przyjmujesz mię taką, jaką jestem. A mówiąc to, byeś sam tak szlachetny, tak głęboką i prawdziwą miłość czytałam w twojéj twarzy, że serce mi uderzyło wzruszeniem silném, i przyrzekłam być twoją wyłącznie, twoją tylko i nigdy już niczyją więcej. Pamiętasz pewno tę chwilę... nie prawdaż?

Cyprian milczał, nie zmieniając postawy, a Klotylda mówiła dalej:

— W owéj właśnie porze, gdy m poznała ciebie, Cypryanie, znajdowałam się w stanowczéj epoce życia. Wszystko, co dobrego zostało we mnie, oburzało się przeciwko próżni mojęj exystencji. Poczulałam się strasznie samotną na świecie, pomimo otaczających mnie tłumów i hołdów, w których na dnie ujrzałam nędzę moralną. Ze strachem obejrzałam się wkół siebie; sumienie pytało mnie: com uczyniła z moją przeszłością? a ja pytałam losu, co z moją przyszłością uczyni? Położyłam rękę na sercu i zdało mi się, że zostały w niem nietknięte jeszcze skarby słodczy, włożone tam ręką mojęj świętéj matki, i zasób prawości, który na mnie z krwią spłynął ojcowską. Zapraęnęłam podnieść się i udoskonalic przez miłość wyłączną i trwałą, zapraęnęłam rodzinnego ciepła, rodzinnych radości i obowiązków. Wtedy właśnie tyś mi podał rękę... przyjął ją. I nie kłamałam, mówiąc, że cię kocham, bo sama sobie w głębi serca mówiłam to samo.

Umilkła na chwilę i zdawała się zbierać siły do dalszego mówienia; oddech jęj stawał się szybkim, gorączkowym, rumieniec zalewał stopniowo bladą wprzódy twarz.

— Potém — mówiła dalej — przyjechałam tu z myślą o tobie, sercem i pragnieniami czystsza i zacniejsza. Zobaczyłam *jego*... i poczułam odzywające się we mnie demony zgubnych uniesień. Walczyłam... nie chciałam uledz... O walkach moich i cierpieniach wie obraz święty, przed którym codzień płakałam łzami krwawemi, o siłę Boga błagając... I widziałam, że *on* mnie pokochał... i zamiast odsunąć od siebie, pociągałam go coraz bardziej, własnymi rękoma tworzyłam między nim a sobą łańcuch nierozzerwany. Przyszła chwila, że jego twarz, jego słowa stały mi się tak potrzebnymi do życia, iż gdy mi ich brakło, nie czulałam, że żyję, a kiedym pomyślała o tobie, zadrzałam, ujrzaawszy, że w pamięci mojęj twoja postać wobec niego zasunęła się w cień głęboki. Pamiętałam jednak, że ci przyrzekła nie należeć już do nikogo więcej, a prawość moja tak silnie oburzała się na myśl złamania danego słowa, że pod nią cichła porywająca mnie namiętność. Aż przyszedł pewien wieczór... wieczór bardzo piękny... cichy, wonny... Byliśmy sami, jak zwykle; uczucie jego, długo tłumione, wybuchnęło w słowach gorących... Cypryanie! poczułam się otoczona jego ramieniem... i całował moje czoło i włosy...

Nie mogła mówić dalej, bo głos i oddech zamarł w jęj piersi, rumieniec upokorzenia zalał pochylone czoło. Ale podniosła je po chwili i rzekła:

— Odtąd już go nie widziałam. Cierpiałam jak potępiona... ale miałam nadzieję... Myślałam, że ten poryw mój ku niemu minie... że był on silniejszym od innych wrażeniem... że gdy zobaczę ciebie, zapomnę o nim i będę mogła zostać czystą i prawą twoją żoną. O jakże pragnęłam tego!... Lecz inaczej się stało... I od tej chwili, Cypryanie, nie jestem już narzeczoną twoją.

Cypryan przez cały ciąg opowiadania Klotyldy stał nieruchomy. Na twarzy jego odbijały się wrażeń tysiące, ale panował nad nimi wyraz bóleści.

Po ostatnich wyrazach Klotyldy podniósł głowę i, milcząc, długo wpatrywał się w twarz jej. Ale w oczach jego nie było gniewu i goryczy, owszem, malował się w nich żal głęboki, litość. Im więcej wpatrywał się w zmęczoną twarz i złamaną upokorzeniem postać kobiety, którą kochał, tym więcej wzrok jego stawał się pełnym miłości i współczucia. Nareszcie błysnęła w nim energia silnego postanowienia. Zbliżył się o kilka kroków i, stanąwszy przed Klotyldą, rzekł:

— Wszystko, co mi powiedziała, Klotyldo, przeczuwałem, a raczej domyśliłem się wszystkiego ze strasznych słów księdza i matki jego, rzuconych wczoraj na ciebie. Nie taję przed tobą, że w pojęciu moim winna jesteś śmierci człowieka tego i nieszczęścia jego matki. Myślałem nad tym długo; dziś jeszcze, gdy w śmiertelnym niepokojem oczekiwałem chwili ujrzania ciebie, badałem się ściśle i czuję, iż, mimo to wszystko, kocham cię jak dawniej i, w miarę nieszczęścia twego, miłość potęguje się we mnie. Klotyldo! Bóg ci przebaczy, jam ci już przebaczył... Raz jeszcze uległaś popędowi wrażenia, będzie to raz ostatni. Ze wszystkimi skarbami twojej duszy możesz jeszcze zostać zącną i czystą, cnotami zmasać winy, a nawet zbrodnie przeszłości. Ja podaję ci dłoń pomocy... przyjm ją i bądź moją, jak być miałaś... Na mojej kochającej cię piersi splaczesz lzy grzechów; uwiozę cię ztąd... wspierać cię będę... upaść ci nie dam...

Wyciągnął ku niej ręce i chciał ją pociągnąć ku sobie.

Ale Klotylda szybkim ruchem usunęła się od niego i twarz obu dłońmi zakryła.

— Klotyldo! — mówił dalej — uniosłaś się wrażeniem chwili, nie myśląc, że tym zabijasz człowieka. Ale śmierć ofiar swych nie oddaje, nie ubłagać jej żadną rozpaczą ni łzami. On umarł, pokój jemu wieczny, a ty, Klotyldo, powinnaś powstać mężnie z upadku i zatrzeć przeszłość życiem wytrwałej cnoty i pracy. Ja chcę ci w zadaniu tym dopomagać. Wesprzyj się na mnie z wiarą, nie rozpaczaj, działaj i kochaj, a Bóg przebaczy, i on, jeśli z innych światów ujrzy cię zącną i czystą... — przebaczy.

Klotylda podniosła głowę, gorzko się uśmiechnęła i odrzekła:

— Cypryanie! szlachetny jesteś, jak nie wielu na świecie ludzi, ale ja... ja twoją nie będę... być nie mogę!... Mówisz, że się uniosła wrażeniem chwili... Gdyby tak było... ale nie, Cypryanie, jam się omyliła dwa razy, dwa razy nie zrozumiałam samej siebie. To co czułam dla ciebie było wrażeniem; to co czułam dla niego — miłością. Całe życie moje było gonitwą za uczuciem takim. Przez lat kilka chciwie chwytalam wrażenia, myśląc, że one są tym, czego pragnęłam. Zawiedziona, własną ręką tłukłam cacka mojej wyobraźni i biegłam dalej, coraz dalej, ciągle szukając, ciągle się zawodząc, nigdy nie znajdując owej przeczutej a niedościgniętej gwiazdy serca... I w tej szalonej gonitwie straciłam ster własnych uczuć; rozszałała się wyobraźnia moja, zapomniałam rachować się z sobą. Nareszcie dosięgłam gwiazdy i odrzuciłam ją, myśląc, że ona jest taką blaszką, jakich zniszczyłam już tyle. Nie rozumiałam samej siebie. W imię wrażenia, któremu chciałam być wierną, miłością je mieniając, zwichnęłam... zabiłam... straciłam miłość prawdziwą!

Załamala ręce i zawołała w nagłym przystępie gwałtownej bóleści:

— Tak, ja go kochałam, czuję to po tym strasznym ściśnieniu serca, po tym wirze w głowie, który w nierozwikłany zda się chaos płacze nerwy mojego mózgu. Tak, ja go kochałam i zabiłam go — sama go zabiłam...

Spazmatyczne łkanie pierś jej podniosło, ani jedna łza nie popłynęła z oczu.

— A teraz — ciągnęła dalej — mówisz mi, abym wróciła w świat mój dawny... abym zapomniała, abym może była szczęśliwa!...

Rozśmiała się z goryczą.

— Nie, to być nie może. Zabijając jego, zabiłam i siebie; dla wszystkich radości życia jam już umarła. Gdzie zbrodnia moja była, tam będzie pokuta — zostaną tutaj! U stóp mogiły matki mojej, w tym miejscu, gdzie znałam i kochałam jego, zostaną na zawsze.

A gdy na świecie spytają się kiedy o Klotyldę Warszawską, powiedz, że umarła. Ty, Cypryanie — kończyła spokojnie nieco — zostaniesz na zawsze w pamięci mojej, jako zacny i szlachetny człowiek.

Zdjęła z palca pierścień z brylantem i podała go Karłowskiemu.

— Weź ten pierścionek na pamiątkę ode mnie; gdy spojrzysz nań, przypomni ci kobietę, której już nigdy nie zobaczysz.

— Jest-że to nieodwołalna twoja wola, Klotyldo? — spytał Cypryan.

— Jak śmierć, jak grób — odrzekła stanowczo.

Karłowski wziął pierścionek i zatrzymał jej rękę w swych dłoniach.

— Więc szanuję twoją wolę. Dziękuję ci za chwilę szczęścia, jakieś mi dała. Kiedyś cię spotkał, byłem lekkim, samolubnym, moralnie dzieckiem prawie. Odchodzę od ciebie podniesiony uczuciem, dojrzały cierpieniem, odchodzę bez urazy, bez złości o tobie myśli... z żalem tylko, że cię opuścić muszę... z przywiązaniem. W pamięci mojej pozostaniesz zawsze piękną i słodką Klotyldą, która jak sen przeszła przez drogę mego życia... A w przyszłe życie czy ty wierzysz? Ja wierzę w nie... Spotkamy się kiedyś może tam, gdzie nie będzie grzechów, rozpaczy ani rozstania.

Żal głos mu stłumił, pochylił się, długim pocałunkiem przycisnął rękę Klotyldy i wyszedł szybko z salonu.

W godzinę potem na dziedzińcu jodłowskiego dworu ozwał się turkot odjeżdżającego powozu, trwał przez chwilę i za bramą umilkł stopniowo w oddali.

A dom jodłowski grobowa zaległa cisza. Mgła drobnego i gęstego deszczu owinęła go w szarą oponę, jakby od reszty świata oddzielić chciała mieszkanie pokutnicy.

EPILOG

Od śmierci Lucjana Dolewskiego upłynęło lat kilka.

W okolicy Jodłowej rozszerzył się dobrobyt; na każdym kroku znać tam było opiekuńczą rękę. Szkołki, ochronki, szpitale się rozwijały, a gdy kto ciekawy spytał, czyjś dziełem to wszystko, pokazywano mu dwór piękny i duży, staremi otoczony jodłami i wymawiano imię Klotyldy Warszawskiej.

Dziedziczka Jodłowej żyła samotnie; jedynym gościem jej był ksiądz Stanisław, którego rady wzywała w dobrych swych czynach. Piękna była jeszcze, ale całkiem inną niż przedtem, pięknoscią. Wielbiona jej świeżość zniknęła, a zastąpiła ją martwa bladeść; oczy straciły gorący i wabny blask, a patrzyły często z wyrazem pokory i żalu. Po salonach przechadzał się, jak zwykle, stary Ignacy, opylając starannie konsolle i lustra, w których mało przeglądało się ludzkich twarzy, a po domu całym, z kluczami w ręku, krzątała się pani sędzina Grodzicka, pełniąc u pani Warszawskiej obowiązki zarządzającej gospodarstwem kobiecym. Nosiła zawsze filutki, lubiła mówić o swoim budoarze i z upragnieniem czekała wakacyjnych miesięcy, w czasie których przyjeżdżali do Jodłowej Mieczek i Walerka z warszawskiej pensji, na którą oddała ją pani Warska.

Mieszkanie Dembowskich opustoszało także; Elżunia pogodziła się na koniec ze starymi jak świat pieśniami pana Onufrego Harasimowicza i została jego żoną; Antosia znalazła sobie męża, bawiąc w Wilnie u ciotki Kaczyńskiej. Magdzia nie była już tą dawną, naiwną i rumianą Magdzą. Twarz jej zbladła, wydelikatniała i powlokła się wyrazem dojrzałości i spokojnego smutku. Konkurentów nie brakło dobrej i ładnej dziewczynie, ale ona stanowczo powiedziała, że nigdy za mąż nie wyjdzie i została przy rodzicach, niekiedy tylko wydalając się na dni kilka do domu obłąkanej matki człowieka, którego niegdyś tak poświęconą kochała miłością.

Cisza w Jodłowej panowała ciągle głęboka, niekiedy tylko przerywał ją dźwięk fortepianu, płynący z głębi domu, a niekiedy także przejeżdżający drogą pocztową ludzie widzieli na szczycie obrosniętej jodłami góry, obok marmurowego pomnika, białą ubraną postać kobietę, i o zmroku żegnali się krzyżem świętym, myśląc, że to duch, z mogiły wstający.

A w N. żyli i biedowali ludziska jak dawniej. Pani Owsicka i panna Zuzanna przeniosły się na mieszkanie do domu Dolewskiej, aby pielęgnować obłąkaną staruszkę, z którą życie spędziły. W wieczory zimowe w sypialni Dolewskiej palił się ogień na kominie, a przed nim Owsicka przędła na kołowrotku, słuchając opowiadań o snach Szeherazady.

W najciemniejszym kątku pokoju, na niskiej pod ścinaną ławeczkę, siadywała obląkana. Przed nią stała kołyska próżna, a ona z wolna poruszając ją ręką, śpiewała pół-głosem pieśń, jaką matki usypiają swoje dzieci. Niekiedy obok staruszki siadała pod światłem lampy blada, jasnowłosa dziewczyna i łagodnym głosem czytała książkę pociechy.

„Niestety! czémże jest to życie, w którym utrapienia i nędze nigdy nie ustają, w którym zewsząd jest pełno sideł i smutków?”

„Nad wszystko i we wszystkim zawsze, duszo moja, spoczywaj w Panu, bo on sam jest wiecznym odpoczynkiem twoim.”

Czytała tak Magdzia, a Dolewska, kołysząc próżną kolebkę, słuchała jęj z wytężeniem. Gdy słodki głos dziewczyny przestawał rozlegać się po izdebce, obląkana podnosiła głowę i wołała nagle ostrym krzykiem:

— Lucysiu! Lucysiu! gdzie mój Lucyś, gdzie moje dziecko?

— Lucyś śpi, nie budź go — łagodnie odpowiadała Magdzia, a słowem tém uspokajona staruszka zaczynała znowu kołysać kolebkę, nucąc pół-głosem.

Wkoło domu wiatr szumiał zimowy, przed kominkiem turkotał kołowrotek Owsickiej, a zbłąkany duch nieszczęśliwej matki snuł piosenki ciche, niby rzewne do nieba modlitwy, o spokojny sen syna w mogile.

Mieszkańców okolicy N. różne spotykały losy. Pan Rodryg Wierciński przestał być panem na Wiercinie, bo unikając *rekluzji* i *trawersując* Europę, tyle zaciągnął długów, że Wiercin z przyległościami sprzedano z publicznej licytacji, a zdetronizowany panicz został ekonomem u nowego swoich dóbr dziedzica. Niedługo jednak cieszył się tą swoją godnością, bo pokazało się, że nawet ekonomem dobrym być nie potrafił, umiejac gruntownie tylko dwie rzeczy: zawiązywać krawat i wkładać na nos pince-nez.

Barszcz, utraciwszy możność zjadania w Wiercinie baranich kotletów, pomyślał o tém, jak-by je mieć zawsze u siebie. Sposobny ku temu celowi wydał mu się posażek panny Jęczmionkowskiej, w skutek czego Elfryda wionęła ku ołtarzowi ślubnemu, furkając falbanami. Odtąd Barszcz miał zawsze u siebie baranie kotlety, a jedyną zgrzyotą jego było to, iż brat Elfrydy, Jęczmionkowski młody, ożenił się z garderobianą pani Warskiej, Marylką, co wielce bodło szlachecką dumę Barszcza, przyzwyczajonego do *porządných* stosunków.

Zenobia Jęczmionkowska dotychczas wspiera czoło na dłoni; nie wyszła za mąż i narzeka na niewdzięczność mężczyzn, a w romansowo-sentymentalnym nastroju swoim wtedy tylko znajduje pociechę, gdy na stole pojawi się półmisek koldunów.

Harasimowicz starszy padł ofiarą miłości dla swjej szklanjej kochanki, umierając z *delirium tremens*, a Harasimowicz młodszy, ożeniwszy się z młodą i dobrą Elżunią, przestał śpiewać przy gitarze i smolić cholewki do panien, a pozbywszy się tych dwóch śmieszności, został wcale przyzwoitym człowiekiem, rządny i poczciwym gospodarzem.

Raz ksiądz Stanisław, wróciwszy z dość dalekiej podróży, pojechał do Jodłowej.

— Przywożę pani wieść o jęj znajomym — rzekł do pani Warskiej.

— O kim? — spytała Klotylda, podnosząc wzrok od roboty.

— Między Warszawą a Krakowem spotkałem się w wagonie z jakimś młodym człowiekiem, który jechał na ślub pana Cypryana Karłowskiego. Młody ów człowiek — ciągnął dalej proboszcz — widocznie wielki gaduła, lubiący opowiadać historie swoich przyjaciół, mówił, że pan Karłowski przed kilku laty przyjechał bardzo smutny. Powodów smutku nikt nie wiedział. Utrzymywano wprawdzie, że miał się żenić z kimś, i że narzeczona zdradziła go, czy umarła; ale były to tylko pogłoski i domysły, bo on sam nigdy nikomu ani słowa o tém nie powiedział. Nie mógł jednak wysiedzieć w Warszawie ani na wsi, lecz pojechał w podróż. Był w Stanach Zjednoczonych, na wyspie Kubie, bił się z Beduinami w Afryce, polował na lwy i tygrysy i powrócił do kraju z ogorzałą twarzą, hartowny, poważny, ale już zupełnie spokojny. Ojciec mu umarł, odziedziczył więc wielki majątek, którego zacie i rozumnie używa, a teraz żeni się z młodą jakąś i pełną zalet osobą.

— Wieści te — rzekła Klotylda — są mi bardzo miłe i pocieszające, bo dla pana Karłowskiego zachowałam na zawsze wdzięczność serdeczną i prawdziwy szacunek.

— W tym samym wagonie — mówił dalej ksiądz Stanisław — jechał jeszcze dziwny jakiś człowiek. Exemplarz podobny pierwszy raz w życiu widziałem.

— Któż taki?

— Był to człowiek średniego wieku, o ściągłej, bladej twarzy i długich włosach. Obecni, znajomi snąc jego, nazywali go Konwaliusem Konwaliorum.

Uśmiechnęła się na to przypomnienie Klotylda.

— Znałam go kiedyś — rzekła. — Jakże mu się powodzi? dokąd jechał?

— Mówił nam, że jedzie do Krakowa, i że opuścił dla tego Warszawę, że tameczni wydawcy nie chcieli wydrukować trzydziestu tysięcy wierszy, przez niego ułożonych. A mówiąc to, co chwila powtarzał: — ród ludzki biegnie ku upadkowi, bo bozka poezya przestała być jego matką-karmicielką...

Uśmiech zagościł znów przez chwilę na ustach Klotyldy, ale zniknął wkrótce. Zamyśliła się długo i smutnie, a potem podniosła spuszczone oczy i rzekła:

— Kiedy mówię o ludziach, których znałam niegdyś, i o całej przeszłości mojej, wszystko wydaje mi się snem jakimś, tak dalekim... tak dalekim, że mogła-bym sądzić, iż raz już umarłam, i że to są wspomnienia z przedgrobowego istnienia. O! księżu Stanisławie — dodała po chwili milczenia — biada tym, którzy nie przywykają badać samych siebie i nie uczą się rozumieć uderzeń własnego serca. Biada tym, którzy, straciwszy ster własnych uczuć, dają się unosić ślepo każdej zachciance, każdemu wrażeniu! Prędzej czy później, obejrzą się oni po-za siebie i w przeszłości ujrzą tylko szaleństwa, błędy, a niekiedy i... zbrodnie.

— Tak — odrzekł ksiądz Stanisław — w twojem, pani, życiu uwydatniła się ta prawda. Nie zrozumiałaś własnego serca, a przez to złamałaś inne serce, szlachetne i gorące. Ale winę tę odkupujesz cierpieniem i tém dobrem, które w około siebie rozlewasz. Matka twoja, jeśli cię widzi z nieba, błogosławi cię pewnie i Bóg ci przebacza. A Lucyan biedny niech śpi w spokoju! Nie tylko ty, pani, winna jesteś śmierci jego, bo biada wszystkim, którzy mają za szerokie tchnienie dla obrębu, w jakim są zamknięci. Brak im będzie powietrza, a jeśli nie przełamają zapór i nie ulecą w przestrzeń szeroką, muszą długo i boleśnie targać się i łamać, aż się zmęczą i skonąją... *w klatce*.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/orzeszkowa-w-klatce>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *W klatce*. Powieść, nakład i druk S. Lewentala, Warszawa 1884.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0662-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).